
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES PICTA .COM

AUGUST IWAŃSKI

PAMIĘTNIKI

1832—1876

STARANIEM SYNÓW AUTORA
WYDAŁ I PRZEDMOWĄ POPRZEDZIŁ
ADAM CZARTKOWSKI

WARSZAWA 1928
NAKŁADEM I CZCIONK. POMORSKIEJ DRUKARNI ROLNICZEJ S. A.
W TORUNIU

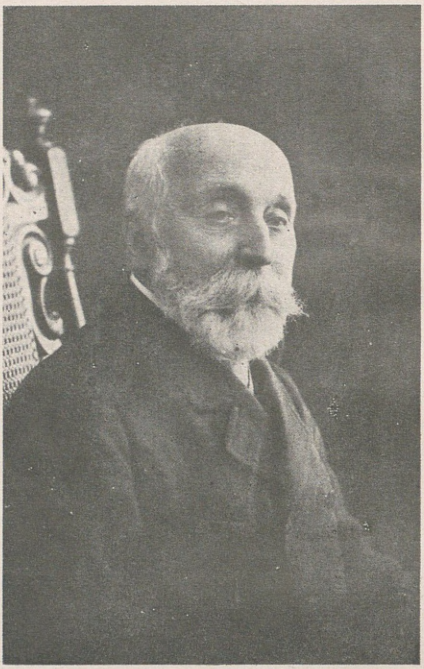
„ [illegible] na pamiątkę. A. T."

PAMIĘTNIKI

92(Freiberg): 93(458)44

28173/2

BIBLIOTEKA



August Iwański

Spis rzeczy.

Spis rzeczy . . . . . V — X
Przedmowa Wydawcy . . . . . XI — XVII
Od Autora XIX
Rozdział I. Ruś ukrainna. Lata dziecięce i młodzieńcze (1832—1848). Pochodzenie rodziny. Dziadowie autora. Ojciec autora. Kraj ojczysty. Jego ludność. Lud ruski, włościanie. Powinności, jakie obowiązywały: podatek ziemski, podatek rządowy i powinności od ziemi używanej — dziesięcina i pańszczyzna. Prawa właściciela ziemskiego w stosunku do poddanych. System gospodarstwa. Handel zbożem. Kozacy. Skasowanie Unji. Żydzi. Duchowieństwo i ziemianie. Życie rodziców autora jako przykład życia ziemiaństwa. Obchody familijne Marszałek Leonard Piątkowski z Ochmatowa i jego dzieci. Dr. Ilkiewicz. Konstanty Rohoziński. Parfenjew. Szambelan Florjan Różycki. Stanisław Joteyko. Władysław Sawicki z Buzówki. Michał v. Blumenfeld. Stanisław Iwański. Walery Kotowicz. Adam Weker. Teofil Jurjewicz. Chorążostwo Pokrzywniccy. Czempkowski. Domy Maurycego Turkułła, Leonarda Madeyskiego i Jana Tarnawieckiego. Ksiądz Ossoliński. Brygadjer Montrezor. Pensjonaty dla panien: Brzozowskiej w Stawiszczach, bar. Taubowej w Denhofówce i Przemyskiej w Zielonym Rogu. Wychowanie autora. Jego rodzeństwo. Nauka w domu. Gimnazjum w Niemirowie. Pierwsza spowiedź autora. Przeniesienie autora do Kijowa. Pensjonaty kijowskie dla młodzieży: Hasego, Soroczyńskiego i Hédouina. Pobyt w internacie rządowym przy pierwszem gimnazjum kijowskiem. Kurator honorowy gimnazjów kijowskich Ksawery Marszycki. Jego następca Dymitr Złotnicki. Późniejsi kuratorowie honorowi: Erazm Miehałowski i Henryk Tyszkiewicz. Koledzy autora. Stosunek młodzieży polskiej do młodzieży ruskiej i rosyjskiej. Niektóre typy z towarzystwa kijowskiego. Bałagulstwo. Spisek Konarskiego. Kasper Maszkowski. Zachowanie się młodzieży szkolnej w 1848 roku . . . . . 1—29
Rozdział II. Polacy w Odesie w latach 1848—1853. Odesa, jej położenie i wpływ na rozwój handlu zbożem. Czumacy

i „wałki czumackie". Humańszczyzna i jej losy. Dzieje Odesy. Ludność tego miasta w owym czasie. Polacy osiedli i przebywający czasowo w Odesie. Komisanci: Anzelm Iwaszkiewicz, Michał Konarski, Wernicki. Domy obywatelskie — Grocholskiej, Jełowickich, Kaczkowskich, Lubowidzkich, Nikorowiczów, Zbyszewskich. Hipolit Wołodkowicz, marszałek powiatu hajsyńskiego, jego rodzina. Rodzina Małachowskich. Młodzież polska kształcąca się w Odesie. Stancje dla młodzieży. Krzemieńczanie. Pensjonaty dla panien. Dr. Karol Kaczkowski. Duchowieństwo polskie. Polacy uprawiający wolne zawody. Opera odeska. Pobyt braci Wieniawskich i J. I. Kraszewskiego w Odesie. Wizyta arcybiskupa Hołowińskiego. Laura z Lachmanów Świeykowska i jej siostra Przezdziecka. Liceum Richelieugo. Skład profesorów. Koledzy autora z Liceum. Kilka słów o sobie. Zdolności muzyczne i kształcenie się w tym kierunku. Michał Czerny, nauczyciel muzyki. Wybitniejsi goście odwiedzający Liceum . . . . . 31—53

Rozdział III. Wycieczki po kraju, podróże do Petersburga i Finlandji (1853—1858). Pobyt w domu ojcowskim po skończeniu studjów w Liceum. Odwiedzanie Kijowa. Dom Rozesławostwa Rylskich. Michał Grabowski. Leonard Sowiński. Aleksander Jabłonowski. Pierwsza podróż do Petersburga. Pobyt w Moskwie. Petersburg. Jarosław Serbinowicz. Leonard Straszyński. Stanisław Chlebowski. Pałace, parki, pomniki, świątynie i muzea petersburskie. Przygoda autora. Podróż do Wilna przez Rygę i Mitawę. Poznanie się ze Stanisławem Moniuszką. Jego charakterystyka. Lekcje u niego. Podróż z nim do Mińska. Dom Spasowiczów. Powrót do domu. Trwożne nastroje wśród ziemiaństwa polskiego podczas wojny krymskiej. Dom Edwardostwa Starzyńskich w Bujwołowcach. Druga podróż do Wilna w towarzystwie Zygmunta Raciborowskiego. Ożywienie umysłowe w Wilnie w 1856 r. Poobiedzia literackie w domu Dłużniewskiego. Wybitne postacie ówczesne w Wilnie: Odyniec, Syrokomla, Michał Baliński, ks. Ważyński, ks. Bereśniewicz, Edward Römer, Eustachy Tyszkiewicz. Lekcje śpiewu u Bonoldiego. Druga podróż do Petersburga. Bliższa znajomość z galerją Ermitażu. Poznanie się z muzykami petersburskimi. Cezar Cui, Dargomyżkij, Sierow. Chór Bortniańskiego. Podróż do Finlandji. Ludność i kraj. Wybitniejsze miejscowości. Obiad na cześć namiestnika Berga. Powrót do Petersburga. Bal szlachty dla Aleksandra II. Wizyta u nuncjusza papieskiego ks. Chigi i poznanie się z ks. Felińskim, ks. Łubieńskim i ks. Krasińskim. Powrót do Wilna. Powrót do domu. Ożywienie wśród ziemiaństwa polskiego na Rusi w 1857 r.

Podróż na Podole. Ślub siostry autora z dr. Aleksandrem Izbickim. Rodzina Izbickich. Eustachy Izbicki. Jego niezwykła karjera i śmierć na Syberji . . . . . 55—84

Rozdział IV. Podróż i pobyt zagranicą: Lwów, Kraków, Bruksela, Paryż, Poznań, Warszawa (1858—1861). Podział majątku przez ojca autora. Autor udaje się w podróż zagranicę w celu kształcenia się. Lwów: Maurycy Dzieduszycki, Karol Szajnocha, Kornel Ujejski, Kraków: Ksawery Jasieński, Lucjan Siemieński, Ambroży Grabowski. Wrażenia z Krakowa. Praga Czeska. Bruksela. Konserwatorjum muzyczne. Dupont i Godineau. Poznanie się z Lelewelem. Jego mieszkanie i sposób życia. Niedelikatna wizyta Kraszewskiego u Lelewela. Pomoc, okazana bezimiennie Lelewelowi przez Zygmunta Sierakowskiego. Wpływ Lelewela na autora. Przyjaźń autora z Gustawem Zakrzewskim. Życie studenckie. Leonard Straszyński. Jego portret Lelewela. Inne obrazy tego malarza. Pobyt letni w Spa i Ostendzie. Bal polski w Ostendzie. Dr. Seweryn Gołęzowski. Henryk Tyszkiewicz. Michał Benisławski. Przyjazd Aleksandra Jabłonowskiego do Brukseli. Jan Karłowicz. Wstąpienie autora do konserwatorjum brukselskiego. Fétis, dyrektor tego konserwatorjum. Lekcje Lemmensa. Wybitniejsi koledzy autora z konserwatorjum. Młodzież polska kształcąca się w Brukseli. Antoni Jodko, Bracia Radziejowscy, Kiełczewscy. Józef Limanowski. Ignacy Stadnicki. Koncerty Joachima i Wieniawskiego. Koncert Ryszarda Wagnera. Pierwszy pobyt autora w Paryżu. Drugi pobyt tamże. Lekcje u Fontany. Z Rosengartów Bohdanowa Zaleska. Ówczesna emigracja polska w Paryżu. Ks. Adam Czartoryski. Sekretarze księcia. Karol Sienkiewicz, Juljan Klaczko, Kalinka. Grupa demokratyczna emigracji: Józef Wysocki, Januszewicz, Ordęga, Wincenty Mazurkiewicz, Józef Bohdan Zaleski, Seweryn Gałęzowski, Jan Ledóchowski. Ks. Aleksander Jełowicki. Jenerał Karol Różycki. Bronisław Trentowski i przemówienie na obchodzie 29 listopada. Oburzenie na Trentowskiego za słowa uznania dla ks. Adama. Podpisanie odezwy protestującej uniemożliwia autorowi poznanie się z Trentowskim. Aleksander Jabłonowski. Antoni Żeligowski. Zygmunt Sierakowski. Inni członkowie grupy demokratycznej młodzieży. Jan Kurzyna. Ludwik Mierosławski. Spotkanie Mierosławskiego z Wysockim. Karol Baliński. Wizyta u jenerała Różyckiego. Kurzyna zaopatruje autora w upoważnienie Mierosławskiego do zbierania w kraju składek na tworzenie oddziałów zbrojnych. Wyjazd z Paryża. Pobyt w Poznaniu. Karol Libelt oświadcza się za tworzeniem oddziałów wojskowych. Posiedzenie

w Poznańskiem Tow. Naukowem. Książki, karty z albumu oraz listy Ujejskiego i Trentowskiego. Losy tych przedmiotów. Podróż przez Wrocław do Warszawy. Pobyt w Warszawie. Wigilja u Moniuszki. Bytność na „Halce". Odwiedziny Ignacego Zakrzewskiego w Ciechominie. Podróż z Gustawem Zakrzewskim na Ukrainę. Pobyt u Kajetana Cieszkowskiego i w Lublinie. Będąc śledzony, autor niszczy większą część papierów wiezionych. Powrót do Olszanki . 85—124

Rozdział V. Emancypacja włościan. Powstanie. Więzienie (1861—1864). Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego i ich wielka wartość historyczna. Autor udaje się na kontrakty kijowskie 1861 r. Odwiedziny Michała Grabowskiego. Wizyta u marszałka Szostakowskiego. Zaproszenie autora przez Szostakowskiego na zebranie marszałków gubernji kijowskiej. Metoda autora zbierania składek na przyszłe legjony. Powstanie organizacji „białych" wśród ziemian gub. kijowskiej. Udział autora w przeprowadzeniu reformy włościańskiej jako „pośrednika mirowego". Dobra stawiszczańskie. Aleksandrostwo Braniccy. Edward Mochliński, pełnomocnik Branickiego. Inni wybitniejsi oficjaliści i dzierżawcy stawiszczańscy. Dobra koszowackie i ich właściciel Józef Młodecki. Wezwanie autora przez Izydora Kopernickiego do Kijowa jesienią 1862 r. Mianowanie autora „naczelnikiem cywilnym" powiatu taraszczańskiego. Rola autora podczas wybuchu powstania. Aresztowanie autora w dn. 5 maja 1863 roku i osadzenie w fortecy kijowskiej. Przeniesienie do t. zw. „Kopanjerów". Aresztowani, których tam zastał. „Borodiańczycy" i członkowie partyj „taraszczańskiej" i „rozalowieckiej". Życie w Kopanjerach. Opieka p. Wandy Moszczeńskiej. Dostarczenie przez nią autorowi harmoniflutu. Ucieczka Antoniego Jurjewicza przez podkop. Członkowie partji z pod Sołowijówki. Inni wybitniejsi więźniowie: Roman Bniński, Aleksander Czekanowski, Ignacy Fudakowski, Erazm Michałowski, Bolesław Morgulec, Romuald Olszański. Odwiedziny autora w więzieniu przez Włodzimierza Szawrowa. Inne spotkanie się z nim po powrocie z zesłania. Intryga miłosna. Proces autora i skazanie na bezterminowe ciężkie roboty. Wysłanie etapem na Syberję. Ślub dr. Jachimowicza z Anną Radlińską przed udaniem się w drogę. . . . . 125—157

Rozdział VI. Pochód na Syberję, z Kijowa do Usolja (1864 do 1866). Wrażenia w chwili wyruszenia w drogę. Warunki nowego istnienia. Kajdany. Pierwszy etap w Aleksandrówce. Pożegnanie z krewnymi. Ekwipunek podczas pochodu. Zorganizowanie partji dla pełnienia czynności. Przybycie do Kremieńczuga. Ostateczne pożegnanie się z bra-

tem Władysławem. Żony towarzyszące zesłańcom: pp. Jachimowiczowa i Gałecka. Przyłączenie do partji zesłańców kryminalnych. Stosunki politycznych z kryminalistami. Noclegi na etapach i w izbach chłopów rosyjskich. Przychylne traktowanie zesłańców przez rosyjski lud wiejski. Oficerowie konwojujący. Autor odbywa całą drogę przeważnie pieszo. Rozstanie z Zygmuntem Rudnickim. Zbliżenie się autora do Stefana Wyhowskiego. Przyjaźń z nim. Postoje w miastach gubernjalnych. Pobyt parotygodniowy w Buińsku. Wietrzna ospa. Opieka kolegów. Plaga „egipska". Przybycie do Kazania. Tyfus. Pobyt w szpitalu. Odrzucenie propozycji przybrania nazwiska lżej skazanego, umierającego suchotnika. Przybycie Rudnickiego. Wigilja u dorostwa Jachimowiczów. Pochód podczas zimy. Przejście przez góry Uralskie. Ludność, wsie i miasta tych krain. Przybycie do Tiumenia. Pozwolenie swobodnego zamieszkania w mieście. Państwo Zalescy. Franciszek Bylicki. Pozwolenie na przyjazd do Tobolska na statku parowym w towarzystwie Wyhowskiego. Znajomość z Ryszardem Maackiem. Pobyt w Tobolsku. Gubernator Aleksander Despot Zenowicz. Alfons Kozieł-Poklewski. Ostjacy. Pobyt w Irkucku. Pułk. Dumanskij, policmajster irkucki. Lekcje muzyki, udzielane przez autora Maackowi. Znajomość z konarszczykiem Piotrem Borowskim. Księża Szwermicki i Pawłowski. Autor zakłada sklepik w więzieniu i wyrabia koperty a następnie uczy się introligatorstwa. Powstanie zabajkalskie. Jego geneza i przywódcy. Gustaw Szaramowicz. Wysłanie do Usolja . . . . . 159—187

Rozdział VII. Usolje, Irkuck, Wiatka. Powrót do kraju (1866—76). Usolje. Badania przyrodnicze zesłańców Polaków. Mieszkańcy Usolja. Organizacja zesłańców. Aleksander Oskierka. Roman Bniński. Jakób Gieysztor. Henryk Wohl. Inni zesłańcy i ich zajęcia dobrowolne. Mikołaj Giedroyć. Narcyz Jankowski. Zajęcia obowiązkowe zesłańców w warzelni soli. Dyrektor warzelni i komendant więzienia, major Tarow. Mieszkanie w koszarach. Autor zostaje nauczycielem muzyki pani komendantowej. Dozwolenie swobodnego zamieszkania w miasteczku. Wspólne mieszkanie z kolegami. Podział pracy. Zajęcia. Złagodzenie kary. Irkuck. Zdobywanie pracy. Popis muzyczny. Lekcje muzyki. Wasiljew i jego otoczenie. Metoda pracy pedagogiczno-muzycznej. Rezultaty. Pp. Juryńscy. Charakterystyka sfery kupiecko-mieszczańskiej. Praktyki handlowe na Syberji. Zajęcia zesłańców Polaków: przyrodników, lekarzy, adwokatów, nauczycieli. Salon muzyczny p. Laubego. Zesłańcy Polacy, pracujący na innych polach. Zgłoszenie się Sokoła-Czerni-

łowskiego. Wyjazd Wyhowskiego i dalsze jego losy. Władysław Witwicki, Lambert Nejmark i Henryk Wohl; ich dalsze koleje życiowe. Witold Giedroyć, Benedykt Dybowski, Karol Stankiewicz, Stanisław Kietliński, Marjan Dubiecki. Dalsze złagodzenie kary. Wyjazd z Irkucka. Wyekwipowanie na drogę przez p. Wasiljewa. Pożegnanie na najbliższej stacji pocztowej. Podróż saniami w towarzystwie Karola Stankiewicza. Gubernja wiacka; jej klimat i mieszkańcy. Wiatka. Zjechanie się z bratem Henrykiem. Odwiedziny brata Władysława. Warunki bytowania w Wiatce. Koledzy i przyjaciele: Giedroyciowie, Stankiewicz, Bolesław Oskierka. Inni koledzy zesłańcy. Życie towarzyskie. Pamięć ze strony Karłowicza. Zespoły muzyczne. Biskup Krasiński. Jego „Synonimy". Wieczory karciane. Witoldowa Giedroyciowa. Kanonik Frąckiewicz. Zezwolenie na kilkomiesięczny pobyt na Ukrainie. Wyjazd z Wiatki. Odwiedziny brata Konrada w Dorpacie i Karłowicza na Litwie. Pani Irena Karłowiczowa. Przyjazd na stałe do Odesy. Polonja odeska. Wacławotwo Górscy i Felicjanostwo Jochimowiczowie. Lekcje muzyki. Szczęsny Karaszewicz . . . . . 189—220

Przypisy . . . . . 223—238

Aneksy: I Listy Stanisława Moniuszki . . . . . 241—245

II Karty z albumu . . . . . 246—247

III Aleksandra Weryha-Darowskiego utwory satyryczne 247—251

Skorowidz nazwisk . . . . . 253—260

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Początek XIX w. wprowadza na arenę dziejów naszego narodu nietylko nowe pokolenie, nowych ludzi, ale i nowe warstwy. Na miejsce magnaterji, zbankrutowanej jako warstwa rządząca losami państwa i narodu, zjawia się szlachta średnio-zamożna, a nawet zupełnie uboga, która dotąd bierną tylko w dziejach i rozwoju naszej kultury grała rolę.

Jeszcze błysną coprawda, jak jasne iskry z dogasającego ogniska, świetne postacie Adama Czartoryskiego, Władysława i Andrzeja Zamoyskich, Leona Sapiehy, Romana Sanguszki, Aleksandra Wielopolskiego, ale wodzami narodu stają się już Mickiewicz, Lelewel, Słowacki, Mochnacki, otoczeni plejadą potomków tej braci szlachty, która dotychczas przeważnie tylko słuchać i za głosem magnatów iść mogła i umiała.

Błogosławiona działalność Uniwersytetu Wileńskiego, Liceum Wołyńskiego oraz Królewskiego Uniw. w Warszawie padła na żyzną a dotąd odłogiem leżącą glebę i wydała plon niezwykle bujny. Zajaśniały nieznanym dotychczas blaskiem literatura, nauka i sztuka polska. Na coraz szersze kręgi rozlewać się zaczęła kultura naprawdę europejska, przejawiająca się przedewszystkiem w coraz bardziej utrwalającem się przekonaniu, że chłop winien być uwolniony z hańbiącej człowieka niewoli i winien stać się równoprawnym obywatelem kraju.

Ujarzmiony państwowo naród podnosi się kulturalnie odrazu na znacznie wyższy poziom i promieniuje na społeczeństwo rosyjskie, stojące na znacznie niższym stopniu kulturalnego rozwoju.

Szlachta na Rusi właśnie średnio zamożna, a nawet najuboższa majątkowo, bierze odrazu mocny a pełen tem-

peramentu udział w tej pracy. Już pierwsze pokolenie, któ=rego wybitniejsze jednostki przeszły bądź przez Liceum Wołyńskie, bądź przez Uniwersytet Wileński, wydaje z po=śród siebie licznych twórców kultury polskiej i jeszcze liczniejszych bojowników o wolność narodową. I nasiąka tak odrazu tem, co zdobyło, że pomimo katastrofy 1831 r. przechowuje swą zdobycz dla następnych pokoleń i prze=kazuje ją jako najświętszy skarb swym synom, a nawet i wnukom. To też pomimo zniszczenia szkół polskich, po=mimo wtłoczenia młodzieży polskiej do obcych i kulturalnie niższych szkół rosyjskich, pomimo całego mikołajewsko=bibikowskiego nacisku i ucisku drugie polskie pokolenie XIX wieku na Rusi wydało wielu synów, którzy pozostali godnymi swych ojców i nietylko niczego nie uronili z prze=kazanej im przez nich spuścizny, ale potrafili pomnożyć ją nowemi zdobyczami i opromienić nowem poświęceniem.

Członkiem tego właśnie pokolenia, pokolenia Siera=kowskich, Kopernickich, Padlewskich, Dubieckich, był czci=godny autor niniejszego pamiętnika.

Rodzina Iwańskich z Iwania herbu Jastrzębiec, od=dawna w Sieradzkiem osiadła, zażywała tam ogólnego poważania i znaczenia. Członkowie jej piastowali wszelkie=go rodzaju niższe i wyższe urzędy obywatelskie. Pradziad Augusta, Karol, skarbnik nowogródzki, osiedlił się na wschodnich kresach Rzeczypospolitej; synowie jego, Ignacy i Stanisław, „przyszli do dużego funduszu" i w 1792 roku nabyli na Ukrainie trzy wsie: Olszankę, Sabasz i Maryjkę, w 1815 roku zaś dokupili jeszcze Sorokotiahę. Z fortuny tej Sorokotiaha i Olszanka przypadły następnie Janowi Iwań=skiemu, synowi Ignacego, urodzonemu 1800 r., który z mał=żeństwa z Wiktorją z Piątkowskich miał liczne potomstwo. Drugim z kolei jego synem, urodzonym 3 sierpnia 1832 r., był właśnie autor niniejszego pamiętnika.

Jan Iwański, wychowaniec szkół bazyljańskich w Hu=maniu, kolega Goszczyńskiego, Zaleskiego, Grabowskiego i Mianowskiego, aczkolwiek nie studjował następnie ani w Krzemieńcu, ani w Wilnie, i tylko otarł się podczas rocz=nego pobytu w Warszawie o kulturalniejsze środowisko, był jednak niewątpliwie jednostką o wyższych aspiracjach

umysłowych, miał również pewne skłonności artystyczne w dziedzinie muzyki; to też dbał o wykształcenie gromadki swych dzieci i nie żałował kosztów, by je i przez szkoły przeprowadzić i rozwinąć ich wrodzone zdolności. A że w r. 1831 stawał w daszowskiej potrzebie, nic więc dziwnego, że i uczucia patrjotyczne wykształcić w nich umiał.

Kierowany ręką takiego ojca, obdarzony przytem bogato od urodzenia, młody August musiał rozwinąć się w męża, wyróżniającego się wśród rówieśników. Przyrodzone zdolności jego rozwinęły się przez kontakt z szeregiem najwybitniejszych ludzi epoki ówczesnej, paroletni zaś pobyt zagranicą wyrył w nim niezatarte piętno rzetelnej kultury europejskiej. Nic też dziwnego, że po ukończeniu studjów oddał się z zapałem pracy nad uwłaszczeniem włościan, a w 1863 r. znalazł się wśród tego odłamu młodzieży, który złożył na ołtarzu Ojczyzny bohaterską hekatombę poświęcenia, cierpienia i krwi.

Czynny, jako naczelnik cywilny powiatu taraszczańskiego w powstaniu styczniowem, aresztowany 5 maja 1863 r., po 15 miesiącach więzienia w Kijowie wyrokiem sądu polowego skazany został na bezterminowe ciężkie roboty. Zesłany etapem na Syberję, odbywał tę karę w ciągu paru pierwszych lat w Usolju, następnie, jako przymusowy osiedleniec, w Irkucku i w Wiatce. Powrócił w r. 1873 do Odesy, znanej mu dobrze z czasów studjów w Liceum Richelieugo. Jeszcze na Syberji jął się pracy zarobkowej jako nauczyciel muzyki, do czego był przygotowany w zupełności gruntownemi studjami. Tej pracy oddał się też po powrocie z wygnania i uprawiał ją do 1877 r., w którym to czasie poślubił Klementynę Kossowską, córkę Serafina, właściciela majątku Ryżawka pod Humaniem. Niestety, niedługo cieszył się szczęśliwem pożyciem małżeńskiem. Żona osierociła go w 4 lata po ślubie, pozostawiwszy mu dwóch synów, Jana i Augusta. Zniósłszy mężnie ten nowy cios życiowy, oddał się całkowicie wychowaniu swych dzieci, administrując przytem mądrze i zabiegliwie majątkiem, pozostałym po żonie. Odzyskawszy na mocy rozmaitych manifestów całkowitą swobodę ruchów, mieszkał początkowo w majątku Wierzbica w Lubelskiem, następnie zaś

w Warszawie, gdzie kształcił synów i stykał się stale z gronem najpoważniejszych mężów, bliskich mu bądź z czasów młodości, bądź z epoki pobytu na zesłaniu (Aleksander Jabłonowski, Tadeusz Korzon, Jan Karłowicz, Henryk Wohl, Feliks Zienkowicz, Jakób Gieysztor i inni).

Skromny i niepożądający rozgłosu, nie zajmował żadnego stanowiska eksponowanego w społeczeństwie, ani też chciał się o to ubiegać. Nie znaczy to jednak, aby nic pożytecznego społecznie nie czynił. W jak największej tajemnicy hojną ręką sypał na cele publiczne: łożył na cenne publikacje podstawowych dzieł Aleksandra Jabłonowskiego i Tadeusza Korzona, zasilał w ciągu szeregu lat pokaźnemi sumami fundusze oświaty narodowej na Śląsku i na Rusi, gdy zaś ze zmianą warunków politycznych po 1905 r. stało się to możliwem, popierał materjalnie założone w tym czasie w Ursynowie pod Warszawą seminarjum nauczycielskie. W latach 1907—1909 ofiarował Towarzystwu Kolonij Letnich dla młodzieży szkół średnich w Krakowie sumę 30 tys. koron na „fundację im. Klementyny z Kossowskich Iwańskiej", co umożliwiło temu towarzystwu zakupienie kolonji letniej w Porębie Wielkiej pod Mszaną Dolną, istniejącej i rozwijającej się pomyślnie dotychczas; w r. 1914 wreszcie złożył w darze Akademji Umiejętności w Krakowie 120 tysięcy koron na „fundusz im. braci Władysława i Augusta Iwańskich", od którego odsetki przeznaczone zostały na „remunerację za wykłady z historji Rusi w najszerszem tego słowa znaczeniu na wydziale filozoficznym Uniw. Jagiellońskiego" oraz „na wydawnictwa z zakresu historji ziem Ruskich lub na podróże naukowe, podejmowane w celu badania pomników historycznych ruskich". (Por. Rocznik Akademji Umiejętności w Krakowie. Rok 1913 14, str. 138—142).

Wojna europejska zastała go na Ukrainie, gdzie w domu młodszego syna spędzał miesiące letnie. Tu też doczekał się wybuchu rewolucji rosyjskiej. Po przejściu piekła przewrotu bolszewickiego wiosną 1918 roku wyjechał do Polski.

W sędziwej starości danem mu było ujrzeć zmartwychwstanie Polski i doczekać się walnego zwycięstwa oręża polskiego nad wschodnim najazdem. Spoczął na wieki

14 grudnia 1921 roku w Bydgoszczy w 90-ym roku życia, pozostawiając po sobie pamięć kryształowej duszy człowieka i najlepszego syna Polski.

Piszący słowa niniejsze miał zaszczyt poznać tę czcigodną postać przed prawie 30 laty i, aczkolwiek był wówczas jeszcze bardzo młody, nie może dotychczas zapomnieć tego głębokiego wrażenia, jakie ona nań przy pierwszem widzeniu wywarła.

Srebrnowłosy starzec, pełen jednak sił i werwy, pociągał ku sobie nieodparcie. Czuło się, że ma się przed sobą człowieka, który, przeszedłszy wiele i doszedłszy do zupełnej równowagi duchowej, nie stracił nic ze świeżości uczuć i niczego nie uronił ze skarbów swej duszy, owszem potrafił je w całej pełni zachować i jeszcze bardziej wzbogacić.

Nie znać w nim było żadnego załamania, żadnej rysy, wyżłobionej bolesnemi przeżyciami 1863 roku i kaźni sybiryjskiej, nie nadkruszyła go też duszna a tak demoralizująca atmosfera niewoli popowstaniowej.

Zamknięty w sobie, z natury racjonalista, zawsze opanowany, nie umiał być popularny i wylewny. Jak najściślej spełniał jednak to wszystko, co mu głębokie jego uczucia obywatelskie dyktowały. Precyzyjność i ścisłość, z którą wykonywał to, co wydawało mu się obowiązkiem, były tak wybitne, że Stefan Wyhowski, przyjaciel i towarzysz jego z pobytu na zesłaniu, powiedział o nim kiedyś: „Każdy z nas umie spełnić nawet twardy i przykry obowiązek, ale August robi to tak, jakby zjadał cukierek". Dla siebie potrzebował niesłychanie mało. Pomimo pewnej angielskiej sztywności, która go cechowała zewnętrznie, dla przyjaciół był serdecznie oddany. Służbie i pracownikom było u niego idealnie, wymagał jednak ładu i porządku w sposób bardzo kategoryczny. Na cele narodowe był ofiarny, nie znosił jednak wszelakich płytkich objawów codziennej szablonowej karoty. Hamując się w niechęci, odchodził od tego, czego nie mógł znosić. Umysł jego, nawskroś europejski, wybiegał daleko poza przeciętny poziom życia obywatelskiego na Ukrainie. Dlatego też w okresie wychowania synów wolał przenieść się do Królestwa, usilnie dbając o to, by zbliżyć ich do przejawów kultury Zachodu. Wypadki polityczne

odczuwał z zupełnie młodzieńczą siłą uczucia. Uczuciowość jego wzrastała z wiekiem. Do śmierci szedł w zupełnym spokoju, a ponieważ cechą zasadniczą jego usposobienia było przewidywanie, w późniejszym wieku żegnał przyjaciół, jak przed zgonem, zawsze z pogodnym uśmiechem.

Wszystkie te cechy charakteru występują niezwykle wypukle, gdy się czyta jędrne karty pamiętników Iwańskiego. Acz rozpoczęte w 82-im roku życia i kreślone w ciągu późniejszych jeszcze lat, wspomnienia te przedstawiają dużo świeżości uczuć i świadczą o skromności autora, o męskim harcie jego duszy, o niezłomności poglądów i sądów, o stałem dążeniu do przebywania w kręgach wyższych, zdala od poziomego używania i bezpłodnego wegetowania. Znać w nich, że ten umysł i to serce brzydziły się wszelką obmową, złośliwością, deklamatorstwem i przybieraniem pozy bohatera lub męczennika.

Z kart tych wyłania się cała dostojność duszy w pełnem słowa znaczeniu dobrego obywatela i gorącego patryjoty.

Fakty w tym pamiętniku zebrane, sylwetki postaci, obrazy społeczeństwa i wypadków historycznych dopełniają treściwie wiadomości o życiu polskiem na Ukrainie w drugiem trzydziestoleciu XIX wieku, podane przez innych pamiętnikarzy tego okresu, przedewszystkiem zaś przez znanego autorowi i wysoko przezeń cenionego Tadeusza Bobrowskiego. Oświetlenie jednak tego wszystkiego, bezwzględnie bezstronne i prawdziwe, pozbawione jest zbędnego balastu nadmiernych szczegółów i wszelkiej zarozumiałości, które obniżają, niestety, skąd inąd rzetelną wartość kart tamtych. Znakomicie tedy ten pamiętnik może służyć do korygowania wniosków, jakie mógłby wyciągnąć historyk z pamiętników Bobrowskiego.

Zaszczycony przez synów autora propozycją wydania tego pamiętnika, starałem się jak najmniej zmienić układ rękopisu; pozwoliłem sobie tylko na wcielenie niektórych przypisów do tekstu i odwrotnie, na wydzielenie niektórych ustępów tekstu do przypisów, zgodnie zresztą z pierwotnym planem, kierując się w każdym razie dążeniem do uczynienia całego utworu bardziej przejrzystym i łatwiejszym w czy-

taniu. Wreszcie do aneksów, zaprojektowanych również przez autora, włączyłem listy Stanisława Moniuszki, których oryginały zginęły niestety podczas zawieruchy bolszewickiej, ale których odpisy przechowują się w zbiorach sekcji im. Moniuszki przy Tow. Muzycznem w Warszawie.

Ponieważ autor sam bardzo treściwie starał się przedstawić losy wielu spotykanych przez siebie postaci, więc nie uważałem za potrzebne obciążać książki jeszcze przypisami wydawcy.

Dla ścisłości muszę tylko zaznaczyć, że p. Irena z Sulistrowskich Karłowiczowa, żona zasłużonego lingwisty i etnografa Jana, a matka kompozytora Mieczysława, zmarła 21 lipca 1922 r. i że wspomniany na str. 29 pamiętnik rzekomo Kaspra Maszkowskiego okazał się istotnie utworem zupełnie innej osoby. Mianowicie, jak to wykazał p. Wacław Studnicki, dyrektor Archiwum Państwowego w Wilnie, autorem tego pamiętnika jest dr. M. Łowicki, jeden z zesłanych w 1841 r. uczniów Akademji Medyczno-Chirurgicznej w Wilnie.

Gdańsk, w czerwcu 1928 r.

ADAM CZARTKOWSKI.

OD AUTORA.

Nie myślałem nigdy o pisaniu pamiętników, tak dla braku wprawy pisarskiej, jako też głównie dla tego, że nie mógłbym ominąć roku 1863-go, pełnego wspomnień bolesnych, z życiem mojem związanych. Jeżeli jednak na ten krok śmiały, w 82-im roku życia odważyłem się, to już tylko dzięki namowom, zachętom i naleganiom przyjaciół moich: nieżyjącego Jana Karłowicza i żyjącej wdowy po nim Ireny z Sulistrowskich Karłowiczowej. Z uczuciem przeto wdzięczności i niewygasłej przyjaźni niniejsze pamiętniki poświęcam Pani Irenie Karłowiczowej, oraz pamięci Jana Karłowicza.

A. I.

Ryżawka, 1913 r.

ROZDZIAŁ I.

Ruś ukrainna.
Lata dziecięce i młodzieńcze
(1832—1848).

Przyszedłem na świat w r. 1832, we wsi Sorokotiaże w gubernji kijowskiej, powiecie taraszczańskim, a w dawniejszem województwie bracławskiem i powiecie piatyhorskim, położonej w samem sercu Ukrainy, pomiędzy Białą-cerkwią a Humaniem, w okolicy stepowej, gdzieniegdzie falistej, zdobnej w dębowe i liściaste laski, a poprzerzynanej licznemi ruczajami, nieraz rozlewne stawiska tworzącemi. Rozsiane mogiły — jako dawniejsze szlaki tatarskie, albo cmentarzyska — oraz smętny charakter okolicy, a więc tak przeszłość jak i teraźniejszość splotły się tu, wdzięczne pole do dumania przedstawiając; to też powstały tu dumki ukraińskie, czarujące nas w śpiewach tak ślepego lirnika (takich lirników, siedzących pod kapliczką przydrożną, albo włóczących się po jarmarkach, spotykałem w dzieciństwie i śpiewu ich nasłuchałem się), jak w szacie poetyckiej Goszczyńskiego i Zaleskiego, lub w muzyce wykwintnego Moniuszki i skromniejszego, ale niezmiernie rzewnego Michała Zawadzkiego.

Rodzina moja pochodzi z Sieradzkiego. Papiery rodzinne wspominają o Adamie Iwańskim, stolniku łęczyckim w r. 1702 (Adamus de Iwanie Iwański dapiferus Lenciciensis), i synu jego Piotrze Iwańskim, stolniku piotrkowskim. Osiedleni na Ukrainie najbliżsi przodkowie moi należeli do tych przedsiębiorczych kolonistów, których Korona w drugiej połowie XVII w., a szczególnie w następnym z łona swego wydzielała i wciąż do czasów ostatnich wydziela. Owóż

dziadowie moi, Ignacy i Stanisław, tutejsi już osiedleńcy, przyszli z czasem do posiadania dużego funduszu, zdobytego na dzierżawach i na praktykowanym przez szlachtę handlu wołami, sprowadzanemi do Korony, i nabyli w drugiej połowie XVIII w. z dóbr tetijowskich Ostrowskiego trzy wsie zaludnione: Olszankę, Maryjkę i Sabadasz nad rzeką Tykiczem, następnie dokupili od starosty Dembowskiego przyległą wioskę Sorokotiahę. Obaj bracia, Ignacy familijny i Stanisław kawaler, wspólnie na zdobytym warsztacie pracowali; podział zaś całego majątku nastąpił dopiero po ich śmierci pomiędzy trzech synów Ignacego i jedną córkę Katarzynę Michałowską, a po bezdzietnem wygaśnięciu dwojga osób z tego rodzeństwa, ojciec mój, Jan, stał się posiadaczem gniazdowej Olszanki i Sorokotiahy.

Kraj ten w okresie przeze mnie opisywanym zamieszkały był: I-o przez lud ruski, z nieosiadłego jeszcze w XVI w. — dzięki kulturze polskiej — na osiadły i rolniczy zamieniony; II-o — przez drobną szlachtę polską, rozsianą po całym kraju, sprowadzoną przez większych właścicieli ziemskich, lub też dobrowolnych kolonistów; III-o — przez Żydów, gnieżdżących się głównie po miasteczkach, i IV-o — przez szlachtę, posesjonatów i duchowieństwo, jako sferę wyższą całego zaludnienia. Urzędnicy — jako przeważnie pochodzenia miejscowego osobnej warstwy nie stanowili.

Ziemia cała — oprócz nielicznych względnie wyjątków [1]) — była tak prawnie, jak faktycznie w posiadaniu panów polskich, na mocy nadań królewskich, jak np. starostwo bogusławskie, albo drogą kupna. Z czasem jednak — z powodu działów, darowizn i cząstkowej sprzedaży — zjawia się dorabiająca się tu fortuny, obok wielkich panów, drobna szlachta, w charakterze posiadaczy pojedyńczych lub też kilku i kilkunastu włości.

I. *Lud ruski, włościanie.* Z całej ziemi „dominjalnej" w używalności włościan poddanych było około 50%.

Trojakiego rodzaju powinności obowiązywały włościaństwo miejscowe na Rusi: 1. podatek „ziemski", 2. podatek rządowy i 3. powinności od ziemi używanej. Pierwszy z nich — podatek „ziemski" w naturze — obowiązywał do utrzymywania w porządku gościńców pocztowych i mostów

w powiecie oraz w obrębie posiadłości swojej, na co właściciele ziemi materjał na miejscu dawali, jako to: drzewo, kamień, cegłę itp. Podatek „rządowy" składał się z tak zw. „podusznego" i podatku krwi: pierwszy obowiązywał wszystkich (od duszy), tak żyjących jak i zmarłych — w okresie pomiędzy jedną a drugą rewizją, odbywającą się co parę dziesiątków lat. (Powyższa okoliczność nasunęła myśl piszącemu po rosyjsku Rusinowi Gogolowi, do napisania satyry społecznej pod tytułem „Martwe dusze"). Podatek krwi, t. j. dostarczanie rządowi rekruta do wojska nie było i nie mogło być — wobec 25-letniej służby w wojsku i ciężkiego rygoru — pojmowane jako obowiązek patrjotyczny, ale uważane było powszechnie za „karę": i tak gromada wiejska karała za nadto już jawne przestępstwa złodziejskie lub zbrodnicze, w obrębie swej wioski dokonywane, najczęściej zaś za włóczęgę [2]), a przeto uchylanie się od dorocznego podusznego, gromadę całą w tym wypadku obciążającego. Dziedzic był bardziej objektywny przy wymierzaniu tej kary, chociaż zdarzało się niejednokrotnie oddawać za t. zw. powszechnie „zuchwalstwo", t. j. za wszelkie objawy poczucia godności ludzkiej, co w żadnym razie przez ówczesną szlachtę tolerowane nie było, gdyż — niestety — nie było ani zrozumianem ani też odczuwanem.

Wiedząc zawczasu o mającym nastąpić poborze rekruta, włościanie sami, lub w porozumieniu z dziedzicem, przyłapywali upatrzonych kandydatów (robiono wprost obławy na tych, co do przyległej gubernji chersońskiej od pańszczyzny lub z innych pobudek uciekali, schronienie tam znajdowali, byli zaś pierwsi kolonizatorami południa całego), a po włożeniu na nogi każdej pary ciężkich kłód drewnianych, trzymano biedaków pod strażą wiejską aż do stawienia ich przed komisją w powiecie. Odpowiedzialność za przeprowadzenie rekrutacji, narzucona przez rząd dziedzicowi na wsi, a marszałkowi w powiecie, wytwarzała chroniczne pomiędzy wsią a dworem rozdrażnienie. Takie wzmocnienie praw dominjalnych z jednej strony, przy upośledzeniu drugiej, musiało nieobliczalne następstwa w przyszłości sprowadzić.

Powinności za używalność ziemi były dwojakiego rodzaju:

a) *Dziesięcina* oddawana dworowi od produktów surowych, albo przerobionych, t. j. od przędziwa, miodu, drobiu i t. p.; serwitut ten ustał zupełnie z wprowadzeniem w r. 1848 inwentarzy, ograniczających wogóle powinności włościan.

b) *Pańszczyzna*, czyli oddanie pracy ręcznej, albo ze sprzężajem na rzecz dziedzica w stosunku do ilości ziemi posiadanej, przez trzy kategorje włościan: „chałupników", „pieszych" i „ciągłych"; pierwsi, posiadający tylko ogród przy chacie, rzadko kiedy morgę gruntu wynoszący, jeden dzień pracy w tygodniu odbywali, od drugiej zaś i trzeciej kategorji trzy dni przeciętnie pobierano, jako od posiadających od kilku do kilkunastu morgów i więcej, co znowu zależało od gatunku ziemi i gęstości zaludnienia, zdarzało się jednak, że normę tę trzydniową, zwyczajem uświęconą, w czasie żniwa przekraczano, co wywoływało zatargi miejscowe, wdanie się policji a nawet czasem zbrojną interwencję władzy.

Dopóki hodowla bydła i pasieka stanowiły, wraz z propinacją, cały dochód majątkowy, powinności rolne nie były uciążliwe, od czasu jednak rozpoczęcia — wraz z otwarciem portu w Odesie i handlu zagranicznego — produkowania zboża na eksport, pańszczyzna stawała się coraz uciążliwszą, upokarzającem też było dla nas, że aż satrapa kijowski Bibikow musiał ograniczyć i unormować wymaganą przez właścicieli pańszczyznę oraz inne ich nadużycia ukrócić, wydając obowiązujące dla stron obu t. zw. inwentarze w 1848 r. Już to ze smutkiem stwierdzić można, że odmalowane przez Szajnochę stosunki, jakie w połowie XVII w. panowały pomiędzy szlachtą a włościanami na Rusi, nie zmieniły się na lepsze w przeciągu dwóch wieków następnych.

Właściciel ziemski, mając w ręku swojem władzę administracyjną i wykonawczą, a często i sądowniczą, był samowładnym panem w majątku: i tak przeprowadzał w swoim interesie zamianę ziemi włościańskiej, zamieniał a czasem odbierał futory, oddawna przez włościan trzymane, wpływał na rozkład podatków i rekrutację, „ekscypował" przy sprzedaży majątku sługi uzdolnione, przesiedlając ich do innej wioski, bywał nawet niekiedy arbitrem w sprawach małżeńskich. Najgodniejszem zastanowienia w stosunkach tych

było przeświadczenie tak panujących jak i podwładnych, iż ustrój taki jest jakby przyrodzonym i że nigdy zmienić się nie może. Od roku 1815 do 1848 był czas największej — po wojnach napoleońskich — reakcji w Europie, pod batutą Metternicha przeprowadzanej; szczerbę wprawdzie w reakcji tej zrobiły trzy pomyślne rewolucje w Grecji, Francji i Belgji, tym większym za to ciężarem przygniatała ona kraj nasz po niepomyślnym powstaniu 1830 r. Utworzone w r. 1815 Królestwo Polskie istnieć przestało, rządy zaś krajem tym objął w charakterze namiestnika zdobywca Warszawy, Paskiewicz, którego władza długo nad krajem tym ciążyła. Zajęty skonsolidowaniem, że tak powiem, politycznem zdobytego kraju, wstrzymał się rząd rosyjski do czasu od wszelkich reform tak ekonomicznych, jak również sądowniczych, oświatowych i religijnych. Jeżeli jednak Królestwo Polskie traktowane było jako kraj, mający swoją prawno-państwową odrębność, innej metody trzymano się względem Rusi, za „zbuntowaną" prowincję uważanej.

Jedyną, o ile pamiętam, zmianą w sprawach religijnych było skasowanie większości zakonów istniejących (za wyłączeniem paulinów w Częstochowie i dominikanów przeniesionych do Petersburga) oraz konfiskata dóbr zakonnych; co do pierwszego — zważywszy, iż zakony kontemplacyjne rację bytu w XIX w. utraciły, zniesienia ich kraj nie odczuł; szkoda tylko, że majątki nieruchome zakonów, jako powstałe z ofiarności narodu polskiego, nie zostały temuż narodowi, jako nietykalną własność jego, zwrócone...

Trójpolowy system gospodarstwa rolnego praktykowany tak przez właściciela, jak i włościan, utrzymywanie wspólnych sianokosów włościańskich, bez przerywania takowych, jak również łącznych właściciela i włościan ugorów, wytwarzały bogate pastwiska, dające możność włościanom hodowania bydła na większą skalę, z korzyścią właściciela (przez zwiększenie sprzężajów pańszczyźnianych) jak i samych włościan, otwierając pole do całkiem nowego przedsiębiorstwa, jakiem była „czumaczka", służąca do transportowania zboża do Odesy, skąd w drodze powrotnej sól, maszyny i rozmaite produkty przywożono.

Niebywały, zacząwszy od drugiej ćwierci XIX w., rozrost handlu zbożem w porcie odeskim, oraz odpowiednie zwiększenie zasiewów zboża uczyniło czumaczkę przedsiębiorstwem tak intratnem, że z czasem oficjaliści, a nawet drobni właściciele ziemscy oddawali pod opiekę doświadczonego czumaka swoje zaprzęgi. Czumak taki, zwykle gospodarz zamożny, a więc odpowiedzialny, pilnował zboża pańskiego, jak również produktów, które z Odesy przywoził (wino i towary kolonjalne), a niejednokrotnie i pieniądze za pszenicę (wobec tego, że banków w tym czasie nie było) z rachunkiem komisanta rodaka. Niektóre zamożniejsze dobra własne magazyny zbożowe i specjalnych komisantów w Odesie utrzymywały. Komisant Branickich, Romuald Nowiński, część schedy emigranta Ksawerego Branickiego wysyłaniem systematycznem zboża z Odesy do Marsylji zdołał — rzekomo w tajemnicy — przeprowadzić.

Przy stosunkach pańszczyźnianych i praktykowanej dziesięcinie wytworzenie przemysłu na szerszą skalę, na eksport, było dla włościan niepodobieństwem. Płótno, sukno, okrycia, baranie kożuchy wyrabiano wyłącznie na potrzeby rodziny, ilość owiec utrzymywanych do potrzeb tych stosując.

Praktyczny ziemianin, zwłaszcza taki, co sam administracją majątku kierował, wybierał zwykle włościan uzdolnionych a zaufanych na posady urzędników gospodarczych, jak gumiennego, atamana (dozorcy bydła), organizatora t. zw. „wałki czumackiej" i innych, — włącznie aż do rządców — skąd weszło w przysłowie „*Ne daj Boże z Iwana pana*"; najbardziej jednak zbliżonym do dworu i zaufanym, szczególniej u paniczów, bywał „kozak dworski", o charakterze zaś kozaków takich i czynnościach ich wypada mi obszerniej tu pomówić. Począwszy od XVII w. wchodzili kozacy w skład milicji, znajdującej się przy dworach magnackich w Polsce, i używani byli na kresach w zapasach wojennych z Turkami i Tatarami. Gdy z panowaniem Sasów wojny ustały, kozacy służyli już tylko dla parady, a z czasem wyłącznie do usług dworskich byli używani. Przerzynając w podróży do szkół kijowskich Białocerkiewszczyznę, spotykałem wciąż kozaków „hetmańskich", snujących się od fol-

warku do folwarku. Strój ich stanowiły: kubrak granatowy z wyłogami i pasem czerwonym i takież „hajdawery“ (spodnie) w buty włożne, wehikułem zaś był wózek jednokonny o dwóch kołach, „bidką“ zwany. Podróżując tak całe niemal życie, kozak mimowoli nasiąkał wonią stajni i karczmy, głównie zaś ostrym zapachem czosnku, który jest jakby narodowym na Rusi przysmakiem, tolerowanym nawet w domach poniekąd kulturalnych. Zapach ten specyficzny, utrwalony przez właściwe Słowianom, a szczególnie południowemu ich odłamowi, nieochędóstwo, nie opuszczał kozaka nawet w niedzielę, gdy w białą jak śnieg koszulę płócienną żona go przystrajała. Obok tych właściwości ujemnych przyznawano powszechnie takim dworskim kozakom uczciwość, wierność i oddanie zupełne chlebodawcom swoim, a często i rodzinie ich. Zwyczaj utrzymywania kozaków dworskich przeszedł z czasem od panów do półpanków, nawet do dworów szlacheckich. Kozak taki odwoził przed kontraktami kijowskiemi długi albo procenty mocodawcy swego, pilnował w czasie kontraktów brzęczącą monetą wyładowane kasy, gdyż ani banków, ani też pieniędzy papierowych wówczas nie było, i spełniał wszelkie zaufane polecenia. Taki kozak, niezapomniany Fed' Marynkiewicz, towarzyszył ojcu memu w podróży i na wyprawę daszowską w r. 1831, następnie brata mego i mnie do szkół woził, pocieszając płaczących po upuszczeniu domu rodzicielskiego i w drodze pielęgnując, a to bynajmniej nie z obawy przed panem, ale raczej z życzliwości, jaką zwykle w dobrych duszach widok dzieci obudza. Takich sług dawnych po dworach i dworkach nieraz w dzieciństwie życzliwością a nawet szacunkiem chlebodawców otoczonych widywałem. Opisany tu kozak z pierwszej połowy XIX w. pewien typ stanowił. Jakżeż odmiennie wygląda współczesny kozak z głową wypomadowaną, po środku przedzieloną, ze sterczącą dewizką, z klamrą u pasa w herb lub monogram zaopatrzoną, z koroną na kaszkiecie i w białych rękawiczkach przy obiedzie. Czyż to nie jest wytwór operetkowy?

Dla dopełnienia powyższego ustępu o włościanach, Rus ukrainną zamieszkujących, konieczną staje się wzmianka o przeprowadzonem śród nich w latach czterdziestych skaso-

waniu Unji. Najważniejszy wobec zmiany religji akt spowiedzi i komunji pod dwiema postaciami został nietykalny; zmiany w obrządkach dokonywały się powoli, oswajała się z tem ludność wiejska, tem bardziej, że metamorfozę tę przeprowadzili duchowni dawniejsi, z unitów na prawosławnych przemianowani; ze zmianą sukni ich jak i z zarostem twarzy także się pogodzili tak pasterze jak i owieczki. Prefekt szkół bazyljańskich w Humaniu, który niegdyś z pomocą Alwara i nahajki wdrażał tam nauki w umysły młodzieży, ksiądz Skibowski zasiadł na stolcu biskupim prawosławnym w Żytomierzu; inni duchowni poszli za tym przykładem i cały ten przewrót został bez wstrząśnień przeprowadzony. Jedynym znanym mi głośniejszym protestu osobistego rzecznikiem był ksiądz Siemaszko, którego długi czas prześladowano, a wkońcu za warjata ogłoszono i dano mu spokój; owóż biedak ten walką znękany nie wydawał się naprawdę normalnym, gdy go, objeżdżającego od komina do komina, w jednym z domów szlacheckich poznałem.

Co do szlachty — godziła się ona z tym stanem rzeczy, ani protestu, ani nawet oburzenia nie okazując; nie przewidywała tych opłakanych następstw, z powodu oddawna praktykowanego na Rusi, w chwilach wyjątkowych, chrztu katolików w cerkwiach unickich, które jak groza padły na całe rodziny, nie uprzedzone o tem zawczasu i nie przygotowane, by jakiekolwiek prawo mogło mieć moc wsteczną! Rodzice moi jeździli zwykle w niedziele i święta do Stawiszcz, jako ich parafji; w razie zaś niepogody ojciec mój uczęszczał — mocą nawyknienia — do dawniejszej cerkwi unickiej, a gdy mu co przeszkodziło, zjawiał się po nabożeństwie paroch prawosławny, były ksiądz Bujnicki, przynosząc byłemu kolatorowi bułeczkę pszenną poświęconą, „proskurką“ zwaną, a w święta uroczyste krzyż i wodę święconą. Nic się też ani w obyczajach byłego duchowieństwa unickiego, ani w stosunku jego do dworu polskiego nie zmieniło: w mieszkaniu duchownego mówiono zwykle po rusku, t. j. po rusińsku, językiem zaś towarzyskim był polski. [3])

II. *Żydzi* stanowili zwykle większość mieszkańców w miasteczkach, monopolizując handel i drobny przemysł; byli przytem faktorami, dostawcami, pośrednikami przy

wszelkiego rodzaju tranzakcjach, wynajmie robotników, kupnie inwentarza i t. d. i t. d. Na wsi Żydzi byli zwykle dzierżawcami młynów, gorzelń i propinacyj. W nieczynności, że nie powiem w niedołęstwie, wychowany szlachcic bez Żyda wprost obejść się nie mógł, pracowitością zaś i sprawnością zyskiwali Żydzi takie zaufanie, że do najważniejszych interesów majątkowych używano ich, a — jak chcą niektórzy powieściopisarze — nawet do spraw matrymonjalnych, względnie posagowych. Zważywszy, iż dawniej, jak i teraz, tyle już u nas o Żydach pisano, o dodatnich i ujemnych stronach tej rasy i o stosunku ich do ludności miejscowej, na tej krótkiej wzmiance o nich poprzestać uważam za dostateczne. Dodam wszakże, iż w okresie czasu objętym przeze mnie, Żydzi na Rusi odznaczali się powszechnie pracowitością, oszczędnością, trzeźwością, że — jako ludzie na dorobku — byli pokorni, aż do zbytku, i żadnej narodowościowych aspiracyj nie wykazywali.

III. *Duchowieństwo i ziemianie.* Szalejąca w Europie reakcja — po upadku spadkobiercy wielkiej rewolucji — dawała się mocno odczuwać tak w Polsce, jak i na Rusi, w ciągu całego panowania Mikołaja przez niszczenie kulturalnego pierwiastka polskiego w tych krajach, przez skasowanie Unji na Rusi, przez masowe zapisywanie uboższej szlachty polskiej do nowo utworzonej ad hoc kasty „jednodworców“ [4]), zniesienie Statutu Litewskiego, a więc jawności sądu i adwokatury, zamknięcie rozsadników kultury w Wilnie i Krzemieńcu. Była to zapowiedź rozpoczętej, a systematycznie przeprowadzonej rusyfikacji krajów zdobytych, o użytych zaś do tej roboty ludziach, adjutant dwóch gubernatorów wołyńskich — a więc sędzia bezstronny — Mamajew pisze: „Bibikow uprosił Cesarza o wydanie w Rosji ukazu, aby wszystkie osoby wyznania prawosławnego, pragnące zająć posady policyjne w byłych gubernjach polskich, zgłaszały się do jenerał-gubernatora, albo do gubernatorów miejscowych. Następstwem tego ogłoszenia było zalanie gubernij przez wyrzutków i męty rosyjskich urzędników, przeważnie dymisjonowanych wojskowych, przymierających głodem, którzy — jak szakale — węszyli żer dla siebie...“

(Pamiętniki Mamajewa 1838—1842, Bibljoteka Dzieł Wyborowych, Warszawa, str. 95).

Inny Rosjanin, o nazwisku francuskiem, Rénard, profesor uniwersytetu moskiewskiego, w rozmowie z przyrodnikiem naszym Dybowskim, taką wypowiada opinję. „Czy pojedzie uczciwy człowiek na kata językowego czy też narodowościowego do Polski? To też pojechali ludzie najniższej wartości moralnej i intelektualnej. Czy tacy ludzie mogą mieć chęć i zdolność do służenia wiedzy? Rozbój, dokonany przez przestępcę, mniej oburza uczucie sprawiedliwości, niżeli rozbój władzy nad narodem bezbronnym" (Dybowski — „Syberja i Kamczatka", str. 41).

Cała ta destrukcyjna robota nowożytnych Mongołów zaciążyła szczególnie w częściach oddalonych Rusi, dokąd odżywcze promienie Wilna i Krzemieńca słabo dochodziły: gazet zgoła nie było, środki zaś komunikacyjne i funkcje poczty były bardzo pierwotne. Doroczne kontrakty kijowskie, oraz stałe w sezonie wiosennym i jesiennym jarmarki i odpusty w Berdyczowie były głównem źródłem wiadomości ogół obchodzących, poza tem kolporterami wszelkich niesprawdzonych nowinek byli Żydzi, włóczący się po jarmarkach, bądź przyjeżdżający parę razy do roku kupcy z Berdyczowa, głównie zaś arendarze miejscowi. Szaro wyglądało w warunkach powyższych społeczeństwo szlacheckie, w zapadłym tym kraju osiadłe, w pracy lub zajęciach swoich, w rozrywkach towarzyskich i wogóle w całej praktyce życiowej: szaro a tak pospolicie, jak ich dachy słomą szarą pokryte i całe obejście domowe i gospodarskie. Takiem było siedlisko rodziców moich i ich otoczenia, w takiem też wychowywałem się. Ojciec mój oddany był całkiem gospodarstwu i interesom, zdarzało mu się jednak — po znużeniu — wygrywać na skrzypcach, chodząc po ciemnym pokoju, bardzo rzewne improwizacje, odblaski studjów przed ślubem swoim w Warszawie odbytych, których — dzieckiem będąc — z rozkoszą słuchałem. Matka moja, kobieta oddana obowiązkom, pracowita a rządna, wiosną i latem pracowała w ogrodzie, w jesieni zaś i zimą przemysł domowy na wielką skalę uprawiała, zaopatrując dwór cały w pożywienie i odzież,

oraz inne rzeczy niezbędne a nawet zbytkowne, jak np. dywany lub hafty.

Ziemia dostarczała produktów, które własne młyny na krupy i mąkę poślednią przerabiały, najlepszy zaś jej gatunek, t. zw. „mąkę marymoncką“ przywoził, jako podarek dla gospodyni domu, wedle przyjętego zwyczaju nabywca pszenicy. Stawy zaopatrywały w ryby, które w koszach trzymane starczyły na dni postne, skrupulatnie obserwowane, lasy dębowe dawały — oprócz budulca — futra lisie na odzież, a zające do kuchni, wreszcie trufle w ilości dostatecznej dla opędzenia imienin albo chrzcin w domach szlacheckich: późną jesienią przybywał zwykle wędrowny truflarz z psem odpowiednio wytresowanym — dzięki przedziwnemu węchowi — do wyszukiwania pewnych miejsc w lesie, skąd trufle wykopywano. Pasieka zaopatrywała kuchnię i apteczkę domową, schowanko suche a chłodne, pod kluczem samej pani zostające, w której oprócz kosztowniejszych i delikatniejszych produktów ściśle śpiżarnianych przechowywały się przetwory owocowe, nabiałowe i t. p. smakołyki, po dzisiejszemu „delikatesy“. W jesieni zjawiał się zwykle kapucyn z Winnicy lub Chodorkowa dla sycenia miodu, zabierając część wosku na użytek kościoła; z pozostałej wyrabiały się świece. Gorzelnia dostarczała okowity, sporo zwykle przed każdem jedzeniem używanej, której część przechowywano dla obdarzenia nią, jako „starką“, żeniącego się syna. Owce dawały łój, przerabiany na świece, wełnę, którą w młynie na grubsze sukno przetwarzano, wreszcie skóry na kożuchy i t. zw. „baranice“ na nogi. Obora, kurniki i chlewnia dostarczały produktów mięsnych i nabiałowych do kuchni, śpiżarni i do apteki. Nieocenione gęsi dawały mięso, łój, puch i... pióra do pisania. Sad owocowy zasilał piwnicę w jarzyny, owoce i trunki. Warsztaty tkackie wyrabiały płótna na użytek najrozmaitszy, jako to bieliznę stołową oraz płótno, do pościeli i ubrania służące, które liczny fraucymer pod okiem pani do użytku przygotowywał. W domu matki mojej wyrabiały się nawet dywany (jeden zaś z takich konserwuje się dotąd w kaplicy, serwety zaś w kredensie w Olszance), nawet hafty na poszewki, bluzki dziecięce i obszycia sukien pani. Herbatą i cukrem

rozporządzała gospodyni domu, obdzielając nią tylko osoby starsze — a cukiernica była zawsze pod kluczem; dzieci miały na śniadanie ranne kluseczki albo kaszkę na mleku, lub na wodzie, z masłem lub słoniną, a na podwieczorek chleb z miodem lub masłem, panienki zaś dostawały „bratki", zamiast herbaty, coprawda anemiczny był ich wygląd.

Taka obfitość i rozmaitość produktów spożywczych wobec niezmiernie skromnego życia byłaby nawet w średnio zamożnych szlacheckich domach najzupełniej wystarczająca, obowiązki jednak gościnności, tak zawsze przez Polaków przestrzeganej, do zakupów zniewalały. I tak z kontraktów kijowskich przywoził zwykle ojciec mój zapas herbaty na cały rok, przysmaki wielkopostne (kawior, śledzie, ryby) i cukierki od Finkego dla dzieci. Odesa dostarczała win zagranicznych, towarów kolonjalnych i tytoniu; nieoceniony Zelman, kupiec z Berdyczowa, który co czas pewien zjawiał się na wiosnę i jesień, przywoził materje jedwabne, towary bławatne, tytoń, pobierając zań 10 złotych za „oko" (dawną wagę polską odpowiadającą 3 funtom ros.), materjały piśmienne, książki do nabożeństwa, w Wilnie u Zawadzkiego drukowane, i kalendarze „berdyczowskie", jako jedyne często pokarmy duchowe w dworkach a czasem i w dworach ówczesnych. Zajeżdżał bryką krakowską przeładowaną, w cztery konie ze źrebakami i przekarmiał w przeciągu kilku dni siebie i inwentarz swój, bytność zaś jego była dla odludnego zakątka niemal uroczystością.

Z przybyciem gości zjawiały się w pokoju „bawialnym" świece woskowe, kawa poranna ze śmietanką, a czarna po obiedzie, wina zagraniczne i nalewki domowe. Przy wielkiej gościnności, zasadzającej się głównie na okarmianiu gości, były poważne we dworach ówczesnych braki: nie było w niskich przeważnie domach wentylatorów, ani też łazienek, które znajdujemy dopiero z biegiem czasu w nowopowstających domach murowanych t. zw. „pałacach". Był nadto inny brak, dotkliwy szczególnie tam, gdzie znajdowały się panny na wydaniu, dla pretendentów, gdy trzeba było poszukiwać w ogrodzie schronienia koniecznego, brnąc nieraz w śniegu lub błocie, przy opędzaniu się przytem przed natarczywością psów dworskich!

Monotonję życia wiejskiego przerywały perjodycznie rozmaite rocznice rodzinne w dalszej lub bliższej okolicy, na które zwyczajem szlacheckim rodzice zwykle „pociechy“ swoje zabierali. Na takich imieninach młodzież tańczyła, starsze panie drzemały, dorośli mężczyźni grali w karty, a dzieci, objadłszy się słodyczy, spały po kątach: więc i na tych zebraniach uroczystych granicy rozrywek najpospolitszych nie przekraczano; z tem wszystkiem zebrani znajomili się, o wspólnych interesach rozmawiali, co z powodu usunięcia szlachty od spraw publicznych było już pewnym plusem. Na takich imieninach u krewnego matki mojej, a najbliższego sąsiada Leonarda Piątkowskiego w Ochmatowie, miałem przyjemność poznania miernego, jako powieściopisarza, autora „Marji i Julji“, ale człowieka światłego i najlepszego towarzystwa, Michała Jezierskiego, oraz uczonego historyka Aleksandra Darowskiego.

Wymieniony Piątkowski śmieszył całe życie ludzi próżnością, słabość jednak ta jego przynosiła pośrednio pożytek całej okolicy przez obudzenie zamiłowania w dzieciach i otoczeniu do literatury i sztuki. Jako długoletni marszałek powiatu humańskiego, spotykając się z panami i oglądając urządzenia ich domów, umieścił w pałacu swoim w Ochmatowie szafy bibljoteczne, które wypełnione były przez romansidła francuskie (i to w przekładzie), ale znajdowały się w nich również powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, „Rok Poznański“ na całą Polskę wówczas promieniujący z utworami Libelta i Cieszkowskiego, a bibljoteka pana Marszałka stała otworem dla całej okolicy. Ze sztuk pięknych, pielęgnowanych w Ochmatowie, choreograficzna była na głównym planie. Pani Marszałkowa, nut wcale nie znając, grywała z werwą dumki ukraińskie i wszelakie tańce, wykonywane przez miłe i zgrabne panienki z tamburinem, kastanjetami lub bukietem w ręku. Sama nowość ściągała gości do Ochmatowa, gdzie się zawsze wesoło bawiono. Marszałek, także muzyk-samouk, towarzyszył żonie na skrzypcach lub basetli. Jeżeli muzyka taka nie była poprawna, znacznie niżej od niej stało tu malarstwo. Marszałek sprowadził jakiegoś przygodnego malarza, który umiał wprawdzie podobieństwo rysów uchwycić, ale malował haniebnie. Po zrobie-

niu portretów całej rodziny, przenosił na płótno niezawsze dowcipne tematy z pism ilustrowanych, naprz. grupę mnichów opasłych grających w karty, lub trunki próbujących, i w taką lichotę jadalnia była przyozdobiona. Bądź co bądź, popisy ochmatowskie odciągały obecnych od kart i plotek, dla dzieci zaś były podnietą do poważniejszej na tem polu — przy zręczności — pracy; jakoż najstarsza córka, Dzierżkowa, na wcale dobrą muzyczkę z czasem się wykierowała, brat zaś jej Henryk dał się poznać w Warszawie jako malarz.

Oprócz wymienionych z dalszych stron przybyłych obywateli, najbliższe sąsiedztwo Ochmatowa przedstawiało istną mozajkę towarzyską, z którego kamyczki następujące tu przedstawiam:

Dr. medycyny Ilkiewicz, dziwak, nawet grubjanin, dla którego w celu dłuższego zatrzymania przy chorym urządzano całonocne tańce; Rohoziński Konstanty, marszałek, człowiek dobry, ale pretensjonalny; Safczyński, totumfacki, grający na skrzypcach i piszący wiersze w rodzaju Rozbickiego: wszyscy trzej starzy kawalerowie; Parfenjew, wzbogacony przybysz z Rosji, monopolista wódczany, prostak skończony, we frak ubrany, przyjeżdżał dla złożenia uszanowania panu Marszałkowi; Różycki Florjan, szambelan dworu rosyjskiego, człowiek rozumny, typowy wyższy urzędnik w Ministerjum Dóbr Państwa, gdzie pod kierunkiem ministra Kisielowa przekształcano skonfiskowane w r. 1834 włości humańskie Aleksandra Potockiego na kolonje wojskowe. Do roku 1848 używał Różycki zaprzęgu rosyjskiego, zaś po tym roku rewolucyjną zmianę poglądów swoich politycznych ujawniał przez zmianę zaprzęgu na chomąty angielskie, a jednak w domach polskich zjawiał się na uroczystościach w wicemundurze szambelańskim, z koniecznemi dwoma guziczkami z tyłu, ale bez klucza, i nie raziło to nikogo, takie było ogólne usposobienie, jako następstwo usypiających rządów Aleksandra I-szego, a piszący te słowa, spragniony dobrej muzyki, odwiedzał dom pana Szambelana dla wykonywania z nim duetów Beethovena. [3])

Z tem wszystkiem pani Szambelanowa nad Newę nie pojechała i dwie córki pod swoją opieką w kraju na porządne kobiety po polsku wychowała i za Polaków zamąż

wydała, pierwszą — za Edwarda Czapskiego, właściciela Kiejdan na Litwie, skonfiskowanych w 1864 i obrońcy Sewastopolu w czasie wojny Krymskiej Totlebenowi nadanych, a ostatnią za Czesława Zdziechowskiego. Obie te dobre niewiasty srogiego losu doznały, Czapska bowiem, po wypadkach krajowych r. 1863 i zesłaniu męża na Sybir, podlegając melancholji, od zapalonej przy kominku sukni żywcem się spaliła, Zdziechowska zaś po roku pożycia z mężem rozstać się z nim musiała.

Inny sąsiad zkolei Stanisław Joteyko, filaret z Uniwersytetu Wileńskiego, był człowiekiem cywilizowanym, ideały jednak młodości słabo albo wcale się w nim nie odzywały. Twardym był dla włościan, majątkami handlował, nie mogąc nigdzie miejsca zagrzać. Zostawił Joteyko dobry przykład w okolicy, pierwszy sprowadzając owce hiszpańskie i ziemię wyjałowioną użyźniając w Sabadaszu. Przysłużył się więcej całemu społeczeństwu, gdyż starannie synów swoich wychował i przez uniwersytet przeprowadził, najstarszy zaś z nich, Gracjan, długoletni deputat Sądu Głównego w Kijowie, był prawdziwą ozdobą społeczeństwa. Następny właściciel Sabadasza, groszorób pospolity, Jastrzębski, w ręce rosyjskie majątek sprzedał.

Graniczący z Sabadaszem właściciel wsi Buzówki, Władysław Sawicki, były marszałek taraszczański, był tak, jak Joteyko, człowiekiem najlepszego towarzystwa, a barwę tę całemu domowi swemu nadawał, gdy jednak tamten dorabiał się fortuny, Sawicki posagowy żony swej majątek marnował, tak że teść jego, Jasieński, po dwukrotnem oczyszczeniu z długów odebrać mu takowy musiał. Wraz z Sawickim łączy się wspomnienie o nauczycielu synów jego, Michale von Blumenfeldzie, tak bowiem się podpisywał, bardzo uzdolnionym i ukształconym samouku, który krewną Sawickiego, Marję Szymanowską, poślubił i stworzył ognisko w najlepszem słowa tego znaczeniu kulturalne, przyświecając społeczeństwu polskiemu długo w Odesie, następnie w Elisawetgradzie, gdzie stanął na czele gimnazjum ziemskiego i na poziomie wysokim je postawił. Z tem wszystkiem Blumenfeld jako pedagog był jednostronnym: ze szkoły jego wychodzili ludzie niewątpliwie kulturalni, ale charakterów har-

tować nie umiał, najwymowniejszym zaś dowodem tego byli najbliżsi wychowańcy jego, Jasieńscy, w bogaty materjał wyposażeni, którzy odziedziczony we wczesnej młodości majątek w sposób najpospolitszy zmarnotrawili. Likwidację majątku tego przeprowadzili nie wedle dzisiejszej mody, ale zwyczajem dawnym, t. j. nie obcinając wierzycielom ani kapitału ani procentów. Majątki przeszły w posiadanie obce, najbliższa zaś od Olszanki Buzówka została się znanej rodzinie biurokratów Trepowów. Wracając do Blumenfelda, nadmienić należy, że wyrafinowana kultura w ich domu, oraz atmosfera miejscowa, rosyjska, wprowadziły nieznacznie pewne cechy kosmopolityczne, które ujawniły się tem, iż uzdolnieni i fachowo ukształceni członkowie tej rodziny zasoby bogate na pożytek obcych oddając, nadto stali się założycielami aż trzech ognisk obcych. Właścicielem sąsiedniej wsi Maryjki i przedtem Sabadasza był Stanisław Iwański, obiecujący pod każdym względem młodzieniec, dopóki wychowywał się w Kijowie w pensjonacie Józefa Korzeniowskiego, znanego powieściopisarza. Gdy zaś ojciec, Mikołaj Iwański, osierocił go, a stancje prywatne skasowano, zastępując takowe internatami rządowemi, Stanisław Iwański przeniósł się na wieś, gdzie, oddając się próżniactwu, prędko zardzewiał, sprzedał Sabadasz Joteyce, następnie, będąc już wdowcem, Maryjkę oddał w ręce obce, zostawiając rodzinę w niedostatku. Synowie zmarnowali się, ocalały jedynie — dzięki wpływowi skromnego pensjonaciku, utrzymywanego pod protekcją Aleksandrowej Branickiej przez Brzozowską, zacną niewiastę — dwie córki, które, ciężko pracując w Kijowie z igiełką w ręku, przeprowadziły dwóch synów przez uniwersytet, a córkę na pożyteczną kobietę wychowały. Cześć ich pamięci!

Właścicielem połowy Żytnik był Walery Kotowicz, dobry człowiek i sąsiad najlepszy, ale — jak większość otoczenia — uosobienie próżniactwa i bezrządu. Nie doprowadziwszy do końca starannie w Kijowie rozpoczętej usiłowaniem żony swojej, z domu Niepokojczyckiej, edukacji dzieci, dwie ładne wioski sprzedał Rosjanom, Żytniki zaś zczasem włościanie posiedli. W kolokacji tej żytnickiej wyróżniali się dwaj właściciele znacznie mniejszych części. Pierwszą

posiadał Adam Weker, niedoszły z powodu skasowania Statutu Litewskiego adwokat, który całe życie prowadził interesy szlachty w nowych biurach rządowych, chroniąc nieraz bezinteresownie dokumenty biedniejszych od unieważnienia, co pociągało za sobą zapisanie w poczet „jednodworców". Z powodu powolności dla żony, kobiety dobrej zresztą i pracowitej, ciężką pracą nabyty mająteczek sprzedać musiał, co prawda w ręce polskie, długie lata starości dźwigając w domu syna Stefana, który pomimo najcięższych warunków pracy ekonomskiej ochraniał, jak mógł, od niedostatku tak zacnego ojca, jak i macochę, sprawczynię niedoli całej tej rodziny. Pani Wekerowa była córką jenerała Leparskiego, Podolanina, komendanta tych zakładów fortecznych w Nerczyńsku, gdzie się znajdowali dekabryści. W pamiętniku księżnej Wołkońskiej znajduje się pełne uznania wspomnienie o Leparskim. Syn jego, pułkownik, stworzył już całkiem rosyjskie ognisko w Smoleńsku, dobremi jednak tradycjami rodu przesiąkłe. Drugim cząstkowym właścicielem Żytnik był Teofil Jurjewicz [6]), człowiek zacny i światły, syn majora wojsk polskich z również zacnej i patrjotycznej rodziny, posiadającej przedtem dobra Rossosze i Kożuchówkę w powiatach humańskim i hajsyńskim. Córka Jurjewicza wniosła posiadłość żytnicką jako wiano posagowe do zacnej, skromnej i pracowitej rodziny Żurakowskich, w rękach której dotąd (1915 r.) pozostaje.

Sąsiadującą z Sorokotiahą wieś Bahwę zamieszkiwali chorążostwo Pokrzywniccy, ludzie skromni i uczciwi, ale jedynaka wychowali na wierutnego próżniaka, który w sposób najgłupszy wieś swoją zmarnował, sprzedając ją z konieczności Nowińskiemu, spadkobiercy zaś tego ostatniego zachowali jedną połowę w swojem posiadaniu, sprzedając drugą włościanom.

Sprzedaną Konstantemu Rohozińskiemu przez ojca mego wieś Sorokotiahę dostał w spadku synowiec jego Ignacy, który z powodu bezrządu majątek w ręce rosyjskie sprzedał.

Wieś Litwinówkę, do Rożniatowskich należącą, dzierżawił Czempkowski, szlachcic obskurny, który dwom synom

swoim, towarzyszom dzieciństwa mego, karjerę w wojsku rosyjskiem przygotował.

Miasteczko Żaszków było pod zarządem Oraczewskiego, starego kawalera, sam zaś właściciel, Jan Tarnawiecki, w innym majątku mieszkał.

We wspomnieniach moich ograniczam się do właścicieli tych wiosek, które bezpośrednio graniczyły z temi, w których kolejno mieszkałem w dobie dzieciństwa i młodzieńczości (1832—1853). Z tem wszystkiem nie mogę pominąć i dalszych kilku ognisk w tym samym powiecie taraszczańskim, gdzie się życie towarzyskie w owym czasie skupiało. Do takich środowisk kulturalnych należały domy: Maurycego Turkułła, Leonarda Madeyskiego i Jana Tarnawieckiego. Pierwszy z nich po wydaniu trzech córek zamąż majątek w polskie ręce sprzedał. Drugi, Madeyski, z powodu powolności dla młodej i pięknej żony, oraz życia wystawnego na urzędzie marszałka gubernjalnego, cały majątek w ręce rosyjskie przelał, za wyłączeniem wsi Skibińce, ocalonej dzięki Fortunatowi Rakowskiemu; okoliczności przytem domowe doprowadziły rodzinę do rozluźnienia i upadku materjalnego. Dwie najstarsze córki pana Marszałka, człowieka całkiem uczciwego, tylko nieszczęśliwego, wniosły wszystkie dodatnie cechy tego zrujnowanego gniazda do rodzin mężów, Fortunata Rakowskiego i Jana Zakrzewskiego. Ozdobą trzeciego z wymienionych domów, Jana Tarnawieckiego, była mieszkająca z nią siostra, Salomea Rakowska, jedna z niewielu niewiast naszych, co zadzierzgnęła stosunki z wygnańcami politycznymi, zasiłki materjalne i moralne na Syberję przesyłając a w r. 1856, mieszkając na starość w Kijowie, przytuliła w domu swoim wygnańca wracającego z Syberji, Kaspra Maszkowskiego, sam zaś czcigodny gospodarz, wychowywał w domu swoim dwie córki emigranta, jenerała Karola Różyckiego, następnie wydał je zamąż odpowiednio i wyposażył: Elżbietę za Karola Głębockiego, drugą za Janiszewskiego, trzecią, Petronelą zaopiekowała się Włodzimierzowa Potocka i wydała ją zamąż za Józefa Głębockiego, zacnego obywatela. Z synów Jenerała — starszego Edmunda z rozkazu Mikołaja umieszczono w Korpusie Kadetów, a młodszego Stanisława udało się ojcu zabrać ze sobą na emigrację. Śliczne

Wysokie, przez Tarnawieckiego zamieszkałe, z kaplicą i parkiem zmarnotrawił przez próżność i bezrząd spadkobierca Teodor Jaczewski (Głuchy), oddając majątek w ręce obce. Temuż losowi uległ i Żaszków, którego połowę jedną nabyli Żydzi, a drugą włościanie od spadkobierców Tarnawieckiego: siostrzeńca Antoniego Czarkowskiego i wnuka Jana Rakowskiego.

Parafją naszą zarządzał czcigodny archidjakon Ossoliński, prawie stuletni staruszek, u którego spotykałem drugiego tegoż wieku męża, brygadjera Montrezora, mieszkającego w oddanej mu w dożywocie przez Branickich Antonówce. Montrezor miał dwóch synów, którzy nosili imiona hetmana i senatora Branickich, Ksawerego i Władysława Antonówkę dali mu w dożywocie i nie odbierali jej po śmierci Brygadjera: powyższe okoliczności rodzą niepokojące przypuszczenia o roli, jaką ten ostatni mógł przy Hetmanie odgrywać!

Ponieważ wspomniałem wyżej o pensjoniku dla panien, pod skrzydłami Aleksandrowej Branickiej przez p. Brzozowską, wzorowo w Stawiszczach prowadzonym, nie mogę przemilczeć o innym, sięgającym czasów dzieciństwa mego, na większą skalę podobnym pensjonacie dla panien, nie spekulacyjnym, ale całkiem ideowym w Denhofówce przez baronową Taubową z Zaleskich z pożytkiem dla społeczeństwa prowadzonym, na ostatku zaś o trzecim na samem pograniczu powiatów taraszczańskiego i humańskiego w Zielonym Rogu przez p. Przemyską, pod opieką Władysława Branickiego ze Stawisz zarządzanym.

Gdy pierwszy i trzeci z tych zakładów naukowych miały możnych opiekunów, denhofowiecki dźwigał się o własnej sile, wszystkie zaś opłacały się policji. Unosił się nad niemi duch Klementyny z Tańskich Hofmanowej, lekceważonej nieraz z punktu widzenia pojęć dzisiejszych, która jednakże na polu pedagogiki niewieściej, odłogiem dotąd leżącej, pewne zasługi położyła: dość przeczytać między innemi śliczną jej książkę „Jan z Czarnolasu", by się o tem przekonać.

Pośród warunków powyżej opisanych brat mój o półtora roku starszy i ja, „rośliśmy", wyrażenia zaś tego uży-

wam dlatego, że kierunku „wychowawczego“ względem nas nie stosowano; troskliwość rodziców, zwłaszcza matki, skierowaną była głównie, jeżeli nie wyłącznie, na stronę fizyczną: ochraniania od choroby lub kalectwa; wychowanie w ścisłem tego słowa znaczeniu rozpoczynało się samorzutnie wraz z edukacją. O edukację tę dbając, rodzice moi obdarzyli mnie już w siódmym roku życia nauczycielką, Teresą Kalinkowską, późniejszą Fortunatową Bielińską, osobą rozsądną, łagodną i w zakresie nauki elementarnej wystarczającą. Uczyłem się czytania, pisania, czterech działań arytmetycznych, katechizmu, historji św., historji polskiej, posługując się „Pielgrzymem z Dobromilu“, a później „Śpiewami historycznemi“ Niemcewicza, i nareszcie... gry fortepianowej, do której sprowadzony był klawikord o kształcie podłużnego stołu. Trzy lata trwała nauka ta w domu rodzicielskim, ze skutkiem mniej więcej zadawalniającym, szczególnie w muzyce, gdyż już po dwóch latach byłem w stanie zagrać polonezа Ogińskiego, rozczulając dobrych rodziców moich. Po trzech latach takiej nauki domowej odwieziono brata mego i mnie na dalsze kształcenie do Niemirowa i umieszczono u Niemca Oppermana, gdzie mieliśmy się do pierwszej klasy gimnazjalnej przygotować. Takie wysłanie dziewięcioletniego dziecka do ludzi i atmosfery zupełnie obcej nie było bynajmniej ze strony rodziców obojętnością, ale koniecznością. Radziła sobie w ten sposób cała szlachta okoliczna, (świadczyć zaś o tem mogą nazwiska kolegów poniżej przytoczone, ze szlachty miejscowej pochodzące), albowiem w owych czasach nauczycieli domowych na Rusi zgoła nie było, zanadto odległą była tak od Wilna jak Krzemieńca, spadku zaś po tych dwóch świątyniach wiedzy Kijów zużytkować dotąd nie mógł, gdyż zaledwie żywot własny w tym czasie rozpoczął. Wobec powyższych warunków niepedagogiczna włóczęga dzieci po pensjonatach musi być w oczach potomności usprawiedliwioną. Gimnazjum niemirowskie, już czysto rosyjskie, utworzone było po skasowaniu cieszącego się wielkiem uznaniem takiegoż zakładu polskiego w Winnicy — dzięki staraniom Bolesława Potockiego, dziedzica Niemirowa, i przezeń w środki zaopatrzone. Syn Szczęsnego i Zofji, Greczynki, Potocki całe niemal życie spędził na po-

kojach dworskich w stolicy, tam się z Rosjanką ożenił, wreszcie ów potomek hetmanów figurował w Moskwie, jako jeden z czterech heroldów, ogłaszających w r. 1856 koronację Aleksandra II. Nie byłoby nic do powiedzenia o Potockim, gdyby nie to, że człowiek ten o słabej głowie wielkie miał serce, dowiódł zaś tego, tworząc i uposażając gimnazjum w dziedzicznym Niemirowie w Bracławszczyźnie. Że nie sama próżność grała w akcie tym główną rolę, dowodem były liczne stypendja dla uczniów niezamożnych, otaczanie wszystkich opieką a szczególnie odznaczających się w naukach, których kosztem własnym przez uniwersytet przeprowadził. W roku 1845 podejmował Potocki w domu swoim w Niemirowie podróżującego po Ukrainie Liszta, który tamże własny koncert ogłosił, na który szlachta ukraińska i podolska licznie zjechała. Zapał na koncercie tym, obudzony tak muzyką, jak wykwintnem zachowaniem się Mistrza, był niezwykły. O zostawioną wypadkiem na pulpicie chusteczkę panie sprzeczały się, drąc ją na strzępki. Liszt pierwszy zaznajomił rodaków Chopina z jego mazurkami i muzyką do pieśni polskich. Z Niemirowa dojeżdżał on do Woroniniec, z dziedziczką których potem, rozwiódlszy ją, ożenił się.

W czasie pobytu mego w Niemirowie pierwszą spowiedź odbyłem w dziesiątym zaledwie roku życia, a to wedle praktykowanego u nas zwyczaju. Przygotowanie do aktu tego, zamiast używanych obecnie trzech dni rekolekcyjnych, odbyło się w czasie jednego posiedzenia z ujmującą prostotą. Nie prawił nam prawdziwie światły nasz prefekt o rzeczach dla umysłu dzieci, a często i dla starszych, niedostępnych, stawiając odrazu kwestję na gruncie aktualnym: mówił zatem o czci dla rodziców i wychowawców, o miłości dla bliźnich wogóle, a szczególnie dla towarzyszów szkolnych; o pracy obowiązkowej i t. p., biorąc zawsze za podstawę słowa św. Pawła, że „wiara bez uczynków jest martwą". Przemówienie zacnego prefekta było tak serdeczne, żeśmy wszyscy łzy połykali, a niektórzy na dobre się rozpłakali; następstwem zaś tego było pojednanie powaśnionych kolegów i ogólne przeprosiny tak kolegów jak i nauczycieli. Nie obeszło się wprawdzie bez scen nieco gorszących, całkiem zresztą dziecinnych, do których powód dało spisywanie

grzechów przez zbyt skrupulatnych i wykradanie spisów tych przez łobuzów, którzy w liczniejszem gronie młodzieży zawsze znaleźć się muszą. I ja stałem się przedmiotem żartów z powodu przypominania jakichś niewymienionych poprzednio grzechów, z któremi potrzykroć do konfesjonału biegałem, aż mnie ksiądz zburczał i odpędzić musiał.

Po całorocznym pobycie odebrał nas ojciec z Niemirowa i przeniósł do pensjonatu innego Niemca, Hasego, do Kijowa, następnie zaś — znowu po roku — do improwizowanego pedagoga Soroczyńskiego. W pierwszym mieliśmy jedynego kolegę Polaka, sympatycznego Ksawerego Lubomirskiego, w drugim zaś dwóch kolegów o kilka lat od nas starszych, bo osiemnastoletnich: Zygmunta Podhorskiego i Ksawerego Pokrzywnickiego, których oddano rzekomo dla korzyści w francuszczyźnie i dla pewnej ogłady towarzyskiej, a właściwie dlatego, by w domu nie próżnowali.

Ani niemirowski, ani też kijowskie dwa pensjonaty korzyści nam nie przyniosły ani pod względem tak pożądanej przez rodziców „francuszczyzny", ani tem bardziej pod względem rozwoju umysłowego, na co traktujący pedagogję jako źródło dochodu żadnej uwagi nie zwracali; szczęśliwy był wybór czwartego zkolei pensjonatu, w Kijowie, Francuza Hédouina, gdzie przedmioty naukowe były poważniej traktowane i francuszczyzna była w codziennem potocznem użyciu dla uczniów obowiązująca. Z kolegów z tego pensjonatu — oprócz wspomnianego już wyżej Ksawerego Lubomirskiego [1]) — pamiętam wołyniaków: Czekanowskiego Aleksandra, syna krzemieńczanina, co się wsławił potem na Syberji jako uczony przyrodnik, Kołyszków — Karola i Benedykta, Czeczela Jakóba i Pauszę; z Ukraińców zaś: Tyszkiewicza Mikołaja, Rościszewskiego Bolesława, z którym łączyła mnie serdeczna sympatja, przelana z mojej strony po wielu latach na syna jego Karola. Po całorocznym pobycie w pensjonacie Hédouina przyjęto mnie do klasy trzeciej w pierwszem gimnazjum kijowskiem, ojciec zaś umieścił mnie w internacie rządowym „drugim". (Internatów takich przy gimnazjach t. zw. „błagorodnych" pensjonatów było trzy, z których ostatni — jako tańszy — dla niezamożnych był przeznaczony.) Działo się to w jesieni r. 1844, w parę

miesięcy po opuszczeniu tegoż internatu przez Tadeusza Bobrowskiego, który o składzie nauczycielskim jak i o młodzieży uczącej się dokładny a bezstronny opis zostawił w „Pamiętnikach“ swoich, w r. 1900 we Lwowie wydanych, tak że wypadnie mi dla uzupełnienia takowych już nie wiele powiedzieć. Kuratorem rządowym Okręgu Naukowego Kijowskiego był znany satrapa jenerał-gubernator kijowski Bibikow, kuratorem zaś honorowym gimnazjów kijowskich, przez ziemian obranym, był Ksawery Marszycki. Niezupełnie słusznie przypisywano temu ostatniemu rolę główną w sprawie skasowania w tym czasie stancyj uczniowskich, a utworzeniu internatów rządowych. Inicjatorem tego był niewątpliwie Bibikow, dla tej prostej przyczyny, że Marszycki niezdolny był do jakichkolwiek pomysłów tak w złem jak dobrem znaczeniu, mógł przeto być tylko narzędziem pierwszego. Za podanie przedstawienia odnośnego do monarchy otrzymał tytuł dworski, żona została szambelanową i nic im już do szczęścia nie brakowało. Po Bibikowie kuratorem rządowym mianowano jenerał-majora Traskina, honorowym zaś od ziemian został Dymitr Złotnicki, właściciel dóbr Łutówki pod Radomyślem, człowiek cywilizowany i w stosunku do władz poprawny; niefortunny wszakże był to wybór, albowiem starsi uczniowie wiedzieli, od kogo i za jakie zasługi dobra Łutówka z przyległościami były rodzinie Złotnickich nadane, wspomnienie zaś to odpychało mimowoli młodzież od wybranego przez rodziców opiekuna. Po Traskinie kuratorem od rządu został były naczelnik komory celnej w Kiachcie Rebinder. W kilka lat dopiero, za Aleksandra II, stanowisko to miał uświetnić sławny jako chirurg, a niezapomniany jako człowiek i pedagog dr. Pirogow, kuratorem honorowym zaś był w tym czasie Erazm Michałowski, krzemieńczanin, człowiek bez skazy, a po nim Henryk Tyszkiewicz, człowiek dobry i cywilizowany, ale przerażająco pusty. Już to niesłusznie lekceważono w Kijowie stanowisko kuratora honorowego; zapewne decydującego wpływu na sprawy pedagogiczne kurator z ramienia obywatelstwa nie miał, wiele jednak i na tem polu można było zrobić i wiele złagodzić, a Żytomierz za czasów kuratorji Kraszewskiego dowiódł, że stanowisko to nie było czczym tytułem tylko.

Kolegami moimi z tych czasów byli: *Z Kijowszczyzny:* Hurkowscy Zygmunt i Włodzimierz, Chojeccy Ewaryst, Bolesław i Zygmunt, Straszyńscy Leonard i Antoni, Przygodzcy Wincenty i Antoni, Łozińscy Adam i Henryk, Suchorzewscy, Złotniccy Stanisław i Artur, Morgulcowie Teodor, Bolesław i Stefan, Grudziński Stefan, Pruszyński Stanisław, Potocki Antoni, Krzeczkowski Antoni, Krasiński Hubert, Paszkowski Bolesław, Berezowski Antoni, Stachurski, Rudnicki Michał.

Z Wołynia: Rudnicki Zygmunt, Wiszniewski Leopold.

Z Białorusi: Faszcz Nikodem.

Z Zadnieprza: Z Rusinów pochodzenia prawdopodobnie polskiego: Markiewicz, Zieńkiewicz, Zabieła, Betuliński, Sokoł, Sawicz; pochodzenia miejscowego: Miłoradowicz, Mahdenko, Kandyba.

Z Internatu I *z Kijowszczyzny:* Bądarzewscy Kalikst i Teodor, Zdziechowski Czesław, Wilczyńscy Bolesław i Tytus, Sagatowski, Lewandowski.

Stosunek Polaków z Rusinami i Rosjanami, których zresztą było niewielu, był wcale dobry, koleżeński. Polacy górowali kulturą i ton niejako uczelni nadawali. Stosunek władzy i nauczycieli względem uczniów, jakkolwiek daleki od ideału krzemienieckiego, był wszelako wcale życzliwy, mogę zaś to stwierdzić po przebyciu, i to w internacie, czterech lat w gimnazjum kijowskiem, znając przytem stosunki wewnętrzne w dwóch gimnazjach odeskich oraz w Wiatce i Irkucku; we wszystkich zaś wymienionych zakładach naukowych znajdowali się Polacy tak nauczyciele jak i uczniowie. Dopiero gimnazjum warszawskie, z którem stosunki z konieczności utrzymywałem, kształcąc swych synów, w ostatnim dziesiątku XIX w., całkiem odmienny widok przedstawiało. I tak we wskazanych powyżej gimnazjach łapówki się praktykowały, ale przybierały pozory przyzwoite lekcyj prywatnych lub lokowania się na stancji u nauczycieli; w Warszawie zaś były dosłownie łapówkami, które uścielały drogę do klas wyższych, z pominięciem niższych, zapewniały promocję i maturę, oraz przenikały do przysłanych z Kuratorjum „opieczętowanych“ tematów kompozycyj, od której promocja i patent końcowy głównie zależał...

Umundurowanie nasze wzięte było ze wzoru wojskowego, a więc kołnierz czerwony stojący, halsztuk czarny sukienny, spodnie zapinające się ztyłu na „oczkur", pasek rzemienny i obuwie z cholewkami ale bez korków. Wystający kołnierzyk biały, albo konserwowany puszek pod nosem uważano za oznakę liberalizmu. Formy ubrania przestrzegano nietylko u uczniów, ale nawet u nauczycieli: i tak gdy nauczyciel nowo utworzonej katedry języka polskiego, czcigodny Walery Kopernicki, w gimnazjum przedstawiał się z obowiązku wice-kuratorowi Józefowiczowi, ten ostatni zrobił mu uwagę, że przy mundurze nie wypada mieć spodni „katolickich", t. j. zapinających się z przodu. Autentyczne!

Internat opisywany znajdował się w części miasta „arystokratycznej", Lipkami zwanej. Okna domu wychodziły na ulicę, dając uczniom niewyczerpane źródło spostrzeżeń. Wiedzieliśmy dobrze, w jakiej porze przechadzki używają Martynow, zesłany zabójca Lermontowa, z panią Szaszkiewiczową, Proskurzanką z domu; znaliśmy wszystkie czterokonne zaprzęgi zamieszkałych Polaków, przeważnie rosyjskie, z przyjemnością wyróżniając „piątkę" gniadoszów rodziny Modzelewskich, oraz parę bułanych w chomątach krakowskich studenta Emeryka Mańkowskiego i takiż zaprząg studentów Chojeckich, a raziły nas zaprzęgi ściśle rosyjskie studentów Dachowskich i Zygmunta Kotiużyńskiego. Kotiużyński, świetny kawaler, obracał się przeważnie w towarzystwach rosyjskich i był stałym wielbicielem równie jak on pięknej żony Pisarewa, szefa kancelarji jenerał-gubernatora. Czytając wydane w r. 1912 pamiętniki Kotiużyńskiego, dziwiłem się, jak dalece pamięć zawodzi ludzi. Wiedziałem dokładnie, w jakich kołach obracał się Kotiużyński w latach 1861—62, przeto opowiadanie jego o udziale „czynnym" w rządzie narodowo-rewolucyjnym w Kamieńcu i Kijowie i mianowaniu go w tem ostatniem miejscu „naczelnikiem miasta" wydaje się wprost mistyfikacją!

Pożycie Polaków z Małorusami w internacie było zgodne i życzliwe przy wyraźnej przewadze kulturalnej pierwszych. Przebywając nieraz w Kijowie po skończeniu nauk, zawsze chętnie odszukiwałem znajdujących się tam kolegów Małorusów, jeden zaś z nich, Iwan Czerniłowskij-Sokoł, zna-

łazłszy się w r. 1868 w Irkucku, potrafił mnie, „katorżnika“, odszukać i życzliwością otoczyć.

Przed wprowadzeniem przez Bibikowa internatów rządowych gimnazjaści mieszkali u rodziców, albo na stancjach uczniowskich, z których jedną utrzymywał Józef Korzeniowski, znany nasz dramaturg i powieściopisarz, profesor Uniwersytetu na katedrze „starożytności rzymskich“.

Pomiędzy rokiem 1832 a 1839 dwie sprawy ożywiły społeczeństwo nasze na Rusi, przechowujące pamięć roku 1794 i r. 1830 ze czcią synowską (wizerunek cesarza Pawła odwiedzającego Kościuszkę w więzieniu, portrety tego ostatniego, oraz księcia Józefa i Napoleona, dla którego kult był wówczas powszechny, znajdowały się prawie w każdym domu polskim), i poruszając je z martwoty, w jakiej po rewolucji było pogrążone.

Tak „bałagulstwo“, jak i Towarzystwo Patrjotyczne, jakkolwiek odmiennego charakteru, powstały na pograniczu Wołynia i Ukrainy współcześnie prawie. Pierwsze zostało umiejscowione w rejonie berdyczowskim, a po krótkiem istnieniu samo się rozwiązało, a raczej rozproszyło, drugie zaś, nieściśle „spiskiem Konarskiego“ zwane, część Rusi i Litwy ogarnęło, kończąc żywot swój wraz z rozstrzelaniem Konarskiego w Wilnie w 1839 r.

Zasadą „bałagulszczyzny“ miało być obudzenie ducha męskiego w gnuśniejącej młodzieży przez praktykowanie ćwiczeń fizycznych, właściwych dla mężczyzny, i wszelkiego wogóle sportu. Byli ludzie, którzy w formacji tej dopatrywali się myśli głębszej i na dalszą metę obliczonej, towarzystwo też zdradzało pewne cechy rycerskie, a przytem demokratyczne. Ale ponieważ nie było na razie ujścia dla obudzonej energji męskiej, za silny zaś był wpływ jarmarków berdyczowskich, gdzie się do współki z huzarami rosyjskimi prawdziwe orgje praktykowały, związek bałagulski — może w zasadzie pożyteczny — został zupełnie spaczony, domniemani zaś rycerze, mający dawniejsze turnieje wznowić, zostali tylko... awanturnikami. Znałem epigonów stowarzyszenia tego, ludzi z dobrego nawet gniazda pochodzących, ale wierutnych próżniaków, karciarzy i makinjonów, o poziomie umysłowym i obyczajowym bardzo pospolitym.

Towarzystwo Patrjotyczne, że go nazwę wołyńskiem, poczęte w r. 1832, postawiło jako zasadę poprawienie bytu materjalnego ludu, dotąd „pańszczyźnianego“ i uspołecznienia go. O dalszych wynikach pracy tej nie mówiono, ale one same przez się zarysowały się. Twórcą stowarzyszenia i duszą jego był Kasper Maszkowski, towarzyszami zaś najbliższymi w pracy tej Beaupré Piotr, Borowski i Fryderyk Michalski. Wszyscy czterej do najwybitniejszych obywateli kraju należeli. Praca taka, na dłuższą metę obliczona, musiała kroczyć powoli a oględnie. Przybyły z Paryża — już po utworzeniu Towarzystwa — emisarjusz Szymon Konarski, z myślą analogiczną, młody, inteligentny i niezwykle ruchliwy, po nawiązaniu stosunków obszernych tak na Rusi jak i na Litwie, dotarł do samego jądra Towarzystwa Patrjotycznego, napierany zaś niecierpliwością młodzieńczą wpłynął na przyśpieszenie tempa prac stowarzyszonych. Ludzie rozważni, stojący na czele, widząc do czego może doprowadzić gorączkowa działalność Konarskiego, chcieli się go pozbyć, skłonili przeto, by do Paryża wracał. Zwlekanie jednak tego ostatniego było przyczyną, iż siebie zgubił i sprawę całą przed osiągnięciem jakichkolwiek owoców na wykrycie i dalsze następstwa skazał.

O ile czytelnik chciałby bliżej z tak zw. „spiskiem Konarskiego“ zapoznać się, odsyłam go do pamiętników arcybiskupa Felińskiego, gdzie znajdzie przejmujący obraz procesu całego i bohaterskiej śmierci Szymona. Śliczną tę książkę czytać i odczytywać można, tyle w niej — oprócz strony anegdotycznej — prawdziwego patrjotyzmu, tyle miłości dla ludzi wogóle.

Z liczby czterech filarów towarzystwa wołyńskiego, których Bibikow pod szubienicą stawiał w Kijowie, dwóch znałem osobiście: Maszkowskiego w Kijowie po jego powrocie, Borowskiego zaś w Irkucku. Trzeci Beaupré wrócił do Krzemieńca, gdzie około 1873 r. życie zakończył; grób zaś czwartego — Michalskiego w Aleksandrowsku pod Irkuckiem odwiedzałem.

Zastanawiając się nad upadkiem powstania listopadowego i badając przyczyny tego, lepsza część społeczeństwa tak w kraju, jak na emigracji, poszukiwała nowych dróg,

któreby mogły do wyzwolenia Ojczyzny doprowadzić. Powstawały przeto towarzystwa patrjotyczne, podniecane przez emisarjuszów, którzy apostolstwo swoje niejednokrotnie życiem opłacali (Zawisza, Wołłowicz, Konarski). Działalność towarzystw tych w kraju na dłuższy czas była obliczona, gdy tymczasem emigranci, nękani tęsknotą i nieczynnością, szybszym krokiem do ziszczenia marzeń swoich dążyli. Wielu wśród tych ostatnich nie imało się pracy na wygnaniu, nie rozstawali się nawet z mundurami, oczekując wciąż wezwania do kraju. Pośród rozmaitych systemów, wedle których kraj miał być w przyszłości urządzony, oraz namiętnych o to sporów, szczególnie na emigracji, jednomyślność tu i tam pod jednym względem była: ażeby lud wiejski wolnością i własnością obdarzyć i ażeby wspólnie z wyzwolonym ludem Polskę odbudować.

Działalność towarzystwa wołyńskiego (t. zw. powszechnie „spisku Konarskiego"), w samym niemal początku przez rząd zduszona, nie mogła następstw pozytywnych wykazać, wpływ swój jednak zostawiła chociażby wśród tej nielicznej części ziemian, co bezpośrednio z samym Konarskim się stykali, zostając pod urokiem propagowanej przezeń idei, jak i głęboko w nią wierzącego apostoła. Zwolennicy jego, z których kilku znałem osobiście, pomimo rozmaitego stopnia inteligencji, byli to ludzie czystego charakteru i hartu moralnego, co ujawnił dostatecznie wytoczony im porces polityczny w r. 1839 w Kijowie i Wilnie.

Konarski dłuższy czas przebywał w patrjotycznym domu Michalskich na Podolu, gdzie poznał bogato w przymioty uposażoną trzynastoletnią Emilję Michalską, której ukształceniem sam się zajął, przeznaczając ją sobie w przyszłości na żonę. Los jednak inaczej pokierował. Emilja w panieńskim stanie pozostała, całe życie swoje i majątek oddając na usługi kraju i rodziny. Umarła w Warszawie, w znanym z najlepszej strony przytułku św. Franciszka Salezego, pochowana na Powązkach. Proces polityczny w r. 1839 prowadził wszechwładny szef kancelarji Bibikowa, a wielki łapownik, Pisarew, który dzięki tej sprawie, jak również wdziękom żony, znacznego dorobił się majątku, przy nastaniu jednakże człowieka uczciwego na urzędzie jenerał-guber-

natora, ks. Wasylczykowa, tolerowanym być nie mógł, więc go przeniesiono na gubernatora na północ do gubernji ołonieckiej. Ciekawą bardzo książkę miałem chwilowo w swym ręku: Archiwum rosyjskie (Ruskij Archiw) z r. 1909, zeszyt 4, w której artykuł początkowy zatytułowany był: „Rękopis z więzienia, utwór szlachcica Kaspra Maszkowskiego z gub. wołyńskiej (1832—1839) z uwagami, udzielony przez Mikołaja Pisarewa". Ustęp zaś na końcu artykułu przez wydawcę P. B. umieszczony jest następujący: „Niewydane dotąd zapiski powyższe otrzymane były od mieszkającej w Bolonji przyjaciółki Pisarewa, a oddane spadkobiercom jego; żądana na zapiski cena była tak wielka, że Archiwum Rosyjskie nie było w możności jej zapłacić, musiało przeto poprzestać na doraźnem z niemi zaznajomieniem się. P. B.".

Niepodobna przypuścić, ażeby Maszkowski, piszący w więzieniu, mógł demaskować swoich przyjaciół stowarzyszonych, wymieniając nazwiska ich. Jeżeli zaś jest naprawdę autorem tych wspomnień, nasuwa się pytanie: jaką drogą mógł podobny manuskrypt znaleźć się w ręku prezesa komisji politycznej Pisarewa? Na to niepokojące pytanie daje — w „Pamiętnikach" swoich — odpowiedź stanowczą człowiek nieposzlakowany, Arcybiskup, syn Ewy Felińskiej, chroniąc czcigodnego Maszkowskiego od pozorów.

Nie mogę oprzeć się wspomnieniom z r. 1848, gdy z Zachodu idący huragan przebijał nawet mury pilnie strzeżonych instytucyj rządowych, przedostając się do skromnego internatu. Zbieraliśmy się — starsi uczniowie — w pokoju, na lekcje muzyki przeznaczonym, i śpiewaliśmy przy towarzyszeniu fortepianu pieśni patrjotyczne, a był to bodaj najpierwszy objaw zbiorowy uczuć, w nauce i szkole tłumionych.

ROZDZIAŁ II.

Polacy w Odesie w latach 1848—1853.

Odległość Odesy od rozmaitych miejsc Ukrainy, którą obecnie przebywamy w przeciągu godzin kilkunastu, wynosiła: od Białejcerkwi przeszło 40 mil (1 mila ukraińska = 10 kilometrom), od Humania około 30, punkty zaś kresowe dawniej do Polski należące, jak Bohopol i Bałta, odległe są od dzisiejszych portów Mikołajowa i Odesy, a zatem i od Morza Czarnego, zaledwie o mil kilkanaście. Połączenie rzek Bohu i Siniuchy było przed upadkiem Rzeczypospolitej granicą pomiędzy Polską (Bohopol), Rosją (Olwiopol) i Tatarszczyzną resp. Turcją (Hołta). Całą przestrzeń na południe od powyższych punktów aż do morza Moskwa podbiła przy końcu XVIII wieku, na samym zaś początku XIX port i miasto Odesę ufundowała. Od tegoż czasu po stepach dzikich, całkiem niezaludnionych, sunęły bez końca transporty ze zbożem, głównie z pszenicą, do portu, zarysowując powoli stały gościniec tak zw. czumacki od Bohopola i Bałty do Odesy. Czumakiem zwał się każdy posiadacz niekosztownego, na osiach drewnianych, wozu i pary wołów, któremi transportował zboże do Odesy, przywożąc z południa głównie sól i ryby suszone, które na rynkach miejscowych spieniężał. Czumak taki dorabiał się z czasem kilku par wołów, przyjmował towarzyszy, formując istną karawanę, z kilkudziesięciu podwód złożoną, nazywaną wałką czumacką, zajęcie zaś to stało się pewną specjalnością, przedsiębiorstwem zyskownem, do którego przystępowali oficjaliści i drobna szlachta. Na całej przestrzeni kilkudziesięciumilowej wypas dla wołów był bezpłatny, jednak w miarę powiększania zasiewów wypas ograniczono do kilku morgów zwykle, w dole przy studni wskazanych, za które z czasem pobierano nawet drobną zapłatę.

Wóz czumacki zaopatrzony był w maźnicę, dziegciem napełnioną, kociołek żelazny, wiadro blaszane i koło zapasowe, a zważywszy, że podróż taka trwała w jedną stronę przeszło dwa tygodnie, wyjeżdżając z domu, czumak zabierał prowizję, składającą się głównie z chleba, kaszy i słoniny, przyczem przyodziewał bieliznę wysmarowaną łojem lub dziegciem, jako ochronę przez robactwem. Kilkadziesiąt wozów, sunących po suchej ziemi stepowej, wytwarzało tumany kurzu, można więc sobie wyobrazić, jak wyglądali sami czumacy, dwunożne stworzenia wysmarowane dziegciem, a pokryte pyłem. Całkiem odmienny widok przedstawiały czteronożne woły, duże, maści siwej, o rogach rozłożystych, majestatycznie kroczące dokoła wozów, skubiąc aromatyczną trawę stepową. Pokarm wolny był przez długi czas od wszelkiej opłaty, aż dopiero ze wzrostem gospodarstwa rolnego, oraz powstaniem karczem w nizinach, przy studni przeznaczony wypas dla wołów wciąż się zmniejszał i oddawany był za niewielką opłatą, aż wkońcu zanikł, gdy jednocześnie z powstawaniem dróg żelaznych samo przedsiębiorstwo czumackie zwinięte zostało. Typ wołów stepowych, dużych, maści siwej, o rogach rozłożystych, pokrewny z rasą węgierską, coraz rzadziej daje się dziś spotykać nietylko w gospodarstwach większych, ale nawet wśród włościan, zastąpiony tak w rolnictwie jak i w transportach przez konie. Ponieważ handel obudza ruch powszechny, torując drogę do cywilizacji, więc i na naszym gościńcu czumackim spotykały się w czasie przeze mnie opisywanym i dawniej pojazdy najrozmaitsze, resorowe i pospolite, w ilości mniejszej i większej — stosownie do zamożności — ciągnące do Odesy, jako ogniska cywilizacji, do czego dzięki charakterowi swemu cudzoziemskiemu miała prawo rościć pretensje. Zważywszy, że na odbycie podróży takiej Podolanie potrzebowali około trzech dni, Ukraińcy około czterech, a Wołyniacy aż sześć dni czasu, podróż stawała się prawdziwą wyprawą i odbywała się w towarzystwie mniej lub więcej licznego dworu; przytem należało się zaopatrzyć w pościel, kredens, kuchnię i dużą prowizję, nietylko dla ludzi, ale i dla koni. Zdarzało się bowiem — przy zatrzymywaniu się na popasy i noclegi — w karczmach opuszczonych, a nawet utrzymywanych przez

arendarzy Żydów, że owsa zgoła w nich nie było. Największą w tych warunkach pociechą, tak dla młodzieży szkolnej jak i dla czumaków, były uprawiane przy gościńcach bastany, obfitujące w kawony, melony i ogórki.

Gościniec ukraińsko-odeski wlókł się od rzek Tykicza i Konełki aż do Bohu, t. j. do Bohopola, przez dawną Humańszczyznę, stanowiącą na schyłku XVIII wieku w całości swej własność Potockich. Z masy tej część, przylegająca do Humania, a do Aleksandra Potockiego należąca, skonfiskowana była w roku 1834; następnie dobra dokoła Hołowaniewskiego były własnością pani Włodzimierzowej Potockiej, na ostatku zaś Bohopolszczyzna sprzedana została baronowi Stackelbergowi przez Bolesława Potockiego.

Przejeżdżając często tamtędy, świadkiem byłem, jak się dokonywała zmiana fizjonomji kraju w części pierwszej, skonfiskowanej. Wiadomem jest powszechnie, iż nowopowstające siedziby ludzkie wznoszą się w pobliżu wody, gdzie i łąkę i zczasem ogród mieć mogą, przytem front mieszkania najczęściej ku słońcu skierowują. Ktokolwiek był na Ukrainie, zachwycał się zawsze malowniczym widokiem chat białych, porozrzucanych na dużej przestrzeni, kąpiących się w zieloności ogrodów. Otóż urzędnicy wojskowi, urządzający kolonje wojskowe w tych byłych dobrach Aleksandra Potockiego, przyjmując za wzór zabudowania wsi rdzennie rosyjskiej, zmusili włościan do przeniesienia starych, lub pobudowania nowych domków typu jednostajnego pod sznur po obu stronach gościńca, gdzie powoli i ogrody zaczęły powstawać, proces jednak tych przenosin, pomijając względy estetyczne, dotkliwy był bardzo dla ludzi przenoszonych.

Założycielem Odesy był ks. Richelieu, emigrant francuski, który wraz z towarzyszami, de Ribasem i Langeronem, był przez długi czas prawdziwym gospodarzem miasta. Handel spoczywał też wyłącznie w rękach cudzoziemców, którzy dzięki *porto franco*, oraz handlowi zbożowemu dochodzili do dużych fortun. Przy końcu jednak panowania Aleksandra I powyżej wymienieni gospodarze Odesy zeszli z widowni: ks. Richelieu powrócił do swej ojczyzny, gdzie go oczekiwała teka ministerjalna, Langeron umarł, a de Ribasowie połączyli się częściowo z rodziną polską (jeden z tej

rodziny ożeniony był z Rubczyńską, Podolanką). Tradycje ich jednak przetrwały w czasie bezpośredniego ich następcy, ks. Woroncowa, który był nawskroś europejczykiem, a przytem — pomimo ciężkiej ręki Mikołaja I — posiadał obszerne pełnomocnictwo, niezbędne dla zorganizowania ziem niedawno zdobytych przez Rosję, a nazwą kraju Noworosyjskiego ochrzczonych.

Zmiana fizjonomji miasta zaczęła się dopiero zarysowywać w połowie XIX wieku, na co wpłynęły następujące okoliczności: 1) zniesienie *porto-franco*, 2) reforma włościańska, dopuszczająca swobodne przenoszenie się ludzi z jednego na drugie miejsce [9]) i 3) koleje żelazne, ułatwiające najdalszą komunikację. Odpływ cudzoziemców, chociaż częściowy, a przypływ ludności z głębi Rosji zmieniał powoli zabarwienie miasta z cudzoziemskiego na rosyjskie, czytaj rosyjsko-żydowskie.

Jak w każdem mieście, wśród warunków i w atmosferze obcej nowopowstałem, tak i w Odesie, towarzystwo tak wyższe jak średnie, w czasie przeze mnie opisywanym, przedstawiało istną mozaikę, z cechą wszakże wybitnie europejską, wśród której oprócz wyższej biurokracji prym trzymali zbogaceni handlem zbożowym Grecy i Włosi; był nawet — pomiędzy innemi elegancki salon Tatara czy Turka, Manukbeja. Żydzi jednak w tej sferze jeszcze się w owym czasie nie zjawiali.

W sferze średniej handel najwykwintniejszy spoczywał w ręku Francuzów, Anglików i Niemców, mniej wykwintny w ręku Greków i Żydów, najpospolitsze zaś potrzeby codziennego życia zaspakajali mieszczanie, z elementu niskiego powstający, oraz wciąż przybywający Żydzi. Do sfery tej oprócz kupiectwa zaliczyć należy biurokrację, duchowieństwo, przedstawicieli nauk wyzwolonych, lekarzy etc. najrozmaitszego pod względem narodowościowym pochodzenia. Sferę najniższą stanowili Rusini, Żydzi, Niemcy koloniści oraz elementy wschodnie muzułmańskie. Co się tyczy Polaków, to do najpierwszych osiadłych w Odesie zaliczyć należy pośredników w handlu zbożowym, komisantów, następnie rodziny, przybywające dla edukacji dzieci, dla klimatu, kąpieli morskich i limanowych lub dla przyjemnych warun-

ków życia wobec oddalenia od Warszawy, a wielkich trudności i kosztów połączonych z wyjazdem zagranicą, nareszcie ludzi wszelkich t. zw. profesyj wyzwolonych, jak lekarze, nauczyciele, artyści i t. p. Komisantów było wielu, gdyż każdy większy majątek ziemski posiadał własnego zaufanego komisanta i własny magazyn zbożowy. Względnie łatwy ten chleb wielu od roli odciągał, bo też mieli tu życie wygodne, dzieci edukowali, a nadto dorabiali się nieraz znacznego funduszu, chociaż zdarzały się i bankructwa, ale rzadkie. Ze znajdujących się w Odesie komisantów w czasie mego pobytu wyróżniano trzech z rozmaitych powodów: 1) Iwaszkiewicz Anzelm, były wygnaniec syberyjski, osiadły tu z żoną importowaną i dwiema pasierbicami, pannami Bielajew. Nie idąc za przykładem tych, co w imię fałszywie pojętego patrjotyzmu, wracając do kraju, żony i dzieci na pastwę losu zostawiali, Iwaszkiewicz dźwigał ten ciężki krzyż z rezygnacją chrześcijanina, lub ze spokojem filozofa. Szacunek, jakiego wśród Polaków używał, otworzył wstęp rodzinie jego do domów polskich, gdzie i ja wszystkie trzy panie poznałem i z Sybiraczkami temi nieraz tańczyłem. 2) Konarski, stary a bogaty kawaler, który, nie mając spadkobierców, dzięki namowom Wiktora Koreywy [10]), cały majątek swój zapisał na zakłady naukowe imienia Konarskiego, z których obecnie Warszawa korzysta. 3) Wernicki, komisant Branickich, który wysyłał pszenicę ukraińską zagranicę, otwierając bezpośredni handel z Marsylją. W czasach kiedy banki nie istniały, papiery miały wartość tylko w swoim kraju, a złota nie wolno było wywozić, był to jedyny sposób przeniesienia z majątku białocerkiewskiego części schedy emigranta Ksawerego Branickiego zagranicę, gdy drugą część, przypadającą na rzecz tegoż Ksawerego Branickiego z masy dóbr lubomlskich na Polesiu wołyńskiem, rząd skonfiskował. Podział taki, oddający na pastwę rządowi majątek ziemski względnie najgorszy, mógł być dokonany tylko dzięki porozumieniu z szefem kancelarji jenerał-gubernatora Bibikowa, sławnym łapownikiem Pisarewem. O podziale takim majątku Branickich, ochraniającym prawa brata emigranta, mówiono powszechnie, sprawdzić jednak tego nie miałem możności, jak również nie wiem, czy emigracja Bra

nickiego była dobrowolną czy też przymusową. Co się tyczy pobytu Branickiego Ksawerego na Kaukazie, z ust Wilhelma Michalskiego, znajdującego się tam jednocześnie za sprawę polityczną, słyszałem, że dramat na tle erotycznem był jedyną przyczyną wyjazdu Branickiego z Warszawy na Kaukaz, skąd do Francji wyemigrował.

W ślad za komisantami ciągnęli z początkiem XIX w. do Odesy ich mocodawcy i wogóle rodziny polskie z Rosji; namacalnym tego dowodem jest olbrzymi magazyn zbożowy, skonfiskowany po r. 1830 wraz z dobrami Ładyżyn na Podolu zesłanym na Syberję braciom Gotardowi i Ludwikowi Sobańskim, oddawany odtąd na rozmaite instytucje wojskowe, a dający obecnie nazwę do morza prowadzącej niewielkiej ulicy. Wprost pałacu Woroncowa na bulwarze Odeskim znajduje się dotąd piękna kamienica, Aleksandrowi Potockiemu przez rząd w r. 1834 zabrana. Wiadomo wreszcie, w jak doborowem towarzystwie polskiem znalazł się Adam Mickiewicz w r. 1826 w Odesie.

Pomijając długi szereg stale lub czasowo przebywających w Odesie rodzin polskich, wymienię trzy kategorje: 1) rodziców, co w celu edukacji dzieci sami w Odesie mieszkali, 2) tych, co utrzymywali domy rodzinne, a których w kierowaniu edukacją zastępowali zaufani pedagodzy i 3) domy familijne utrzymujące stancję dla studentów, gimnazistów, lub przygotowujących się do szkół.

Do kategorji pierwszej należeli m. i. *Grocholska* z Zejdlerów, młoda wdowa, wychowująca przy udziale księdza dwóch synów, Ludgarda i Władysława.

Jełowiccy — Stefan i Antonina z Iwaszkiewiczów, z Ukrainy, wychowywali córkę Stefanję, wydaną później zamąż za Antoniego Złotnickiego, pułkownika wojsk rosyjskich, i syna Teodora, który obrany był na marszałka powiatu humańskiego, urząd ten w trudnych warunkach, wobec przeprowadzania uwłaszczenia włościan i w dobie przedpowstańczej, sprawował z taktem i gorliwością obywatelską. Nie był on człowiekiem inicjatywy, ale szedł zawsze z prądem najlepszym. Za domniemane sprzyjanie, gdyż faktów wyraźnych nie ujawniono, ruchowi powstańczemu, a właściwie dla zagarnięcia pięknego majątku, kazano mu sprzedać takowy,

z czego skorzystał karjerowicz rządowy baron Korff, Jełowicki zaś wyniósł się do Paryża, gdzie, doczekawszy się wieku późnego, umarł w stanie kawalerskim.

Jełowiccy — Florjan i Józefa z Proskurów, z Ukrainy, wychowywali synów Feliksa i Ignacego.

Kaczkowscy Karolostwo wychowywali syna — z pierwszego małżeństwa — Zygmunta i córkę piękną Karolinę z drugiego, która wyszła zamąż za Tadeusza Orzechowskiego, człowieka bardzo zdolnego, znanego z przygód awanturniczych.

Lubowiccy — Wacław i Dorota z Pruszyńskich, z Ukrainy, bawili w Odesie dla edukacji córek, oraz krewnej, panny Czarneckiej.

Nikorowiczowie — Adam, b. major wojsk polskich, i Emilia z Kątskich z Ukrainy, wychowywali syna jedynaka Wiktora. Ten ostatni, rewolucjonista zamłodu, dotarł z Mierosławskim w r. 1861 aż na Caprerę, po roku 1863 pracował na roli z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa, jako znany i światły ziemianin.

Mogilnicka, żona marszałka pow. ostrogskiego, z liczną rodziną.

Zbyszewscy Hieronimostwo z Ukrainy wychowywali trzech synów oraz krewnych Fudakowskich, z których jeden, Herman, był profesorem w Szkole Głównej w Warszawie.

Zbyszewska z Jełowickich, z Ukrainy, żona jednego z rzadkich „czwartaków" z r. 1830, Karola Zbyszewskiego, edukowała dwóch synów: Konstantego i Wiktora.

Wołodkowicz Hipolit i żona jego z Dudzińskich, która, wnosząc znaczny posag, ułatwiła tem samem mężowi zdobycie urzędu honorowego marszałka szlachty powiatu hajsyńskiego. Przed samem powstaniem pan Hipolit nabył z dóbr granowskich majątek Gródek, rachunku jednakże z księciem Adamem po r. 1830 nie uregulował, tak że sprawa weszła na drogę kompromisu, który ciągnął się około 30 lat, z opisu zaś przez Bobrowskiego bardzo szczegółowego całej sprawy, do której rozpatrzenia był powołany, czytelnik nie wynosi wrażenia oczyszczającego pana Marszałka, który — jakkolwiek ożeniony z córką oficjalistów pałacowych Niemirowa — był próżnym i nadętym półpankiem w najgorszym

gatunku. I tak: list Orłowa z podziękowaniem Monarchy, nie pamiętam za co, znajdował się długi czas w salonie, aż póki odwiedzający go nie przeczytali; opowiadał znowu obszernie o kaszy, którą kucharz jego dla cesarza Mikołaja na jakimś popasie przyrządzał itp. bzdurstwa. Z dwóch synów Marszałka starszy Konstanty był miłośnikiem i znawcą muzyki, człowiekiem kulturalnym a na sprawy społeczno-narodowe nieobojętnym, o czem świadczy ufundowana przezeń i na przyszłość zabezpieczona bursa akademicka w Krakowie. Żałować należy, że zasługę tę wobec społeczeństwa pan Konstanty przyćmił sprzedażą, bez żadnej konieczności, części majątku ziemskiego w ręce obce, pułkownikowi żandarmerji Nowickiemu, na niekorzyść prawowitych spadkobierców Podhorskich, którzy się z chęcią i gotowością nabycia całego majątku doń zgłaszali. Młodszy syn pana Marszałka, Władysław, którego mistrzem ceremonji nazywano, był człowiekiem pustym, do niczego, i nie wspominałbym zgoła o nim, gdyby nie smutny los syna jego jedynego Bolesława, o którym wspomnieć muszę. Po roku 1863 z obawy prądów demokratycznych i rewolucyjnych bogatsza część społeczeństwa na Rusi unikała Warszawy, dzieci zaś oddawała do zakładów jezuitów w Tarnopolu i Chyrowie. W tym ostatnim znalazł się młody Bolesław, ale że się rwał do życia i nie mógł znieść feruły zakonnej, uciekał stamtąd, ale pojmany i do więzienia zakonnego doprowadzony, zakład ten naukowy skończył. Dziwnym zbiegiem okoliczności młodzieniec nasz znalazł się potem jakby u antypodów na uniwersytecie w Hejdelbergu. Ze szkoły, gdzie wszelkie objawy indywidualności z zasady tłumiono, gdzie skrzydła do lotu młodzieńcom starannie podcinano, znalazł się Bolesław na wszechnicy, gdzie naukę z należną jej swobodą traktowano, i dokąd na prelekcje filozofa Kuno Fischera nietylko studenci ale poważniejsi uczeni zjeżdżali się. Reakcja w umyśle i niestety w obyczajach Bolesława nie kazała na siebie długo czekać. Nieuleczalna choroba zjadła tego niepospolitych zdolności i pełnego nadziei młodzieńca.

Małachowska Julja, mieszkająca stale dla edukacji dwóch córek, Doroty i Wiktorji, oraz synów, Karola i Edwarda, była córką Ignacego Ścibor-Marchockiego, ziemianina

z Podola, znanego z rozumu i zamożności, jak również z dziwactw. Gdy jednak o tych ostatnich szeroko rozprawiano i pisano, przymioty jego były przez współczesnych zapoznawane. Zaczął Marchocki od tego, że w dobrach swoich mińkowieckich zniósł wszelkie daremszczyzny, które włościanie dawnym zwyczajem dworowi składali, utworzył pewnego rodzaju samorząd i sądy włościańskie, przyjmując w jednem i drugiem udział kierowniczy, wszystko zaś objął ułożonym *ad hoc* statutem, we własnej drukarni mińkowickiej odbitym, dobrobyt i kulturę włościan mającym na celu. Marchocki był w całem znaczeniu: *un despote éclairé, trop éclairé même* na swój czas. Z licznych opisów wprowadzonego przezeń święta Cerery, jakie czytałem, najobszerniejszym zarówno jak najwierniejszym wydaje się w pamiętnikach naocznego świadka Franciszka Kowalskiego. Uroczystość ta zespalała dziedzica i całą rodzinę jego z ludem wiejskim na polu wspólnej pracy na roli. Bogini, w osobie najstarszej córki Marchockiego, rozdawała obfite podarki młodzieży wiejskiej, jako wyraz wdzięczności za przeszłą, a zachętę do przyszłej pracy. Żałować należy, że cała uroczystość przybrana była — zamiast narodowej — w szaty mitologiczne. W stosunkach domowych rodzinnych Marchocki był również despotycznym. W czasie zaślubin córek w domowej kaplicy w Ostrokowie, wobec siedzącego obok biskupa kamienieckiego Mackiewicza, po wygłoszeniu długiej przemowy, odzywał się tonem uroczystym: „A teraz przystąpcie do ołtarza, dla spełnienia ceremonji religijnej". Marchocki zadzierał z duchowieństwem i z rządem, nie dając się ujarzmić, wkońcu jednak znalazł się w Kamieńcu pod aresztem w czasie pobytu tam cesarza Aleksandra, skąd uwolniony został dzięki wpływom córki swej Emilji. Piękna ta i starannie w domu polskim wychowana kobieta zaślubiła, ku ogólnemu zgorszeniu i zdziwieniu, niewiadomego pochodzenia obskurnego pułkownika w służbie rosyjskiej Ingistowa. Cała ta sprawa okryta była w rodzinie tajemnicą, o zdjęciu z niej zasłony, w poczuciu wielkiej życzliwości mojej dla całej rodziny Małachowskich, nie mogłem, nie śmiałem myśleć nawet. Druga córka Marchockiego, Pulcherja, była za Eligjuszem Małachowskim herbu Gryf. Syn jedyny Karol,

któremu majątek za konarszczyznę skonfiskowano i którego do Tobolska zesłano, dziwak, tak jak ojciec, wszechstronnie ukształcony naukowo i estetycznie, wielkiego powabu towarzyskiego, ożenił się, po powrocie z wygnania poraz wtóry (z pierwszą żoną, Trzcińską z domu, żył niedługo) z ubogą panienką Roguską, otoczył się bardzo liczną rodziną, z którą na wsi pod Odesą a najczęściej w samem mieście przebywał, gdzie też życie w późnym bardzo wieku zakończył. Trzecia najmłodsza córka Marchockiego była wyżej wspomniana Julja, żona mieszkającego pod Odesą na wsi Melitona Małachowskiego, brata wspomnianego już Eligjusza. Był to człowiek rzadkiej prostoty i skromności obok niezwykłej prawości charakteru. Braki ukształcenia naukowego zastępowały mu wrodzone przymioty umysłowe. Synowie jego, z którymi przyjaźń mnie łączyła, i wnukowie, obecnie żyjące trzecie pokolenie, odziedziczyli wszyscy bez wyjątku, te dodatnie cechy, które zdobiły filozofa Melitona, a dla którego piszący te słowa pełne czci wspomnienie zachował.

Do kategorji drugiej należeli między innemi: Czarnowscy bracia, Włodzimierz i Józef, z Ukrainy, a mentorem przy nich Padlewski Edward, krzemieńczanin w najdodatniejszem tego słowa znaczeniu. Widziałem go poraz ostatni w r. 1872 w Popudni, otoczonego opieką i szacunkiem wdzięcznego byłego swego pupila, Włodzimierza Czarnowskiego, powszechnie szanowanego ziemianina-obywatela.

Iwańscy bracia, z Ukrainy, a przy nich nauczyciel Szembell Michał z Litwy, człowiek najszlachetniejszy, ale żaden pedagog, przymiotom swoim moralnym i towarzyskim chyba zawdzięcza, iż był potem powołany do przewodnictwa naukowego w domach polskich na Rusi u Rylskich, Kotowiczów, Monastyrskiego i Meleniewskiego.

Jasieńscy bracia z Ukrainy, a przewodnikiem przy nich Blumenfeld Michał, człowiek bardzo inteligentny, najmilszy w obcowaniu, dobry muzyk i wogóle prawdziwy esteta. Był potem długoletnim dyrektorem gimnazjum ziemskiego w Elisawetgradzie, dokąd pod skrzydła jego garnęła się młodzież polska.

Lipkowscy bracia z Urainy, a przy nich mentorem Grodecki, wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, człowiek go-

dzien wielkiego zaufania. Orzechowscy bracia, z Podola, a mentorem przy nich Ścisławski. Sarnecki Tadeusz, z Czarnokoziniec, a mentorem jego Żoliborski, najmilszy człowiek, jak każdy krzemieńczanin, ale sybaryta i żaden pedagog. Skibniewscy bracia z Podola, a przy nich mentorem Mikulski, despota i pedant bezwzględny i najgorszy pedagog.

Sobański Feliks z Podola, a przy nim niewiadomo w jakiej roli Wodziński, człowiek pospolity, a żona młoda i przystojna, ale pretensjonalna i wymalowana. Dziwiono się powszechnie, że pani Róża Sobańska mogła podobne umieszczenie dla syna jedynaka upatrzeć. Sobańscy bracia, synowie Hieronima, a przy nich mentorem Aleksander Zygmunt Wicherski, krzemieńczanin, naukowo i estetycznie wykształcony, a człowiek najzacniejszy.

Zalescy bracia, Zygmunt i Bolesław, z Wodyczek na Podolu, mentorem przy nich ksiądz Żelechowski, człowiek najpospolitszy.

Do kategorji trzeciej nakoniec należał dom Taborowskich, którego głowa, krzemieńczanin, pedagog pełen taktu i powagi, z trudnością utrzymywał w karbach trzech młodzieńców z Podola, przygotowujących się do Liceum: Kuźmińskiego Włodzimierza, Raciborowskiego Zygmunta i Starorypińskiego Mieczysława, z którymi bliskie stosunki wówczas mnie łączyły.

Dom Sowińskich, pana Jana, krzemieńczanina, i żony jego, siostry Józefa Korzeniowskiego, oraz trzech niemłodych córek był przesadnie poważny i mało przez młodzież uczęszczany. Wychowywali się tam, o ile pamiętam: z Wołynia — Milowiczowie i Karwicki Józef, z Podola — Stadnicki Ignacy, z Ukrainy — Brzozowscy Juljusz i Antoni, Krechowiecki, Krzyżanowski Antoni.

Oprócz tych dwóch poważnych stancyj polskich były dwie rosyjskie, utrzymywane przez dwóch profesorów Liceum: 1) Lewteropuło, Greka, prof. fizyki, gdzie mieszkali studenci z Podola Janiszowscy i Iżyccy, z Wołynia — Stachowski Franciszek i z Ukrainy — Kotowicz Jan i Ignacy Bagieński, który po śmierci Lewteropuły młodą a powabną wdowę jego pojął za żonę i do polskiego towarzystwa wprowadził. Muszę tu zaznaczyć, iż Bagieński był jednym z pier-

wszych, co złożyli w Krakowie na szkoły polskie w Cieszynie dziesięć tysięcy rubli, dając początek płynącym na cel powyższy ofiarom z Rusi Ukraińnej, 2) Linowskiego, ex-Polaka, gdzie przez jakiś czas mieszkali studenci: z Ukrainy — Straszyński Antoni, z Podola — Podhorski Michał i z Litwy — Narwojsz. Linowski, urodzony z Zaleskiej, siostry Bohdana, człowiek pozbawiony wszelkich zasad, cynik, a do tego tak otyły, że ledwie mógł się poruszać, zawsze brudny i spotniały, obudzał wstręt moralny i fizyczny, a wpływ jego na młodzież był najgorszy. Brat jego, Jarosław Linowski, pozostał Polakiem i jako profesor uniwersytetu w Moskwie był bardzo ceniony.

Najpoważniejsze pośród pedagogów stanowisko zajmowali krzemieńczanie. „Z ducha Polacy, z wychowania europejczycy" — takbym charakteryzował krzemieńczan, a sądzę, że nie popełniłbym przesady. Szkoła ta dawała naukę, ale przedewszystkiem przygotowywała wychowańców swoich do życia tak towarzyskiego jak — w następstwie — publicznego. Krzemieniec edukował, a jednocześnie wychowywał i uspołeczniał. Nie wydawał uczonych pedantów, w jednej specjalności zasklepionych, ale tworzył ludzi żyjących. Robione krzemieńczanom zarzuty uniwersalności a powierzchowności — w przeciwieństwie do wileńczyków — nie sądzę, ażeby były uzasadnione; wynikały one nie tyle z odmiennych kierunków dwóch tych ognisk oświatowych, ile z różnicy charakterów pomiędzy poważnym i skupionym w sobie Litwinem, a wesołym i ekspansywnym mieszkańcem południowo-zachodniej Rusi.

Dla wyczerpania wiadomości o stancjach studenckich muszę nadmienić o zakładach podobnych dla panien. Takim skromnym, ale pod względem wychowawczym i naukowym pożytecznym, był pensjonacik panny Borowskiej, gdzie — pomiędzy innemi — znajdowały się Koczorowska Halina, późniejsza Karolowa Lewicka, i Iwańska Marja; panien Kwiatkowskiej i Angielki Richard, gdzie głodem morzono Kotowiczównę Ewelinę potem Gromnicką i Iwańską Marję, i panien Szemiotówien, gdzie się bardzo starannie wychowywały panny Łaźnińskie z Podola.

Pojedyńczo mieszkali studenci: Stadniccy, Tomasz i Wincenty, Syroczyński Antoni, Kotkowski Stanisław, Kobecki Romuald (Tatar litewski), Stachiewicz, Lenkiewicz, Migurski, Mikoszewski.

Z cudzoziemców z Polakami zestosunkowanych wymienię: Fontona, Isnarda, Rénauda, z Rosjan zaś: braci Włodzimierza i Sergjusza Erdelich, braci Michała i Aleksandra Rodzianków i Kudaszewów.

Z medyków Polaków powszechnej wziętości używał Kaczkowski Karol, były naczelny lekarz Wojsk Polskich, człowiek nieposzlakowany. Z powodu wyleczenia żony kuratora okręgu naukowego, Buhojskiego, której mowę przywrócił, wielki miał wpływ w sferze pewnej, który na dobro tylko zawsze używał. Jemu zawdzięczało Liceum wprowadzenie katedry religji katolickiej, dla cudzoziemców, z obowiązkowym wszakże językiem wykładowym francuskim i łacińskim.

Duchowieństwo polskie w Odesie, nieszczególnego miało przedstawiciela w osobie księdza Razutowicza, byłego proboszcza par. zwinogródzkiej w gub. kijowskiej, człowieka dobrego, ale bardzo pospolitego umysłu; urząd superjora, który piastował, był zupełnie dlań nieodpowiedni, gdyż żadnego języka obcego nie znał, kolonja zaś katolicka ówczesna w Odesie przeważnie z cudzoziemców się składała. Drugim księdzem narodowości polskiej w Odesie był magister teologji Orłowski, człowiek dobry i wykształcony. Jako profesor w Liceum uwzględniał, że nie każdy student posiadał znajomość języka francuskiego i łacińskiego, po rosyjsku zaś w czasie egzaminów mówić nie chciał, zostawiał przeto nam — bez względu na wyciągnięty numer — swobodę mówienia o tem, co się zawczasu przygotowało, bez obawy protestu asystującego komedji tej a nie znającego przedmiotu dyrektora, czy inspektora. Oprócz tych dwóch, było nadto czterech księży rodaków dla tyluż odrębnych narodowości: polskiej, francuskiej, niemieckiej i włoskiej. Przedstawicielem Polaków był ks. Kolęda, dominikanin.

Sztuki piękne reprezentowali następujący Polacy: Czerny, znany jako nauczyciel muzyki fortepianowej, Chojnacki, jako malarz, Gąsiorowski, jako architekt. Temu ostatniemu

zawdzięcza miasto posiadanie pałacu Brzozowskich, nad samą zatoką morską w stylu gotyckim zmodernizowanym. Nauki tańców udzielał spolszczony Francuz, Tessier.

Kupiectwa polskiego w Odesie wcale nie było wówczas; znana była jedynie z łatwego kredytu cukiernia „studencka" Wysoczańskiego przy ulicy de Ribasowskiej wprost ul. Hawannej. Oprócz stale zamieszkałych przybywali ponadto zwykle Polacy do Odesy latem, na kąpiele morskie i limanowe, dla opery włoskiej, wreszcie dla mody. Urządzenie łazienek w zatoce, do tego w porcie, nie było zgoła zadawalniające, kąpiele limanowe żadnych urządzeń nie posiadały, o teatrze zaś dłużej muszę się rozpisać.

Zredukowana do czternastu dni, zatem nieodpowiadająca nazwaniu swemu, kwarantanna w Odesie oddawana była jako przedsiębiorstwo pewnej osobie, zobowiązanej do utrzymywania mieszkań, we wszelkie wygody zaopatrzonych, do użytku czasowo więzionych tam podróżnych. Dziwnym kaprysem losu przedsiębiorstwo to było nieodłączne od obowiązku utrzymywania opery włoskiej. Jak jedno tak drugie oddawane było jednej i tej samej osobie; takim przedsiębiorcą w czasie przeze mnie opisywanym był kupiec Rosjanin, wielki amator muzyki. Ponieważ ciągnął on ogromne zyski z kwarantanny, nie obchodziły go bardzo niewielkie stosunkowo straty na utrzymywanie opery włoskiej, która do drugorzędnych europejskich śmiało mogła być wówczas zaliczoną, albowiem zasilały ją pierwszorzędne siły scen włoskich, a przytem cały personel, nawet orkiestra i chórzyści, byli Włosi. Repertuar operowy składał się z utworów włoskich: Rossiniego, Belliniego, Donizettiego, Mercadantego, Piciniego, Verdiego, do których też pierwsze opery Mozarta zaliczyć należy, oraz francuskich: Adama, Herolda, Boieldieu'a, Aubera, do których też Meyerbeera włączyć trzeba. Muzyki symfonicznej wcale nie uprawiano, kameralną zaś bardzo rzadko, chyba w wyjątkowych salonach prywatnych. Z wirtuozów sławniejszych, odwiedzających Odesę, byli: Vieuxtemps i Servais, z Polaków — bracia Wieniawscy i bracia Kątscy.

Młodziutkich, rozpoczynających wówczas karjerę Wieniawskich i jednocześnie obecnego w Odesie Kraszewskiego

przyjmowali studenci Polacy ucztą w mieszkaniu Małachowskich; Kraszewskiego jeden z nas odwiózł wcześniej, Wieniawskich musieliśmy także przed północą pożegnać na wyraźne żądanie matki, lublinianki, siostry emigranta z r. 1831, Edwarda Wolffa, znanego w Paryżu pianisty, która krótko w ręku synów trzymała. Przebywał Kraszewski najczęściej w domu pp. Blumenfeldów i Wicherskiego, na wieczorze zaś, urządzonym dlań w domu pp. Władysławowstwa Kołyszków, ofiarowano mu portret wcale udatny pędzla Chojnackiego. Mając kilka dzieł zabronionych, zaniosłem je Kraszewskiemu do przeczytania do hotelu Angielskiego, wybrał z nich „*Mémoires du prince Michel Ogiński*", a mnie obdarzył czterowierszem do albumu wpisanym, który to powtarzam:

„I żal i smutek i boleść nie straszą,
Gdy na tarczę wpiszem naszą
Trzy wielkie słowa, co spokojem wieją:
Z wiarą, miłością, nadzieją".

W roku 1840 latem przebywał w Odesie nowomianowany wówczas metropolita kościołów rzymsko-katolickich w Cesarstwie, Ignacy Hołowiński, o pięknem i rozumnem obliczu, którego mieszkający tu licznie rodacy podejmowali składkową ucztą w mieszkaniu Wilhelma Świderskiego, gdzie debiutowała młodziutka córka jego Wanda, bardzo znana później na Rusi w szerokich kołach towarzyskich z wdzięku jak i dźwięku. W czasie pobytu Arcybiskupa zaszedł zabawny w kościele wypadek: sąsiadująca ze mną na wsi pani Róża..., bardzo brzydka i ospą zeszpecona ale pretensjonalna, uklękła przy bierzmowaniu, asystujący zaś Arcybiskupowi ksiądz odczytał głośno podaną kartkę z wypisanemi imionami „Róża, Hortensja". Hołowiński w tej samej chwili również głośno odezwał się: „Niepotrzebna pretensja" i wybrał natomiast dla penitentki imię Barbara.

Nie do znakomitych wprawdzie, ale do bardzo głośnych osób, przebywających w Odesie czasowo w lecie 1849 r., należała Laura z Lachmanów Świeykowska, z mężem swoim Leonem, Podolaninem [11]), oraz licznem męskiem otoczeniem. Dzieje młodości i całego życia kobiety tej i siostry jej Elizy Przeździeckiej, a głównie niesłychanie przebiegłej i w środkach nie przebierającej mamusi, pułkownikowej Lachmano-

wej, opisał ze wszelkiemi szczegółami Piotr Jaxa Bykowski w „Pamiętnikach włóczęgi". Wobec tego poprzestanę na rysach ogólnych.

Z życia zakulisowego tej sławetnej rodziny obfite szczegóły przynosił co niedziela koleżka mój z pensjonu Hedouin'a, zaprzyjaźniony z Lachmanami Artur Świeykowski, brat Mieczysławowej Potockiej, z którym jako z młodzieńcem nie liczono się wcale. Ponieważ siedzieliśmy obok siebie, byłem przeto mimowolnym słuchaczem szczegółów, dotyczących Mieczysławostwa Potockich, do których Artur na święta Bożego Narodzenia jeździł.

Mieszkanki, skromnego drewnianego domu w Kijowie przy placu Peczerkim, wprost Arsenału i Ławry, utrzymując stosunki przeważnie ze studentami i oficerami, gdyż nikt z osób poważnych w tym domu nie bywał, zaprawiały się wcześnie z niewybredną młodzieżą w kokieterję. Po złapaniu i uwięzieniu dwóch ponętnych ptaków sztukę tę uprawiały już jako mężatki na szeroką skalę tak w kraju jak i w Paryżu. Z powodu tej żony zbytkownej Leon Świeykowski nadszarpnął dobrze majątek, a Przezdzieckiego Czarny Ostrów chociaż ocalał, zato przyjaciel domu ich Józef Szembek ogromny majątek ziemski w pow. hajsyńskim i bracławskim, i to nie własny, ale żony swojej, Piotra Moszyńskiego córki, osoby ze wszech miar godnej, na amory z cudzą żoną, właśnie Przezdziecką poświęcił. W czasie, kiedy Napoleon wahał się w wyborze żony pomiędzy ks. Waza, a hr. de Teba, późniejszą żoną, obie te panie zjawiły się na bruku paryskim, w Tuilleries na balach bywały i Prezydenta kokietowały, a gazety bulwarowe, rozpisując się o tych kwiatach społeczeństwa polskiego i przekomarzaniach się z Prezydentem, cytowały odpowiedź Świeykowskiej na jakiś dowcip Napoleona: „*que le miroir est poli et le Président est impoli*". — Wprawdzie Jules Lecomte wyśmiewał za to w feljetonie nazwiska tych pań w słowach: „Crachez, éternuez, ajoutez ski et vous aurez un nom polonais". Potrzeba hołdu, przy ciągłej zmianie hołdowników doszła do tego, że i przybyłemu średniej miary pianiście-koncertantowi, Szulhofowi, Świeykowska głowę zawróciła i na wieś ze sobą dla rozrywki zabrała, czego sam, widując Szulhofa, świadkiem byłem. W czasie zapust

najbliższych, na balu trzydniowym w Wasylówce na Podolu u pani Róży Sobańskiej obie siostry królowały, zostawiając w cieniu słynną z piękności Podolankę Russanowską, późniejszą Bielińską, dlatego, że, pochodząc z porządnego domu, sztuki kokietowania nie posiadała, mówiono więc, że chłód od niej wieje. Damę tę pełną godności o pięknych rysach, widziałem w 30 lat potem już w drugiej edycji, jako Kwilecką, w Reichenhal. Ludzie poważni dziwili się, że pani Róża Sobańska przyjmowała te panie w domu swoim, ochraniając powagą swej szaty ich nagość moralną. O balu tym miałem wiadomości z pierwszej ręki, od kolegów, których Feliks Sobański na tę trzydniową zabawę do matki swojej zaprosił. Jeżeli starsi warjowali, nic dziwnego, że piszący te słowa, zamiast na wykłady do Liceum, chodził w pewnych godzinach codziennie do kościoła dla zobaczenia nieznanej mu osobiście piękności. Zauważyłem wtedy, że książka do nabożeństwa stanowi część składową garnituru w strojach kobiecych, albowiem kolor aksamitny oprawy książki Świeykowskiej był zawsze w zgodzie ze zmieniającym się wciąż kolorem jej szat. Ale... igrać z ogniem bezkarnie nie można. Rozkochawszy sfrancuziałego do szpiku kości półpanka podolskiego, Komara, który czasowo czy na zawsze, tego nie wiem, rodzinę liczną dla niej porzucił, sama bohaterka uległa namiętności chwilowej, Warszawę zaś całą obiegał o tym wypadku dowcip, że „Komar ukąsił — i spuchła". Po roku 1863, po śmierci męża Leona Świeykowskiego, czy po rozstaniu się z nim — tego nie wiem — zjawia się pani Laura znowu w Paryżu, a następnie w Rzymie, jako żona prawowita ambasodora Francji przy Watykanie wice-hrabiego de Noailles. Na tem nowem polu, wznawiając tradycje kobiet włoskich z epoki Renesansu, czy pani Laura rzuciła czary na dobrotliwego Piusa IX, czy też opętała kardynała Antonellego, a może dobrocią ujęła, gdyż pomimo wszystko miała to być w gruncie dobra kobieta, — słowem, że otrzymać miała od Papieża t. zw. „różę białą", jako symbol czystości i cnoty!!! Będąc daleko poza krajem, sprawdzić tego faktu sam nie mogłem, a tylko powszechnie o nim opowiadano. Zresztą nieświadomi przeszłości p. Laury mogli w Rzymie dopuścić się podobnej profanacji. Przecież przewrotności Bismarcka

byli aż nadto świadomi, a jednak obdarzono go za Leona XIII orderem Zbawiciela!!! Wice-hrabia de Noailles odziedziczył po śmierci ojca swego tytuł księcia *(duc)*, żona przeto jego niezwykłą karjerę swoją życiową zamknęła jako *duchesse de Noailles*.

Utworzone w Odesie Liceum Richelieugo składało się z gimnazjum o sześciu klasach i właściwego liceum, odpowiadającego mniej więcej uniwersytetowi, z tą tylko różnicą, że w Liceum były trzy fakultety: prawny, kameralny (przyrodniczy) i matematyczny, że kurs był trzyletni, że stopień naukowy był jeden tylko: studenta, i wreszcie, że galony zdobiące mundury, szpady i kapelusze trójkątne były srebrne, a nie złote jak w uniwersytetach. Oprócz kuratora na cały Okręg Naukowy Odeski, któremu i Liceum podlegało, władze licealne — w ścisłem tego słowa znaczeniu — składały się z dyrektora i inspektora, którzy mieli pod zarządem swoim kancelarję, bibljotekę, gabinet fizyczny, oraz pedlów i służbę niższą. Gmach zakładu znajdował się pomiędzy ulicami de Ribasowską i Langerońską, jedna zaś strona czworoboku wychodziła na ulicę Jekatierinińską. W gmachu znajdowała się sala aktowa i cerkiew, którą obsługiwał pop Pawłowskij, jednocześnie profesor logiki i filozofji. Pozatem były liczne audytorja i nieodzowna komórka ciemna, karcerem zwana.

Ponieważ Rosja, znajdująca się na krańcach cywilizacji, nie była w stanie wytworzyć sił naukowych dla powstających w kraju uniwersytetów, musiała przeto profesorów importować z zachodnich ognisk kulturalnych. I tak matematykę i historję powszechną wykładali dwaj bracia Brunowie, Henryk i Filip, wychowańcy Uniwersytetu Dorpackiego, chemję — Hashagen uczeń Berzeliusa z Uniwersytetu Upsalskiego, starożytności rzymskie wykładał po łacinie Beker, prawo rzymskie i międzynarodowe — Pachmann; byli to wszyscy wybitni uczeni. Ostatni wychował syna na Rosjanina, przyjął prawosławie i nauczył się łapownictwa. Innym łapownikiem, taksującym bezwzględnie studentów wedle ich zamożności, był Komarnickij, profesor finansów i prawa państwowego. Do łapowników przyzwoitych należeli wspomniani wyżej Lewteropuło, który uczył fizyki, i Linowskij od prawa cywilnego, obydwaj za dobre pieniądze utrzymy-

wali studentów na kwaterze, promocję im ułatwiając. Przy tem wszystkiem łapownictwo, w stosunku do czasów późniejszych i nie mówiąc już nic o dzisiejszych, było bajecznie skromne!

Jakkolwiek pomiędzy profesorami byli ludzie uczeni, jednakowoż nie stanowili zorganizowanego ciała naukowego, liceum odeskie nie wydawało żadnych prac zbiorowych. I nic w tem dziwnego, gdyż nie mogło dziać się inaczej w mieście, handlem i aferami przepojonem. Gdy znacznie później, w przekształconym z Liceum Uniwersytecie Noworosyjskim katedrę zajmował uczony sławy europejskiej Miecznikow, po krótkim pobycie oświadczyć miał, że w środowisku odeskiem pracować naukowo nie może, i Uniwersytet opuścił. Nie słyszałem też, żeby którykolwiek z wychowańców liceum odeskiego w nauce zasłynął, chyba, że rozpoczęte studja w Odesie w innej wszechnicy dokompletował, jak to miało miejsce z Fudakowskim, dorpatczykiem, późniejszym profesorem Szkoły Głównej w Warszawie.

Ogniska nasze domowe dostarczały młodzieży starannie wychowanej, Odesa zaś wyciskała na nich piętno cywilizacji, która jednakże nie zacierała cech narodowych, jak to miało miejsce w kilkadziesiąt lat potem w Kijowie i innych wszechnicach, z powodu styczności Polaków z przedstawicielami rzekomej cywilizacji „samobytnej", płynącej ze Wschodu. Za dowód tego może służyć chociażby to, że w czasie ostatniego roku pobytu mego (1852—1853) utworzyło się kółko z kilkunastu kolegów dla zapoznania się z Mickiewiczem, którego świetnie deklamował kolega Antoni Straszyński, oraz z ostatnim okresem historji polskiej. Takie posiedzenia zakończone były zwykle dziarskim mazurem, do którego miałem przyjemność kolegom przygrywać.

Najbliższy stosunek mój koleżeński był ze stancją pedagoga Taborowskiego, z Małachowskimi i Skibniewskimi. Trudno mi byłoby wyróżniać tu kolegów, którym nagół nic nie mam do zarzucenia; jeżeli jednak zaledwie o trzech, czterech wspomnieć tu wypadnie, to już dlatego, że okoliczności życiowe ich wyróżniły, a nazwiska znane są całemu krajowi:

1. Czarnowski Włodzimierz, syn krzemieńczanina, wychowany w Odesie także przez krzemieńczanina, Edwarda

Padlewskiego, był prawdziwym wyrazicielem ducha tej szkoły, jako zacny i światły ziemianin i obywatel.

2. Górski Wacław, medyk, i żona jego, synowica założyciela szkoły batignolskiej, Seweryna Gałęzowskiego, długoletni mieszkaniec Odesy, gdzie, zespalając cześć dla tradycji narodowej z kulturą nowożytną, tworzyli oboje Górscy w mieście kosmopolitycznem ognisko orzeźwiające dla miejscowych i przybyłych rodaków.

3. Lipkowski Józef, jedyny z dwunastu marszałków na znanym z roku 1861 adresie podolskim podpisanych, co umiał w czasie procesu wytoczonego z tego powodu w stolicy godność obywatela Polaka bez skazy zachować.

4. Sobański Feliks, syn znanej z patrjotyzmu i filantropji pani Róży z Łubieńskich Sobańskiej; to też Akademja Umiejętności w Krakowie, zakład paralityków w Warszawie i instytucje filantropijno-narodowe w Kijowie w rocznikach swoich nazwisko dobrodzieja swego zachowały. Sobańskich, jakkolwiek na arenie społeczno-narodowej zjawili się oni dopiero na początku XIX wieku, debiut uświetniły zasługi Michała Sobańskiego, dziada Feliksa, na polu oświaty krajowej, jako współpracownika Czackiego, oraz Gotarda i Aleksandra Sobańskich, odartych z majątku i na Syberję wysłanych w r. 1831. Szkoda, że szanowny pan Feliks nie poprzestał na tej szczerozłotej tradycji, zdobiącej po wsze czasy jego nazwisko, a sięgnął po liczman bezwartościowy, po tytuł hrabiowski, niewiadomo od kogo i za jakie zasługi otrzymany. Wybitny — bądź co bądź — obywatel nie umiał w tym razie zapanować nad słabością właściwą ludziom najpospolitszym.

5. Wołodkiewicz Konstanty, stworzył Bursę Akademicką w Krakowie, w której młodzież ucząca się za opłatą minimalną korzysta z mieszkania i utrzymania. Dwa pomniki na Plantach krakowskich — Fredry i Chopina — są fundacji tegoż Wołodkiewicza.

6. Zbyszewski Leon, zamieszkały na schyłku życia jako ksiądz, w Krakowie, stworzył tam zakład naukowo-wychowawczy wielkiego pożytku, dla przygotowania nauczycieli ludowych.

Teraz muszę z kolei powiedzieć cokolwiek o sobie: jakie materjały przywiozłem z sobą, co się dało z nich zrobić i co ostatecznie po 5 latach pobytu dla edukacji w Odesie

stamtąd wywiozłem. Na powyższe pytania nie mogę — niestety — dać odpowiedzi zupełnie zadawalniającej. Ojciec mój, skromny dla siebie, na edukację dzieci nie żałował; idąc za przykładem innych, wysłał pięciu synów, z których byłem najstarszym, do szkół odeskich, zaopatrzywszy w nauczyciela i życzliwą a gospodarną ochmistrzynię Annę Podhorodecką, która po śmierci nieodżałowanej matki mojej w r. 1844 zajęła się wychowaniem najmłodszego rodzeństwa mego, a wcielając się zupełnie do przybranej rodziny, przebyła w domu Iwańskich, w Olszance, aż do śmierci. Ani wychowanie domowe, ani też internat kijowski nie obudził we mnie ani chęci do nauk, ani też wogóle wyższych aspiracyj życiowych. Jechałem do Odesy z chęcią używania swobody, wstąpienie zaś do wyższego zakładu naukowego uważałem za konieczne dla dogodzenia pragnieniom ojca a wreszcie dlatego, że wszyscy młodzi przechodzić przez to musieli. Jedyną stroną dodatnią, jaką z wychowania domowego wyniosłem, a którą troskliwości rodziców zawdzięczam, było wczesne obudzenie zamiłowania do muzyki, która miała być dla mnie w przyszłości źródłem rozkoszy, a w chwilach ciężkich zaspokojeniem najpierwszych potrzeb życia.

Ojciec mój, wychowaniec bardzo niedostatecznych szkół bazyljańskich w Humaniu, pociągnięty lepszemi aspiracjami, ostatni rok kawalerski 1828 spędził w Warszawie, skąd przywiózł kompletną serję dzieł historycznych wydania Tadeusza Mostowskiego, oraz utwory muzyczne na skrzypce Rodego, Kreuzera i Baillota; jedno i drugie świadczyło tak o towarzystwie, w jakiem się w stolicy obracał, jak i o dobrych studjach muzycznych; jakoż znacznie później, improwizując w pokoju nawpół ciemnym, miękkiemi dźwiękami skrzypców swoich czarował mnie, jako dziecko jeszcze.

Nie wątpię, że zamiłowanie moje do muzyki zostało wtedy stanowczo rozbudzone. Okazało się przytem, że mam słuch dobry i pamięć muzyczną. Pierwszą nauczycielką moją tak muzyki, jak innych przedmiotów, była Teresa Kalinkowska, późniejsza Bielińska, a w ósmym roku życia grałem już poloneza Ogińskiego „*Les adieux à la patrie*“, zachwycając rodziców. Coroczna zmiana uczelni ani dla nauk ani też dla muzyki korzystną być nie mogła. Dopiero od trzyna-

stego roku życia miałem, jako uczeń, stałego nauczyciela gimnazjalnego, Szmitberga, który przyprowadził biegłość moją do względnej sprawności, umożliwiającej znośne wykonywanie modnych wówczas „Fantazyj“ Thalberga, pamiętał o przygotowaniu numeru popisowego na wakacje dla ojca, oraz uwertury na 8 rąk i 2 fortepiany z „Zampy“, albo z „Niemej z Portici“ na doroczny akt szkolny, czem miał zachwycać gości aktowych, niewybrednych popów i czynowników! Z lekcyj tych czteroletnich wykształcenie moje muzyczne korzyści prawie nie odniosło; traktowałem muzykę jako rozrywkę przyjemną dla siebie i kolegów, mając bowiem słuch i pamięć, wygrywałem pieśni polskie i ukraińskie i tańce, próbując nawet sił swoich na polu kompozycyj modnych wówczas „polek“. Jednakże nie mogę pominąć korzyści, jedynej chyba, jaką odniosłem, zaznajamiając się z Schubertem w przepysznym układzie Liszta, dziwnem jednak było, że Beethovena, tego duchowego ojca Schuberta, nietylko nie znałem, ale bodaj czy o nim cokolwiek słyszałem i czy nawet utwory jego gdziekolwiek słyszałem! Dopiero niezapomniany mój nauczyciel przyszły Czerny miał mi otworzyć podwoje do tej świątyni, z której rozkoszy po dzień dzisiejszy czerpać nie przestałem. Miałem w przyszłości nauczycieli sławniejszych od Czernego, początki jednak gruntownego ukształcenia muzycznego jemu zawdzięczam, a pośrednio ojcu, który dał mi nauczyciela, uważanego za najlepszego w Odesie, oraz nowiutki fortepian Streichera. (Najlepszych instrumentów dostarczały dwie fabryki paryskie, dotąd sławy używające: Pleyela i Erarda — pierwsze używane wyłącznie przez Chopina, a drugie przez Liszta. Wiedeńscy fabrykanci: Streicher, Schwejghofer i Bösendorfer następne po tamtych miejsce zajmowali).

Michał Czerny był bliskim krewnym znanego kompozytora i pedagoga Karola Czernego, którego z twarzy i z postaci przypominał. Powołany z Czech do kapeli Aleksandra Potockiego w Humaniu, bujał po Ukrainie — jak sam mi opowiadał — jeżdżąc po rozsianych w Humańszczyźnie ówczesnej dworach i dworkach dzierżawców i oficjalistów Potockiego, gdzie tylko były panny, aż wkońcu przyłapała go córka aptekarza z Sokołówki Stankiewiczówna, która mu

całe dalsze życie zepsuła i przedwcześnie do grobu wpędziła. Nauka moja trwała pięć lat, opłacana z początku przez ojca, a potem z własnej kasy studenckiej. Nie dała mi wiadomości teoretycznych, ale do pewnego stopnia praktycznie wykształciła. W uzdolnieniu mojem muzycznem, nie przechodzącem średniej miary, górowało poczucie smaku i temperament, tak przynajmniej powszechnie mówiono; sonatę Beethovena *(Cis mol)* jak i poloneza Chopina *(As dur)* grałem nie zupełnie poprawnie, ale z pamięci i z wielkim animuszem. Na postępy moje nie mało wpłynęło uczęszczanie na operę włoską, wcale dobrą i stale w Odesie przebywającą, oraz muzyka kameralna, uprawiana w domu Władysława Monastyrskiego głównie i innych domach, następnie duety ze skrzypcami, z tymże łaskawym dla mnie Monastyrskim grywane, a fortepianowe na 4 ręce z Karolem Marchockim i Kracerem, dobrymi muzykami wkońcu bywanie w domach muzykalnych Blumenfeldów, Taborowskich, Wicherskiego, wielkiego melomana, ks. Argutyńskiego-Dołgorukowa, pułkownika Gravais [12]) i innych. Pamięć tych wszystkich życzliwych dla młodziutkiego wówczas studenta z wdzięcznością dotąd przechowuję. Oprócz postępu w muzyce i wielkiego do historji zamiłowania, zapewne dzięki znakomitym wykładom profesora Bruna, żadnych korzyści naukowych ani ogólnych, ani też w zakresie nauki prawa, które studjowałem, nie wyniosłem, a wyniki takie były niestety udziałem wszystkich prawników.

W czasie pobytu mego w Liceum, zakład ten odwiedzali następujący wysocy goście: 1) wielcy książęta Mikołaj i Michał, dorodni i piękni chłopcy, w asystencji mentora, jenerała Fiłosofowa, którym przedstawiono studenta ks. Repnina, naturalnego syna ich ojca, cesarza Mikołaja; 2) księżna Woroncowowa, córka niefortunnego hetmana Branickiego i 3) wice-minister oświaty Norow, senator, o jednej nodze, drugą w r. 1812 postradał, w mundurze czerwonym. Ten jako odpowiedź na powitanie, zaczął ładnych na froncie uszykowanych chłopców z kursu I całować, powtarzając co chwila po ojcowsku: „Bóg z wami" — tak się jednak zmęczył, czy znudził, że się na kursie pierwszym skończyło, a jako znajdujący się wówczas na kursie III zostałem ominięty. Na tem się cała ceremonja skończyła.

ROZDZIAŁ III.

Wycieczki po kraju, podróże do Petersburga i Finlandji (1853—1858).

Od ukończenia nauk w liceum odeskiem w r. 1853 aż do pierwszego wyjazdu mego zagranicę w r. 1858 mieszkałem na Ukrainie w domu ojca, we wsi Olszance, wraz z siostrą dorastającą i panną Emilją Michalską, znajomą z Odesy, którą ojcu memu na towarzyszkę starszą dla siostry gorąco zaleciłem. W wyborze tym nie omyliłem się, gdyż p. Michalska, wychowana w atmosferze konarszczyzny na Podolu, wraz z siostrzenicą swoją, a koleżanką z Odesy siostry mojej, p. Haliną Koczorowską, późniejszą Karolową Lewicką, osobą pełną wdzięku, ożywiły dom nasz szlachecki, z powodu długoletniego wdowieństwa ojca mego nieco zapleśniały, wnosząc doń pierwiastki ożywcze.

Kraszewski i Korzeniowski, zarówno jak Pol i Syrokomla, panowali wówczas wszechwładnie w domach szlacheckich na Ukrainie, zmiatając z półek romansidła francuskie na język polski przekładane tak, jak nieco później Moniuszko, a w części Lubomirski i Każyński, rugowali włoszczyznę z fortepianów, zastępując ją pieśnią swojską.

Oprócz powyższych ulubieńców czytającej publiczności kółko olszanieckie, a potrosze i okolica, zaznajomiła się — dzięki p. Michalskiej — z „Przedświtem", „Nieboską", „Irydjonem" i t. d., przy takich zaś warunkach smak się wyrabiał i patrjotyzm krzewił. Asystując siostrze na balach w sąsiednim domu pp. Kotowiczów, poznałem p. Marcelinę z Kotowiczów Darowską, założycielkę znanych zakładów religijno-naukowych w Galicji, osobę pełną powabu towarzyskiego, oraz szwagra jej Ignacego Kopczyńskiego, który w najcięż-

szych czasach mikołajowskich utrzymywał stosunki z emigracją naszą w Paryżu, zasilając kraj książkami, srodze wtedy zabronionemi.

Po wyjeździe z Olszanki p. Michalskiej, zastąpionej niefortunnie przez figurantkę, charakter domu naszego ku szablonowi pospolitości pochylać się zaczął, rola przytem brata przy siostrze, pannie na wydaniu, zbyt ciężką była dla mnie. Już mi nie wystarczały perjodyczne wycieczki orzeźwiające do Kijowa i na Podole, rwałem się na świat szerszy i w okresie tym kilkoletnim odbyłem dwie podróże na Litwę i dwie do Petersburga, przygotowując się powoli do zagranicznej.

Podróż na Litwę, właściwie do Wilna, miała na celu prócz zwiedzenia kraju poznanie Moniuszki i korzyści muzyczne, mające stąd na mnie spłynąć. Utwory kompozytora tego poraz pierwszy w Kijowie słyszałem, dzięki znajomości z dobrym muzykiem miejscowym, Marcelim Jasińskim, organizatorem koncertów studenckich, na które w czasie bytności w Kijowie chętnie uczęszczałem.

Dzięki wspomnieniom, przyniesionym przez wychowańców Wilna i Krzemieńca, oraz wpływom ziemiaństwa miejscowego polskiego, Kijów stał się prawdziwym ogniskiem kultury polskiej na Rusi. To, co zaznaczyłem w rozdziale pierwszym o wzajemnym stosunku młodzieży szkolnej polskiej i ruskiej w Kijowie, da się zastosować i do studentów, a nawet do stosunków towarzyskich, poza Uinwersytetem: Polacy górowali wszędzie kulturą i pewien ton miastu nadawali. Rodziny przybyłe dla wychowania dzieci mieściły się przeważnie przy ulicach, przylegających do placu uniwersyteckiego; miejscowość ta była prawdziwym „*Quartier latin*“ kijowskiem, w którem obok kółek studenckich świeciły zespolone z niemi ogniska rodzinne. [13])

W gościnnym domu pp. Rozesławostwa Rylskich, gdzie wychowywał się sympatyczny i inteligentny syn ich, znany później ukrainofil, Tadeusz, przedstawiony byłem Michałowi Grabowskiemu, którego powieści na tle ukraińskiem czytywaliśmy jako uczniowie jeszcze w sekrecie, prenumerując książki od Teofila Glücksberga, jedynego wówczas księgarza polskiego w Kijowie; miałem też przyjemność zabawiać się w domu tym w „rubla“ albo w „klapsy“ z dwiema córkami

pana Michała, przezwanemi przez młodzież „Literaturą“ i „Krytyką“, co było aluzją do wydanego pod powyższym tytułem dzieła ich ojca. Uczęszczając do kół studenckich, oprócz wspomnianego już muzyka Jasińskiego poznałem Leonarda Sowińskiego, studenta wówczas, i Aleksandra Jabłonowskiego, który po odbyciu studjów naukowych w Kijowie i Dorpacie znajdował się w charakterze mentora przy studentach Brzozowskich z Pobereża; następnie poznałem Ksawerego Pietraszkiewicza, byłego studenta kijowskiego, który po odbyciu na Kaukazie kary w randze prostego żołnierza, z kulą w brzuchu, niewyjętą do śmierci, i orderem św. Jerzego do kraju powrócił i owocną pracę pedagogiczną rozpoczął.

W tymże domu pp. Rylskich przedstawiony byłem księżnej Trubeckiej, matce gospodyni domu, znanej stąd, iż ojciec jej Walenty Rościszewski obdarzony został przez cesarza Aleksandra I orderem, co dało powód złośliwemu dowcipnisiowi do puszczenia w obieg dwuwiersza: „Za pannę dostał Annę“.

Podróż moją pierwszą do Wilna połączyłem z odwiedzinami stolicy nad Newą z powodów następujących. Gdy były jenerał-gubernator Bibikow został ministrem spraw wewnętrznych, wyszło rozporządzenie, ażeby synowie każdego ziemianina Polaka, posiadającego sto dusz na ziemi swej osiadłych, tak bowiem wartość majątków aż do emancypacji włościan taksowano, odbywali obowiązkową służbę wojskową, albo dosługiwali się rang w kancelarjach rządowych cywilnych. Rozporządzenie to wywołało wśród Polaków na Rusi zamieszkałych wielkie poruszenie. Ojciec mój, mając na ziemi swojej kilkaset dusz włościan osiadłych, a sześciu synów, przedsięwziął uciążliwą podróż do stolicy z dwoma synami, by ich w zakładzie wojskowo-naukowym umieścić, znalazł jednak na miejscu opiekuna tak nieodpowiedniego, że po roku użytym na przygotowanie jeden z synów — Edward — nie mógł zgoła złożyć egzaminu, drugiego zaś — Henryka zamiast do szkoły wojskowo-naukowej, wpakowano do korpusu kadetów, do tego na koszt rządowy, t. j. z obowiązkiem odsługiwania po ukończeniu nauk, o co znowu ojciec wcale nie prosił.

Powyższa okoliczność, jak również niski poziom zakładu naukowego i atmosfera w nim panująca, spokoju mi nie dawały, dopóki brata z korpusu nie wyciągnąłem. Tym przygodnem opiekunem braci moich w stolicy był p. Hausman, rodem z Litwy, żona była krakowianka, dzieci zaś wychowywane przez sługi miejscowe rozmawiały ze sobą i rodzicami po rosyjsku: podobna mniej więcej atmosfera panowała pośród niższych a nawet wyższych urzędników Polaków, których Litwa i Białoruś w obfitości stolicy dostarczały.

Zaopatrzywszy się w pakę mazurków wielkanocnych, których brat mój od lat trzech nie widział, wyruszyłem w kwietniu 1855 roku z Kijowa z przygodną ze sfery kupieckiej towarzyszką tarantasem pocztowym (pudło na dwóch długich drągach w środku osadzone z budą, albo bez niej, używane powszechnie w Rosji) do Moskwy, bez zatrzymywania się, a stamtąd — poraz pierwszy w życiu — drogą żelazną do Petersburga. Krótko bawiłem w stolicy byłego Księstwa Moskiewskiego, samotny, bez znajomego, nawet bez przewodnika drukowanego, bo przed narodzinami Baedeckera. Silne wrażenie wywarł na mnie Kremlin, tak ogromem, jak niezwykłą mieszaniną pierwiastków architektonicznych: bizantyńskiego — w niezliczonej ilości niskich kopuł złoconych, zachodniego — w wieżyczkach, zdobiących mur opasujący, i typowego wschodniego w cerkwi św. Bazylego. Ze wzruszeniem oglądałem dwa trony polskie Aleksandra i Mikołaja oraz niezliczone inne pamiątki polskie w t. zw. „*Granowitej Pałacie*“ (muzeum).

Odwiedzałem następnie pomnik Minina i Pożarskiego. Kościół katolicki św. Piotra i Pawła, parafjalny, posiadał księży polskich i niemieckich; w drugim kościele, przez Francuzów obsługiwanym, uwagę moją zwróciły ławki na klucz zamykane z rosyjskiemi nazwiskami: Roztopczynów, Golicynów i innych, do arystokracji należących rodów.

Z powodu licznych kanałów, miasto przecinających, porównywano niejednokrotnie Petersburg z Wenecją, lub Amsterdamem. Wspólne cechy miast tych polegają na tem, że z powodu pobudowania ich na bagnach głębokość i odporność fundamentu gmachu każdego musi odpowiadać wysokości jego zewnętrznej i mocy. Znajdując się na cmentarzu,

byłem świadkiem, jak po wykopaniu około pół łokcia ziemi musiano wygrzebywać błoto i wodę wyczerpywać w celu otrzymania względnie suchego dołu. Pomimo całej przezorności architektów, los Campanilli weneckiej może z czasem stolicy północnej zagrażać. Renesansowy św. Izaak, całkiem z granitu w połowie XIX wieku pobudowany, już się zarysowuje i w nieustannej jest reparacji z powodu prawdopodobnie nieodpowiedniego stosunku fundamentu do przeładowanego granitem i marmurem gmachu. Różnica pomiędzy królową Adrjatyku a stolicą północną na tem polega, iż pierwsza z nich własną architekturę stworzyła, że posiada marmury, pałace, przedewszystkiem zaś błękit morza i nieba, gdy druga nawskroś szarzyzną jest okolona, w ciągu ośmiu miesięcy pozbawiona zieloności, marmury zaś swoje ozdobne nakrywać lub usuwać w tym czasie musi. Na korzyść znowu Petersburga przemawia to, iż po obu stronach kanałów jest miejsce dla ruchu konnego i pieszego, co ożywienie i urozmaicenie sprawia, w przeciwieństwie do smutkiem przejmującej martwoty Wenecji. Chyba odpowiedniejsze jest porównanie Petersburga z jego pierwowzorem holenderskim, tak z powodu terenu mokrego, jak wilgotnego klimatu. Bądź co bądź, jakkolwiek warunków zdrowotnych i przyjemnych pozbawiona, z wyglądu zaś zimna i sztywna, jak każde miasto bez przeszłości, wspaniałą wszakże i monumentalną jest stolica północna, co szczególnie od strony morza uwidocznia się, od wypłynięcia z zatoki Fińskiej i wejścia do Newy. Wyłażące z wody ciężkie forty kronsztadzkie, warsztaty okrętowe, mnogość statków z całego świata przybyłych, piękna rzeka i wspaniale zabudowane wybrzeża, wszystko sprawia na podróżnym wrażenia wielkości, siły i potęgi.

Cokolwiek jest ciekawszego pod względem architektury, znajduje się w pobliżu rzeki, pozatem miasto jest nowożytnym szablonem, z pewnemi cechami Wschodu, jakie mu złocone kopuły, mniej więcej bizantyńskie, nadają.

Przyjechałem do stolicy Rosji w parę miesięcy po śmierci cesarza Mikołaja. Po ogólnem za jego panowania naprężeniu dawało się odczuwać we wszystkich sferach i stosunkach tchnienie swobody i nadziei nieokreślonych. Roz-

porządzenie bibikowskie, dotyczące dzieci ziemian polskich, poszło w zapomnienie, co dało mi możność przygotowania się do wydobycia brata z korpusu: jakoż w roku 1855 podał mój ojciec prośbę o pozwolenie wnoszenia opłaty za naukę, następnie prosił o zupełne uwolnienie syna, którego też w roku następnym — 1856 — do domu przywiozłem.

Przyjazd mój całkiem niespodziewany do Petersburga radość wielką sprawił tak bratu memu jak i mnie, przykrości tylko doznałem, słuchając jego zepsutej polszczyzny. Muszę nadmienić, że w tym samym korpusie wychowywał się syn Szamila, ostatniego bohatera zawojowanych w tym czasie Czerkiesów na Kaukazie. Niedziele i święta z bratem spędzałem, pozostałe dni użyte były na zwiedzanie osobliwości stolicy, do czego wskazówki otrzymywałem od dwóch dobrych znajomych, jakich tu zastałem: pierwszym był Jarosław Serbinowicz, wychowaniec Uniwersytetu Kijowskiego, a drugim Leonard Straszyński z Ukrainy, kolega mój gimnazjalny. Arjańska rodzina Serbinowiczów wyniosła się za Jana Kaźmierza z ziemi Sandomierskiej za Dniepr, gdzie z czasem zupełnie zruszczała. Potomek rodziny tej, Jarosław, z Pruszyńskiej urodzony, dzięki koligacjom z rodzinami polskiemi i wpływom ówczesnego Uniwersytetu Kijowskiego poczuwał się wraz z matką do polskości, w przeciwieństwie do ojca i brata starszego, którzy zostali Rosjanami (rozdźwięk w rodzinie jako zwykłe mieszanych małżeństw następstwo). Za młodu ukochał Jarosław ziemię Wołyńską i marzył, by w starości na niej osiąść, co też po kilkudziesięciu latach pracy dokonał, kupując kawał ziemi w okolicy Łucka; niedługo jednak cieszył się tym nabytkiem, umarł w Kijowie w r. 1904, część funduszu zapisując na cele publiczne, częścią zaś obdarzył ze wszech miar godną towarzyszkę życia Klarę z Morgulców Serbinowiczową.

Kolegę Straszyńskiego zastałem jako laureata Akademji Sztuk Pięknych w czasie, gdy za „Wallensteina“ złoty medal i pięcioletnie stypendjum na wyjazd zagranicę otrzymał. Zastałem go przy pracy, przed wielkiem płótnem, mającem przedstawiać Bossueta czytającego utwór swój w hotelu Rambouillet, do którego na żądanie artysty pozowałem, jako markiz Rambouillet, odwiedzając przy tej zręczności często

kolegę w pracowni jego w Akademji. U Straszyńskiego spotkałem znajomego z Odesy, wówczas ucznia Akademji, Stanisława Chlebowskiego, Ukraińca, z Padlewskiej urodzonego, długoletniego potem nadwornego malarza Jego Sułtańskiej Mości, dla którego ogromne płótno, „Zdobycie Konstantynopola“ przedstawiające, malował. Poznałem tam jeszcze akademika Mikieszyna, twórcę pomnika Chmielnickiego w Kijowie, rodem z Litwy, który sam opowiadał, że dziad jego jeszcze się Mikieszą nazywał i do polskości się poczuwał: wszyscy trzej akademicy przyozdobili album mój w cenne szkice ołówkowe. Oprowadzał mnie Straszyński po Ermitażu, arcydzieła wskazując, wyszedłem jednak stamtąd jak z lasu, nie zdając sobie sprawy z tego, com widział. W dworach naszych na Ukrainie malowideł zgoła nie widywałem: były co najwyżej portrety familijne; w biurokratycznym zaś Kijowie i handlowej Odesie miejsca dla muzeum wówczas nie było. Całkiem odmienne wrażenie wyniosłem z cesarskiego Dworca Zimowego, gdzie bardziej dostępne pejzaże morskie Ajwazowskiego i epizody z wojen niedawnych pendzla Horacego Verneta w zachwyt mnie wprowadzały. Dworzec Zimowy jest ciężkim barokiem z wieku XVIII, pobudowanym za cesarzowej Elżbiety przez Rastrelliego, budowniczego św. Andrzeja w Kijowie. Wewnętrzne urządzenia pałacu tego są najzupełniej szablonowe. Z pośród innych wyróżnia się tak zewnątrz jak wewnątrz pałac tak zw. Marmurowy, przeznaczony ongiś dla Stanisława Augusta, a podczas mej bytności przez w. księcia Konstantego Mikołajewicza zamieszkały.

Pałac w Gatczynie robi wrażenie dworu zamożnego ziemianina z komfortem urządzonego; pokazywano mi tam żołnierskie łóżko Mikołaja I-go z siennikiem zamiast materaca, widziałem też „Wallensteina“ Straszyńskiego i Horacego Verneta „Kawalkatę“, naturalnej wielkości jeźdźców, twarzą do widza obróconych, a przedstawiających rodzinę cesarską z Mikołajem i jego żoną na pierwszym planie. [14])

Z parków zamiejskich Peterhofski nad zatoką Fińską z powodu wspaniałych drzew starożytnych, tworzących mniejsze lub większe bryły geometryczne, jest kopją Wersalu albo Schönbrunu; parki Carskosielski i Pawłowski są

w stylu angielskim: pierwszy łączy się z fermą i zwierzyńcem, drugi — o gruncie falistym i względnie suchym — dodatnie sprawia wrażenie. W Pawłowsku grywała raz w tygodniu orkiestra wiedeńska Straussa, nie pamiętam, Jana czy Józefa. Tak zw. Ogród Letni jest jedynem w samem mieście schroniskiem w czasie upałów: miłe w nim wrażenie sprawia posąg słynnego bajkopisarza Kryłowa, pośród dużego miejsca dla zabawy dziatwy przeznaczonego; zato widok marmurowych biustów królów i królowych z Warszawy tu przywiezionych, bez rąk a często bez nosów, bolesne w zwiedzającym Polaku wspomnienia wywołuje.

Z posągów, znajdujących się w stolicy, dwa szczególnie na uwagę zasługują: Piotra Wielkiego, przed Senatem, dłuta Falconeta, ze znanym napisem Voltaire'a „*Petro primo Catherina secunda*", i kolumna Aleksandra tuż obok Ermitażu z monolitu granitowego.

Arcydzieło Houdona: „Voltaire", w postaci siedzącej, z uśmiechem sarkastycznym, tak żywy, jak gdyby przed chwilą mówić przestał, umieszczony jest w jednej z galeryj Ermitażu. Drugi taki sam egzemplarz tegoż artysty znajduje się w foyer Comédie Française w Paryżu.

Świątynie Petersburga wielką przedstawiają rozmaitość. Obok cerkwi i kościołów, są tu zbory protestanckie wszelkich odcieni, zacząwszy od najmniej — pod względem form zewnętrznych — oddalonego od katolicyzmu obrządku anglikańskiego, aż do surowego kalwinizmu. Możnaby sądzić, że w kraju tym panuje bezwzględna swoboda religijna, a niepodobnem byłoby przypuszczenie, ażeby religja mogła być tu służebnicą polityki.

Z cerkwi tutejszych dwie mają wygląd europejski: św. Izaaka w stylu renesansu włoskiego, przez architektę Monferranda za panowania Mikołaja wzniesiony, podobniusieńki ze stylu do św. Piotra w Rzymie, św. Pawła w Londynie i do Panteonu w Paryżu, różniąc się jednak od swych starszych siostrzyc tem, iż, mając kształt krzyża greckiego, posiada cztery frontony, przez monolity granitowe podtrzymywane i że oprócz głównej kopuły ma cztery dokoła mniejsze, wszystkie zaś są pozłacane, co dało powód podróżującemu Francuzowi do porównania świątyni do samowara, „*avec*

quatre tasses". Świątynią o kopule również renesansowej włoskiej jest sobór Kazański, ozdobiony wspaniałą w półkole zarysowaną kolumnadą na wzór rzymskiej św. Piotra. Kościołów katolickich jest trzy: św. Katarzyny, przez dominikanów obsługiwany, chroniący w swych podziemiach — dziwnym zbiegiem losów — zwłoki Stanisława Augusta i marszałka Francji Moreau; gdy, poszukując nagrobka pierwszego z nich, odwołałem się z pytaniem do wychodzącego z zakrystji sługi kościelnego, wskazał mi u samego progu płytę kamienną, na której właśnie stałem, gdzie ze smutkiem zacierający się odpowiedni napis odczytałem. Moreau doczekał się nagrobka we framudze kościelnej, którego królowi polskiemu odmówiono. Drugi kościół t. zw. Maltański, fundowany został przez cesarza Pawła, jako noszącego tytuł mistrza tego zakonu, trzeci zaś św. Stanisława w oddalonej części miasta przeważnie przez żołnierzy był uczęszczany.

Nie mając ustalonych przekonań religijnych w dobie młodzieńczej, a więc największego niepokoju i zainteresowania się tą kwestją, po wysłuchaniu wraz z bratem rannej mszy u św. Katarzyny, biegałem potem już sam od jednej świątyni do drugiej, znajdując względne uspokojenie w kalwińskiej, gdzie całą naukę zwykle do końca wysłuchiwałem.

W czasie bytności mojej w stolicy flota angielska znajdowała się na Bałtyku, Petersburg zaś, podzielony na cztery jenerał-gubernatorstwa, był na stopie wojennej. Zwiedzając okolice podmiejskie, gdy przy moście na wyspie Jełagina z planem w ręku nieco dłużej się zatrzymałem, a miałem na sobie włoską almawinę czarną i takiż kapelusz, zaczęli się zbierać przechodnie, znalazł się też i policjant, który mnie do jenerał-gubernatora hr. Tołstoja pociągnął, po obejrzeniu jednak paszportu i rozmówieniu się uwolnił mnie hrabia niezwłocznie, dodając: „*Je vous conseille de changer votre costume, parcequ'on vous prend pour un etranger*".

Opowiadając o przygodzie tej w klubie wojskowym, w obecności Ryszarda Małachowskiego, który mi to powtórzył, zauważył Tołstoj, że gdyby nie interwencja policjanta w porę, mogłem być przez tłum poturbowany. Zapomniałem wyżej nadmienić, że zastałem w stolicy dom familijny, dobrze mi z czasów odeskich znany, pani Pulcherji z Marchoc-

kich Małachowskiej i syna jej Ryszarda, oficera gwardji, zacnego, jak wszyscy Małachowscy, człowieka, przytem gentlemana bez skazy.

W parę dni po przyjeździe do stolicy, zanim przyprowadziłem do porządku garderobę moją, zaglądnąłem do pewnego muzeum, a że miałem na sobie burkę ukraińską, wygalowany szwajcar powiedział mi, że wstęp do muzeum jest wyłącznie dla *błagorodnych*, co znaczy dla dobrze urodzonych. Gdy w parę dziesiątków lat potem spotykałem snujących się po muzeach francuskich i włoskich robotników w bluzach i żołnierzy, wspominałem nieraz o danej mi w muzeum petersburskiem przed laty odprawie.

Gdym się bratem nacieszył i ciekawość podróżnika zaspokoił, wyruszyłem w czerwcu 1855 r., z przygodnym podróżnym pocztą do Wilna. Przejeżdżałem przez Estonję, Inflanty i Kurlandję, kraje zagospodarowane i po europejsku urządzone: zboża piękne, lasy starannie utrzymane, drogi bite, fermy murowane, bydło rasowe, a wszędzie ład i porządek, na wszystko taksa, żadnego wyzysku ani na stacjach pocztowych ani w miastach. Pomyślałem mimowoli, zwracając się do swego kraju, oby ta z Zachodu płynąca kultura jak najszersze kręgi zatoczyć mogła.

W Narwie zachwycałem się wspaniałym rzeki tegoż nazwiska wodospadem, zmienne losy Karola XII wspominając. Do Wendenu zbaczałem dla obejrzenia starych zwalisk. Rygę też i Mitawę po drodze zwiedziłem. Pierwsza z nich o gmachach wysokich, a wąskich ulicach, podobna jest do siostrzyc swoich hanzeatyckich w Niemczech; miejsce fortecy starodawnej zastąpiły nowożytne plantacje ogrodowe, za któremi rozciągają się po europejsku urządzone przedmieścia. *Domkirche* i *Peterskirche* — dawniejsze świątynie katolickie — oraz *Schwarzhäupterhaus* mieszczą ciekawe zabytki średniowiecznej sztuki niemieckiej. W Mitawie góruje olbrzymi zamek, nie ustosunkowany ani do byłego księstwa, ani do miasta, o typie mieszanym, nad rzeczką Aa położony. W podziemiach zamku pokazują doskonale zachowaną mumję zmarłego przed stu przeszło laty Birona, księcia Kurlandji.

Zatrzymywałem się też w Dorpacie, skąd — spotykając wciąż jadących na wakacje studentów — najprzyjemniej do samego Wilna dojechałem.

Znalazłem się w Wilnie w trzydzieści lat po panowaniu tam filaretów, których tradycje, podtrzymywane przez ludzi żywych, nie zaginęły. Wspomnienia te, jak również okolica zachwycająca, sprawiły na mnie niedające się opisać wrażenie; przytem w mieście tem nawskroś polskiem, czułem się jak w domu, jak u siebie.

Zamieszkałem na rogu placu Biskupiego, obok pamiętnych Dominikanów. Gdy się po studencku urządziłem i po raz pierwszy widziane miasto obleciałem, podążyłem do domu Millera przy ulicy Niemieckiej dla złożenia hołdu mistrzowi pieśni polskiej, oraz z prośbą o lekcje gry fortepianowej. Niezmiernie miłe wrażenie sprawia zawsze widok powagi ze skromnością i ujmującą dobrocią połączony.

Wzrostu średniego, w miarę korpulentny, o włosach ciemno-blond, nieco w rudziznę przechodzących, o spojrzeniu rozumnem, Moniuszko Cavoura przypominał. Zastałem go przy stojącem biurku, które wraz z fortepianem Krala w samym środku pokoju umieszczone, stanowiło jedyne tej pracowni umeblowanie, piętrzącemi się na ścianach malowidłami uzupełnione. Malowidła te pochodziły z galerji stryja, zamożnego ziemianina z Mińszczyzny. Gdy na prośbę o lekcje przychylną odpowiedź otrzymałem, zapytany zkolei o honorarjum, z całą skromnością odpowiedział, że zwykle pobiera od rubla do dziesięciu złotych za godzinę; wybrałem oczywiście cenę maksymalną, lekcje zaś odbywały się co drugi dzień, a trwały półtora miesiąca. Czas ten wypełnił wskazany przez Moniuszkę Mendelsohn i — na wyraźne żądanie moje — własne mistrza polonezy. Moniuszko nie był fachowym nauczycielem gry fortepianowej, strona przeto techniczna gry mojej nie została przezeń udoskonalona, ale samo obcowanie z osobistością tak bardzo muzykalną i wogóle wysoce kulturalną wielkie korzyści przedstawiało tak dla wyrobienia smaku, jak również dla poznania charakteru muzyki współczesnej, jak i dawniejszej, do czego pomagało mi słuchanie w kościele akademickim św. Jana utworów organowych Mistrza, w których celował jako kompozytor

i jako wykonawca. Nie liryczne i dramatyczne kompozycje, ani nawet pieśni tak swojskie i miłe dla nas, ale pełne natchnienia utwory religijne, niestety mało u nas znane, największą sławę Moniuszce — w przekonaniu mojem — zapewniają; dodać przytem należy, że gdy po Mozarcie i Cherubinim w dobie rewolucyjnej rozwielmożnił się w muzyce religijnej pierwiastek dramatyczny i zaprzestano ją traktować *alla Palestrina*, utwory Moniuszki czystość pierwotną w muzyce kościelnej zachowały.

Przy końcu lipca wypadło Moniuszce wyjechać w interesie terminowym do krewnych swoich Wańkowiczów, pod Mińskiem zamieszkałych, a więc i lekcje moje na dłuższą przerwę miały być narażone. Ponieważ i ja w powrocie do domu Mińska ominąć nie mogłem, podróż parodniowa w miłem towarzystwie uśmiechała mi się bardzo; obiecując sobie przeto ponowienie odwiedzin Wilna w roku przyszłym na czas dłuższy, pożegnałem Górę Zamkową, kaplicę św. Kazimierza, Kościół Akademicki, i razem z ukochanym Mistrzem wyruszyliśmy wózkiem pocztowym, po rosyjsku „perekładną“ zwanym, do Mińska, gdzie mieliśmy się rozstać. Z podróży tej zachowałem w pamięci szczegół następujący. W czasie zatrzymania się w miasteczku Smorgoniach, gdym siedział na bryczce, zostałem energicznie wezwany przez towarzysza do karczmy dla oglądania — po raz pierwszy w życiu — tańca białoruskiego „miecielicą“ zwanego, polegającego głównie na szalonym w kółku wirowaniu. Po karczmach, oraz na tratwach, pływając z flisakami po Wilji i Niemnie, wchłaniał Moniuszko w siebie podania i pieśni ludowe, które miały w przyszłości utwory jego muzyczne zabarwiać. W miasteczku znajdowała się — żartobliwie nazywana — „akademja“, gdzie tresowano niedźwiadki, przed wypuszczeniem ich na wielkoświatową po jarmarkach włóczęgę; nauka polegała na tem, iż wprowadzano zwierzęta na płytę ogrzaną, a że łapy tylne były zabezpieczone, przednie zaś obnażone, te ostatnie z konieczności niedźwiedź do góry podnosił, przyzwyczajając się do chodzenia na dwóch łapach.

W lipcu 1855 r. panowała na Litwie cholera. Młodzieńcze ignorowanie higjeny oraz wózek z siedzeniem na osiach

sprawiły, że po przyjeździe do Mińska na dobre się rozchorowałem.

Zatrzymałem się w zajeździe żydowskim pani Polakowej, hoteli wówczas w Mińsku nie było, i zostawałem pod jedyną opieką usłużnego Żydka, „miszuresem“ zwanego. Zajazd to był najlepszy w Mińsku, na co jako dowód służyć może, iż numer pierwszy stanowił największą salę w mieście, w której odbywał się w tym roku koncert Apolinarego Kątskiego, zbierającego po całym kraju fundusze na utworzenie konserwatorjum muzycznego w Warszawie. Cena była rubla na dobę, sąsiedni zaś numer, który zająłem, kosztował 40 groszy, wedle ówczesnego zwyczaju rachowania.

Jakkolwiek Moniuszko zmuszony był niezwłocznie po przyjeździe Mińsk opuścić, czuwał jednak zdaleka nade mną. Po ciężko przebytej nocy ujrzałem nazajutrz bardzo rano przed sobą poważnego jegomościa, który po niedługich ceregielach przeniósł mię chorego pod gościnną, nigdy przeze mnie niezapomnianą strzechę doktorstwa Spasowiczów. Polskie to nawskroś ognisko składało się wówczas z p. Daniela, głowy rodziny, małżonki jego, dwóch córek, z których starsza Alicja pięknym głosem obdarzona, umiała doskonale pieśni Moniuszki wykonywać, Bronisława Hasforta, ziemianina z Polesia kijowskiego, narzeczonego starszej Spasowiczówny, i przybyłego na wakacje do rodziców syna Włodzimierza, który w tym właśnie w 1855 r. debiutował na polu naukowem, jako tłumacz z języka łacińskiego na polski „Historji Polski“ Rudawskiego. (P. Daniel ochrzczony był przez księdza unickiego, tem się tłumaczy, iż rodzina jego zapisana była „formalnie“ do prawosławnych).

Po wyzdrowieniu i kilkudniowym wypoczynku opuściłem ten dom szanowny, przejęty dla nich wdzięcznością, i w miłem towarzystwie p. Hasforta dojechałem pocztą do Żytomierza, pozostałą zaś drogę do ojcowskiego domu sam już przebyłem. Muszę tu nadmienić, że ów jegomość, który się mną na prośbę Moniuszki zaopiekował, nazywał się Merło, był to zesłaniec z Kaukazu wrócony, stary kawaler, znany w całym Mińsku filantrop.

W okresie czasu opisywanym tradycje barbarzyństwa „humańskiego“ (1768 r.) przechowywały się wówczas już

w trzeciem pokoleniu, pamiętam zaś dobrze tak plotki rozsiewane przed Wielkanocą o nożach poświęconych, znajdujących się w cerkwiach, jak również szepty rodziców na ten temat do domowników, które w dzieciństwie srodze mnie przerażały. Całkiem odmiennego charakteru był objaw w czasie wojny krymskiej w powiatach taraszczańskim i skwirskim gub. kijowskiej, a prawdopodobnie i w innych. Mianowicie ruch wśród włościan wszczął się z nieokreśloną bliżej myślą utworzenia stowarzyszenia „wolnych kozaków".

Ruch ten był wymierzony przeciw biurokracji i własnemu duchowieństwu, które o ukrywanie odnośnego ukazu carskiego pomawiano: poddawano przytem niejednokrotnie duchownych pewnemu terorowi, zamykając np. w piwnicach lub głodząc w celu wykrycia chowanego jakoby przez nich ukazu. Czy ruch ten był w jakimkolwiek związku z formującym się w tym czasie w Stambule oddziałem kozaków „sułtańskich", który żadnego jednak udziału w wojnie nie przyjmował, danych żadnych nie mam; wiem tyle tylko, że agitującego wśród włościan studenta uniwersytetu kijowskiego Rozentala, syna oficjalisty ze wsi Rozumnicy, do dóbr białocerkiewskich należącej, policja po długich poszukiwaniach aresztowała. Kompromitującą tedy bardzo, a zgoła nieuzasadnioną była ucieczka z powodu ruchu powyżej opisanego półpanków skwirskich wraz z rodzinami do miasta [15]). Inny w czasie tym fakt ciekawy zanotować mi wypada, a mianowicie wywiezienie bez sądu do Saratowa czterech ziemian z pow. berdyczowskiego: dwóch braci Drohomireckich z Turbowa, Witalisa Morgulca i dr. Aleksandra Izbickiego, prawdopodobnie skutkiem niesprawdzonej denuncjacji miejscowej policji.

Pomimo powabów, jakich mi Ukraina dostarczała, żyłem wciąż wspomnieniami Litwy, przygotowując się do powtórzenia odwiedzin Wilna na czas dłuższy; tymczasem kilka tygodni wielkopostnych r. 1856 spędziłem w domu pp. Edwardostwa Starzyńskich w Płoskirowskiem. Nie była to pierwsza bytność moja w tym domu. Wędrówki moje podolskie rozpoczęły się, gdy byłem na kursie pierwszym Liceum odeskiego. Westalką domowego ogniska w Bujwołowcach była pani Kornelja z Raciborowskich Starzyńska, osoba zac-

nego charakteru, starannie wychowana i edukowana, utalentowana przytem a pełna wdzięku niezrównanego. W domu jej często przebywał szanowny ojciec jej Zygmunt Raciborowski senjor, odwiedzali zaś: sympatyczny poeta Karol Kruzer, fundator główny teatru krakowskiego, którego popiersie zupełnie podobne tam się w westibulu znajduje, przepysznie deklamujący Krasińskiego i innych poetów, oraz Michał Zawadzki, wygrywający na fortepianie oryginalne i improwizowane „dumki" ukraińskie. W czasie tym poznałem czcigodnego d-ra Tomasza Baranieckiego z Jarmoliniec, Zygmunta Starorypińskiego z Korabczejówki, Zygmunta Czerwińskiego z Kuźmińczyka, Tytusa Orlikowskiego i innych: był to kwiat obywatelstwa miejscowego, a w niedalekiej przyszłości moralni przywódcy Podola. Piszący te słowa wiele zawdzięcza wpływom tej atmosfery, w której miał szczęście na Podolu przebywać.[16])

Po spędzeniu świąt Wielkanocnych w 1856 r. w domu p. Starzyńskich wyruszyłem z bratem samej pani, Zygmuntem Raciborowskim juniorem pocztą wprost do Wilna, przebywając Polesie w całej szerokości.

Po zniesieniu Uniwersytetu a następnie Akademji Medycznej pozostawało Wilno po długim letargu pod wpływem orzeźwiających nadziei, do jakich nowe panowanie poniekąd upoważniało. Ożywienie to dawało się spostrzegać we wszystkich sferach towarzyskich, do pracy społecznej przenikając. Cenzura stała się łagodniejszą, scena polska ożywiła się, a utwór Syrokomli „Karliński", w którym się prądy społeczne ścierają, chociaż słaby jako dramat, zapał powszechny wywoływał. Potrzeba stworzenia wielkiego dziennika społeczno-politycznego, zamiast odwiecznego „Kurjera Wileńskiego", w dwóch językach pod srogą cenzurą Kukolnika wydawanego, dawała się powszechnie odczuwać. Publiczność wileńska i prowincjonalna nie mogła zadawalniać się dłużej wiadomościami o uroczystościach dworskich, nominacjach i nagrodach, innego pokarmu potrzebując. Kwestja przyszłego dziennika poruszała całą inteligentną ludność miasta, z odgłosem zaś tym spotkaliśmy się na „poobiedziach literackich" urządzanych przez p. Dłuż-

niewskiego z Białejrusi, przybyłego wraz z innymi na świętojerskie kontrakty do Wilna.

Toczyły się tam gorące na temat przyszłego dziennika rozprawy, przeplatane deklamacją Odyńca i Syrokomli. Na pierwszem zebraniu spotkałem — z przyjemnem zdziwieniem — koleżkę z pensjonu Hédouina Mikołaja Tyszkiewicza, z Ukrainy, w mundurze wojskowym. Zapewne dobra atmosfera Tyszkiewiczów litewskich owiała wychowanka Korpusu Paziów, tem tylko można było tłumaczyć obecność jego u p. Dłużniewskiego. Oprócz tych czasowych kontraktowych, były stałe dni zebrań u księżnej Gabrjelowej Ogińskiej w niedziele i u Odyńca w piątki: na pierwsze wprowadził nas kurator honorowy Okręgu Naukowego Michał Baliński, autor „Starożytnej Polski", nie pedant wcale ale najmilszy w towarzystwie europejczyk w każdym calu. W salonach Księżnej spotykaliśmy towarzystwo wytworne, zabarwione emalją swojską, litewską. U Odyńca znajdowaliśmy się w gronie literatów, wśród których znaczny był odsetek prałatów i kanoników. Z duchownych tych wyróżniał się talentem krasomówczym ksiądz Ważyński, który przemawiał u św. Piotra na Antokolu językiem nietyle silnym ile kwiecistym. Do księdza Bereśniewicza — biskupa późniejszego kalisko-kujawskiego, poszanowanie ogólne nietylko wśród owieczek posiadającego — zasuspendowanego wówczas za jakieś przewinienie polityczne a w murach akademickich w skromnym pokoiku zamieszkałego, nie zachwyt ale prawdziwa sympatja mię pociągała; spotkałem go we 25 lat potem w Meranie, wprowadziłem samotnika i chorego do mego ogniska, gdzie żonę moją poznał i synka błogosławił.

Lekcje gry fortepianowej i teorji muzyki wytwarzały codzienny z Moniuszką stosunek, tem jeszcze ułatwiony, że mieszkaliśmy pod jego mieszkaniem na parterze. Towarzysza mego Raciborowskiego do rodziny Moniuszków wprowadziłem. Oprócz osób powyżej wymienionych odwiedzaliśmy szanowanego na Litwie obywatela Edwarda Römera, mieszkającego z synem Alfredem, utalentowanym malarzem; Eustachego Tyszkiewicza, badacza historycznego i zbieracza pamiątek krajowych, któremi miasto Wilno obdarzył; Lipińskiego, pastora kalwińskiego, którego kazań polskich z prze-

jęciem słuchaliśmy; złożyliśmy też submisję Mikołajowi Malinowskiemu, historykowi, Moraczyńskiemu, malarzowi, Oziembłowskiemu, zasłużonemu rytownikowi, oraz Wilczyńskiemu, wydawcy „Albumu Wileńskiego".

Zamiejską pielgrzymkę do sympatycznego poety Kondratowicza — Syrokomli do dzierżawionego przezeń folwarku Borejkowszyczyzny pod Wilnem odbyłem z Raciborowskim, sam zaś hołd należny składałem sędziwemu Autorowi „Obrazów Litewskich" w majątku jego Dziewiętni, oraz wspomnianemu już Michałowi Balińskiemu w Jaszunach w towarzystwie Bronisława Zaleskiego, który po amnestji w r. 1855 powrócił z Orenburga i na bruku wileńskim się znalazł.

Kult mój dla utworów Moniuszki popchnął mnie do nieodpowiedniej zgoła dla braku głosu nauki śpiewu; sam się namęczyłem i znudziłem nauczyciela Bonoldiego, który nad wyrobieniem głosu mego napróżno pracował. Oddawna na Litwie osiadły i z Polką Bagniewską ożeniony, Achilles Bonoldi uważany był za najbardziej inteligentnego wykonawcę pieśni Moniuszki, a jakkolwiek Włoch z pochodzenia, do śpiewanych przezeń krakowiaków i mazurków całą duszę polską wlewał. Łączyły go z Moniuszką stosunki przyjazne, chociaż parę razy do roku musieli się pokłócić i kilka razy następnie pogodzić, a zawsze z winy Włocha, którego ognisty temperament rozbijał się o spokój Moniuszki.

Kwestję wydawnictwa dziennika w Wilnie rozstrzygnięto na korzyść zalecanego przez Eustachego Tyszkiewicza, akceptowanego zaś przez innych — dla względów praktycznych — Adama Kirkora, który też sprawę całą pomyślnie w stolicy załatwił, i „Kurjer Wileński" ukazał się ku zadowoleniu powszechnemu w roku następnym, ale niestety na lat kilka tylko. Kirkor był naukowym dyletantem; dlaczego nie posiadał zaufania ludzi tak czystych, jak Römer i Moniuszko, nie umiem odpowiedzieć. Chyba dlatego, że dorabiał się karjery na urzędach koronnych. Wypadek zrządził, że z pierwszą żoną Kirkora kolegowałem na wygnaniu w Usolju, drugą zaś w Krakowie w 1914 r. poznałem.

Powiedziawszy sympatycznemu miastu po raz drugi „dowidzenia", odjechałem z towarzyszem moim budą ży-

dowską do Rygi, stamtąd zaś statkiem parowym do Petersburga. Poznaliśmy się w drodze z malarzem duńskim Schenk von Holstein, z którym zwiedzaliśmy później muzea. W stolicy zatrzymaliśmy się w domu kościelnym dominikanów przy pierwszorzędnej ulicy Newski Prospekt, obiady zaś przynoszono nam z polskiej jadłodajni studenckiej. Cały dzień poświęcony był głównie na zwiedzanie muzeów oraz osobliwości miasta, w czem pomagała nam bardzo niezmierna ruchliwość towarzysza mego, jak również zręczność w nawiązywaniu i wyzyskiwaniu stosunków miejscowych. Poznajomił się z budowniczym Montferrandem i wyrobił dla nas obu pozwolenie szczegółowego oglądania zamkniętej dla publiczności katedry św. Izaaka, następnie dwa bilety „d'artiste" do swobodnego zwiedzania w Ermitażu służące i t. d. Korzystając z ułatwienia takiego, uzbrojony we wskazówki Straszyńskiego i Schenka, oraz w odpowiednią krytykę Ludwika Viardot, rozpocząłem systematycznie zwiedzanie Ermitrażu. Najwspanialej przedstawiały się wtedy szkoły: flamandzka i holenderska, liczące około 800, oraz staro-francuska, całkowicie z Malmaison zakupiona, około dwustu płócien wielkiej wartości, inne szkoły — wobec tamtych — tak jakościowo jak i liczebnie słabiej się przedstawiały, redukowały się do poznania chociaż powierzchownego charakteru ogólnego szkół malarskich i wybitniejszych przedstawicieli takowych, oraz do pewnej orjentacji, która przy pobieżnem zwiedzaniu muzeów w przyszłości była mi bardzo pomocną. Wspaniały św. Izaak nie zrobił na mnie dodatniego wrażenia wewnątrz, z powodu względnej ciasnoty naw i braku perspektywy, zanadto przypominając ujemności szkoły bizantyńskiej. Do *Théatre Michel* z doskonałą trupą francuską Brohan i Duprez oraz do Wielkiej Opery, gdzie panowali Meyerbeer i Rossini, przez Mario i Lablache'a interpretowani, zwykle razem chodziliśmy, pozatem wszelkie muzyczne potrzeby i przyjemności sam wyłącznie zaspakajałem, mając klucz do tego dany mi przez Moniuszkę.

Pierwszym muzykiem miejscowym, jakiego poznałem, był Cezary Cui, młodziutki wówczas inżynier, obecnie (1915) jenerał w służbie rosyjskiej, znany w Petersburgu meloman

i poważany kompozytor, który, będąc uczniem Moniuszki, przyjął mnie jak kolegę.

Urodzony z pozostałego w Wilnie w r. 1813 francuskiego tambour-majora i matki Polki, odbywał naukę w mieście rodzinnem, oddając się przytem muzyce. Cui zaprowadził mnie do Dargomyżskiego, gdzie poznałem innego dystyngowanego kompozytora i krytyka Sierowa i gdzie kilka miłych wieczorów na słuchaniu dobrej muzyki i zajmujących rozpraw muzycznych spędziłem. Dargomyżskij wraz z Glinką uważani byli wówczas za koryfeuszów w muzyce rosyjskiej, a byli niewątpliwie zwiastunami bliskiego już jej rozkwitu.

Z wielką przyjemnością słuchałem „Życie za cara" Glinki, jak i poważniej traktowanej opery „Rusłan i Ludmiła" tegoż autora.

Glinka pochodził ze szlachty smoleńskiej; nie zastałem go w stolicy. Liczna rodzina tego nazwiska Ukrainę zamieszkuje.

Muzyka Glinki, jakkolwiek duchem włoskim owiana, nie była pozbawiona w melodjach charakteru rosyjskiego, nie zanurzając się wszakże w głębiach, pół wieku później przez Czajkowskiego poruszonych. Co do Dargomyżskiego, żałuję, że poznałem go tylko z oderwanych ustępów, nie mając możności wysłuchania w całości ani „Rusałki" ani też innych tego mistrza utworów.

Sierow i Cui należeli wówczas do poczynających na polu kompozycji. Ciekawy pogląd na muzykę dawniejszą i najnowszą Wagnera nakreślił mi Sierow w albumie, który też wzbogacony został przez Dargomyżskiego portretem własnym i Glinki w karykaturze. Petersburscy wielbiciele Moniuszki stawiali go chętnie pomiędzy Glinką a Dargomyżskim, mającymi tworzyć triumwirat najwybitniejszych kompozytorów „słowiańskich". Z muzyków rodaków odwiedzałem — oprócz Cui — Antoniego Kątskiego, dyrektora orkiestry teatru Aleksandrowskiego, autora pieśni polskich. Zaglądałem nadto do Henselta, znanego wirtuoza i kompozytora, z myślą o kilku chociażby lekcjach od niego, zastałem go jednak na wyjezdnem zagranicę, skończyło się więc na krótkiej znajomości.

Do przyjemności podnioślejszych, jakie mi uprawianie muzyki przynosiło, zaliczyć muszę słuchanie chórów Bortniańskiego w cerkwi dworskiej, dokąd idąc brać frak musiałem.

Tak jak malarstwo bizantyńskie nie doczekało się swego Cimabuego i Giotta, tak i muzyka nie miała dotąd swego Monteverdego. Nieruchomość ta była chyba odbiciem samego kultu, który już nie wystarczał zeuropeizowanym całym rodzinom rosyjskim i wyższym umysłom ludzi pojedyńczych. Przechodzili więc na katolicyzm, jak Wołkońscy, Golicynowie, Strogonowowie, Roztopczynowie, Buturlinowie i Djakowowie, tonęli w mistycyzmie, jak Włodz. Sołowjew i Leon Tołstoj, albo zamykali się w indyferentyzmie.

Dopiero w pierwszej połowie XIX w. zjawia się natchniony kompozytor Bortnianskij, rozsadza ramy, w których się dotąd pieśni cerkiewne zamykały, i tworzy arcydzieła, które, o ile słyszałem, są pod indeksem Synodu, tolerowane zaledwie w cerkwiach dworskich oraz w katedrze św. Izaaka. Do podniesienia piękności chóru niemało przyczyniał się dobór głosów: tenorów i altów młodzieńczych z Małorosji, oraz basów potężnych a dźwięcznych, jakie rzadko dają się słyszeć na scenach lub w świątyniach w Europie.

Pobudowany na trzęsawiskach, błotem okolony, Petersburg zalicza się do miast najniezdrowszych. Z początkiem lata muzea się zamykają, teatry wyludniają i każdy, kto tylko może, miasto opuszcza. Nie mając w tej porze — jako turyści — nic do roboty, lipiec i sierpień spędziliśmy w sąsiedniej Finlandji.

Nazwę krajowi temu dali Finnowie z Uralu przybyli, zajmując wybrzeża morskie i wypychając w głąb kraju autochtonów, Lapończyków. Losowi temu ulegli zczasem sami Finnowie po zawojowaniu kraju tego przez Szwedów. Ostatecznie więc Szwedzi zajęli południowe i zachodnie wybrzeża, Finnowie posunęli się ku środkowi, Lapończycy zaś znaleźli się na krańcach północnych w krainie reniferów i niedźwiedzi białych, gdzie dotąd mieszkają. Chociaż nazwę krajowi dali Finnowie, błogosławieństwo kultury wnieśli doń Szwedzi wraz z religją. Pomimo ustroju arystokratycznego,

wszczepionego przez Szwedów, z podziałem na cztery klasy, kraj ten ma wygląd i naprawdę jest całkiem demokratyczny: nazwałbym go krajem „chłopów i drobnego mieszczaństwa", nie mającym ani landlordów ani też fabrycznych i giełdowych królików. Fortuny są naogół średnie, przewodniczy zaś krajowi inteligencja miejska, szwedzka przeważnie, oraz duchowieństwo, z pierwiastków mieszanych szwedzkiego i fińskiego złożone. Ujawniający się coraz silniej ruch narodowy fiński dążył widocznie do przeciwstawienia się dominującemu dotąd stanowisku Szwedów.

Tymczasem nie znam kraju, gdzieby poszanowanie prawa stało na takiej wysokości, nie mówiąc już o pracowitości, oszczędności, karności społecznej i innych cennych przymiotach mieszkańców. Górale w Tyrolu i naszych Tatrach są także pracowici i uczciwi, ale — jako mniej inteligentni — nie dorównywują tamtym pod względem uświadomienia społecznego i politycznego.

Jedynie chyba ze Szwajcarami możnaby Finlandczyków pod tym względem porównać. Gdy do tej charakterystyki mieszkańców dodam, że kraj ich wygląda, jak jeden park w granitowe ramy ujęty, nie wyda się dziwnem, jeżeli powiem, że podróż po Finlandji do rozkoszy życia zaliczyć można.

Dzięki traktatom i reskryptom monarchów rosyjskich cieszyła się Finlandja całkowitą odrębnością. Władza prawodawcza spoczywała w ręku Sejmu obieralnego, wykonawczą zaś zawiadował namiestnik W. Księcia, w Helsingforsie rezydujący. Łącznikiem pomiędzy narodem a Koroną był minister do spraw finlandzkich u boku Cesarza stale przebywający. Obowiązek wojskowy redukował się do dostarczania armji rosyjskiej „pułków strzeleckich", które w czasie pokoju doraźne ćwiczenia sześciotygodniowo w kraju odbywały. Godząc się z losem, a stojąc o wiele wyżej cywilizacją i kulturą od swoich zwycięzców, Finlandczycy dostarczali Rosji prawdziwych nauczycieli na rozmaite posady i urzędy: pracowitych, uczciwych a zawsze lojalnych, wolnych od aspiracyj odwetowych i pragnień zaborczych. Naprawdę targnięcie się na kraj ten szczęśliwy a spokojny, na jeden z najpiękniejszych okazów kultury zachodniej,

jest w oczach całego cywilizowanego świata świętokradztwem.

Głównem zajęciem narodu tego jest rolnictwo i hodowla bydła. O ile Finlandja wschodnia wywozi swoje produkty rolne, o tyle je przywozi — zachodnia, tak że import i eksport zboża mniej więcej się równoważy. Najważniejsze artykuły wywozu są: marmur, granit, drzewo, zwierzyna, ryby i nabiał, odbiorcą zaś głównym jest wszystko pochłaniający Petersburg.

Ponieważ język rosyjski — za wyłączeniem chyba biur jenerał-gubernatora — nie był zgoła praktykowany, ani nawet znany w kraju, musieliśmy się zaopatrzeć w słowniczek niezbędnych wyrazów fińskich i szwedzkich, posiłkując się w rozmowie z inteligencją niemczyzną, do języka szwedzkiego dość zbliżoną.

Popłynęliśmy w drugiej połowie czerwca po Newie w górę, od jej ujścia aż do początku przy mieście Schlisselburgu i wyłaniającej się z wody fortecy tegoż nazwiska, dźwigającej tak ciężkie w dziejach ludzkości wspomnienia. Ze Schlisselburga płynęliśmy — także statkiem parowym — po Ładodze do najbardziej północnego jej punktu Serdowala już w Finlandji, a właściwie w części jej, Karelją zwanej, zatrzymując się godzin kilka na największej wyspie Walaam, w granicach Cesarstwa znajdującej się, gdzieśmy oglądali monaster ponury i mnichów od towarzystwa odosobnionych, nieco strasznych z wyglądu swego, którzy nie byli jednak ostatecznymi próżniakami, zabawiali się bowiem rolnictwem, używając do sprzężaju reniferów, zabiegających aż tam — w czasie ciężkiej zimy — dla łatwiejszego znalezienia pod śniegiem pożywienia. Dziwnym zbiegiem spotkaliśmy w Serdowala księdza Polaka, objeżdżającego Finlandję, i kilku żołnierzy rodaków, należących do jakiejś komendy wojskowej. Znalazłszy się w domku, w czasową kaplicę zamienionym, ucieszyliśmy się wszyscy, napawając się dźwiękami mowy rodzinnej. Po obejrzeniu kopalni miedzi i bogatych pokładów marmuru i granitu, skierowaliśmy się już pocztą na zachód, do wodospadu Imatry. Zaprzęg pocztowy składał się z wysokiego o dwóch kołach wózka, z siedzeniem na koziołku i miejscem z tyłu na tłomoczku, pocztyljon czepiał

się, jak mógł, tuż u nóg podróżujących, a czasem wdrapywał się na siedzenie jako trzeci, rozpychając bez ceremonji pasażerów, zdarzyło się zaś parę razy, że kobieta, zastępująca nieobecnego męża czy brata, w taki sam sposób miejsce dla siebie na wózku — pomiędzy podróżnymi — torowała; innym razem puszczano nas samych zupełnie w drogę, z prośbą o zostawienie konia i zaprzęgu na stacji najbliższej. Wehikuł wedle tego wzoru o pudle lakierowanem, w budkę i fartuch zaopatrzony, jest w powszechnem użyciu u zamożniejszych.

Od znanego wodospadu w Schaffhausen wspanialszą jest Imatra z powodu dłuższej przestrzeni, jaką wzburzona rzeka, właściwy wodospad stanowiąca, przebywa. Stamtąd dążyliśmy na południe do miasta Wyborga, gdzie pokazywano nam w ogrodzie *Mon repos*“ — jako osobliwość — dwa dębczaki kilkułokciowe, i skąd, przerzynając Finlandję w całej jej szerokości, nie oddalając się od zatoki Fińskiej i zwiedzając położone przy niej miasta, dojechaliśmy na dłuższy pobyt do Abo.

W czasie zwiedzania miast wchodziliśmy zwykle na najwyższą wieżę dla orjentacji, następnie odwiedzaliśmy miejscowego pastora dla otrzymania objaśnień i wskazówek, natrafiając na ludzi bardzo światłych, wszyscy zaś bez wyjątku byli uprzejmi a nawet życzliwi się niejednokrotnie dla nas okazywali. Możność zakładania ognisk rodzinnych, ułatwiająca takiemu pastorowi bezpośrednio z ludnością miejscową stosunek, przyczynia się nie mało do utrzymania kraju na wysokim stopniu kultury.

Przejeżdżając przez Borgo, składaliśmy hołd pionierowi odradzającej się literatury fińskiej narodowej, poecie Runebergowi, którego z wędką nad morzem zastaliśmy. W Piterlaks oglądaliśmy pokłady granitu czerwonego, które dostarczyły niemało monolitów stolicy nadnewskiej, a głównie kolumnę Aleksandra I niezwykłej wysokości. Z Helsingforsu robiliśmy wycieczkę morską do Sweaborgu, tego „Gibraltaru północy“, podziwiając jego paszcze w granicie wykute. W Abo odwiedziliśmy starannie zachowany zamek, w którym ojciec Zygmunta III z żoną Katarzyną Jagiellonką mieszkał. Odbyliśmy parodniową podróż na wyspy Alandzkie pocztą morską, zmieniając łodzie i sterników pomiędzy

wyspami, takimi zaś przewoźnikami były niejednokrotnie młode i dorodne kobiety; oglądaliśmy tam ruiny niedawno zburzonej przez Anglików fortecy Bomarzundu, gdzie poznaliśmy jednego z najświatlejszych pastorów, Knoringa. Ogólną fizjognomię archipelagu stanowią większe lub mniejsze wyspy — bukiety w czerwone ramy granitowe ujęte.

W czasie dłuższego w Abo pobytu uczęszczałem chętnie do zakładu wód mineralnych, gdzie przyjętym tu zwyczajem — zamiast błąkać się po ogrodzie — kuracjusze tańcom się oddawali, w strojach spacerowych, od 7 do 10 rano, zachowując we wzajemnych stosunkach pełną przyzwoitości swobodę. Trafiliśmy też w Abo na uroczyste przyjmowanie objeżdżającego kraj cesarskiego namiestnika, rezydującego zwykle w Helsingforsie — jenerał-gubernatora Berga, zajmującego później podobne stanowisko w latach 1863—1864 w Warszawie. Dzięki polecającemu nas listowi księcia Leona Radziwiłła, który Raciborowski z sobą przywiózł, Berg przyjął nas uprzejmie, a miejscowy gubernator Cronstädt niezwłocznie złożył „dystyngowanym młodzieńcom" wizytę i zaprosiny na obiad dla uczczenia Berga zostawił.

Szablonowy, jak wszystkie tego rodzaju uczty, obiad miał pewne zabarwienie miejscowe z powodu, że mowę Berga, w języku francuskim wypowiedzianą, tłómaczono *eo instante* na szwedzki i fiński, odpowiedzi zaś w tych dwóch językach zręczny tłumacz po francusku odtwarzał, obecni zaś wszyscy zdawkowych tych frazesów w pozycji stojącej wysłuchiwać musieli. Na obiedzie tym, po długim miesiącu podróży, spotkaliśmy się z befsztykiem po angielsku przyrządzonym, który powitaliśmy z radością, gdyż karmiliśmy się dotąd głównie rybą i nabiałem, a w miastach cielęciną. Na obiadach, któremi nas niejednokrotnie, jako obcych turystów, przyjmowano, zaczynano zwykle od ryb, następnie dawano cielęcinę, a zupę na końcu; wszystko zaś było zakropione hydromelem, trunkiem bardzo do naszego miodu zbliżonym. Pamiętny był szczególnie dla mnie taki obiad u biskupa Forsterusa w Kuopio, malutkiem a ostatniem na północy mieście gubernjalnem, gdzieśmy trochę nad

miarę tego na pozór lekkiego trunku użyli, całując przytem — polskim obyczajem — rączki młodej jeszcze biskupiny; był to najdalszy punkt w Finlandji przez nas oglądany. Zwiedziliśmy jeszcze Tawasthus i Tamerfors na zachodzie: to ostatnie miasto słynne z wodospadu i fabryk z tego wodnego motoru korzystających. W drugiej połowie sierpnia żegnaliśmy ten uroczy co do natury swej jak i cywilizacji kraj „tysiąca jezior", żałując, żeśmy się nie mogli znajdować 21 czerwca i dni następnych na górze Avasaksa, o czterdzieści kilometrów na północ od Torneo, gdzie słońce kilka dni wcale nie zachodzi. Użyliśmy wrażeń tych w stopniu trochę mniejszym i wyznać muszę, że brak nocy, jako ciszy i spoczynku w naturze, był dla mnie w końcu nużący.

W czasie bytności w Helsingforsie zastanowiło nas szczelne zamykanie drzwi i okien w mieszkaniach, nie praktykowane w całym kraju, na zapytanie zaś nasze o przyczynę tego odpowiedziano, że od czasu jak różnorodna ludność Petersburga obrała Helsingfors na pobyt kąpielowy w lecie, zmuszeni są do zachowania podobnej ostrożności.

Rozstawszy się z Raciborowskim, z którym miałem za dni kilka zjechać się w stolicy, zrobiłem z Helsingforsu wycieczkę morską do miasta Arensburga na wyspie Oezel, dokąd wysyłano niedomagających kadetów na błotną lub morską kurację, a gdzie obecnie brat mój przebywał. Należąca niegdyś do Szwecji wyspa, z ludnością mieszaną, przedstawiała ciekawe pole badania dla etnografa, mnie zaś zainteresowała niezwykłym strojem kobiet i nadzwyczajną ich zręcznością w manewrowaniu wiosłem. Zwiedziwszy w drodze powrotnej starożytne amfiteatralnie rozłożone miasto Rewel, wróciłem do Petersburga w samą porę przed uroczystym wjazdem Monarchy po odbytej w Moskwie koronacji. Kawalkata, którą z okien naszych doskonale widzieliśmy, robiła wrażenie wielkiej ekspozycji osób i przedmiotów, w skład Dworu wchodzących, zacząwszy od sympatycznego Monarchy na koniu, oraz wspaniałych zaprzęgów tak nowożytnych jak historycznych.

W kilka dni potem byliśmy na balu, wydawanym przez szlachtę gubernji petersburskiej dla Cesarza, na który niezrównany towarzysz mój bilety wejścia dostał. Oglądałem

tedy kroczące pary polonezowe pod muzykę Glinki z opery „Życie za cara“ z gospodarzem balu Ignatjewem w pierwszej parze z wielką księżną Konstantową, a Cesarzem w drugiej z panią Ignatjewową i dalsze bez końca szeregi złoconych mundurów, śród których sympatycznie wyróżniały się fraki ambasadorów szwajcarskiego i amerykańskiego.

Po balu odwiedziliśmy jeszcze, chyba przez niewytłumaczoną ciekawość, nuncjusza papieskiego, monsignora ks. Chigi, dla usłyszenia tyle razy nadużywanego dla Polski współczucia *(o, cara Polonia!)*, ale poznaliśmy tam dwóch młodziutkich księży, których wtedy już Nuncjusz wyróżniał, ignorując szanowanego powszechnie prałata Lipskiego, a których świetna przyszłość oczekiwała. Byli to Szczęsny Feliński i Konstanty Łubieński; ten ostatni miewał kazania u św. Katarzyny w języku francuskim, bardzo modne wówczas. Spotkaliśmy jeszcze z gości koronacyjnych: Domejkę, marszałka gub. wileńskiej, i zacnego Chomińskiego, późniejszego w czasie przeprowadzenia kwestji włościańskiej gubernatora kowieńskiego, a po roku 1864 gubernatora wołogodzkiego, w gościnnym domu Franciszkostwa Malewskich, gdzie się Polacy chętnie i licznie zbierali, sama zaś pani, rodzona siostra Adamowej Mickiewiczowej, słusznie zasłużyła na nazwę opiekunki i dobrodziejki rodaków swoich. Byłem jeszcze, ale już sam, u członka Kolegjum Katolickiego, prałata Krasińskiego, do którego Moniuszko mi drogę otwierał. Jeden z najrozumniejszych książąt kościoła, Krasiński był ozdobą literatury, jak był również chlubą duchowieństwa polskiego. Szczęśliwym wypadkiem wysłuchałem w mieszkaniu jego całkowitego przekładu „Słowa o pułku Igora“ przez uczonego tłumacza pełną jędrności mową naszą polską deklamowanego.

Po wydobyciu brata z korpusu wyruszyliśmy we trzech ostatnim statkiem parowym, sezon nawigacji zamykającym, do Rygi, przerzynając już w październiku lodowatą powierzchnię Newy.

Ciężka była to podróż z powodu burzy, która nas u wejścia do zatoki Ryskiej spotkała, a tem przyjemniejszym wypoczynek — po tak różnorodnych w ciągu kilku miesięcy doznanych wrażeniach — w Wilnie, dokąd nas z Rygi buda

żydowska uwiozła. Rozpocząłem tu niezwłocznie kurację brata (skrofuły pod wpływem klimatu niezdrowego pozbawiły brata mego władzy w nodze, którą dopiero Busk przywrócił), sam zaś zabrałem się do wznowienia przerwanych lekcyj harmonji, które wiele mi w muzyce objaśniły, ale twórczości kompozytorskiej wcale nie ujawniły.

Mieszkałem i teraz na parterze pod apartamentem Moniuszki, codzienny z nim stosunek tak lekcyjny, jak i towarzyski uprawiając. Krystalicznej czystości, inteligentny, ukształcony, zrównoważony, a do tego przedziwnej skromności, lelewelowskiej: takim był Moniuszko. Spotykałem przedtem i potem wybitnych ludzi w rozmaitych częściach kraju naszego, szanowne ich nazwiska niejednokrotnie w pamiętniku tym cytowałem, takich jednak osobników, któreby przy wielkich zaletach charakteru i umysłu prostotę i skromność jak Benedykt Dybowski z Litwy, Marjan Dubiecki z Wołynia oraz Mikołaj Hartung z Kijowa posiadali, najczęściej tylko śród Litwinów spotykałem. Takimi prócz Moniuszki byli, w ciężkich warunkach wygnańczych poznani i zawsze przeze mnie szanowani, koledzy: Karol Stankiewicz, Mikołaj i Witold Gedroyciowie, Józef Kalinowski i Aleksander Oskierka.

Podleczywszy brata o tyle, że mógł dalszą drogę odbywać, pożegnawszy kochane miasto i szanownych jego obywateli, wyjechaliśmy w drugiej połowie grudnia w kierunku Mińska, po rozstaniu się zaś tam z Raciborowskim dążyliśmy we dwóch z bratem do Kijowa, gdzieśmy zastali konie, przez ojca wysłane, które nas na święta grudniowe do domu ojcowskiego zawiosły.

Rok 1857 i następny ujawniał wielkie wśród społeczeństwa na Rusi ożywienie, nie zapowiadając jeszcze tych wypadków, które miały wkrótce na tle ekonomicznem i politycznem rozwinąć się.

Ziemianie, tak w Kijowie jak w Żytomierzu, budowali teatry dla sztuki polskiej z uwzględnieniem zaledwie jednoaktówek rosyjskich widowisko rozpoczynających, zakładano spółki wydawnicze księgarskie, do których należeli w Żytomierzu ziemianie: Karol Kaczkowski, Leon Lipkowski Józef Ignacy Kraszewski i Groza.

Zamiast dotychczasowych figurantów wybrano na kuratorów gimnazjów: Erazma Michałowskiego, krzemieńczanina, w Kijowie, a w Żytomierzu J. I. Kraszewskiego, postarano się o uzyskanie katedry języka i literatury polskiej w zakładach naukowych: takimi nauczycielami w gimnazjach kijowskich byli: Walery Kopernicki, Aleksander Szumowski i Juljan Kędrzycki.

W ruchu tym ogólnym skromny udział mój zaznaczył się chyba bytnością — po raz pierwszy — na wyborach ziemiańskich w Kijowie, na których na miejsce ustępującego marszałka powiatu Teodora Jaczewskiego „Głuchego" (był drugi Teodor Jaczewski, półpanek skwirski, markizem — dla pyszałkowatości swojej — przezwany) obrano przez większość inteligentną odniedawna w powiecie zamieszkałego człowieka pierwszorzędnej wartości, Feliksa Szostakowskiego, który na poprzednich wyborach dał się już poznać pełnem odwagi wystąpieniem w obronie praw obywatelom przysługujących, zaco do Wołogdy był wysłany. Kontr-kandydatem jego był najmniejszej kwalifikacji na urząd ten nie posiadający Walery Kotowicz, przez kilkanaście głosów podtrzymywany jako „brat szlachcic", w przeciwieństwie do tamtego, którego najniesłuszniej za „panka" uważali. Odbyłem też w tym czasie nie wycieczkę, ale prawdziwą podróż, dla pokazania najmłodszemu bratu memu Władysławowi Podola w całej okazałości. Zwiedziliśmy brzegi Uszycy, Dniestru i Zbrucza, zatrzymując się dla oglądania po drodze miast, zameczków, jaskiń naddniestrzańskich i wszelakich ciekawości, kończąc na Kamieńcu, gdzieśmy kilka dni niezapomnianych razem spędzili.

W r. 1857 siostra moja wyszła za mąż za Aleksandra Izbickiego, doktora medycyny z Akademji Wileńskiej. Poślubienie lekarza dało powód pewnemu półpankowi ukraińskiemu do zrobienia mi uwagi: „Ależ panna Marja, chwalić Boga, zdrowa i lekarza nie potrzebuje". Odezwanie się to podkreślam jako *signum temporis*, jako chwilę przełomową w pojęciach, kiedy na deskach teatralnych oklaskiwano już „Doktora medycyny" Korzeniowskiego.

Rodzina Izbickich znana i szanowana była na Wołyniu. Witalis Izbicki przyjmował udział w pracy „Wołyńskiej

Komisji Edukacyjnej", dwóch starszych synów — Józefa i Aleksandra przeprowadził przez Akademję Wileńską, trzeci zaś Eustachy otrzymał stopień magistra na Uniwersytecie Kijowskim. Osobistość Eustachego Izbickiego specjalnej wzmianki wymaga. Niepospolicie zdolny i ukształcony, ale ambicji wygórowanej, chcąc się stanowi duchownemu poświęcić, udał się do biskupa Borowskiego z prośbą odnośną, oświadczając jednocześnie, iż chciałby ominąć wymagane od zwykłych nowicjuszów lata nauki i próby.

Na to żądanie Biskup odpowiedział: „Brakuje panu najważniejszego dla stanu duchownego przymiotu, pokory". Urażony taką odpowiedzią, udał się Izbicki niezwłocznie do biskupa prawosławnego, Skibowskiego, byłego unity i rektora szkół bazyljańskich w Humaniu, który zgodził się na podane przez Izbickiego dezyderata, na łono cerkwi prawosławnej przyjął, szybko posuwając go po szczeblach hierarchicznych; zatrzymywać jednak tak mądrego człowieka w diecezji swojej nie uważał za pożądane, tak że Izbicki znalazł się z biegiem czasu (w r. 1866) w charakterze misjonarza wśród pogan na Syberji, już jako archimandryta, pod imieniem Epifanjusza podobno. Kolega mój z wygnania Zygmunt Rudnicki z Łabunia, współobywatel Izbickiego, znający go osobiście, spotkał się w tym czasie z nim w Wiercholeńsku w sklepiku, gdy zaś w oczy sobie spojrzeli i poznali się, Izbicki gwałtownie sklep opuścił. Inny wygnaniec Grzybowski dotarł do mieściny obskurnej, na północ od Wiercholeńska leżącej, gdzie pośród dzikich Tunguzów Archimandryta misję swoją apostolską sprawował. Następstwem osamotnienia, wśród warunków okropnych było złamanie moralne i nałóg, który go przedwcześnie do grobu wpędził. Umarł w parę lat potem, o czem wypadkiem dowiedziałem się w domu kupieckim w Irkucku w r. 1870 ze szczegółami. Puchlina całego ciała tak go przed śmiercią zdefigurowała, że zamiast trumny zwyczajnej musiano specjalną skrzynię sporządzić. Ponieważ byliśmy świadkami powstawania w drugiej połowie XIX w. nowych „miejsc świętych" cudami słynących, można było przypuszczać, że Izbicki zostanie zczasem za świętego patrona m. Wiercholeńska uznany, tak jak inny szlachcic polski Inocenty

Kulczycki, zabłąkany na Syberji w XVII w., został duchownym prawosławnym i miasta Irkucka jako św. Inocenty patronem dotychczasowym.

Ponieważ z wyjściem zamąż siostry rola moja w domu ojcowskim była skończona, przystąpiłem do uskutecznienia dawnego projektu wyjazdu za granicę, co też w jesieni 1858 r. nastąpiło.

ROZDZIAŁ IV.

Podróż i pobyt zagranicą: Lwów, Kraków, Bruksela, Paryż, Poznań, Warszawa (1858—1861).

Ojciec mój, chcąc wydzielić trzech starszych synów i przygotować posag dla jedynej córki, nie mogąc poradzić sobie inaczej wobec marnotrawstwa dwóch, w braku zaś kwalifikacyj do rolnictwa trzeciego syna, autora tych pamiętników, sprzedał w 1855 r. większą i lepszą z dwóch posiadanych wiosek rodzinnych, Sorokotiahę, zostawiając dla trzech młodszych pod opieką swoją Olszankę, do której w tym czasie po wybudowaniu domu i kaplicy na grobie stryja swego i opiekuna przeniósł się wraz z rodziną. (Sprzedaż majątku ziemskiego taksowano aż do emancypacji włościan w 1861 r. w stosunku do ilości poddanych na ziemi tej zamieszkałych, wzgl. do ilości „dusz", uwzględniając wszelako jakość ziemi. Inwentarz gospodarski, jak i dworski, w rachubę nie wchodził. Ponieważ Sorokotiaha oprócz ziemi włościańskiej posiadała ok. 3.000 morgów ziemi dworskiej, mieszkańców zaś liczyła 360 dusz, za które zapłacono po 84,5 dukatów za duszę, przeto 1 mórg ziemi wypadał po 30 rb.). Z częściowego tego podziału majątku przeznaczył ojciec 15.000 rb. dla córki, na każdego zaś z trzech synów wypadło po 12.500 rb. Z sumy mojej oddałem pod opiekę Zygmunta Podhorskiego 10.000 rb., pozostałe zaś miały wystarczyć wraz z dołączonym 6% od kapitału na zamierzoną trzyletnią pracę zagranicą. Na stały pobyt obrałem Brukselę, gdzie znajdowało się słynne konserwatorjum muzyczne i uniwersytet.

Wczesną jesienią 1858 r. wyruszyłem do Wołoczysk końmi ojcowskiemi, a stamtąd, od granicy, furgonem żydow-

skim w towarzystwie innych przygodnych pasażerów i tak do Lwowa dojechałem. Na wygodniejszą i przyjemniejszą podróż środki mi nie pozwalały, sama zaś myśl, że jadę do obcych krajów na naukę, łagodziła wszelkie przykrości.

Lwów, położony w kotlinie, bez widoków i ogrodów, nie zrobił na mnie wrażenia dodatniego, zato ludzie poznani najmilsze wspomnienia po sobie zostawili. Najpierwsze kroki moje skierowałem do Zakładu Ossolińskich, którego kuratorem był wówczas Maurycy Dzieduszycki. Gdybym był wiedział, że, kryjąc się pod pseudonimem Rychcickiego, jest on autorem „Skargi", byłbym prawdopodobnie unikał znajomości z apologetą jezuitów i... straciłbym z tego powodu wiele; na moje szczęście o książce tej nic nie słyszałem, a obojgu pp. Dzieduszyckim miłe chwile w ich domu i ułatwienie innych znajomości zawdzięczam. Zaprowadził mnie Dzieduszycki do czcigodnego, niemłodego już wtedy Fredry, któremu szczery hołd złożyłem i serdecznie dłoń jego uścisnąłem; następnie do Augusta Bielowskiego; żałowałem przytem, że niedostateczne przygotowanie moje naukowe zamknęło mi pole do korzystania ze znajomości z jednym z najuczeńszych ludzi w Polsce. Do Karola Szajnochy i jego żony wprost przylgnąłem, tyle prostoty i dobroci w domu tym, przypominającym mi Moniuszkę, znalazłem. Żonę swoją, znacznie od siebie młodszą, „Popielusią" nazywał, zapytany zaś przeze mnie, coby miało to spieszczenie oznaczać, odpowiedział, iż znając dłuższy czas żonę swoją, zanim się z nią ożenił, nazywał ją wtedy pupilką swoją, co się później na „Popielusię" zamieniło. Pewnego razu na moje pytanie, jaki podręcznik do historji Polski uważa za najlepszy, Szajnocha odrzekł bez wahania: lelewelowskie „Dzieje Polski synowcom przez stryja opowiadane", dodając, że co roku książeczkę tę odczytuje i za każdym razem znajduje w niej coś do zanotowania. Pragnąc poznać Kornela Ujejskiego, pojechałem do Winnik pod Lwowem, których był dzierżawcą czy właścicielem, tego nie pomnę, dość, że mieszkał tam z rodziną. Zatrzymano mię na cały dzień, wieczorem zaś razem odjechaliśmy do Lwowa: pani Ujejska ze mną w powozie, a mąż jej na koniu, jako jeździec nieskazitelny. Mieliśmy w drodze przygodę: konie spłoszyły się

i poniosły, a gdy towarzyszka moja zrobiła ruch do wyskoczenia z powozu, silnie ją za rękę przytrzymałem, otrzymując potem należne mi za to od obojga podziękowania. Skończyło się na przestrachu. Po przyjeździe do miasta p. Ujejska została w mieszkaniu, mnie zaś Ujejski zaprowadził do pp. Wildów, gdzie rozkosznie wieczór spędziłem w towarzystwie poety-artysty i doskonałej wykonawczyni utworów Chopina w osobie samej pani, uczenicy Mikulego, bardzo znanego we Lwowie ucznia Chopina, młodej a pięknej żony znacznie od niej starszego Wilda. Po mazurkach przyszła kolej na preludja, do których, wpatrzony w pianistkę, jak w obraz, poeta wiersze swoje deklamował. Podniosła to dusza, a pełna ognia młodzieńczego, to też niezatarte we mnie wspomnienie po sobie pozostawiła.

Z żalem pożegnawszy Lwów, jechałem dalej na zachód końmi do Dębicy, a stamtąd drogą żelazną do Krakowa. Zamieszkałem w hotelu, uważanym wprawdzie wówczas za najpierwszy (Hotel Rosyjski przy ul. Florjańskiej, obecnie „Pod Różą“ zwany), zato numer zajmowany przeze mnie chyba do ostatnich należeć musiał, gdyż oprócz łóżka, stolika i krzesła nic więcej nie posiadał, ale w 25 roku życia o wygodach nie myśli się, przynajmniej za moich czasów nie myślano, szczególnie w warunkach, wśród których jedna tylko myśl jest w stanie absorbować przybywającego do Krakowa młodzieńca.

Wrażenie, jakie sprawia na przybyłym z odległych kresów Kraków, nie da się opisać. Wszystko, o czem w młodości myślało się i co się ukochało, znalazło swój wyraz w pomnikach, resztę żywi ludzie dopowiedzieli. W tym samym hotelu mieszkał, jako rekonwalescent po ciężkiej chorobie, dawny znajomy mój z Ukrainy, zarówno inteligentny jak sympatyczny Ksawery Jasieński. Bywając u niego codziennie, zastawałem oprócz matki starej i młodziutkiej kuzynki-narzeczonej Lucjana Siemieńskiego, który, mieszkając również w hotelu „De Russie“, na karty i gawędkę codziennie do chorego przychodził. Wykwintny ten krytyk i esteta nie był zgoła pedantem, ale najmilszym człowiekiem w towarzystwie. Niewielkie to grono, wraz z przybyłym z Ukrainy młodym doktorem Wilamowskim, towarzyszyło

Jasieńskiemu do ślubu, który się jak najskromniej odbył tegoż października w katedrze krakowskiej. Po wyjściu z hotelu w kierunku Rynku miałem tuż obok kościół Marjacki, dalej Sukiennice, nareszcie ulica Grodzka zaprowadziła mię na Wawel. Oglądałem to wszystko jako nowości, chociaż dobrze mi znane. W katedrze spotkałem się z Kraszewskim, który — tak jak i ja — po raz pierwszy groby królewskie oglądał, oprowadzany przez Józefa Łepkowskiego, uczonego miejscowego, późniejszego zięcia Libelta. Nie poznałem Kraszewskiego, gdyż, jako kurator szkół rosyjskich, pozbawił siebie pięknych wąsów, co zresztą było już wówczas zbyteczne, albowiem za nowego panowania wąsy, jak również kołnierzyki i okulary, były tolerowane na urzędach. Biegając w dalszym ciągu po mieście i okolicy, byłem na Kopcu i Bielanach, na Skałce i u św. Katarzyny, wkońcu po zaspokojeniu wrażeń ogólnych zabrałem się do szczegółowego oglądania pomników, uwzględniając tak historję jak i sztukę, a w tem dopomógł mi najlepszy chyba znawca przeszłości Krakowa, Ambroży Grabowski, uczony a skromny czcigodny staruszek, którego najpierw odwiedziłem. Niewielu było pracowników na niwie ojczystej w dobie największego rozkwitu centralizacji niemieckiej (Schmerling i Bach), nie uwzględniającej potrzeb innych narodowości. Uniwersytetu polskiego ani Akademji Kraków nie posiadał. Cały nasz ruch umysłowy, promieniujący w latach 40-ych w Poznaniu, przenosił powoli punkt ciężkości do Warszawy, zostawiając Kraków i całą Galicję na uboczu.

Drugą poważną a sympatyczną osobistością, do której list Odyńca drogę mi otworzył, był prawnik-teoretyk, powaga w nauce, Zygmunt Antoni Helcel. Jego uprzejmym względom zawdzięczam poznanie jenerała Skrzyneckiego [17]), biskupa Łętowskiego, doktora med. Dietla, Józefa Majera, późniejszego prezesa Akademji, estetyka Józefa Kremera oraz przebywającego czasowo w Krakowie ks. Witolda Czartoryskiego na obiedzie na cześć jego przez Skrzyneckiego wydanym. (W 30 lat potem poznałem żonę ks. Witolda (z Grocholskich), jako przełożoną karmelitanek w Krakowie, której przywoziłem książki od przeora karmelitów, a mego kolegi wygnania, Józefa Kalinowskiego). Na wystawie ar-

cheologicznej, urządzonej w tym czasie, pokazywano mi dwóch olbrzymów Wielopolskich, margrabiego Aleksandra i syna jego Zygmunta, którym wszakże nie przedstawiłem się.

Bardzo być może, że nie umiałem ludzi szukać, albo spotykanych oceniać: większość poznanych w Krakowie robiła na mnie wrażenie bardzo szanowanych relikwij, budowniczych wśród nich nie dostrzegłem, zresztą w warunkach, w jakich się kraj wówczas znajdował, być ich nie mogło. Czcigodne miasto robiło wrażenie, jakby pogrążonego w letargu. Ze smutkiem opuszczałem je, dążąc do głównego miejsca na dłuższy pobyt mój przeznaczonego, do Brukseli.

Gdybym pamiętniki niniejsze pisał narazie pod wpływem bezpośrednio doznawanych wrażeń, to zważywszy, że z powodów tak komunikacyjnych jak i paszportowych podróże zagraniczne mało były w owych czasach praktykowane, opisywanie Szwajcarji Saskiej, przez którą przejeżdżałem, i brzegów Renu, albo oglądanej Galerji Drezdeńskiej mogłoby niejednego czytelnika zainteresować; wobec tego jednak, że wymienione wyżej ciekawości są dziś zanadto już znane i że nic nowego nie byłbym w stanie o nich powiedzieć, ochraniam pamiętnik ten od balastu niepotrzebnego. Jeden wszakże szczegół z podróży tej zanotować muszę, a mianowicie, że w czasie parodniowego pobytu w Pradze Czeskiej, a było to na dziewięć lat przed kongresem słowiańskim w Moskwie, doznałem jak najżyczliwszego przyjęcia od Hanki i Safarzyka, którzy mi wszystko, cokolwiek mogło w Pradze Polaka interesować, pokazali.

Pierwszych dni listopada 1858 r., w czasie zwykłego rozpoczynania kursów naukowych, przybyłem do Brukseli. Czystość i porządek, oraz niezmierna ruchliwość nowożytnego mrowiska ludzkiego — to były najpierwsze wrażenia, po rozejrzeniu się w Brukseli otrzymane. Po zostawieniu bagażu na dworcu, pobiegłem jednym pędem do emigranta naszego z roku 1831, z Rzeczyckiego rodem, Feliksa Jastrzębskiego, znanego w mieście fabrykanta fortepianów, ozdobionego za nie medalem oraz tytułem, o ile to może być ozdobą, *facteur du Roi*, do którego jenerał Skrzynecki, dłuższy czas w Brukseli mieszkający, uprzejmie mię skierował. Życzliwie

przez rodaka przyjęty, po wynajęciu pianina oraz zasięgnięciu wiadomości o profesorach muzyki w konserwatorjum, wynająłem studenckie mieszkanie przy ul. de Namur, przywiozłem bagaż i powoli do roboty się przygotowywałem.

Zapisanie się na stałego ucznia konserwatorjum muzycznego odłożyłem do roku następnego, chcąc przedtem do należytego porządku doprowadzić zaniedbaną technikę moją pod kierunkiem profesora tejże szkoły. Dwóch ich było wtedy w klasach wyższych: Dupont, pedagog i dość znany wirtuoz, a drugi, Godineau, tylko pedagog, a ponieważ pierwszy z nich wzbraniał uczniom swoim jednoczesnego z fortepianem uprawiania gry organowej, mającej ujemnie wpływać na lekkość ręki, wybrałem przeto Leopolda Godineau, który tak dobrym przewodnikiem jak i miłym w stosunku człowiekiem się okazał, uwzględniając zaś przeciąg całorocznej umowy, określił honorarjum zniżone do czterech franków za lekcję. W celu wyrabiania techniki i kształcenia jednocześnie smaku, używani byli w konserwatorjum Bertini, Cramer i Clementi. *Gradus ad Parnassum* tego kompozytora, sto etiud zawierający, był przedmiotem marzeń moich, wszystko poza tem na stronę odłożyłem, za wyłączeniem wszakże polonezów Moniuszki i preludów Chopina, tak z upodobania, jak i dlatego, że muzyka ta przypominała mi na obczyźnie ludzi, za którymi tęskniłem. Wyłączność taka w uprawianiu jednej szkoły i jednego mistrza mogłaby się stać szkodliwą, gdyby nie to, że wrażenia moje odświeżane i uzupełniane były przez słuchanie muzyki wszelakiej w kościołach, teatrach i na koncertach.

I tak doprowadziłem w ciągu roku szkolnego do porządku pięćdziesiąt tylko etiud, ale w tempie metronomem przez autora wskazanem, otwierając sobie drogę do konserwatorjum, do którego w następnym 1859 r. wstąpiłem.

Z ciekawości miejskich najbardziej szanownym w Brukseli jest plac ratuszowy, miejsce stracenia bohaterów Egmonta i Horna za rządów hiszpańskich; w środku placu znajduje się okazały ratusz, jeden z najwspanialszych okazów stylu gotyckiego w Belgji. Inny gotyk, katedra św. Guduli z dwiema wieżami „obciętemi“ z powodu ciężkości swej nie zrobiła na mnie wrażenia. Drugiem miejscem partjotycznej

pielgrzymki Belga jest plac, „*Des martyrs*“ zwany, z pomnikiem w rodzaju katakumb, na którym wypisano nazwiska poległych w czasie powstania w roku 1830. Zasługuje na wspomnienie pomnik anatoma Vesalego, pierwszego, który do badań naukowych zaczął używać trupów ludzkich zamiast zwierząt. Nie zapomniałem naturalnie o posążku z fontanną, zwanym „Mennequin-Pisse“, do którego przywiązano podanie o zaginionem dziecku któregoś z burmistrzów bruksel-skich, pozę zaś znalezionego chłopczyka uwieczniono w marmurze.

Chociaż jenerał Skrzynecki wiedział, że Bruksela jest celem podróży mojej, w mieście zaś tem kilkanaście lat przemieszkał, nie wspomniał mi nawet o Lelewelu; później dowiedziałem się już na miejscu, że się wcale nie widywali aż do chwili opuszczenia Belgji przez Jenerała, który jednakże złożył pożegnalną wizytę tyle zasłużonemu w Ojczyźnie antagoniście swemu politycznemu.

Od Ujejskiego, przy pełnem czci pozdrowieniu dla Lelewela, wiele wspomnień ciepłych jeszcze ze Lwowa wiozłem, a więc o tem, jak przywdział bluzę robotniczą do czasu otrzymania od siostry, pani Majewskiej, garnituru granatowego, jedynego, jaki posiadał, jak — gdy mu za przyprowadzenie do porządku muzeum numizmatycznego kilkaset franków dano — porachował sobie zwykłą płacę dzienną robotnika, pięć franków, zrzekając się reszty i t. p. być może przesadne, ale w każdym razie sympatyczne objawy, świadczące o nadzwyczajnej jego skromności i bezinteresowności. Nasłuchawszy się tego wszystkiego od człowieka, który umiał cenić tę posągową postać uczonego, patrjoty i filantropa, można sobie przedstawić, jak byłem nastrojony, wchodząc do tej świątyni wiedzy i cnoty dla złożenia hołdu arcykapłanowi. Z czasem, gdym się z widokiem tak osoby, jak otoczenia dostatecznie oswoił, nie raziło mnie to ubóstwo dobrowolne, ale wyznać to muszę — sprawiał mi przykrość widok abnegacji i opuszczenia w wieku, który dopominał się o pewne, chociażby elementarne wygody, a przedewszystkiem higjenę.

Lelewel zajmował od przybycia swego w roku 1833 do Brukseli mieszkanie w domu cyrulika przy ulicy *Des Eperon-*

niers na pierwszem piętrze, składające się z dwóch niewielkich pokojów, książkami przepełnionych, i trzeciego — raczej alkowy, gdzie mieściło się ubogie łóżeczko anachorety, oraz gliniana miska na stołku i takiż dzbanek.

W pokoju pierwszym od wejścia było parę lekkich krzeseł i długi stół pod oknem, zawalony książkami, papierami i narzędziami do rytownictwa, używanemi przezeń przy wykonaniu wielkiego atlasu do dzieła *Géographie du moyen âge*. Drzwi do mieszkania nigdy się nie zamykały, a wchodziło się doń bez przyjętego powszechnie zwyczaju pukania. Opatrznością Lelewela była niejaka Marjanna, Polka, markietanka z czasów napoleońskich, ozdobiona — zarówno jak żyjący jeszcze mąż jej — medalem św. Heleny. Ona opierała Staruszka, przygotowywała posiłek i doglądała porządku w mieszkaniu, a prawdopodobnie... dzielić się skromnemi środkami pupila swego musiała, byli to bowiem, ona i mąż jej, już niemłodzi i bardzo biedni ludzie. Posyłany kiedyś przez Lelewela do chorej Marjanny, znalazłem się w zakątku, gdzie nietylko bielizna była rozwieszona na ulicy, ale potknąłem się o zdechłego kota, ledwie wierzyć mogąc, że to miało miejsce w Brukseli w 1859 r.

Czem się posilał Lelewel w ciągu dnia, było to dla nas wszystkich tajemnicą; udało mi się wszakże znaleźć w sklepie rzeźnika niezwłocznie po odejściu Lelewela i oglądać zimne jakieś mięsiwo, w które staruszek tam się zaopatrywał.

Pomiędzy 6 a 7 wieczorem przebywał codziennie w kawiarni *Des Trois Suisses*, na placu Teatralnym znajdującej się. Tam — w apartamencie dla niepalących — zasiadał w kącie przy kawie czarnej, chowając starannie podany cukier do kieszeni, a gdy zadrzemał, nastawała cisza w salonie aż do przebudzenia, znany był bowiem w całem mieście i poważany.

Po orzeźwieniu się kawą, wracał do siebie do pracy, która, jak właściciel domu upewniał, zwykle za północ się przedłużała; przebudzał się też dobrze po 9-ej z rana i z przykrością wspominał, jak go tej jesieni Kraszewski przed 9-tą z łóżka wyciągnął. Takie zachowanie się Kraszewskiego, o którem nietylko od poszkodowanego na miejscu słyszałem, było dla nas wszystkich niewytłumaczonem.

Środki, jakiemi Lelewel rozporządzał, ograniczały się do honorarjów przesyłanych od czasu przez księgarza z Poznania — znanego powszechnie wydawcę polskich dzieł jego — Żupańskiego. Kosztowne i zanadto specjalne dzieło p. t. *Géographie du moyen âge*, w języku francuskim wydane, znajdujące się na składzie u księgarza miejscowego, rozchodziło się wprawdzie, ale głównie do większych bibljotek, dochód więc ze źródła tego stałym być nie mógł. W czasie mego pobytu w Brukseli wypadek niezwykły sprowadził na znajdującego się zawsze w potrzebie Uczonego istny deszcz złoty. Wysłany w roku 1859 przez rosyjskiego ministra wojny Milutina na kongres więzienny do Londynu kapitan Sztabu Jeneralnego Zygmunt Sierakowski nie mógł w przejeździe przez Brukselę ominąć Lelewela, poruszony zaś ten wielkiego serca człowiek widokiem ubóstwa zawarł *stante pede* tajemny układ z miejscowym księgarzem, w kilka dni zaś potem z własnych ust Lelewela dowiedziałem się o zapotrzebowaniu kilkunastu naraz egzemplarzy dzieła jego, w słowach, charakteryzujących człowieka i uczonego: „Są jeszcze ludzie chcący pracę moją poznać!“ Wiele z otrzymanych pieniędzy zarezerwowała Marjanna na potrzeby swego pupila, jak i na własne — nie wiem, tylko od samego Lelewela dowiedziałem się wkrótce, że udało mu się wyłowić parę „białych kruków“ na licytacji książek, na które pchała go namiętność zbieracza nawet wtedy, gdy grosza w kieszeni nie posiadał. Szczęśliwy pomysł Sierakowskiego był za mojej bytności w Brukseli parę razy powtarzany, chociaż na mniejszą znacznie skalę, gdyż należało z tem największą ostrożność zachować.

Przyjęcie pełne życzliwości, jakiego doznałem po przedstawieniu się Lelewelowi, upoważniło mnie do ponawiania tych odwiedzin conajmniej raz w tygodniu, co też chętnie praktykowałem. Oprócz szczerej chęci odwiedzin pragnąłem nauczyć się czegoś, wreszcie mogłem — jako młody — być w czemkolwiek użytecznym Staruszkowi. Zastawałem Lelewela niezmiennie przy swym długim stole tak pogrążonego w pracy, że oderwanie się od niej widocznie było dlań niepożądane na razie; potrzebował czasu, jakby na wypoczynek. chwila zaś ta milczenia była dla przybywającego nader kło-

potliwa. Dopiero stopniowo się Starzec ożywiał, a rozmowa toczyła się wówczas potokiem nieprzerwanym, schodząc nieraz z poziomu poważnego na manowce wesołości. Gdy zwierzyłem się z niepokoju, który dręczył mnie z powodu nieugruntowanych dotąd zasad religijnych, pragnąc się dowiedzieć czegoś od Mędrca i prawdziwego Chrześcijanina, powiedział mi Lelewel te pamiętne słowa: „Uczcie się, szukajcie prawdy, sami ją zdobywajcie". Dał mi jednakże dzieło swoje „O Indjach", około roku 1820 w Wilnie wydane, oraz obdarzył Atlasem Historycznym, który sam do mieszkania mojego przyniósł. Innym razem, gdym się uskarżał na nostalgję, która mię trapiła, napędził mnie głosem nawet podniesionym do pracy, stawiając za przykład długoletnich tułaczów naszych bezdomnych. To też idąc za tą radą, zacząłem uczęszczać do bibljoteki publicznej, gdzie Straussa w języku francuskim znalazłem i całego przeczytałem, z Nowym Testamentem w ręku. Czytałem następnie z zajęciem cenionego w Belgji i Francji profesora uniwersytetu gandawskiego Laurent'a.

Od lekarstwa jednak tego, przez świat cały uznanego, skuteczniejszem było ułatwienie przez Lelewela znajomości z młodszym cokolwiek ode mnie, a przybyłem z kraju dla studjów matematycznych na uniwersytecie rodakiem, Gustawem Zakrzewskim, wnukiem oraz tak nazwiska jak i cnót wszelkich spadkobiercą niezapomnianego prezydenta m. Warszawy, Ignacego Zakrzewskiego. Tak wychowanie i inteligencja, jak i łatwość towarzyska, czyniły go niezmiernie sympatycznym, to też przylgnąłem doń całem sercem, a przyjaźń, która się pomiędzy nami z czasem wywiązała, pomimo odmiennych losów, jakie nam życie zgotowało, przetrwała aż do śmierci Gustawa, zaszłej w Krakowie w 1908 r.

Z Zakrzewskim tedy spotykaliśmy się o 8 rano w uniwersytecie na lekcji historji powszechnej, wykładanej przez Altmayera, pomiędzy 9 a 10 spożywaliśmy w mieszkaniu mojem kakao, które dla nas obu przyrządzałem; po 10 każdy załatwiał się ze swojemi zajęciami, o 5 obiad, wkońcu, jeżeli dzień był spektaklu, z zapasem ciastek i gazet stawaliśmy pod rząd na korytarzu teatralnym, posuwając się powoli do okienka kasjera, albo wracaliśmy każdy do swoich zajęć do

domu. Życie takie studenckie, poświęcone pracy, rozrywkami przeplatanej, a przyjaźnią ogrzane, pełne było powabu dla nas obu .

Oprócz Lelewela i cytowanego wyżej Jastrzębskiego należy się wspomnienie trzem jeszcze tułaczom polskim: Wiktorowi Heltmanowi, byłemu członkowi Centralizacji Demokratycznej wersalskiej, który w roku 1858 trzymał się już zdala od polityki, zarabiając na skromne utrzymanie swoje i małżonki, która z kraju przybyła, by podzielić życie tułacza, tymczasem w ręku męża trzymała, zanudzając swoją pospolitością. Mierosławski, przyjaciel polityczny Heltmana, nierad, że go żona od polityki odciągała, twierdził, że małżonkowie wcale się w kraju nie znali, i że Heltman raz jeden tylko widział swoją przyszłą żonę i to „z tyłu w litewskiej mantyli". Lew Sawaszkiewicz i starozakonny Ludwik Lubliner, tytułowani i sami chętnie tytułujący się, pierwszy uczniem, a drugi przyjacielem Lelewela, dopełniali szczupłe grono wygnańcze.

Z rodaków, znajdujących się tu z dobrej woli, odpytałem Leonarda Straszyńskiego, kolegę mego gimnazjalnego artystę-malarza. Zainstalował się tu, zdaniem mojem, niefortunnie, dżdżysta bowiem zwykle zima pozbawiła go odpowiedniego światła w pracowni, bliskość zaś Spa z kuszącą ruletą odciągała namiętnego artystę od pracy w sezonie wiosennym i letnim.

Namawiałem niejednokrotnie Leonarda, by naszego patrjarchę odwiedził, ale zawsze bezskutecznie, tymczasem okoliczności zmusiły go do tego. Oprócz dużego płótna, które figurowało na stalugach a przedstawiało zabójstwo biskupa leodyjskiego, artysta pomniejsze prace wykonywał, do tych ostatnich zaś należał obrazek, przedstawiający Księcia „Panie Kochanku", siedzącego na beczce w Nowogródku w stanie nietrzeźwym. Malowidła tego nie oglądałem, gdyż było już wysłane zamawiającemu na Ukrainę do powiatu skwirskiego, jak mi to później mówiono, gdy jednak tego ostatniego, czy też samego twórcy uwagę zwrócił ktoś o smaku delikatniejszym na niestosowność uwieczniania w płótnie podobnych tematów, naszkicował Straszyński, jako kontrast a razem pendant do tamtego, epizod, nie pa-

miętam jaki, z życia Zygmunta Augusta, do którego prócz króla, matki i żony wchodził Kmita i inne osoby.

Oglądając szkic ten, wyraziłem wątpliwość co do współczesności wchodzących do obrazu osób, zachęcając jeszcze raz Malarza, by w interesie własnym odwołał się do powagi naszej o wskazówki. Wdzięcznym mi był potem Artysta, Lelewel bowiem ochronił go od popełnienia anachronizmu i śmieszności. Co się stało tak z tem, jak i z innemi cennemi Straszyńskiego malowidłami? Jedyny, o ile mi wiadomo, zbieracz dzieł sztuki w powiecie skwirskim, oprócz rodowych portretów, Leopold Abramowicz z Wołodarki nie posiadał takowych. „Króla Leara“ oglądałem w Pietraszówce w domu ojca Malarza; podmalowany szkic „Wieczerzę Pańską“, przedmiot zachwytów Kraszewskiego i Wicherskiego, widziałem u tego ostatniego w Odesie, jako depozyt czasowy; „Stanisława Augusta“, skradającego się w pracowni Baciarellego w czasie pozowania modelki, widziałem na wystawie w Warszawie; „Wallensteina“ w Gatczynie; o losie innych zaś, niestety, dowiedzieć się nie mogłem.

Z czasem nie ja do Straszyńskiego, ale on do mnie się zgłosił, by razem pójść do Lelewela, z powodu obstalowanego portretu naszego Patrjarchy przez bankiera warszawskiego Toeplitza, mecenasa sztuki, czy też chcącego za takiego uchodzić. W czasie pamiętnego posiedzenia, gdy zaimowałem staruszka rozmową, Artysta niepostrzeżenie odtwarzał w głębi cylindra swego rysy gospodarza; kształt głowy, postać cała i wszelkie akcesorja zostały doskonale wykonane, możnaby tylko zarzucić robocie tej, o ile z kopji fotograficznej sądzić o niej mogę, pewną martwotę twarzy, zwykle ożywienie zdradzającej. Kopję portretu tego po długiem poszukiwaniu znalazłem w Warszawie w roku 1889 u fotografa Mieczkowskiego, gdzie mi ją w zwiększonych rozmiarach odbito. Bądź co bądź, portret ten wydaje mi się najwierniejszym ze znanych, które zwykle podstępem zdobywano, albowiem do portretu Lelewel nigdy nie pozował: za poważny był to umysł i charakter, by się w ten sposób uwieczniać.

Wakacje moje letnie spędzałem w 1859 r. w Spa i Ostendzie: pierwsza miejscowość u podnóża Ardenów, słynna jako zdrowotna i urocza, ściągała do swego domu gry cudzo-

ziemców z całego świata, zamykając podwoje jedynie dla nieletnich i dla Belgów, do klas pracujących należących. Co do mnie, po przebyciu już fazy namiętności do gry jeszcze na pierwszym kursie zachowywałem się odpornie, obserwując grających, a głównie korzystałem z dobrej muzyki, bezpłatnie gościom ofiarowanej; parę razy zresztą udało mi się ratować tonących rodaków, ofiarując nocleg lub zaopatrując w bilet na wyjazd, który zawsze osobiście na dworcu doręczałem z obawy, by pożyczka ta nie została w otchłań rzuconą: o przysłowiu „Nie za to bił ojciec syna, że grał, ale że się odegrywał" nie każdy pamiętał.

Po całomiesięcznym tu pobycie w sierpniu przeniosłem się do Ostendy, gdzie już przyjaciela, gotowe mieszkanie i pianino nawet moje zastałem. Trudnem było porozumienie się nasze co do czasu zajęć odnośnych, wobec tego, że Zakrzewski studjował matematykę, a ja bębniłem na fortepianie, kombinowaliśmy się jakoś przy wzajemnem ustępstwie i mieliśmy dość czasu jeszcze na obserwowanie przypływu i odpływu morza, tak zawsze roznamiętniającego. Zabawiała nas, nieobytych ze zwyczajami miejscowemi, maskarada w morzu, przekładając jednak nad nią swobodę, znaleźliśmy odpowiednie do kąpieli miejsce za miastem wśród wydm piaszczystych, gdzieśmy sobie strzelnicę nawet ruchomą urządzili; krok ten nasz był nierozważny, gdyż, uwalniając się od przymusu kostjumowego, pozbawialiśmy siebie tej nadbrzeżnej ochrony, jaką przezorni Belgowie niedoświadczonych gości swych zabezpieczają. Skończyło się na szczęście nasze tylko na przestrachu, albowiem zdarzyło się raz, iż, lecąc na wyścigi z silnym prądem przypływu, ledwie zdołaliśmy ocalić nawpół zmokłe ubranie, zostawione u brzegu, ratując sytuację, ale to się drugi raz nie powtórzyło.

Znaleźli się w tym czasie w Ostendzie, stale w czasie lata tu przyjeżdżający, w celu, mniej lub więcej dyskretnego zarzucania sieci na kieszeń rodaków, dwaj znani tułacze nasi: ksiądz Aleksander Jełowicki ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców i doktór medycyny Seweryn Gałęzowski, z których pierwszy zbierał na instytucje religijne, drugi — na oświatowe, właściwie zaś na utworzoną przezeń a przez kraj cały podtrzymywaną Szkołę Polską na przedmieściu Bati-

gnolles w Paryżu. Pośpieszyłem przedstawić się temu drugiemu, tem chętniej, że był to Ukrainiec i kolega ze szkół humańskich ojca mego. Zaopatrzyliśmy się tam w bilety na bal t. zw. polski, który stał się poniekąd tradycyjnym w Ostendzie, ściągając oprócz rodaków licznych cudzoziemców dla oglądania przez prawdziwych Polaków wykonywanego mazura. Z powodu różnicy w akcentowaniu walca a mazura, chociaż obie te formy są zarówno *à trois temps* rachowane, przygotowanie tańca polskiego kłopot wielki orkiestrze przysparzało, skutku pożądanego nie przynosząc, z tem wszystkiem kasa wypełniła się, a prasa miejscowa rozsypała się w pochwałach: jednem słowem bal polski udał się. Na bal ten jeździłem w zamkniętym wspólnym powozie aż z dwoma kuratorami honorowymi dwóch odrębnych gimnazjów: kijowskiego i dynaburskiego. Pierwszy Henryk Tyszkiewicz, piękny mężczyzna, człowiek dobry i miły towarzysz, ale na wielkość pozujący, opowiadał, iż miał sobie polecone zbadanie szkół elementarnych w Belgji i t. p. banialuki, którym oczywiście wiary nie dawaliśmy, mocno podejrzewając, że perjodyczne z Ostendy wycieczki jego do Spa były skierowane. Podejrzenia nasze były najzupełniej uzasadnione. Henryk Tyszkiewicz sprzedał majątek dziedziczny, Szaryn i Ropotuchę w pow. humańskim położone, włościanom a sam ekspatrjował się, by resztę życia spędzić pomiędzy Paryżem a Rivierą francuską (czytaj Monte Carlo). Szczegóły powyższe udzielone mi zostały przez cioteczną siostrę Tyszkiewicza, Michalinę z Moszczeńskich Opoczyńską, z którą zimę w r. 1879/80 jednocześnie w Mentonie spędziłem.

O wiele skromniejszym, a gruntowniejszym był kurator Benisławski, zdaje się Michał. Jednocześnie znajdowali się w Ostendzie krewni kuratora, Teofil Benisławski z żoną i trzema córkami, rodem z Inflant Polskich, znękani bardzo nieszczęściem, z powodu śmierci jedynego syna i brata niedawno zaszłej. Panny były najlepszego towarzystwa, miłe i ukształcone; stosunek z rodziną tą był prawie codzienny a rozprawy, jak zwykle pomiędzy młodymi, namiętne, nie pozbawiły jednak nas życzliwości tak rodziców jak i panien, które z żalem żegnaliśmy.

Miałem też prawdziwą rozkosz muzykalną w Ostendzie, słuchając na koncercie, oprócz numerów solowych, wspólnie odegranego trio Mendelssohna *(C mol)* przez Antoniego Rubinsteina, Henryka Wieniawskiego i Włocha Piattiego. Na koncercie tym poraz pierwszy zbliska widziałem regenta pruskiego, późniejszego cesarza Wilhelma I-go, mężczyznę pięknego wzrostu, nieco sztywnie trzymającego się, w ubraniu koloru czerwono-tabaczkowego, który potem *couleur Bismarck malade* nazywano.

Po kąpielach morskich i różnorodnych przyjemnościach, pokrzepieni fizycznie i umysłowo, wróciliśmy do Brukseli, by się zawczasu do mającego się rozpocząć roku szkolnego przygotować. W tym czasie właśnie, w październiku, zaszły niespodzianki, które na dalszy bieg życia naszego dodatnio wpłynęły. Pierwszą taką przyjemnością dla nas był całomiesięczny pobyt w Brukseli Aleksandra Jabłonowskiego, znanego mi z Kijowa.

Młody ten i poczynający na niwie historji pracownik, po odbyciu letniej czteromiesięcznej po Anglji podróży, zawitał do Brukseli na cały miesiąc dla poznania i obcowania z Lelewelem. Zjawiał się tedy codziennie u naszego Patrjarchy w samo południe, a zabawiwszy do godziny 3-ej, wracał do siebie dla zrobienia odpowiednich notat. Następnie po obiedzie odbywaliśmy wspólną zamiejską przechadzkę, zakończoną posiedzeniem koleżeńskiem zwykle w mieszkaniu Zakrzewskiego, jako najobszerniejszem, na miłej przy herbatce a dla dwóch młodszych nieraz pouczającej gawędce. Zetknięcie się sztywnego i powściągliwego w mowie Jabłonowskiego z Lelewelem, lubiącym pośmiać się i pożartować, dało powód do pełnej humoru i dobroduszności uwagi tego ostatniego, pomimo całego uznania dla młodego uczonego. „Gdybyż choć raz się zaśmiał", powiedział Lelewel, życzliwie Jabłonowskiego wspominając.

Pierwszych dni listopada tegoż 1859 r. przybył nam — Koroniarzowi i Rusinowi — trzeci towarzysz z Litwy rodem; był nim Jan Karłowicz, który po ukończeniu uniwersytetu w Moskwie i dopełnieniu studjów w Heidelbergu przybywał do konserwatorjum muzycznego dla korzystania z nauki wiolonczelisty Servais'go oraz uczęszczania na inne wykłady.

Z wyglądu, zachowania się, nawet z ubrania, zanadto przypominał przeciętnego studenta niemieckiego, wrażenia przeto na nas dodatniego zrobić na razie nie mógł, trzeba było czasu, ażeby pod tą powłoką pospolitą wynaleźć głębię umysłu, zacność charakteru i poczucie estetyczne: uosabiał on prostotę i naturalność, wolną od afektacji i pozy. Nie zdobywał nikogo przebojem, tem silniejszem było zbliżenie, o ile na to potrzeba było pewnego czasu.

Przed przyjazdem Karłowicza przebyłem już formalności, niewielkie zresztą, w związku ze wstąpieniem do konserwatorjum, a że szkoła ta miała tytuł „królewskiej" i utrzymywana była na koszt rządu, prośbę o przyjęcie każdy cudzoziemiec musiał do ministra spraw wewnętrznych podawać. W przeciwieństwie do zwyczajów, w Petersburgu panujących, biura ministerjalne w kulturalnej Belgji funkcjonują już od 9-ej rano, odpowiedź zaś ministra na moje podanie nazajutrz w mieszkaniu otrzymałem. Taką samą pracowitość zauważyłem w urzędach pocztowych i telegraficznych. Przysłowie *Times is money* przyjęło się widocznie wśród kulturalnych Belgów: herbata i papierosy nie stanowią głównego zajęcia ich urzędników.

Gdy Karłowicz załatwił się z formalnościami, jedynie cudzoziemców obowiązującemi, poszliśmy razem zaprezentować się Franciszkowi-Józefowi Fétisowi, dyrektorowi konserwatorjum. Przeszło 70-letni starzec, o wyrazie twarzy pełnym energji z odcieniem srogości, przyjął nas z powagą monarchy, rozpytywał się o stan obecny muzyki w Polsce, odezwał się dość lekceważąco o muzykalności rodziny Kątskich, o Moniuszce słyszeć wówczas nie mógł, i na tem się audjencja skończyła. Niepospolity ten człowiek słynął na Zachodzie tak z nauki jak i nadzwyczajnej pracowitości. Na warsztacie jego znajdowała się zaczęta obszerna „Historja Muzyki", układał również „Dykcjonarz znakomitych muzyków", był współredaktorem jedynej wówczas na Zachodzie o zakroju poważniejszym *Revue et gazette musicale de Paris*, zabawiał się kompozycją na instrumenty rżnięte, dyrygował instytucją muzyczną, organizował koncerty i t. d., a na wszystko umiał czas znaleźć. Profesor mój, dawniejszy

uczeń Fétisa, mówił, że pan Dyrektor zaledwie 5 godzin na sen zużywa, o 5-ej zaś rano stoi zwykle przy biurku.

Fétis dzierżył berło krytyki muzycznej do spółki z niemłodym wówczas Auberem, dyrektorem paryskiego konserwatorjum muzycznego, surowość oblicza była jakby odbiciem poglądów muzycznych jego, nie wychodzących po za ramy ściśle przestrzeganego klasycyzmu. Beethoven z okresu drugiego i najbliżsi spadkobiercy jego, Schubert i Mendelssohn, stanowili dla niego jakby ostatnie w tej dziedzinie słowo; nie sądzę, żeby nie znał symfonji IX i współczesnych jej kwartetów, wszelako utworów tych nie demonstrował. Na znakomitych koncertach konserwatoryjnych, przez Fétisa dyrygowanych, słyszano oratorja i symfonje Haydna i Mendelssohna, symfonje Mozarta i Beethovena, aż do piątej symfonji włącznie: była to systematyczna edukacja publiczności, która może nie czuła się jeszcze dostatecznie przygotowaną do zrozumienia ostatnich produkcyj beethovenowskich. Wogóle kierunku romantycznego w muzyce Fétis nie odczuwał, Chopina nie doceniał zgoła (wyrażenie w biografji: „*Le génie de Chopin était élégiaque*“ nie jest oceną wszechstronną i wyczerpującą), oryginalnych zaś prądów w utworach Berlioza nie podnosił dostatecznie.

Belgowie wolni byli od opłaty za naukę w konserwatorjum, jako w szkole rządowej, cudzoziemcy zaś płacili po 200 franków rocznie; wybór instrumentów był dowolny, segregacja tylko uczniów do klasy niższej lub wyższej od kwalifikacyj ich zależną być musiała.

Przyjęty zostałem do klasy wyższej gry fortepianowej profesora Godineau i do takiejże klasy muzyki kameralnej prof. Steveniers'a, do której w czasie wykonywania trio zapraszany bywał Karłowicz, jako jeden z lepszych uczniów wiolonczelistów. Naukę gry organowej pobierałem wraz z Karłowiczem u znanego w Anglji i Belgji profesora-wirtuoza Lemmens'a; organ w szkole był doskonały, o klawiaturze niezbyt głębokiej, na którym po lekcji skończonej Profesor zwykle grywał, ku zachwytowi naszemu, utwory własne i Bacha, — przygotowanie zato lekcji w opuszczonym kościele Augustjanów, na klawiaturze głębokiej, która, zanim się uformowały nagniotki, palce kaleczyła, oraz nume-

rowanie klawiaturą dolną pedałową, w obuwiu nieco grubszem z powodu chłodu, jeżeli nie do tortur, to w każdym razie do ciężkiej próby musiało być zaliczone. Niewątpliwie słuszność miał — pod pewnym względem — prof. Dupont, zabraniając uczniom swoim grywania na organach, uprawianie jednak instrumentu tego ogromną korzyść przynosiło, wdrażając pianistów do jak najściślejszego łączenia dźwięków. Szkoła Lemmens'a zaopatrzyła z czasem kościoły belgijskie w dobrych organistów; było to marzeniem i naszego dyrektora Kątskiego przy założeniu i kierowaniu Konserwatorjum Warszawskiem, rachując na pomoc pierwszego profesora organów w szkole tej a poważnego kompozytora Freiera.

Konserwatorjum brukselskie, jak i paryskie, ustępowało pod względem wykształcenia muzycznego uczelniom tego typu w Niemczech, gdzie były katedry historji muzyki i estetyki i gdzie wymagano od wstępujących pewnych kwalifikacyj naukowych, tymczasem ani jedno ani też drugie nie praktykowało się w Brukseli. Uczelnia ta produkowała głównie materjał dla orkiestry, chórów, oraz dostarczała organistów — wybijały się wprawdzie jednostki mocą talentu swego, z powodu jednak bardzo niskiego poziomu naukowego i braków wychowawczych wśród uczniów, podniosłości i głębokości w pomysłach, ani też wykwintnej formy trudno doszukiwać się wśród współczesnych kompozytorów belgijskich. Wyjątek tu stanowić może Karol Beriot, który szkołę belgijską skrzypcową stworzył, i jego uczniowie. Z kolegów, z którymi bliższe stosunki utrzymywaliśmy, był jedyny Belgijczyk, i to o włoskiem nazwisku, Huberti, Francuz Régnard, Szwajcar Raymond i Włoch sfrancuziały Vinzentini. Muszę jednak nadmienić na plus uczelni belgijskiej, że miała klasę solfegiów, której u Niemców brakowało, do początkowego ćwiczenia w śpiewie niemal konieczną, a polegającą na głośnem wymawianiu nut przy śpiewaniu solo, w duetach, triach i t. d., co wyrabiało zgodność w śpiewie chóralnym, ułatwiało czytanie nut i ujawniało wcześnie zdolności wokalne osobników.

Teatr operowy w Brukseli był pod względem kierunku i smaku wiernem odbiciem Wielkiej Opery paryskiej, gdzie

panował mieszkający wówczas w Paryżu Meyerbeer, przyjmując łaskawie do towarzystwa swego szkołę francuską i Rossiniego, który jako twórca „Tella" do tej szkoły winien być zaliczony. Meyerbeer podniósł znaczenie orkiestry w utworach dramatycznych, starając się o możliwe zbliżenie muzyki i śpiewu z charakterem dramatu, czego nie zachowywali w produkcjach swoich spółcześni Włosi, nawet najlepsi, jak Rossini i Verdi. Jako kompozytor Meyerbeer był eklektykiem; do najpiękniejszych utworów jego zaliczają powszechnie „Roberta" i „Hugonotów". Zjawianie się perjodyczne dzieł jego w Paryżu oczekiwane było przez miłośników muzyki i krytyków, po przedstawieniu zaś każdego trąba Fétisa głosiła sławę autora, zamieszczając przytem wyczerpujący rozbiór dzieła wykonanego. Meyerbeer pierwszy, o ile mi wiadomo, wprowadził na scenę teatralną zwierzęta — i tak koza żywa, która debiutowała w operze *Pardon de Ploermel*, weszła do składu personelu teatralnego z odpowiednim etatem.

W związku ze wstąpieniem mojem do szkoły muzycznej program zajęć codziennych musiał się zmienić. I tak rano pomiędzy 7 a 8 przygotowywałem wymagane przez profesora ćwiczenia organowe na papierze, chociażby z ośmiu taktów złożone, od 8 do 9 lekcja historji powszechnej w uniwersytecie, pomiędzy 9 a 10 śniadanie wspólne z Zakrzewskim, od 10 lekcje w konserwatorjum, następnie praca w bibljotece publicznej, o 5 wspólny obiad triumwiratu naszego, na ostatku zaś spektakl, albo zajęcie wieczorne w domu.

W jesieni 1859 r. przybyli do Brukseli ziemianie z Ukrainy bracławskiej: Henryk Lipkowski, marszałek Lisowski i Wacław Górski, serdeczny kolega mój z Liceum odeskiego, a doktór medycyny Uniwersytetu Kijowskiego. Wychodząc od tych panów, zostałem na schodach zaatakowany przez służącego Marszałka, Bielaka, Rusina, odczuwając jednocześnie pocałunek na dłoni mojej, z prośbą, ażebym jako miejscowy dopomógł mu w przyjęciu religji katolickiej. Nie mogąc podjąć się tego, poradziłem, aby się udał do księdza Jełowickiego w Paryżu, dokąd właśnie marszałek Lisowski zdążał. Od syna Marszałka, d-ra Lisowskiego, dowiedziałem się w r. 1915, że spolszczona rodzina Bielaków

zamieszkała oddawna w Krakowie. Lipkowski przywiózł list do znajdującego się u jezuitów w Brukseli młodego Chrapowickiego, a nie mogąc sam zająć się odszukaniem go, prosił mnie, jako młodszego i miejscowego, o wyręczenie, czego się też najchętniej podjąłem. Dowiedziałem się dzięki temu o istnieniu w Brukseli klauzuli jezuickiej, *Collège St. Michel*, w której kształcą, chciałem powiedzieć — zaprzepaszczają, dzieci polskie. Po indagacji, oddanie listu poprzedzającej, zapytałem ojców, czy nie mógłbym zapraszać do siebie w niedziele i święta młodego rodaka, jedynego Polaka, jaki się w zakładzie tym znajdował? Na to otrzymałem odpowiedź odmowną, która z ich punktu widzenia była najzupełniej logicznem następstwem przyjętej we wszelkich ich zakładach zakonnych zasady: ochronienia instytucji od wpływów zewnętrznych, uprzednio przez zakon nie skontrolowanych.

Przy powszechnej tendencji młodzieży polskiej, kształcącej się zagranicą, do łączenia się, powyższy epizod z Chrapowickim zaostrzył w nas poszukiwania młodych współziomków i doprowadził do odnalezienia znajdującego się samotnie w pensjonacie zamkniętym p. Rénaud — Wołynianina, Antoniego Jodki, z Zaleskiej urodzonego, którego rodzinę na Podolu potroszę znałem, lub o niej coś wiedziałem. Używając podstępu, oznajmiłem się p. Rénaud jako krewny Jodki; temu zaś o znanych przeze mnie Zaleskich na Podolu opowiedziałem, a po otrzymaniu wrażenia ze znajomości tej najsympatyczniejszego, powiedziałem wprost, że jest nas trzech, z każdej części Polski po jednemu, uczących się i zapytałem, czy nie zechciałby przyjąć udziału w życiu koleżeńskiem, odwiedzając nas w niedziele i święta. Widocznie, że otwartość moja dobre wrażenie zrobiła, albowiem Jodko zaufał mi i w najbliższą niedzielę nowy nasz towarzysz, o lat dziesięć młodszy, i obiad z nami spożywał i skromne miejsce parterowe w teatrze tegoż wieczoru podzielał. Wzrostu średniego, o cerze smagłej, oczach czarnych dużych i niezmiernie wyrazistych, nowy towarzysz całą sympatję naszą pozyskał, ze mną zaś stanął odrazu na stopie koleżeńskiej. Dostarczałem mu książek, dzienników polskich, chodziliśmy od czasu do czasu do teatru, urządziłem

wreszcie dla pupila mego kochanego strzelnicę w swoim nie-wielkim dziedzińcu, przy ul. Ruisbroek 39, chociaż sam do sportu tego nigdy zamiłowania nie miałem. W ten sposób rok cały szkolny przeszedł, zostawiając we mnie miłe na zawsze wspomnienie. Nie przypuszczałem wówczas, że się już nigdy nie zobaczymy.

Gdy we dwanaście lat potem znającemu stosunki wo-łyńskie biskupowi Krasińskiemu opowiadałem o poznajomie-niu się z Jodką, przyznając się do popełnionego kłamstwa, z namaszczonych ust duchownego usłyszałem zdanie tak charakterystyczne, iż je w całości powtórzyć muszę. Jakby usprawiedliwiając dobre intencje, które mnie do podstępu popchnęły, Biskup powiedział: „Jeżeli widząc przez okno podjeżdżającego do domu mego gubernatora, odzywam się do służącego: „Powiedz, że niema mnie w domu", ale w myśli dodaję: „dla ciebie", — kłamstwo takie dozwolonem jest, nazywa się zaś teologicznem". Wszystko to wypowiedziane było w sposób tak stanowczy, iż dyskusja na temat ten sta-wała się niemożliwą, tem bardziej, iż Interlokutora mego bardzo szanowałem.

Oprócz Antoniego Jodki mieliśmy kolegów wśród współziomków uczących się na uniwersytetach w Liège i Louvain; w pierwszym były wydziały przyrodnicze i tech-niczne, drugi zaś nazywał się katolickim, co dostatecznie charakteryzowało kierunek zakładu. Odwiedzaliśmy się na-wzajem gremjalnie w czasie feryj świątecznych, prowadząc namiętne rozprawy, do których panująca zawierucha we Włoszech i przewidywane następstwa wdzięczne pole przed-stawiały. Do wybitniejszych wśród nas szermierzy należał radykał Jan Karłowicz, umysł jasny, logiczny, przytem na-ukowo wykształcony, którego oponentem stałym był zdolny również sofista Moczulski z pod Żytomierza, student uni-wersytetu w Louvain.

Chciwą nauki, a pełną gorącego patrjotyzmu młodzież dostarczały głównie dwa, świetnie podówczas stojące gimna-zja — warszawske i lubelskie. Z kolegów zaś, prócz wyżej wymienionych, pamiętam braci Rudziejowskich z Rzeczyc-kiego, braci Wrzeszczów — Teodora i Antoniego — z Podola rosyjskiego, braci Kiełczewskich — Tadeusza i Zygmunta —

z Hrubieszowskiego. Dwóch z nich: Henryka Rudziejowskiego i Zygmunta Kiełczewskiego, sympatycznych i zdolnych, z żalem wielkim pogrzebaliśmy na ziemi obcej. Oprócz młodzieży uczącej się, naprawdę byli i tacy, którzy wciąż do nieodległego od Liège Spa uczęszczali, gdzie zgrywali się nieraz tak, że, nie mając na bilet kolejowy, piechotą do domu wracali.

Z powodu ułatwienia paszportowego za nowego panowania, roiło się w tym czasie od turystów polskich, kierujących się głównie, jeżeli nie wyłącznie, ku świetnemu po niedawnym kongresie Paryżowi, jako stolicy świata. W pielgrzymce tej do Mekki nowożytnej zatrzymywali się niektórzy w Brukseli dla odwiedzenia Lelewela, zwłaszcza przedstawiciele pokolenia młodszego; półpankowie omijali zwykle tego znanego apostoła demokracji. Wśród tej rzeszy pielgrzymów do wspomnianych już wyżej zaliczyć wypada wybitniejszych a znanych krajowi, dla mnie osobiście sympatycznych.

I tak w r. 1858 gościłem przez cały tydzień u siebie d-ra medycyny Seweryna Górskiego, którego życzliwym uwagom zawdzięczałem zredukowanie godzin pracy fortepianowej z 8 do 6 dziennie i podniesienie wydatku na obiad z 50 na 65 centymów: jak jedno, tak i drugie było najzupełniej racjonalne. W 1859 był wspominany wyżej brat Seweryna Górskiego, Wacław, także doktór medycyny, który hołd swój przytem wielkiemu Starcowi składał. U Lelewela spotkałem Zygmunta Miłkowskiego, znanego mi dobrze z produkcyj literackich, jak niemniej z ruchliwości swojej niezmordowanej w pracy emigracyjnej. Poznałem też Mieczysława Pawlikowskiego z Medyki pod Lwowem, światłego i powszechnie szanowanego obywatela. Był on synem znanego w nauce polskiej Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Odszukał mnie w dziurze studenckiej kochany znajomy z Podola, Karol Kruzer, czystej wody entuzjasta w poezji i sztuce i tej podniosłości, co Sierakowski w polityce. Zjawił się też u mnie przysłany przez Lelewela młodzieniec o twarzy inteligentnej, obramowanej długiemi splotami czarnych jak heban włosów, w świcie białej samodziałowej, z ogromnym kijem sękatym w ręku: był to Józef Limanowski, który po

skończeniu uniwersytetu w Moskwie i obdarowaniu całkowitem czy też częściowem, dobrze nie pamiętam, włościan posiadaną ziemią na Inflantach Polskich wraz z braćmi — Bolesławem, później znanym publicystą, zacnym i najlepszej wiary socjalistą, i Lucjanem dążył do Paryża, by u źródła emigracyjnego pokrzepić się i otrzymać wskazówki co do kierunku pracy w danej chwili w kraju. O Limanowskim Józefie, którego w rok potem spotkałem w Paryżu, a następnie w dziesięć lat potem w Irkucku, nieraz wypadnie mi mówić; na teraz wspomnę, żeśmy się serdecznie zbliżyli, zadatkując niejako stosunek przyjazny na przyszłość.

W tymże 1859 roku odwiedził mnie wracający z Paryża kolega gimnazjalny, niezmiernie dla mnie sympatyczny, Kalikst Bądarzewski, dr. medycyny z musu (z woli ojca), miłośnik zaś literatury i esteta. Towarzyszył mu młody Podolanin, znany w obu stolicach naszych jako publicysta, autor dramatyczny i tłómacz, Zygmunt Sarnecki. Odbyliśmy razem zwykłą pielgrzymkę do Lelewela i do pracowni Straszyńskiego.

Plagą dla nas, na naukę przybyłych, byli sybaryci o nazwiskach polskich, którzy przed osiągnięciem ostatecznego celu podróży, jakim był *jardin mobile* w Paryżu i ruleta w Spa i Homburgu, zatrzymywali się w Brukseli i poszukiwali tam dla względów praktycznych stale zamieszkałych rodaków, czas nam tylko zabierając i nic wzamian nie dając. Do liczby najnudniejszych pośród tych wałęsających się bez celu próżniaków należał Ignacy Stadnicki, Podolanin, kolega mój z Odesy: opowiadał wciąż, w jakim respekcie utrzymuje urzędników policji w pow. uszyckim, jak samemu gubernatorowi nieraz nakiwał, albo o przygodach w hotelach, wagonach lub domach gry i innych, gdzie — jako szlachetny hrabia polski — występował w obronie pokrzywdzonych i t. p. brednie. Od Stanisława Stadnickiego, djabłem zwanego, walczącego z królem, do pana Ignacego w ciągłych zapasach ze „sprawnikiem“ rosyjskim, co za przepaść! Z tem wszystkiem Stadnicki był szczerym patrjotą. Przemawiały w nim bezwiednie tradycje starożytnego rodu, który dostarczał krajowi uczonych i statystów, a w intrygach politycznych udziału nigdy nie przyjmował.

W czasie dwuletniego mego pobytu Bruksela gościła w murach swoich dwóch największych w tym czasie skrzypków: Joachima i Wieniawskiego. Przy wielkiej muzykalności i technice, doprowadzonej u obu do możliwej doskonałości, grę pierwszego z nich cechowała niezwykła pełność dźwięku, spokój i panowanie nad sobą, w przeciwieństwie — pod tym względem — z drugim, którego ognisty temperament doprowadzał czasem do zgrzytu, dostrzegalnego wprawdzie przez wybranych; Wieniawski grą swoją czarował, gdy Joachim zachwycał tylko. W czasie gry na jednym z koncertów Wieniawskiego dał się słyszeć niezwykły, głośny objaw zachwytu, z piersi starego i na pozór zimnego Fétisa wydobyty, który powszechną a pełną sympatji uwagę zwrócił.

Zatrzymał się też w Brukseli Ryszard Wagner w przejeździe z Paryża dla przedstawienia publiczności wybitniejszych ustępów z oper swoich. Poprzedziły go namiętne odezwy entuzjastów, jak i przeciwników; do tych ostatnich należał siedzący na środkowem miejscu balkonu, o obliczu surowem Fétis, z siwiuteńką jak sam żoną. Karłowicz i ja zajęliśmy krzesła środkowe, koledzy zaś nasi boczną lożę pierwszego piętra. Wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie zawsze dla widzów przyjemnemu, Wagner zwrócony był do publiczności przodem *(en face)*, dyrygował zaś orkiestrą ze spokojem niewzruszonym. (Drugim wyjątkowym dyrygentem był Fétis, zwracający się do widzów „bokiem"). Wzrostu średniego, twarzy czerwonej w oprawie rudej, Wagner miał wygląd najpospolitszy. Tak jak w Paryżu, i w Brukseli muzyka Wagnera odmienne, wręcz przeciwne wrażenie wywołała, dzięki jednak różnicy w temperamencie Francuzów i Belgów, nie doszło tu, jak tam, do katastrofy i koncert dotrwał spokojnie do końca. Zwracaliśmy się od czasu do czasu w stronę pana Dyrektora, obserwując marsowate, na chwilę nierozjaśnione oblicze jego. Koledzy nasi młodzi szczerze oklaskiwali Wagnera, co nie uszło uwagi Fétisa, który tak był tem oburzony, iż nie przyjął ich nazajutrz na lekcję kontrapunktu, który sam wykładał, i trzeba było czasu, by gniew starca złagodzić. Opowiadał mi o tem Karłowicz, który na lekcje powyższe uczęszczał.

Przy końcu listopada 1859 roku zrobiliśmy we trzech krótką wycieczkę do Paryża na doroczną uroczystość 29 listopada.

Była to pierwsza bytność moja w tem mieście, którego wtedy prawie nie oglądałem, pochłonięty całkiem wrażeniami chwili i poznawaniem tak emigrantów, jak i rodaków, z rozmaitych stron kraju przybyłych. Z pierwszej kategorji oprócz kilku bardzo szanowanych, ale mniej zwanych przedstawicieli obozu demokratycznego, główną uwagę zwracał Mierosławski, któremu zostałem przedstawiony, oczekując z biciem serca chwili, kiedy miał do zebranych przemawiać. Jakoż, trzymając w ręku przysłaną mu z kraju rogatywkę, językiem pięknym a pełnym siły przemówił i wstępnym bojem zdobył mnie najzupełniej. Wtedy to powstała wśród nas trzech myśl udania się do Włoch, pod rozkazy Garibaldiego, odwiódł nas jednak od tego Mierosławski, zalecając, abyśmy siły nasze dla kraju zachowali.

Wakacje moje letnie w r. 1860 spędziłem w Spa, gdzieśmy się wszyscy trzej zjechali, a skąd Karłowicz do kraju, Zakrzewski zaś do Paryża odjechał; co do mnie — po odwiedzeniu poraz drugi Ostendy — znalazłem się z początkiem września na bruku paryskim.

Pobyt mój w Paryżu miał cel dwojaki: po pierwsze, zapoznanie się z utworami Chopina, gdzie żyły świeże tradycje po mistrzu tym, po drugie, poznanie emigracji, która w czasach najcięższego w kraju despotyzmu mikołajewskiego myśl polską pobożnie na tułactwie przechowywała. O tych zasobach naukowych, artystycznych i wszelakich innych, jakie ta stolica świata każdej inteligencji i każdemu gustowi dostarczała, wspominać będę o tyle tylko, o ile to może być w związku z bezpośrednim celem mego pobytu w Paryżu. Po urządzeniu się studenckiem w *Quartier latin* w hotelu Racine, na placyku do Odeonu przylegającym, udałem się niezwłocznie do Juljusza Fontany, przyjaciela i ucznia Chopina, z prośbą o lekcje, które przez cały czas pobytu mego po dwie na tydzień brałem, płacąc po 20 fr. za każdą: było to najwyższe honorarjum, jakie tylko tacy mistrze w medycynie, jak Nelaton i Charcot, wówczas otrzymywali. Po odbytym egzaminie, oświadczył Fontana, że zdobyłem wpraw-

dzie w konserwatorjum pewną technikę i znajomości stylowe, ale nie umiem łączyć dźwięków, gdy to właśnie jest najważniejszym warunkiem przy odtwarzaniu utworów Chopina: skazał mnie przeto na gamy, arpegia i preludja Clementiego, wskazując sposób wykonywania takowych.

Praktykowałem to ze trzy tygodnie ze skutkiem widocznie zadawalniającym, gdyż przeszedłem potem odrazu do nokturnów, mazurków i t. d., podnosząc niemal do bałwochwalstwa kult mój dla Chopina, do czego przyczyniało się niemało słuchanie po lekcji utworów mistrza, bez ognia wprawdzie, ale poprawnie i stylowo przez Fontanę wykonywanych. Bodaj, czy wsłuchiwanie się to nie było największą korzyścią z lekcyj, które z powodu wyjazdu wcześniejszego, niż zamierzałem, z żalem wielkim w grudniu 1860 r. zakończyć musiałem. Oprócz łączenia dźwięków, sklejania, jak się wyrażał, i uwypuklania ich koniecznego przy wykonywaniu nokturnów, względnie do mazurków, zalecał Fontana zachowywać przy graniu takowych żywość tej formie właściwą i tętno rytmiczne — słabiej lub silniej — ale wciąż dawać odczuwać, gdyż pozbawione tej pulsacji melodje mazurowe, przybierają charakter sentymentalny, właściwość dająca się spostrzegać szczególnie w interpretacji kobiet.

Oprócz Fontany, znaną była w Paryżu, jako dobra wykonawczyni utworów Chopina Polka, a była nią pani Bohdanowa Zaleska, z domu Rosengartówna, córka znanego w Warszawie autora „pierogów rozengartowskich". Inteligentna, ukształcona, a przedewszystkiem energiczna ta niewiasta wyjechała z kraju do Paryża z powziętym zgóry postanowieniem zaślubienia Chopina albo Bohdana. Pierwszy z nich był podówczas w sidłach pani Georges Sand, a drugi znajdował się w południowej Francji, gdzie mu pani z Zaleskich Iwanowska chciała wspólną ich krewną, Zaleską, wyswatać. Zamiary te pokrzyżowała jednak bohaterka nasza, panna Rosengartówna, która wstępnym bojem zdobyła Bohdana, małżeństwo zaś to było, jak powszechnie mówiono, szczęśliwe i w liczne potomstwo przyozdobione.

Oprócz lekcyj Fontany wiele korzyści i przyjemności na polu muzyki odniosłem, uczęszczając do teatrów paryskich, słynących z dobrych śpiewaków i dobrej orkiestry.

W operach „Wielkiej“ i „Komicznej“ panowali: Meyerbeer oraz mistrze francuscy: Adam, Hérold, Halévy, Boieldieu, Auber i autor „Tella“. W teatrze „Włoskim“ dominował Rossini w interpretacji najsławniejszych ówczesnych śpiewaków: Mario, Lablache i pani Alboni. Największej jednak przyjemności doznawałem, słuchając w teatrze Lirycznym „Orfeusza“ Glucka, ze sławną panią Viardot-Garcia w roli tytułowej. Gluck starał się zespolić w operach swoich, o ile to być może, muzykę ze słowem, przeto za reformatora dramatu muzycznego może być uważany; natchnienie swoje czerpał on z tego poczucia dramatycznego, które muzykę francuską cechuje, przeto we Francji wśród Francuzów mógł tylko zatriumfować. Nie wprowadzając smoków na scenę, ani też puzonów do orkiestry, środkami względnie małemi, jakiemi ówczesna orkiestra rozporządzała, wywoływał podniosłe uczucia i efekty wstrząsające; w tem właśnie spoczywa siła genjuszu jego.

Emigracja polska, po przybyciu do Francji, wytworzyła dwa główne stronnictwa: konserwatywne i demokratyczne. Każde z nich miało swój program i odpowiedni doń organ drukowany. Pierwsze, wierząc w skuteczność interwencji zagranicznej na rzecz Polski, czyniło zabiegi u monarchów i w parlamentach. Drugie wierzyło w odzyskanie utraconej ojczyzny przez lud polski odrodzony; gdyby odrodzenie takie, poprzedzone przez uwłaszczenie ludu, obliczano na dłuższą metę, byłoby to niewątpliwie pracą celową, emigranci jednak uważali, że sama obietnica, dana ludowi w chwili stanowczej, wystarczy, i w optymizmie swoim wierzyli w możliwość odrodzenia takiego „w ogniu“, nie powolnem stopniowaniem przeto, ale szybkiem tempem do celu dążyli, nie reformatorów, ale przeważnie agitatorów politycznych i socjalnych do kraju nasyłali, jak Zaliwski, Konarski, Potocki Pantalemon, Wołowicz; między innymi poetów: Berwiński, Lenartowicz, Baliński Karol, skazując ich — zarówno jak i adeptów w kraju — na bezcelowe męczeństwo; bezcelowe, powtarzam, albowiem Konarski przysłany, jako reformator społeczny, spotkał się z rozpoczętą robotą, przez rozumnych patrjotów prowadzoną.

Przez pryzmat miłości i tęsknoty emigranci patrzyli, nie rachując się z położeniem kraju: jest to jedyne usprawiedliwienie popełnianego przez nich błędu, zanim rok 1863 otworzył oczy tak obu stronnictwom jak całemu narodowi.

W roku 1860 emigrację polską we Francji przedstawiało kilka większych lub mniejszych grup wychodźców. Nie używam wyrazu „stronnictwo" albo „obóz", albowiem, o ile w samym początku organizacje istniały, nawet o charakterze militarnym, z czasem zmiana haseł narodowych wywoływała wciąż różniczkowanie, które w następstwie rozluźnienia stronnictw sprowadzało: w takiem właśnie stadjum emigrację naszą w Paryżu w połowie roku 1860 zastałem; miały ją dopiero ożywić wypadki warszawskie na tle narodowem, zapoczątkowane improwizowaną tak zw. demonstracją w czasie pogrzebu jenerałowej Sowińskiej w jesieni 1860 r. a następnie drugą — już celową — pamięci Lelewela w grudniu tegoż roku poświęconą.

Koryfeuszem grupy konserwatywnej był książę Adam Czartoryski, prawie 90-letni starzec, ciemny niegdyś brunet, mocno już siwiejący, postaci kształtnej i wyniosłej, pełen powagi i zarazem powściągliwej, ale w najlepszym smaku uprzejmości; te same mniej więcej cechy charakteryzowały przypominającego z postawy i fizjognomji, ale nie ze zdolności, syna starszego księcia Adama, Witolda, znanego mi już z Krakowa. Rezydencją stałą Księcia był historyczny Hôtel Lambert w Paryżu, na wyspie św. Ludwika położony, wspaniały wewnątrz, zamknięty zaś zewnątrz i murem obwiedziony, jak wszystkie „hotele" arystokracji francuskiej z dzielnicy St. Germain. Pod auspicjami Księcia pracowało Towarzystwo Historyczne Polskie, powstała Bibljoteka Polska *(Quai d'Orléans, 5)*, oddająca przysługi uczonym naszym; zakład wychowawczy dla dziewcząt, który dostarczał krajowi uzdolnionych nauczycielek; wreszcie zakład filantropijno-narodowy św. Kazimierza, było to wszystko żywem świadectwem owocnej pracy księcia Adama dla kraju na wygnaniu. Wiara jego w interwencję zagraniczną na rzecz Polski, przechodząca może w obłęd polityczny, podrywała kredyt jego wśród umiarkowanych nawet rodaków, narażając tę czcigodną postać na pociski a nawet oszczerstwa krańcowych.

Najgorzej przysługiwali się Księciu tacy, którzy, nadużywając jego imienia, wchodzili w potajemne zakulisowe roboty, a może i intrygi polityczne, w czasie rozruchów europejskich w latach 1848 i 1854. Sekretarzem Księcia był przez czas długi, aż do śmierci, Karol Sienkiewicz, współwygnaniec, człowiek poważny, znany w literaturze tłumacz Walter Scotta „Karol z Kalinówki". Zastąpili go najbliżsi w otoczeniu Księcia ówczesnem: Juljan Klaczko, Żyd wileński, świetny publicysta i esteta, autor „Wieczorów Florenckich", przez Tarnowskiego spolszczonych, oraz artykułów w *Revue des deux mondes:* „Les deux chanceliers", „Le congrès ethnographique de Moscou" i innych, i Kalinka, późniejszy ksiądz i autor „Sejmu Czteroletniego". Redagowane przez nich „Wiadomości Polskie", były uważane za organ tej grupy konserwatywnej, a jako takie, narażone na namiętne zarówno, jak bezsilne pociski inaczej myślących rodaków.

Najliczniejszą była grupa demokratyczna, składająca się z patrjotów postępowych i w znacznej części umiarkowanych. Do najwybitniejszych w grupie tej należeli: Józef Wysocki, który szlify jeneralskie na polach węgierskich w r. 1848 zdobył, Januszewicz i Ordęga, obaj rodem z Korony, Mazurkiewicz Wincenty, szwagier Mierosławskiego, Poznańczyk, jak równie Seweryn Elżanowski, redaktor „Przeglądu Polskiego", tygodnika o charakterze narodowo-informacyjnym, uważanego za organ demokratyczny. Z grupą tą sympatyzowali bezpartyjni: Józef (Bohdan) Zaleski, znany „słowik ukraiński", wychowaniec szkół humańskich, i Seweryn Gałęzowski, doktór medycyny, jeden z głównych założycieli, następnie zaś stały opiekun utworzonej przezeń dla dzieci wygnańców szkoły polskiej w Paryżu. Gałęzowski był również wychowańcem szkół bazyljańskich w Humaniu, a następnie Uniwersytetu Wileńskiego, po roku 1831 podążył on, jako emigrant do Meksyku, gdzie sławę dobrego chirurga pozyskał, po kilkunastu latach praktyki wrócił do Paryża z dużym kapitałem i tu owoc długoletniej pracy swej na ołtarzu ojczyzny złożył. Znaczny współudział finansowy przy tworzeniu szkoły batignolskiej przyjął były poseł sejmowy, Jan Ledóchowski, głośny stąd jeszcze, że okrzykiem w sejmie „Precz z Mikołajem", dał hasło w r. 1831, wobec

niedecydujących się do ostatecznego zerwania z carem. Za odłam pewien grupy tej demokratycznej można uważać radykałów społecznych i politycznych z Ludwikiem Mierosławskim na czele.

Najwybitniejszym duchownym wśród emigracji był ksiądz Aleksander Jełowicki z zakonu zmartwychwstańców.

Osobną grupę tworzyli towiańczycy pod przewodnictwem jenerała Karola Różyckiego. Credo towianizmu, że „miłością podbić wroga należy", zasada do bezwzględnej zagłady prowadząca, znalazła zaprzeczenie w życiu, na początku r. 1863, gdy pan Andrzej zebranych w Zurichu gorętszych wyznawców swoich błogosławił i na pole walki do kraju wyprawiał. Poczucie narodowe okazało się głębszem od doktryny.

Szczegóły, dotyczące powyższego faktu, były mi dostarczone przez towarzysza wygnania w Usolju, Niedzińskiego, zacnego i skromnego, jak wszyscy towiańczycy.

Niepokonana siła tradycji ujawniła się z większą jeszcze jaskrawością w r. 1914 wobec niebezpieczeństwa, poszczególnym narodom grożącego, przez zupełną abdykcję przywódców socjalizmu, Liebknechta, Vanderweldego, Daszyńskiego i antymilitarysty Hervégo — fakt godny zastanowienia!

W ścisłej łączności ideowej jak i towarzyskiej z emigracją żyli przybyli do Paryża z rozmaitych stron kraju i zagranicy rodacy.

Przed samym 29 listopada przybył do Paryża z Fryburga szwajcarskiego Bronisław Trentowski, znany autor „Chowanny", w dniu zaś tym pamiętnym, obchodzonym zwykle odpowiedniem przemówieniem w Towarzystwie Historycznem, odczyt swój wygłosił. W mowach podobnych, poniekąd szablonowych, niepodobna uniknąć słów uznania dla założyciela lub też orędownika instytucji, w której się uroczystość odbywa, co też i filozof nasz uczynił, znajdująca się jednak na odczycie młodzież, dopatrzywszy w namiętności swej stronniczej pewnej względem księcia Adama lojalności, nie licującej z godnością uczonego i obrażającej jej uczucia demokratyczne, wystosowała do Trentowskiego odezwę z protestem, zredagowaną zresztą w tonie umiarkowanym

przez Marjana Sokołowskiego, arcylojalnego i arcykonserwatywnego w przyszłości profesora uniwersytetu krakowskiego, podpisaną zaś prawie przez wszystkich do Czytelni Polskiej uczęszczających, a w liczbie tych przez narratora powyższego ubolewania godnego faktu. Muszę tu nadmienić, iż przed wyjazdem zagranicę otrzymałem z Wilna od Odyńca naglące wezwanie do zbierania na Ukrainie składek na rzecz znajdującego się w niedostatku Trentowskiego. Zapoczątkowawszy składkę, udałem się o pomoc do powietników moich i uzbierałem okrągłą sumkę 200 czy 300 rb. w złocie, które zawiozłem do Brukseli a stamtąd do Fryburga odesłałem. W samą porę nadeszła pomoc rodaków i najżyczliwiej była przyjęta, szczęśliwy zaś pośrednik otrzymał z tego powodu parę listów niezmiernie ciekawych, a pięknych, o sztuce traktujących. Owoż nierozważny podpis mój na również nierozważnym proteście zamknął mi drogę do osobistej znajomości z uczonym niezwykłej miary, życzliwie dla mnie usposobionym, lekkomyślności zaś podobnej przebaczyć sobie do dnia dzisiejszego nie mogę, byłem też za nią przez los ukarany, o czem później nadmienię. [18])

Wspomniany protest młodzieży, wystosowany do Trentowskiego, nie był podpisany przez Aleksandra Jabłonowskiego; ja zaś czułem doń żal, że, słuchając redakcji odezwy, ani jednem słówkiem nie oponował, do czego jako starszy a wytrawniejszy miał prawo, a poniekąd i obowiązek. Jabłonowski, należący do starszych gości polskich w Paryżu, uczęszczał do grup emigracyjnych wszelakich odcieni, a jednocześnie pierwszą pracę swoją historyczną przygotowywał. Zastałem go w obskurnym hotelu *Germanique*, w pasażu tegoż nazwania, w Kwartale Łacińskim, w pokoju nieopalonym, siedzącego w samodziale nad książką. Tak on, jak i Józef Limanowski, równie żelaznego charakteru i pracy niezmordowanej, przesiadywali dzień cały w ogrzewanej i oświetlanej bezpłatnie bibljotece publicznej przy Szkole Prawa, żywili się mięsem zimnem, wieczorem zaś znajdowali się stale w gronie kolegów w Czytelni Polskiej. Trzeba było użyć podstępu, by od czasu do czasu któregokolwiek z nich zaciągnąć na gorącą strawę, którą truł nas rodak, restaurator Janek, przygotowując barszcz na occie, kołduny na łoju itp.

narodowe przysmaki, ale kredytował tak emigrantom jak i studentom, i stąd był wśród nas popularny.

Jabłonowskiego poznałem w r. 1854, stosunek zaś z nim utrzymywałem na stopie życzliwej aż do jego śmierci, dłuższy czas z nim przebywając w Kijowie, Brukseli, Paryżu, Warszawie i Odesie, przytem od czasu do czasu korespondując. Podziwiałem zawsze w Jabłonowskim nadzwyczajną powściągliwość w mowie, co mu zapewniło mir u ludzi wszelkich sfer towarzyskich i najrozmaitszych przekonań. Znani mu byli koryfeusze wszystkich stronnictw na emigracji, do żadnego jednak nie przystąpił. Widywano w Warszawie Jabłonowskiego na wieczorach literackich u Stanisława Kossakowskiego, a jednocześnie w redakcjach pism postępowaych; w Kijowie bywał u marszałka gubernjalnego Horwatta, jak również u znanego krańcowego ukrainofila Antonowicza, nawet wtedy, gdy ten po przyjęciu prawosławia urzędowym profesorem uniwersytetu został; w Odesie utrzymywał stosunki z arcybiskupem Symonem, a w parę lat potem sam go widziałem w tejże Odesie na Limanie rozprawiającego poważnie z uczonym dostojnikiem cerkwi prawosławnej, otrzymującego zaprosiny tego ostatniego, by go w Kijowie w historycznym monasterze Brackim odwiedził. Myliłby się jednak ten, ktoby chciał z tych pozornych przeciwieństw ujemne wnioski wyprowadzić: Jabłonowski był przekonań szczerze demokratycznych i postępowych, odczuwało się to w stosunku z nim bliższym aż nadto, ale przedewszystkiem był „obserwatorem".

Zaglądał do czytelni naszej bawiący w Paryżu poważny i sympatyczny Litwin Antoni Żeligowski, znany w literaturze autor poematu „Jordan", zwiastującego przeobrażenia społeczne, a więc w kraju zabronionego. Przebywał też czas dłuższy na bruku paryskim wspomniany już przeze mnie z pobytu swego w Brukseli Zygmunt Sierakowski [19]); mieszkał na Polach Elizejskich, w pensjonacie angielskim, zrana załatwiał, jako wysłannik ministra Milutina, sprawy służbowe i wizyty oficjalne składał, wieczorem zaś z Kwartału Łacińskiego nie wychodził, spędzając czas swój z emigrantami i młodzieżą; przeczystej wody entuzjasta, do każdej roboty

czy rozmowy całą duszę swą wlewał, przekonaniami zaś swojemi zbliżał się do radykalnych.

Najmłodsi z przybyłych rodaków bez wyjątku prawie do grupy demokratycznej należeli; ze znanych krajowi, a umiarkowanych wówczas zanotuję, oprócz wspomnianych już Sokołowskiego i Sarneckiego, Jana Kleczyńskiego, dobrego muzyka, chopinistę, i dwóch synowców d-ra Gałęzowskiego, Ksawerego, sławnego później okulistę, i Józefa, inżyniera. Do wybitniejszych wśród radykalnych, oprócz wspomnianych braci Limanowskich i Gustawa Zakrzewskiego, należeli wychowańcy Uniwersytetu Kijowskiego: Jan Zaleski, Edward Faszowicz i Włodzimierz Milowicz, wszyscy trzej z Wołynia, z Ukrainy zaś: Wiktor Nikorowicz, syn majora wojsk polskich, oraz Makary Drohomirecki, człowiek gorącego ducha i dzielnego charakteru, który poległ później pod Krzywosądzem w r. 1863, opiewany wespół z innym Ukraińcem, rozstrzelanym Zygmuntem Padlewskim, przez Bohdana Zaleskiego.

Najwybitniejszym z pomiędzy wszystkich z roli, jaką przy Mierosławskim odegrywał, był sekretarz jego i człowiek zaufania Jan Kurzyna, Koroniarz, niedoszły duchowny i niedoszły medyk, gdyż tak jeden jak i drugi fach po roku próby porzucił. Ponury, skryty, ostrożny, zagadkowy, o wzroku mętnym i twarzy, uśmiechem nigdy nie rozjaśnionej, uosabiał ten najbliższy wyraziciel myśli Jenerała i kierownika, jak niektórzy twierdzili, cechy nieodzowne tak dla jezuity, jak i konspiratora, albowiem *les extremités se touchent*, jak mówi przysłowie. Utrzymywał apartament obszerny, schodzili się bowiem do niego zwolennicy Mierosławskiego w soboty, tak na wspólną gawędkę, jak dla usłyszenia przemówień Jenerała, których byliśmy zawsze spragnieni.

Pouczał nas ten apostoł rewolucji, ale częściej zabawiał, gdyż, jako z Francuski urodzony, był chyba najgenjalniejszym z blagierów. Patrjotyzmu jego ani wtedy, w czasie zaślepienia mego, ani też później, gdy przejrzałem, podawać w wątpliwość prawa nie miałem, w roku bowiem 1848, gromiąc Prusaków pod Wrześnią i Miłosławiem, złożył Mierosławski dostateczne przywiązania do ojczyzny dowody; nieszczęściem jednak dla Jenerała jak i dla tych, co mu

wierzyli, była wygórowana ambicja, nie uznająca nikogo ponad siebie. O „grze strategicznej“ pomysłu Mierosławskiego — w rodzaju szachów — słyszałem z ust wiarogodnych, że gra ta pouczająca została wprowadzona w zakładach wojskowo-naukowych we Francji. Co do „ruchomych fortec“, z olbrzymich wozów uformowanych, które w praktyce nie były zastosowane, sądu o samym pomyśle, jako takim, wydać nie jestem w stanie.

Wypadki we Włoszech, jak i ruch pewien, w Warszawie sygnalizowany, poruszył młodsze elementy wśród emigracji i młodzieży, z kraju przybyłej. Powstały w Paryżu improwizowane katedry taktyki i strategji, uczyliśmy się fechtunku, powstała myśl utworzenia przygotowawczej szkoły wojskowej dla Polaków, co też uskuteczniono w Cuneo, w Lombardji, oraz konieczność formowania legjonów polskich. Ta ostatnia kwestja wymagała porozumienia się osobiście z Garibaldim, do którego też na wyspę Magdalenę jeździł Mierosławski w towarzystwie całem sercem oddanego nie jemu wyłącznie, ale sprawie, Nikorowicza. Wobec ruchu tego niepokojącą tak dla pewnych grup emigracyjnych, jak i dla młodzieży krajowej, była kwestja: jakie stanowisko zajmie w stosunku do Mierosławskiego powszechnie dla swego charakteru i praktyki wojskowej ceniony jenerał Wysocki, którego wypadki na pierwszy plan wysuwały. W listopadzie czy grudniu 1860 r. znaleźli się ci dwaj koryfeusze wojskowi nasi w mieszkaniu Kurzyny, gdzie pełne ognistego patrjotyzmu a niewątpliwej szczerości przemówienie Mierosławskiego było na razie decydujące. Takiej mowy ani przedtem ani potem już nigdy nie słyszałem; wszystkich ogarnęło najwyższe wzruszenie: miękki Wysocki płakał, a obaj ukochani przez nas rzucili się sobie w objęcia, przyjmując następnie uściski obecnych, jako wyraz radości powszechnej.

Oprócz sobót u Kurzyny były stałe dni przyjęć w dwóch szanownych domach familijnych: Januszewiczów i Ordęgów. Spędzony wieczór u pierwszych łączy się ze wspomnieniem znajomości z młodą a wybitnie piękną i inteligentną parą Juljuszostwa Kossaków. U Ordęgów ozdobą rodziny była młodziutka, pełna wdzięku p. Marja Ordężanka, z którą

chętnie przekomarzaliśmy się, żartując z oburzająco sztywnego zachowywania się Jabłonowskiego.

Do mieszkających na przedmieściu Batignolles Bohdana Zaleskiego i jenerała Różyckiego jeździłem omnibusem z braćmi Limanowskimi i z Rulikowskim Edwardem z Hrubieszowskiego, krewniakiem czy też powinowatym Zakrzewskiego. Spokojna, pogodna i wielce sympatyczna postać „Śpiewaka ukraińskiego" najmilsze po sobie wspomnienie zostawiła.

W przeciwieństwie do niego Karol Baliński, autor „Farysa", cenionego przez znawców na równi z mickiewiczowskim, a szczególnie Seweryn Goszczyński robili wrażenie wygasłych wulkanów: przeistoczenie się tego drugiego z belwederczyka w towiańczyka, to naprawdę metamorfoza nadzwyczajna! Ludzie przenajczystszego charakteru, umysłu podniosłego, serca wielkiego, wyglądali jak szczyty pochylone, jak trupy chodzące, tak ich zjadł mistycyzm Towiańskiego. Oczywiście mówię tu o najwybitniejszych, albowiem nauka ta nie była wybredną w przyjmowaniu adeptów, czego dowód miałem na Rulikowskim, który, spotykając się codziennie w mleczarni z Karolem Balińskim, z wesołego stawał się zamyślonym, umartwiał się, wzdychał i zdawało mu się, iż został towiańczykiem, nie mogąc zdać sobie sprawy z obłędu, jaki go opanował.

Z wymienioną wyżej trójką, z braćmi Limanowskimi i Rulikowskim, znalazłem się u jenerała Różyckiego, a że to była niedziela, zastaliśmy dość licznie zebranych tak mężczyzn jak kobiet, to jest „braci i sióstr", odwiedzających przedstawiciela „mistrza Andrzeja". Sam Jenerał zanadto był gośćmi zajęty, poznajomił nas przeto z przedstawicielami odnośnych prowincyj, skąd nowi goście pochodzili, a więc znalazł się Białorusin, Koroniarz i Ukrainiec (Dzwonkowski), którzy wzięli nas w opiekę swoją z myślą oczywiście apostolską pozyskania nowych wyznawców. Przetrzymani tak parę godzin, jak w konfesjonale, wychodziliśmy od Jenerała jakby z łaźni.

Ponieważ z samym gospodarzem obcować wtedy nie mogłem, ponowiłem odwiedziny moje już bez towarzyszy i cały wieczór spędziłem, słuchając ożywionego opowiadania

ze wspomnień przeszłych i wynosząc wrażenie, jakobym nie towiańczyka, ale pułkownika wojsk polskich miał przed sobą. Ponowiłem też odwiedziny u Goszczyńskiego, pociągnięty tem jeszcze, że był to kolega ze szkół humańskich ojca mego, do którego nieraz, korzystając z niezbyt oddalonej Olszanki, w niedziele lub święta jeździł. Złożyłem hołd zasłużonym jenerałom Dembińskiemu i Jerzmanowskiemu. Obchodziłem te relikwje narodowe, żegnając się na zawsze; z kolegami mieliśmy się spotkać przy wspólnej pracy w kraju — w każdym razie z jednymi i drugimi pożegnanie było niezmiernie wzruszające. Kurzyna zaopatrzył mnie w dokument, upoważniający do zbierania składek w kraju na legjony, przez Mierosławskiego podpisany, na litograficznym blankiecie za podpisem Garibaldiego, upoważniającym Mierosławskiego do tworzenia legjonów. Nie zaniedbał też Kurzyna dać instrukcyj dla Karola Majewskiego i Edwarda Jurgensa w Warszawie, oraz innych wskazówek.

Wyjechałem z Paryża w drugiej połowie grudnia 1860 r., zboczywszy jeszcze do Brukseli po błogosławieństwo patrjarchy naszego, Lelewela, każdy bowiem z nas uważał siebie w pewnym stopniu za misjonarza, i podążyłem wprost do Poznania, gdzie w hotelu „Bazar“ zastałem bawiącego tam od paru dni Sierakowskiego.

Wchodząc na nieznaną mi dotąd drogę konspiracji politycznej, uważałem za konieczne zachowywanie ostrożności tak w oczach, jak w mowie, dzięki praktyce tej mogłem niewątpliwie nieraz siebie i innych od biedy uchronić, muszę jednak wyznać, że właściwość ta mego charakteru, doprowadzona z biegiem czasu do pedantyzmu, wiele mi w życiu przykrości sprawiała.

Lokując się w Bazarze, ustawiłem na miejscu widocznem klawiaturę głuchą, która miała odtąd być w hotelach pod zaborem pruskim i rosyjskim moim piorunochronem. Odnalazłszy Sierakowskiego, oczekiwaliśmy pospołu w jego numerze zapowiedzianego przybycia Karola Libelta. „Ojcze, ty nas uczysz czuć i myśleć po polsku!“ wykrzyknął gwałtownie Sierakowski, obejmując wchodzącego patrjotę. Libelt był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, wzrostu średniego, twarzy niełądnej, jednak dobrocią i myślą opro-

mienionej. Po wysłuchaniu przywiezionych z Paryża zleceń i wiadomości, oświadczył się stanowczo za tworzeniem legjonów polskich, nadto wskazał adres znanego w Płockiem obywatela, za pośrednictwem którego składki miały być do niego do Poznania skierowywane. Zważywszy, że Libelt jako człowiek i jako uczony był powagą w całym naszym kraju, oświadczenie jego miało wielkie dla nas, jako poborców, znaczenie i ułatwienie.

Otrzymawszy od Libelta, jako członka Towarzystwa Naukowego, zaproszenie, znaleźliśmy się tegoż wieczora w Towarzystwie tem w gronie najwybitniejszych uczonych i patrjotów wielkopolskich, przytem aktualnych posłów sejmowych, będąc świadkami rozpraw i wysłuchując dłuższych lub doraźnych przemówień. Po Auguście Cieszkowskim, uważanym za jednego z lepszych mówców w sejmie pruskim, wielkiej wziętości, jako człowiek i mówca, używał syn bohatera z pod Somosierry Władysław Niegolewski, którego lwia postać siłę i energję ujawniała. Wsławił się on wykryciem spisku ukartowanego w Poznaniu przez naczelnika policji Baerensprunga w r. 1849 w celu skompromitowania Polaków. Mowy Niegolewskiego, z dokumentami odnośnemi w ręku w parlamencie wypowiedziane, wywołały oburzenie wśród uczciwych Niemców i zagranicą, okrywając patrjotę polskiego szacunkiem i sławą zasłużoną. Władysław Bentkowski, prezes Towarzystwa, weteran z powstania 1848 a wkrótce i 1863 r., uczony prawnik, przemawiał krótko i rzeczowo; — do gorętszych mówców zaś należeli: Kazimierz Jarochowski, historyk i publicysta, oraz Aleksander Guttry, zwolennik polityczny Mierosławskiego aż do jego wystąpienia czynnego w r. 1863.

W czasie pobytu mego zagranicą zebrałem Lelewela i Mochnackiego dzieła kompletne, Moraczewskiego — Historję Narodu Polskiego, Mierosławskiego — Historję Powstania Listopadowego, poszczególnie dzieła Ujejskiego, Libelta, Witwickiego, przytem wydawnictwa polityczne emigracyjne z trudem, a nieraz kosztem potrzeb osobistych zdobywane. Wiozłem także ze sobą powyjmowane karty z albumu mego, korespondencje z Trentowskim i Ujejskim,

ze wspomnień przeszłych i wynosząc wrażenie, jakobym nie towiańczyka, ale pułkownika wojsk polskich miał przed sobą. Ponowiłem też odwiedziny u Goszczyńskiego, pociągnięty tem jeszcze, że był to kolega ze szkół humańskich ojca mego, do którego nieraz, korzystając z niezbyt oddalonej Olszanki, w niedziele lub święta jeździł. Złożyłem hołd zasłużonym jenerałom Dembińskiemu i Jerzmanowskiemu. Obchodziłem te relikwje narodowe, żegnając się na zawsze; z kolegami mieliśmy się spotkać przy wspólnej pracy w kraju — w każdym razie z jednymi i drugimi pożegnanie było niezmiernie wzruszające. Kurzyna zaopatrzył mnie w dokument, upoważniający do zbierania składek w kraju na legjony, przez Mierosławskiego podpisany, na litograficznym blankiecie za podpisem Garibaldiego, upoważniającym Mierosławskiego do tworzenia legjonów. Nie zaniedbał też Kurzyna dać instrukcyj dla Karola Majewskiego i Edwarda Jurgensa w Warszawie, oraz innych wskazówek.

Wyjechałem z Paryża w drugiej połowie grudnia 1860 r., zboczywszy jeszcze do Brukseli po błogosławieństwo patrjarchy naszego, Lelewela, każdy bowiem z nas uważał siebie w pewnym stopniu za misjonarza, i podążyłem wprost do Poznania, gdzie w hotelu „Bazar“ zastałem bawiącego tam od paru dni Sierakowskiego.

Wchodząc na nieznaną mi dotąd drogę konspiracji politycznej, uważałem za konieczne zachowywanie ostrożności tak w oczach, jak w mowie, dzięki praktyce tej mogłem niewątpliwie nieraz siebie i innych od biedy uchronić, muszę jednak wyznać, że właściwość ta mego charakteru, doprowadzona z biegiem czasu do pedantyzmu, wiele mi w życiu przykrości sprawiała.

Lokując się w Bazarze, ustawiłem na miejscu widocznem klawiaturę głuchą, która miała odtąd być w hotelach pod zaborem pruskim i rosyjskim moim piorunochronem. Odnalazłszy Sierakowskiego, oczekiwaliśmy pospołu w jego numerze zapowiedzianego przybycia Karola Libelta. „Ojcze, ty nas uczysz czuć i myśleć po polsku!“ wykrzyknął gwałtownie Sierakowski, obejmując wchodzącego patrjotę. Libelt był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, wzrostu średniego, twarzy niełądnej, jednak dobrocią i myślą opro-

mienionej. Po wysłuchaniu przywiezionych z Paryża zleceń i wiadomości, oświadczył się stanowczo za tworzeniem legjonów polskich, nadto wskazał adres znanego w Płockiem obywatela, za pośrednictwem którego składki miały być do niego do Poznania skierowywane. Zważywszy, że Libelt jako człowiek i jako uczony był powagą w całym naszym kraju, oświadczenie jego miało wielkie dla nas, jako poborców, znaczenie i ułatwienie.

Otrzymawszy od Libelta, jako członka Towarzystwa Naukowego, zaproszenie, znaleźliśmy się tegoż wieczora w Towarzystwie tem w gronie najwybitniejszych uczonych i patrjotów wielkopolskich, przytem aktualnych posłów sejmowych, będąc świadkami rozpraw i wysłuchując dłuższych lub doraźnych przemówień. Po Auguście Cieszkowskim, uważanym za jednego z lepszych mówców w sejmie pruskim, wielkiej wziętości, jako człowiek i mówca, używał syn bohatera z pod Somosierry Władysław Niegolewski, którego lwia postać siłę i energję ujawniała. Wsławił się on wykryciem spisku ukartowanego w Poznaniu przez naczelnika policji Baerensprunga w r. 1849 w celu skompromitowania Polaków. Mowy Niegolewskiego, z dokumentami odnośnemi w ręku w parlamencie wypowiedziane, wywołały oburzenie wśród uczciwych Niemców i zagranicą, okrywając patrjotę polskiego szacunkiem i sławą zasłużoną. Władysław Bentkowski, prezes Towarzystwa, weteran z powstania 1848 a wkrótce i 1863 r., uczony prawnik, przemawiał krótko i rzeczowo; — do gorętszych mówców zaś należeli: Kazimierz Jarochowski, historyk i publicysta, oraz Aleksander Guttry, zwolennik polityczny Mierosławskiego aż do jego wystąpienia czynnego w r. 1863.

W czasie pobytu mego zagranicą zebrałem Lelewela i Mochnackiego dzieła kompletne, Moraczewskiego — Historję Narodu Polskiego, Mierosławskiego — Historję Powstania Listopadowego, poszczególnie dzieła Ujejskiego, Libelta, Witwickiego, przytem wydawnictwa polityczne emigracyjne z trudem, a nieraz kosztem potrzeb osobistych zdobywane. Wiozłem także ze sobą powyjmowane karty z albumu mego, korespondencje z Trentowskim i Ujejskim,

nareszcie medale w różnym czasie na cześć Lelewela, tak przez patrjotów, jak przez Belgów wybijane.

Obdarzony przez Towarzystwo rocznikami jego naukowemi, nie chcąc być dłużnym, ofiarowałem mu wszystkie medale lelewelowskie, pozostały zaś skarb mój złożyłem do czasu pod opiekę znanej patrjotki Bibjanny Moraczewskiej, siostry historyka, nie mogąc przedmiotów tych niecenzuralnych przez komorę rosyjską przewozić. Niestety, długoletnie milczenie moje, z powodów ode mnie niezależnych — a może jakie wieści fałszywe — były przyczyną rozproszenia wymienionych rzeczy, jako własności rzekomo nieżyjącego.

Część ich, mianowicie karty albumowe, przytuliło muzeum Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, gdzie, dowiedziawszy się z „Kurjera Poznańskiego“ (Nr. I rok 1897) o szczęśliwem ocaleniu, sam je w r. 1900 oglądałem, pocieszając się w zmartwieniu mojem nadzieją, że listy Trentowskiego i Ujejskiego będą kiedyś na pożytek ogólny wydrukowane, a książki w bibljotece umieszczone. Trzeba było widzieć zdziwienie Erzepkiego, kustosza muzeum, gdy się zjawił przed nim mniemany nieboszczyk! Poszliśmy razem do muzeum, gdzie, pokazując w witrynach umieszczone karty moje albumowe, oświadczył gotowość oddania mi ich, tak jednak gorąco przemawiał za pozostawieniem ich w muzeum, że zmiękłem i — wprawdzie z żalem — ustąpić musiałem.

Z upominków tych wierszem i prozą pisanych, „Kurjer Poznański“ umieścił dziesięć: Wieniawskiego Józefa, Syrokomli, Balińskiego, Zdanowicza, Odyńca, Rychcickiego (Maurycego Dzieduszyckiego), Szajnochy, Hanki, Sawaszkiewicza i Kraszewskiego.

Wyjechałem z Poznania na parę dni przed świętami grudniowemi, podróż zaś odbywałem: do Wrocławia z Niegolewskim i Sierakowskim, a następnie sam do Warszawy. Po niemieckich porządkach na kolejach dziwnie odbijała patrjarchalność na drodze warszawsko-wiedeńskiej, którą poraz pierwszy przebywałem: po trzecim dzwonku konduktor wyszukiwał podróżnych w rozmaitych ubikacjach, do wagonu zapraszając, potem dopiero dawał się słyszeć okrzyk

„Jazda". Powtarzało to się zaś na każdej stacji, ogólną wesołość wywołując.

Warszawa owiała mnie atmosferą nawskroś polską; ani jednej chmurki, ani cienia nawet obczyzny w niej nie dostrzegłem. Po złożeniu wizyt dyrektorowi konserwatorjum Kątskiemu i redaktorowi „Ruchu Muzycznego", Sikorskiemu, oraz po odwiedzinach poufnych u Kraszewskiego i Majewskiego, do których miałem zlecenie, zasiadłem 24 grudnia do skromnej wieczerzy wigilijnej u drogich mi Moniuszków w gronie ich rodzinnem, na żądanie zaś Mistrza, zagrałem dwa polonezy jego, z których był zadowolony. Na drugi dzień świąt słuchałem przerobionej z dwuaktowej na czteroaktową sympatycznej „Halki" pod dyrekcją Autora, wykonanej w głównych rolach przez ulubionych w Warszawie całej śpiewaków: Dobrskiego i Rivoli (Riwolkę). Przejażdżka sankami do Łazienek zamknęła niewielki szereg ciekawości, przeze mnie w stolicy oglądanych, a nie mogąc pragnień moich całkowicie zaspokoić, obiecywałem sobie odwiedziny powtórzyć i to na czas dłuższy, tymczasem pilno mi było w drogę.

Wyjechałem z domu pocztowego tuż przy hotelu Saskim omnibusem krytym, „sztajnkielerką" zwanym, do Garwolina, a przysłane sanki zawiozły mnie stamtąd do Ciechomina, pozostałej z dóbr Żelechowskich prezydenta Ignacego Zakrzewskiego okruszyny, zamieszkałego przez wnuka prezydenta, także Ignacego, brata przyjaciela mego Gustawa, który tam na mnie oczekiwał.

Poraz pierwszy byłem w Koronie na prowincji, wypadek zaś zdarzył, że znalazłem się w ognisku pod każdym względem kulturalnem: byli to nieodrodni potomkowie czcigodnego Prezydenta, który znaczną część dóbr swoich Żelechowskich na ołtarzu ojczyzny złożył. Po kilku miłych, niezapomnianych dniach, w Ciechominie spędzonych, wyruszyłem pocztą na Ukrainę z Przyjacielem, który chciał moją rodzinę i nieznaną prowincję poznać, a przytem, gdy się uda, kupić sobie z reputowanych stadnin ukraińskich wierzchowca na wypadek wszelki, jakby przeczuwając, że wypadnie mu w roku 1863 „jeździe lubelskiej" przewodzić.

W ciągu tej kilkudniowej podróży wypadło nam zatrzymywać się kilkakrotnie: naprzód w Starościnie u państwa Kajetanostwa Cieszkowskich (Kajetan Cieszkowski był w 1863 r. dowódcą oddziału powstańców pod nazwiskiem „Ćwieka", czynnością zaś całą kierowała pełna rozumu i poświęcenia żona jego), w Lublinie w domu prywatnym wprost wprost kolumny Unji Lubelskiej, gdzie poznałem sześciu braci Przanowskich, z których każdy jak dąb wyglądał (a byli to przyszli powstańcy), dalej dzionek cały przebyliśmy w Chełmszczyźnie, w Klesztowie, majątku Ignacego Fudakowskiego, gdzie brat mój, Henryk, praktykę rolną odbywał.

Fatalnem dla nas było zatrzymanie się ostatnie, na stacji pocztowej, której nazwy nie pamiętam, na Wołyniu, dokąd mieliśmy sprowadzić mieszkającego niedaleko ziemianina Zaleskiego i wręczyć mu osobiście pakiet z Paryża od brata. Wypadek zrządził, że widzenie się i pogadanka odbywały się na stacji pocztowej w nocy, co nie uszło uwagi czujnej w tych czasach policji miasteczkowej, gdyż w dalszej naszej podróży byliśmy jakby ścigani przez nieznanego nam podróżnego tak, że musiałem zniszczyć listy, jakie wiozłem z Paryża, zostawiając jedynie upoważnienie Mierosławskiego, w obuwie zaszyte, którego pozbywać się prawa nie miałem. Będąc depozytarjuszem tak ważnego dokumentu, nie powinienem był podejmować się zleceń prywatnych i tajemnicą się otaczać. Za lekkomyślność tę czy nieuwagę poniosłem zasłużoną karę, zdając, jakby przed sądem, sprawę z całego zdarzenia tego przed odnośnymi korespondentami, co było dla mnie upokarzające.

W połowie stycznia 1861 r., po półtrzecia prawie roku nieobecności, powitałem ojca mego w rodzinnej Olszance na Ukrainie, gdzie przeszło dwa lata (aż do uwięzienia w maju 1863 r.) oddawałem się pracy, do której byłem przy przeprowadzaniu reformy włościańskiej z wyboru powołany.

ROZDZIAŁ V.

Emancypacja włościan. Powstanie. Więzienie. (1861—1864).

Z publikacyj, dotyczących przewrotu ekonomicznego i politycznego na Rusi w latach sześćdziesiątych XIX w., nie znam takiej, któraby kwestje powyższe równie wszechstronnie ujmowała i wyczerpująco traktowała, jak wydane w r. 1900 we Lwowie „Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego". Przebywając w tem samem, co Bobrowski, gimnazjum w Kijowie, w tym samym nawet internacie rządowym, w parę miesięcy po jego wyjściu stamtąd, zastałem niezmieniony personel naukowy, zacząwszy od kuratora aż do dozorcy klasowego; będąc zaś w kilkanaście lat potem urzędnikiem z wyboru przy przeprowadzeniu reformy włościańskiej, znałem również wielu współczesnych Bobrowskiemu działaczy na tem polu: otóż śmiem twierdzić, że o ile portrety pracowników na obu wymienionych polach zostały z dokładnością niemal fotograficzną zdjęte, o tyle czynności ich były bezstronnie ocenione; wniosek zaś stąd logiczny, że opisane w pamiętnikach osoby i czyny, których sprawdzić nie mogłem, również na wiarę zasługują.

Z zarzutów czynionych powszechnie autorowi tych „Pamiętników", dwa głównie wydają mi się uzasadnionemi: 1) nadmierna ambicja, wysuwająca wszędzie siębie na plan pierwszy, i 2) niedyskrecja w wyciąganiu na jaw tajemnic takich, na które sama zainteresowana rodzina pieczęć zapomnienia nałożyła. Na jedno i drugie usprawiedliwienia należy szukać w przysłowiach łacińskich: na pierwsze — „Honores muttant mores", na drugie zaś — „Humanum errare

est". Któż bowiem z ludzi wolny jest od pewnych usterek w życiu? Pocieszać się tem należy, iż w perspektywie dalekiej drobne przedmioty znikają, a uwypuklają się większe, prawo zaś to fizyczne i w ludzkich czynnościach odzwierciadla się; miejmy przeto nadzieję, że i społeczeństwo polskie na Rusi, zważywszy na długoletnią owocną pracę publiczną Bobrowskiego, okaże się dlań zczasem wyrozumiałe.

Bobrowski, jako autor „Pamiętników", odegrał względem społeczeństwa rolę operatora, kataraktę zdejmującego mu z oczu. Ściągnął on z piedestału niepowołane powagi, umieszczając natomiast na nim ludzi zasługi i cnoty. Ustępy z życia księcia Romana Sanguszki, karty żywcem z Plutarcha wyjęte, narodowi do naśladowania podał. Nieznany ogółowi fakt odpornego zachowania się gromady włościańskiej całego klucza podwysoczańskiego w czasie rzezi humańskiej od zapomnienia uchronił. Współpracowników Czackiego: Olizara, Platera, Drzewieckiego i Sobańskiego narodowi przypomniał, zasługi obywatelskie Aleksandra Horwatta, Leonarda Jankowskiego[20]), Leona Modzelewskiego, Feliksa Szostakowskiego i innych wybitnych obywateli współczesnych podniósł. Pełną godności postawę jednego z dwunastu marszałków podolskich, w stolicy sądzonych, Józefa Lipkowskiego, jak również zachowanie się po rozbiciu powstania Romana Bnińskiego, jak i skromnego aptekarza Dolkowskiego ze Skwiry, oraz innych godnych obywateli (niepodobna wszystkich tu wyliczać) przekazał pamięci rodaków. Znanych na polu literatury: Grabowskiego, Kraszewskiego, Rzewuskiego i Spasowicza, jako działaczy społecznych odmalował. Umieszczając zaś wszystko, cokolwiek godne było uznania w ludziach i ich czynach, Bobrowski na wdzięczną pamięć społeczeństwa zasłużył.

Cokolwiek mógłbym o kilku latach przełomowych, poprzedzających powstanie powiedzieć, obrazu równie w całokształcie swoim pełnego, jak „Pamiętniki" Bobrowskiego, stworzyćbym nie potrafił: przyjmując przeto pamiętniki te za tło do dalszych opowiadań, uzupełnić je niejako wypadnie tylko szczegółami osobistemi.

Po powrocie z zagranicy cały styczeń w 1861 r. przeszedł mi na odwiedzaniu wraz z gościem moim z Korony, Zakrzewskim, bliższych i dalszych znajomych. Jadąc na kontrakty kijowskie, wstąpiliśmy do dóbr Holaki dla obejrzenia jedynej na Ukrainie stadniny, rasę polską przechowującej, odpowiedniego jednak dla siebie wierzchowca przyszły kawalerzysta Zakrzewski tam nie znalazł.

Po ciężkich dla mnie odwiedzinach już w Kijowie Michała Grabowskiego dla wytłumaczenia mu powodów zniszczenia listu Goszczyńskiego, znalazłem się w ognisku studentów, patrjotów polskich, z którymi ukrainofile krańcowi, Antonowicz i Rylski, jedną grupę wówczas stanowili, dla zakomunikowania im wiadomości z Paryża i Warszawy.

Poszedłem następnie do marszałka mego powiatu z listem krewnego jego i wychowańca, Makarego Drohomireckiego, z drażliwem poleceniem wytłumaczenia go przed możnym opiekunem. Trudnem było zadanie moje, gdyż Szostakowski, łożąc na edukację krewnego, miał prawo żądać odeń powolności, Drohomirecki zaś w najlepszej wierze działał, jadąc po naukę do Heidelberga, ale nie miał snać dość charakteru, by na obranej drodze utrzymać się. Przebywając śród rozpolitykowanej młodzieży, dał się unieść prądowi konspiracyjnemu i znalazł się w samem jego ognisku, w Paryżu, gdzie — po dwóch latach dopiero — doczekał się z wiosną 1863 r. akcji czynnej, w której chwalebnie poległ pod Krzywosądzem, gdzie powstańcami dowodził Mierosławski. Tak Drohomireckiego jak i Zygmuta Padlewskiego uczcił Boh. Zaleski wspomnieniem. Szostakowski miał łatwość wymowy, którą nieprzeparta logika zawsze cechowała, ale mówił bardzo rozwlekle: wysłuchawszy długiego kazania, niby pod adresem krewnego, pośrednio zaś do mnie skierowanego, nie uważałem za możliwe wspominać, w jakim celu na kontrakty przyjechałem, i na tem wizyta moja skończyła się. Powściągliwość ta wyszła mi na dobre, a może nawet w całem życiu mojem zaważyła, albowiem Szostakowski, dowiedziawszy się skądinąd o upoważnieniu, jakie z Paryża przywiozłem, i o źródle, skąd pochodziło, zaprosił mnie na posiedzenie „powiatowe", o charakterze niejako organi-

zacyjnym, następnie na „gubernjalne", dla zdania sprawy z tego, com z Paryża przywoził od Mierosławskiego, i zestawienia ze zleceniem do kraju, pochodzącem z hotelu Lambert, którego przedstawicielem był obecny na zebraniu Marjan Wasiutyński. Na tem pamiętnem posiedzeniu, na którem zajmowałem la gauche extrmème, poznałem działaczy społecznych, z którymi mnie w przyszłości stosunki dobrej znajomości, a z niektórymi nawet życzliwości miały połączyć: powiat taraszczański przedstawiał marszałek Szostakowski, humański — Teodor Jełowicki, lipowiecki — Bobrowski, skwirski — Korjolan Biliński, berdyczowski — Wasiutyński, zwinogrodzki — Bierzyński, kaniowski — Modzelewski. Zlecenia, przywiezione przeze mnie, przyjęte zostały do wiadomości, te zaś, które były w imieniu księcia Adama podane, stały się poniekąd jakby pierwocinami mających powstać wkrótce organizacyj ziemiańskich, t.zw. białych.

Powściągliwość moja, o której wspomniałem, ujawniła się bardziej przy zbieraniu składki na przyszłe legjony. Uważałem za dostateczne pokazać dokument i to wybranym tylko; nie prosiłem nikogo, miałem zaś tę satysfakcję, że do mnie przynoszono ofiary, nieliczne wprawdzie, ale cenne ze względu na pochodzenie od osób poważnych i poważanych, jak Tadeusz Zaleski z Szapijówki, Ludwik Rożniatowski, Rozesław Rylski, Tadeusz Bobrowski. Akcentując aż do zbytku w „Pamiętnikach" stanowisko swoje opozycyjne wobec powstania, zapomniał Bobrowski, że był moment, kiedy i w nim gorętsze uczucia zagrały. Wiedział doskonale, że do zbierania ofiar na legjony miałem upoważnienie, przekonania zaś jego, wypowiadane na zgromadzeniu powyżej omówionem, były mi aż nadto znane: omijałem więc go starannie, co spostrzegł widocznie, gdyż pierwszy zgłosił się do mnie, ofiarę swoją na legjony składając. Gdy mu w kilkadziesiąt lat potem fakt powyższy ze wszelkiemi szczegółami u niego w domu w Kazimierówce powtórzyłem, literalnie na krześle ze zdziwienia podskoczył.

„Pamiętniki" musiały już być wtedy zamknięte, gdyż rozmowa nasze miała miejsce na parę lat przed śmiercią ich autora.

Innej metody trzymał się drugi do zbierania składek upoważniony rodak — nie on właściwie, gdyż był to człowiek poważny — ale kółko, w którem się znalazł, a które przy czynności tej posługiwało się pewnym przymusem i było bardzo hałaśliwe. Byli tacy, którzy tę drugą metodę niekoniecznie za lepszą, ale za skuteczniejszą — ze względów praktycznych — uważali; co do mnie, to wtedy, jak i potem w całem życiu i wszelkich jego przejawach, przymus wszelki nawet względem podwładnych, jakkolwiek czasem nieunikniony, był zawsze dla mnie niemiły. Zachodziła tu w czynności mojej przeszłej sprzeczność, albowiem wszelka robota konspiracyjna musi być na despotyzmie oparta, tymczasem używane przeze mnie środki były, że tak powiem, konstytucyjne; jeśli sprzeczność ta przy zbieraniu składki nietylko szkodliwą nie była, ale mogła mieć dobre strony, to przy wcielaniu konspiracji w rewolucję była niedającą się pogodzić anomalją. Oprócz ofiary osobistej z kapitaliku mego, składka, przeze mnie na legjony zebrana, zaledwie parę tysięcy rubli wynosiła, jaką zaś sumę osiągnął mój towarzysz, nigdy się dowiedzieć nie mogłem, albowiem z powodu praktykowanych odmiennych metod każdy z nas działał na swoją rękę bez wzajemnego porozumienia się.

Jakkolwiek uchwały na wspomnianem posiedzeniu „powiatowem“ u Marszałka w Kijowie powzięte były ogólnikowo, cel ich wszakże był wyraźny, a polegał na ujednostajnieniu zasad postępowania wobec mającej się wkrótce wprowadzić reformy włościańskiej, zespoleniu sił i wytworzeniu pewnej kontroli społecznej. Po powrocie z Kijowa Marszałek, jako wyraziciel powziętych uchwał, podzieliwszy powiat na okręgi, zaprosił kilku ziemian, których zaopatrzył w odnośne instrukcje i zobowiązania dla zakomunikowania takowych sąsiadom, za ich podpisem, oraz pobrania od nich doraźnego tymczasem podatku w stosunku do ilości posiadanej ziemi. Była to najpierwsza improwizowana niejako organizacja. Zaproszony do powyższej czynności, wywiązałem się prędko i skutecznie, czem tak pozyskałem Marszałka, że postawił wkrótce kandydaturę moją na jednego z czterech t. zw. „pośredników mirowych“ (sędziów pokoju) przy prze-

prowadzeniu kwestji włościańskiej, którą ogół ziemiański zatwierdził. Wynajdując dla mnie zajęcie i pracę, chciał widocznie Marszałek odciągnąć mnie z drogi konspiracyjnej, a do pracy na gruncie realnym zaprząc. Zainteresownie się to jego i życzliwość, jaką mnie obdarzył, wzajemną była, gdyż miał we mnie najwierniejszego aż do śmierci przyjaciela, obojga zaś Szostakowskich, jako czcigodnych ludzi, szanowałem i kochałem.

Ukształtowanie się komitetu t. zw. „białego“ [21]) w powiecie taraszczańskim, a prawdopodobnie i w innych powiatach, nastąpiło już wyraźnie pod wpływem „lutowych“ wypadków warszawskich w r. 1861 i utworzenia się w stolicy odpowiedniego komitetu.

Powołani do przeprowadzenia kwestji włościańskiej marszałek i pośrednicy działalność swoją przenieśli zczasem na grunt społeczno-polityczny, tworząc w ten sposób z notablami, ad hoc przez marszałka zapraszanymi a przez ogół akceptowanymi, komitet ziemiański. Od chwili utworzenia się komitet ten był w nieustannym z Warszawą porozumieniu, za pośrednictwem komitetu „gubernjalnego“, czasem nawet bezpośrednio, jakkolwiek zaś „białym“ zwany, nie zasklepiał się w zasadach konserwatywnych, ale czujny był na ruch ogólny w kraju.

I tak ze stanowiska mego należałem do komitetu ziemiańskiego, niedawne tradycje jednak i temperament ciągnęły mnie do ruchliwszych, starałem się przeto wiedzieć o wszelkich w obozie tym poruszeniach, informując się o robocie ich przez zamieszkałego w Kijowie Aleksandra Jabłonowskiego i sąsiadującego z innym ogniskiem ruchu w Żytomierzu Korjolana Bilińskiego. Nie było to bynajmniej siedzeniem na dwóch stołkach; owszem wiadomości z obozu ruchliwszych, dostarczane przeze mnie poufnie najbardziej śród nas gorącemu Marszałkowi, komitet nasz ożywiały. Zgodność taka pomiędzy działalnością komitetu „białych“ i „czerwonych“ praktykowała się przez długi czas, dopełniając się nawet nieraz wzajemnie, naprz. przy urządzaniu demonstracyj narodowych w kościołach, wyprawianiu delegatów na zjazdy patrjotyczne i innych podobnych okazjach.

nawet w chwili stanowczej, wobec powziętej przez komitet „ruchu" decyzji powstania zbrojnego, ziemianie i wtedy, zachowując pełną trwogi a zarazem sympatji bierność osobistą, zaopatrywali powstańców w konie i pieniądze na broń. Na Litwie i Żmudzi komitet ziemiański („biały") zlał się — w chwili decydujcej — z „czerwonym", opanowywując ten drugi, co zapewniało powstaniu względną trwałość i powodzenie. Na Rusi starsi dali się opanować młodym, i to było główną może przyczyną — obok innych — że powstanie wyglądało jakby na zbrojną demonstrację tylko; bitwy, na miano to zasługujące, stoczone były tylko na Wołyniu pod wodzą Edmunda Różyckiego, syna Karola; na Ukrainie w Berdyczowskiem pod Malinkami, w Kijowskiem pod Borodianką; poza tem, za wyłączeniem silnie zorganizowanych misjonarzy i męczenników z pod Sołowijówki, materjał powstańczy stanowiły „zbiorowiska", które jeszcze przed uformowaniem się ostatecznem, otoczone przez żołnierzy lub chłopstwo, broń składały, także niewielkie grupy lub jednostki tułające się po lasach, zanim zostali przez chłopów wyłowieni.

W roku 1855 stroniła szlachta na Rusi od chłopów, nawet w obawie przed nimi do miast uciekała, albowiem wszczętego podówczas sporadycznie ruchu włościan wprost nie rozumiała; w roku 1863 ciężką krzywdę poniosła ta sama szlachta od nierozumiejących ruchu naszego, a sfanatyzowanych chłopów, krzywdę, powtarzam, wobec gotowości powszechnej ziemian do ustępstw przy przeprowadzeniu reformy, nie zarysowujących się jeszcze w czasie działalności Bobrowskiego, ale w latach 1861 — 1862 najdalej idących, a niejednokrotnie faktycznie się ujawniających.

Przeprowadzenie reformy właściańskiej wymagało podziału powiatu taraszczańskiego na okręgi, które zostały oddane pod zarząd czterem urzędnikom z wyboru, „pośrednikami" zwanym, ci zaś z piątym marszałkiem, jako prezesem, stanowili drugą instancję „zjazdem pośredników" zwaną, trzecią zaś i ostatnią był komitet włościański gubernjalny. Pośrednikami byli: Henryk Gnatowski, Zygmunt Podhorski, Piotr Lipkowski i August Iwański. W naradach i decyzjach

„zjazdu“ udział przyjmował z prawem głosu urzędnik od Korony, a takim był w powiecie naszym Dolinskij, człowiek młody, przyzwoity i z wykształceniem uniwersyteckiem. Olszanka, miejsce stałego pobytu mego, oddaloną była o dwadzieścia pięć do trzydziestu wiorst od najbliższej granicy przeznaczonego dla mnie okręgu, który składał się w czterech piątych częściach z dóbr stawiszczańskich Aleksandra Branickiego (gmin 8), a w jednej piątej z dóbr koszowackich Józefa Młodeckiego, dwóch kolokacyj [22]) i dwóch pojedyńczych wioseczek (dwie gminy). Dobra Branickiego, za wyłączeniem kilku wiosek wydzierżawionych, administrowane były przez Edwarda Mochlińskiego, pozostałe zaś bezpośrednio przez odnośnych właścicieli. Urodzony i wychowany na samem pograniczu z byłem starostwem białocerkiewskiem, często w dzieciństwie słyszałem, jak przy sturublowej pensji rocznej ekonoma — żona jego jeździ do kościoła zaprzęgiem czterokonnym, posiada w domu klawikord, a czasem guwernantkę Francuskę przy dzieciach utrzymuje: wszystko jednak się zmieniło od czasu wprowadzenia jednocześnie z reformą włościańską „rachunku podójnego“ przez znanego z rozumu, uczciwości i znajomości fachu swego Michała Kątkowskiego z Litwy. Pensje oficjalistom podniesiono do skali, usuwającej potrzebę nadużyć, puryfikacja zaś taka stanowisko pracowników na roli podniosła, otwierając im drogę do pozyskania szacunku tak pracodawców, jak ogólnego.

Zachowywanie się właścicieli dóbr stawiszczańskich, Aleksandra i żony jego Anny z Hołyńskich Branickich, wobec oficjalistów i włościan było pod każdym względem wzorowe. Szpitale, kierowane przez inteligentnych medyków, szkółka t. zw. katolicka, a właściwie polska, przykładnie prowadzona, liczne stypendja dla sierot lub uboższych dzieci pracowników zapewnione, opieka w razie klęsk żywiołowych, sprawiedliwość bezwzględna w stosunku do byłych poddanych i t. p. na szeroką skalę praktykowane rozumnie i uczciwie zarządzenia łagodziły tę zawiść, jaką powszechnie względem wybranych czują wydziedziczeni, uczucie podsycane na Ukrainie tradycją miejscową. W okresie

kilkoletniej zaledwie pracy Antoni Mioduszewski, opierając szkółkę stawiszczańską na gruncie religijno-narodowym, na takim ją poziomie postawił, nie tyle pod naukowym ile pod obyczajowym względem, że znana powszechnie z rozumu Aleksandrowa Branicka nie wahała się zaprosić Mioduszewskiego na nauczyciela języka rosyjskiego do młodzitkiego jedynaka swego, który wczasy swoje odtąd z ubogą dziatwą szkółki podzielił. Nie zawiodła się ta wyjątkowa wśród arystokracji matka, albowiem wpływy szkoły przy współudziale innych czynników domowych wychowały Władysława Branickiego na zacnego i światłego obywatela, decydująco wpływając na kierunek całego życia jego[23]). Dodatnią stronę stosunków tych miejscowych odczuwałem przez cały ciąg praktyki mojej na urzędzie, uwieńczonej przeprowadzeniem układów sprzedażnych pomiędzy właścicielem a włościanami przeszło połowy znajdujących się pod moim zarządem włości. Wyobrazicielem myśli obojga Branickich był inteligentny, zacny i wytrawny pełnomocnik ich Edward Mochliński; kancelarją kierował Kątkowski; na czele szkoły stał Mioduszewski, przy współudziale czcigodnego proboszcza miejscowego, Erazma Ossolińskiego, Białorusina; medykiem w majątku był nie tytularny ale rzeczywisty doktór medycyny uniwersytetu moskiewskiego, Mikołaj Bykowski, pochodzący z ziemian posesjonatów oddawna w Bracławszczyźnie osiadłych, oraz lekarze Bronisław Maćkiewicz, Litwin, i Franciszek Missuna, Białorusin, obaj wychowańcy uniwersytetu moskiewskiego. Brat tego ostatniego Otton Missuna był rządcą klucza.

Pośród dzierżawców uwydatniali się zacnością obywatelską Prymus Iwanowski i Romulus Szyszkowski; obu im poszczególnie zawdzięczam radę i pomoc, jaką mi na polu pracy, całkiem dotąd obcej dla mnie, jako starsi a wytrawniejsi, z całą przyjaźnią udzielali i nieraz w zapędach radykalnych wstrzymywali. Wszyscy wyżej wymienieni zacnymi obywatelami byli zawsze i takimi się w chwili stanowczej okazali. Cześć ich pamięci!

Jeżeli praca z takimi ludźmi i w takich warunkach była wdzięczna, to odwrotną stronę medalu przedstawiała robota

w dobrach koszowackich Młodeckiego, gdzie w stosunkach dworu z włościanami ujawniała się nie tyle zła wola, ile osławiona „gospodarka polska". Na samym wstępie zaatakowali mnie włościanie skargami na właściciela z powodu zaległości pieniężnej z roku przeszłego, dotąd nie uiszczonej; po stwierdzeniu słuszności tych skarg napisałem ostry list do Młodeckiego i wizyty powitalnej mu nie złożyłem, ustalając czasową kancelarję moją na gruncie neutralnym, u proboszcza. Wyzyskiwanie włościan tak wobec osobistych moich przekonań, jak i ogólnych dążnościach ziemian, oburzało mnie i niejednokrotnie z równowagi wytrącało. Wydaje mi się jednak, że umiarkowanie i wyrozumiałość bardziej wytrawnego urzędnika prawdopodobnie skuteczniej prowadziłyby do celu. Wypowiedziana przez mnie wojna dziedzicowi miała jednak ten dobry skutek, że do objęcia zarządu majątkiem i cukrownią umówiony został Wiktor de Cot, człowiek zdolny i uczciwy, który w roku następnym, w porozumieniu ze mną działając, starał się stosunki włościańskie do względnego porządku doprowadzić, przygotowując przytem grunt do pojednania urzędnika z wyboru z właścicielem ziemskim, jakoż — po dwóch latach dopiero — ujęty wspaniałą ofiarą Młodeckiego na potrzeby powstania, co było zasługą de Cota, złożyłem mu wizytę w sam dzień imienin jego, dnia 19 marca. Oddana mi nazajutrz na probostwie wizyta uregulowała nadal stosunek pomiędzy nami, a było to na miesiąc przed wybuchem powstania. W przykrych dla mnie stosunkach koszowackich miałem podtrzymanie jednego z dzierżawców, zacnego i inteligentnego przybysza z Korony, Juljana Jordana, oraz wszystkich prawie oficjalistów, każdy bowiem miał jakiś zarzut i niechęć do Młodeckiego, który, niewiele mając zalet, nadmierną wyniosłością się odznaczał.

Opowiadano, że Młodecki, chcąc okazać uprzejmość oficjaliście, odzywał się doń: „Niech figura siada". Owoż gdy w czasie powstania na liście kąsków łakomych dla urzędników znajdowały się dobra koszowackie, uwięziono Młodeckiego pod błahym pozorem, albowiem udziału żadnego ani w organizacji ani w ruchu nie przyjmował, co naj-

wyżej do składek jako właściciel ziemski należeć musiał. Gdy przywieziony do Kijowa, wchodził do baszty, „Prozorówką“ zwanej, dał się słyszeć z rozmaitych okien głos: „Niech figura siada“. I następnie był Młodecki przedmiotem ciągłych prześladowań ze strony uwięzionych z nim pospołu byłych jego oficjalistów, którzy w końcu czynnie go znieważyli, dając w ten sposób ujście nie tyle osobistej ile socjalnej niechęci.

W dwóch kolokacjach i dwóch oddzielnych wioskach stosunki były normalne i praca moja odbywała się prawidłowo. Na stosunek mój z ludem wiejskim uskarżać się nie mogłem; dzięki tradycjom i dobrobytowi lud ten pewną butą się odznaczał, z czem było mu — przy postawie wyniosłej — wcale do twarzy: prawidłowe rysy przy śniadej barwie i spojrzenie śmiałe odznaczały mężczyzn, którym pod względem piękności o wiele ustępowały kobiety.

W czasie dwuletniego urzędowania mego dwa razy musiałem korzystać w wypadkach nadzwyczajnych z przysługującego mi prawa używania chłosty, los uchronił mię jednak od smutniejszej o wiele konieczności sprowadzania siły zbrojnej przy wprowadzaniu nowych porządków, co gdzie indziej niestety miało miejsce, przypisuję zaś to szczęśliwej okoliczności, że okrąg mój składał się przeważnie z dużych majątków, w których takie czynności, jak przenoszenie włościan z gruntów lepszych na gorsze, odbieranie futorów, ekscypowanie fachowo uzdolnionych przy sprzedaży majątku i tym podobne akty, szczególnie przed wprowadzeniem „inwentarzy“ w roku 1848 praktykowane, nie miały wprost racji bytu, a więc powodów do rozdrażnienia nie dawały. Przeprowadzeniem kilkunastu tranzakcyj pomiędzy dziedzicem a uwolnionymi włościanami dwuletnią pracę moją zamknąłem, usunięcie zaś z urzędu wszystkich pośredników Polaków nastąpiło, gdy byłem już pod kluczem.

Po wypadkach lutowych w Warszawie stosunki jej z prowincją naszą bardzo się ożywiły, ze stolicy też bezpośrednie, a potem przez Kijów, najpierw natchnienia tylko, a zczasem wyraźne polecenia i nakazy robót politycznych tyczące się nadchodziły. Bywając w tym czasie w Kijowie,

poznałem Walerego Kopernickiego, nauczyciela nowo utworzonej w gimnazjum katedry języka polskiego, o bracie zaś jego Izydorze, profesorze Uniwersytetu, słyszałem wiele, ale osobiście go nie znałem. Wiedzieliśmy jednak nawzajem o sobie i tem tłumaczę wezwanie Profesora w jesieni 1862 r., ażebym do Kijowa przybył. Nie o pogawędkę zaś tu chodziło ale o wręczenie mi zadecydowanej już beze mnie nominacji na „naczelnika cywilnego" powiatu taraszczańskiego. Jakkolwiek z ruchem narodowym sympatyzowałem, nie czując się jednak na siłach do dźwigania wkładanych na mnie obowiązków, braki moje czy też właściwości charakteru z całą szczerością mu odkryłem, wymawiając się od przyjęcia tak bardzo odpowiedzialnego stanowiska; na to mi odrzekł Profesor, że innego kandydata nie mają, i wprawdzie prosił mię, ale w sposób tak naglący, że wkońcu uległem, zastrzegając w chwili ostatniej dwa warunki: 1-o zatwierdzenie nominacji tej za pośrednictwem tajnego głosowania w kołach patrjotycznych powiatu i 2-o abdykację moją natychmiastową w razie powodzenia powstania na rzecz Marszałka dla zlania w ten sposób obu istniejących w powiecie komitetów w jeden, zachowując dla siebie to stanowisko przy Marszałku, jakie dotąd — jako członek komitetu ziemiańskiego — w nim zajmowałem. Pierwsze zastrzeżenie moje zostało jednomyślnie uchylone, co zaś do drugiego, zakomunikowałem je z całą otwartością Marszałkowi i kolegom, nominację swoją przed nimi odkrywając, pełen nadziei w charakter jej czasowy.

Opisanie agitacji społeczno-politycznej, działalności i wzajemnego stosunku stronnictw, ruchu powstańczego i następstw, wszystko tak wiernie zostało oddane przy końcu drugiego tomu „Pamiętników" Bobrowskiego, iż pozostaje mi tylko uzupełnić je niejako wzmianką o tej niewielkiej roli, jaką osobiście w ruchu ogólnym odegrałem. Na kilka dni przed wybuchem powstania odwiozłem na miejsce wskazane, złożone u mnie „złote hramoty"; przyszłego wodza, Zielińskiego, oficera saperów, przechowywałem, jako geometrę rzekomo do pomiarów gruntów sprowadzonego, w Olszance i sąsiednich Żytnikach, w domu ziemianina Jana

Kotowicza, który pełną delikatności dyskrecję umiał w tych okolicznościach zachować. W wigilję wybuchu byłem w tych punktach okręgu mego, przez które uzbrojone jednostki przejeżdżać miały, dla zdjęcia warty przez policję w kołowrotach ustanowionej. Noc spędziłem u dzierżawcy Romulusa Szyszkowskiego, wiernego mego przyjaciela. Nazajutrz, 24 kwietnia, znalazłem się w paru gminach w pobliżu zbierających się sił powstańców dla rozmówienia się we cztery oczy z niektórymi z starszyzny wiejskiej o znaczeniu wszczętego przez Polaków ruchu; tegoż dnia znalazłem się już pod wieczór w gminie Żydowskiej Grobli w bardzo licznem otoczeniu włościan tak miejscowych, jak okolicznych, w największem rozjątrzeniu z powodu pojmania pięciu uzbrojonych powstańców, ukrywających się w pobliżu lasku a obecnie w areszcie przy gminie więzionych. Musiałem się wdać w objaśnienia, że ruch ten nie jest przeciwko włościanom skierowany, gdy zaś zażądali na to ode mnie przysięgi, wykonałem ją głosem podniesionym, palce na krzyż składając. O uwolnieniu pięciu zatrzymanych, wśród których byli dwaj przyjaciele moi, doktór i nauczyciel, zważywszy, że byli uzbrojeni, myśleć nawet nie mogłem, aż raptem odezwał się zdala znany mi głos Niceta Iwanowskiego, brata wspomnianego już Prymusa: „Auguście ratuj". Wiedziałem, że Nicet do powstania nie należał, po stwierdzeniu przeto, że broni nie posiadał i że przejeżdżającego w kołowrocie samowolnie przyaresztowano, odpowiedziałem: „Siadaj ze mną', tyle zaś piastowany przeze mnie urząd powagi posiadał, że Iwanowskiego bez protestu włościan ze sobą zabrałem i tegoż wieczora do domu pełnomocnika Mochlińskiego w Krasiłówce odwiozłem. Tymczasem powstańcy, w ilości stu osób nie przechodzącej, otoczeni zostali w pobliżu Taraszczy przez włościan o groźnej postawie, a że do nich z zasady strzelać nie wolno było, los tego zaledwie sformowanego oddziału był przesądzony: powiązanych odprowadzono do powiatu, skąd już pod eskortą wojskową odesłani byli do Kijowa. Nie wielu tylko udało się uniknąć zetknięcia z rozjuszonym tłumem i do domu wrócić, do tych zaś należeli obaj bracia moi, Henryk i Władysław: pierwszy wyruszył na plac boju

powozem w cztery konie z kozakiem, który miał razem z panem swoim przyjąć udział w powstaniu [24]), zaś taka niedająca się ukryć ostentacja na Sybir go zaprowadziła[25]). Młodszego brata mego odwoził na plac bryczką parokonną i stamtąd do Olszanki przywiózł zaufany mój służący i podsekretarz w jednej osobie, Franciszek Wróblewski[26]). Prochu nawet nie powąchał najmłodszy brat mój Władysław, heidelberczyk, składający w ofierze dla powstania swe studja naukowe. Zachowana w tej ekspedycji ostrożność oraz przychylna postawa gromady olszanieckiej w czasie indagacji brata mego ocaliły.

Dowiedziawszy się o klęsce pod Taraszczą, niedługo mogłem po powrocie do Olszanki tam przebywać, miałem bowiem polecenie stawienia się w Kijowie w pierwszych dniach maja z relacją oraz po nowe rozkazy. W ostatnich dniach kwietnia wyjechałem do Piatyhorów, gdzie od kolegi Lipkowskiego dowiedziałem się, że w zachodniej części powiatu, w okolicy Tetijowa, spokój panował dla braku materjału, a jak sądzę, raczej dla braku spójni organizacyjnej, którąby mogła rwące się do ruchu osobniki, takie zaś były niewątpliwie, scementować i chociażby garstkę zuchów do najbliższej partji berdyczowskiej przerzucić. Lipkowski przeprowadził mnie przez swój okręg do Stawiszcz, gdzie na czas nieobecności mojej w powiecie zastępstwo złożyłem w ręce doktora Bykowskiego, o czem tak Branickiemu jak i Lipkowskiemu dla zakomunikowania Marszałkowi i kolegom oznajmiłem. Ze Stawiszcz dotarłem do najbliższej poczty, skąd do Kijowa dojechałem. Po przyjeździe, odwiozłem gubernatorowi, jako prezesowi komitetu włościańskiego, kilka tranzakcyj majątkowych, pomiędzy Branickim a włościanami zawartych, następnie udałem się na wskazane miejsce, gdzie miałem zupełnie nieznanej osobie z czynności sprawę zdawać: jakież było zdziwienie moje, gdy, chociaż sam dwadzieścia dziewięć lat liczyłem, znalazłem się oko w oko z „komisarzem narodowym na Rusi", wyglądającym na lat szesnaście — do osiemnastu najwyżej. Sympatycznym zresztą niezmiernie i zaufanie obudzającym wydał mi się młodzieniec ten, był zaś nim Leon Syroczyński, obecnie ży-

jący profesor Politechniki Lwowskiej. Piątego maja, zjawił się do mnie do hotelu „Rosja“ urzędnik policji o nazwisku bardzo dla mnie sympatycznym, gdyż się nazywał Witwicki, z wezwaniem, abym się niezwłocznie stawił u gubernatora. Włożyłem frak (taki był zwyczaj), gdy zaś wsiedliśmy do dorożki, cerber mój kazał do policmajstra zawrócić, a tam dowiedziałem się, iż gubernator rozkazał odwieźć mnie do komendantury, resp. do fortecy.

Naczelnik policji Iwensohn był o tyle względny, że mi dał czas do spożycia z panem Witwickiem śniadania, spakowania rzeczy i odwiezienia papierów oficjalnych mieszkającemu w Kijowie koledze Dolińskiemu, gdy zaś to wszystko było dopełnione, znalazłem się w komendanturze, gdzie po odbytej wstrętnej rewizji osobistej, w czasie której zabrano mi trzos ze złotem i zegarek, oraz dopełnieniu innych formalności odesłano mnie pod konwojem do fortecy i tam oszołomionego tem wszystkiem, co zaszło, w celi zamknięto. Odchodzącego na długo, a może na zawsze ze świata, los łaskawy, odrywając na chwilę od rzeczywistości, paru wspomnieniami na drogę obdarzył. Pierwsze było wysłuchanie w czasie dłuższego u policmajstra oczekiwania wykonanego poprawnie utworu muzycznego Mendelsohna, drugiem — spotkanie tam, jakby zjawiska, uroczej p. Walerji Berezowskiej, która wraz z towarzyszącą jej poważną damą przywoziła pościel i inne pakunki dla uwięzionych: narzeczonego pierwszej, Władysława Kunickiego, i męża drugiej, Leona Michałowskiego.

Wciągnięty do roboty konspiracyjnej, włożyłem w nią wszystko, cokolwiek indywidualnie posiadałem, a więc ofiarność czasu i grosza, zapał dla sprawy i dyskrecję, właściwości jednak te, jakkolwiek dodatnie, były niedostateczne w epoce konspiracji, tem bardziej zaś przy wcielaniu jej w czynne powstanie zbrojne. Praktykowana przeze mnie ze skutkiem metoda przy zbieraniu składek na legjony była wprost negacją prawideł rewolucyjnych. Słowa: „sic volo, sic jubeo“ nigdy z ust moich nie wychodziły: przekładałem, zachęcałem, prosiłem, zostawiając wykonanie dobrej woli każdego. Taki brak zrozumienia elementarnych zasad każdej rewolucji,

a może brak tylko mocy i sprężystości panować musiał i u góry, przynajmniej nie dochodziły stamtąd do powiatu gromy rewolucyjne. Stan rzeczy ten mógł — zdaniem mojem — pochodzić stąd, że ani „biali" ani „czerwoni" nie zarysowali mocno a wyraźnie wzajemnego względem siebie stanowiska (aut—aut), jakby się nawzajem oszczędzając: zwolennicy ruchu dlatego, że ziemianie środków im dostarczali, ci ostatni zaś — przynajmniej niektórzy z nich — łudząc się aż do chwili niemal ostatniej nadzieją opanowania ruchu. (W czasie kontraktów kijowskich w r. 1863, a więc po rozpoczętym ruchu w Królestwie, odbywała się konferencja, której świadkiem byłem, pomiędzy przywódcami ruchu z przedstawicielem ziemian Szostakowskim, rezultatu pożądanego nie przynosząc). W czasie przeprowadzania przez ziemian reformy włościańskiej nacisk młodszych a gorętszych dawał się wciąż starszym uczuwać. Zadaleko w projektach idąca młodzież szerzyła nieraz nieopatrznie propagandę wśród włościan i usługi dworskiej i folwarcznej, o zabarwieniu socjalistycznem, co wywoływało bolesne starcia w rodzinie; pomimo to jednak starsi nie ulegli: źle czy dobrze, ale myśli swoje przeprowadzili. Wniosek stąd oczywisty, że gdyby równie stanowczo w latach 1861—1863 postąpili i środków pieniężnych nie dostarczali, veto takie byłoby decydującem. Czy w chwili krytycznej starsi nie czuli swojej powagi wobec młodszych, czy też na okazanie jej zdobyć się nie mogli — trudno na to odpowiedzieć....

W Prozorówce, tak nazywano bastjon forteczny, do którego mnie wsadzono, cela miała sześć kroków długości na trzy do czterech szerokości, sucha była i dzięki okienku u góry dość widna; tapczan z drzewa w rogu stanowił wraz z nieodzownem innem naczyniem jedyne umeblowanie, dzbankiem z wodą dokompletowane; drzwi z otworem zakratowanym prowadziły na korytarz, na który — w chwilach koniecznych, jak równie na półgodzinną przechadzkę po dziedzińcu — więźniów pod eskortą wypuszczano. Po burzliwych przejściach dni ostatnich taka samotność, dająca możność skupienia myśli i wypoczynku dla nerwów, była względnie pożądana. Z uczuciem ulgi jednak dowiedziałem się po

trzech dniach pobytu o przeniesieniu mnie do t. zw. Kopanjerów, gdzie znalazłem się w zbiorowisku ludzi, paręset osób wynoszącem, śród swoich, chociaż osobiście mi nieznanych.

Ton całemu zgromadzeniu temu nadawała młodzież uniwersytecka, z której przeważnie partja t. zw. borodiańska się składała (nazwa od Borodianki, odległej o kilkadziesiąt wiorst od Kijowa).

Oprócz borodiańczyków partje „taraszczańska" i „rozalewiecka" (od wioski Rozalówki w pow. wasylkowskim), oraz kilkunastu przygodnych, komplet więźniów dopełniały. Dwie ostatnie partje składały się wyłącznie prawie z oficjalistów dóbr Branickich i ich powinowatych; z posesjonatów pamiętam tylko Leona Michałowskiego z Czajkówki, niemłodego ziemianina z pow. radomyskiego, Cyprjana Berezowskiego z Bilejówki z pow. skwirskiego, i Gustawa Gnatowskiego ze Skarżynówki z pow. hajsyńskiego. Krótkie jak błyskawica było obozowanie powstańców, scementowanie to jednak śród wspólnych trudów, ofiarności i nadziei, zacierało różnice nietylko klasowe w pożyciu więziennem, ale głębsze z odmiennego poziomu umysłowego wynikające. Dzieliliśmy się nawzajem, czem kto mógł, zacząwszy od obiadu, przynoszonego niektórym za pieniądze przy rewizji odbierane, a skończywszy na książkach. Schodziliśmy się też chętnie do kamery studentów „borodiańczyków" dla słuchania ich śpiewu chóralnego: pieśni patrjotycznych aktualnych („Marsz Żuawów") i dawnych, a wieczorem na wspólną modlitwę. Pełen prostoty i podniosłości śpiew „Zdrowaś Marja", wykonywany pod kierunkiem umiejętnym i przy udziale dobrego tenora, studenta Laskowskiego, rozrzewniał mnie wówczas, tak jak i dziś — po pięćdziesięciu przeszło latach — mocą swego wspomnienia. Duch wśród więźniów panował najlepszy, jak równie dobra harmonja w stosunkach koleżeńskich, dopóki trwały wiadomości o cząstkowych powodzeniach prawdziwych, a nie brakło i zmyślonych, przez powstańców osiąganych, dopóki nadzieja nas nie opuszczała. W nadziei tej utrzymywała nas wiara w interwencję Francji, chroniczna choroba Polaków. Obraz ten zmienił się dopiero po odprawie kanclerza Gorczakowa na noty państw za-

chodnich. Wówczas to zaczęło się poszukiwanie winy wśród swoich; więc młodzież robiła zarzuty starszym, pracownicy posesjonatom i nawzajem, waśń zaś ta stawała się walką klasową i dawała się srodze odczuwać we wzajemnym stosunku jednostek.

Roznamiętnienie to w więzieniach kijowskich było względnie łagodniejsze dzięki ograniczonej działalności ruchu powstańczego na Rusi. Zato w Koronie i na Litwie, tak w więzieniu jak i poza kratami, namiętności ogarniały nieraz ludzi najlepszych, prowadząc na manowce niepożądane, a czasem zbrodnicze nawet. Poszukiwanie winnych t. zw. „śpiewaków", masowe obwinienia, następnie prześladowania w więzieniu i przez cały pochód syberyjski aż do miejsca osiedlenia, stawały się prawdziwem piekłem dla tych nieszczęśliwych, wśród których były ofiary nie złej woli lub przewrotności, ale tylko ofiary słabości moralnej bądź fizycznej, źródło swoje w udręczeniach więziennych mającej.

Jakkolwiek narzędzia tortury średniowiecznej, jakie oglądamy w muzeach europejskich, istnieć już przestały, nasuwa się jednak pytanie: czy budzenie o północy znękanego fizycznie i moralnie więźnia dla niespodziewanej indagacji, co się w Wilnie praktykowało, albo policzkowanie do krwi przy badaniu, uprawiane przez osławionego Tuchołkę i innych w Koronie, zaliczyć należy do tortur, czy też tylko do sportów sui generis?

Wracając do przerwanego opowiadania, zaznaczyć należy, że wartę, pilnującą więźniów w „kopanjerach", trzymali konsystujący w mieście saperzy, dobrej opinji wogóle używający, widok zaś młodziutkich i po większej części sympatycznych dozorujących nas oficerów miłe i kojące wrażenie sprawiał. Obowiązkiem ich było, tak przy zaciąganiu, jak luzowaniu warty, przejść się po celach i przerachować wszystkich, co zwykle w przytomności oficera, figuranta, dopełniał podoficer, głośno wymawiając: raz, dwa, trzy... i wskazując palcem tak czuwających jak i śpiących, podoficerzy też byli faktycznymi dozorcami naszymi, kierując niejednokrotnie niedoświadczonym oficerem i mając

go zawsze na oku. Pomimo zachowania się powściągliwego oficerów, odczuwaliśmy współczucie tych niezepsutych życiem młodzieńców, którzy poznawali wśród nas pod obcem nazwiskiem ukrytych kolegów; śmielsi z nich nawet wchodzili do cel pod jakimkolwiek pretekstem dla wymiany kilku słów lub oddania więźniom przyniesionej z miasta korespondencji. Z żalem wielkim musieliśmy pożegnać saperów, których zastąpił garnizon miejscowy z oficerami o poziomie cywilizacyjnm znacznie niższym. Wypadek zdarzył, że pośród tych nowych oficerów znajdowali się dwaj bracia Czempkowscy, synowie sąsiadującego z ojcem moim dzierżawcy z Litwinówki, a moi towarzysze lat dziecinnych, o których wiedziałem, że dla karjery w wojsku przebywali. Ciężkie nad wszelki wyraz było to spotkanie w tak odmiennych warunkach, po dwudziestu latach niewidzenia się, wymowne zaś z obu stron spojrzenie świadczyło aż nadto, żeśmy się poznali.

Oprócz korespondencji, która najrozmaitszemi drogami do nas dochodziła, otrzymywaliśmy całkiem legalnie zapasy żywności, bieliznę i t. p. z miasta, które zorganizowało się wzorowo tak w celu niesienia nam pomocy, jak szczególnie dla informowania o śledztwie dokonywanem na miejscu, i wogóle o przebiegu sprawy. Oprócz tej ogół więźniów obejmującej opieki, wielu z nas poszczególnej pamięci doznawało od najbliższej rodziny lub w braku jej od życzliwych. Ponieważ z rodziny mojej nikt w Kijowie nie mieszkał, opieki nade mną podjęła się z uprzejmością i dobrocią pani Wanda ze Świderskich Moszczeńska, współpowietniczka moja, żona stale przebywającego w Kijowie członka komitetu włościańskiego. Ponieważ zabrane mi w czasie rewizji pieniądze wystarczały przez długi czas na obiady, przesyłane przez dozorcę więzienia, rodem Duńczyka, zgóry więc podziękowałem dobrodziejce mojej za wszelkie zapasy żywnościowe, prosząc tylko o przesyłanie mi bułek w gazetę La France owiniętych, co się praktykowało długi czas, dopóki wreszcie metodyczność taka nie zwróciła uwagi władzy więziennej, zmuszając nas do szukania dróg innych. Za to sprawą moją nie obciążyłem ani

rodziny, ani tem bardziej obcych, zostawiając ją naturalnemu biegowi, a miałem w tem słuszność, gdyż ponawiane na prośbę rodziny śledztwa najczęściej odkrywały nowe fakty obciążające petenta, przewlekając przytem uciążliwszy od samej kary pobyt w więzieniu.

Wiadomo, że myśliwstwo i karty łączą ludzi rozmaitych sfer towarzyskich; stało się też, że plenipotent prawny Branickich, Wiliński, człowiek dobrego towarzystwa a wielki myśliwy, polował często z oficerem Bobowskim, być może najlepszym człowiekiem, ale wielkim pospolitakiem. Oficer ten w czasie dyżuru swego w więzieniu podszedł do mnie z miną tajemniczą, oświadczając ukłony od p. Wilińskiego oraz zapytując, w czem mógłby w sprawie mojej dopomóc. Stosunek mój z panem Wilińskim, acz życzliwy, bliższym nigdy nie był, czy to była więc jego inicjatywa, czy kto inny po za nią się ukrywał, nigdy dowiedzieć się nie mogłem. Podziękowałem obu panom myśliwym, dodając, iż jedyną miałbym prośbę, ażeby mnie jak najprędzej sądzono. Okazało się, że i w tym wypadku pogląd miałem słuszny, gdy bowiem z początku sądzono surowiej wziętych z bronią w ręku, po pewnym czasie obchodzono się łaskawiej z wojownikami, a wzięto się ostro do cywilusów, a przedewszystkiem do pośredników pojednawczych, jako do ludzi na urzędzie zostających: los padł na Rudzkiego, kolegę mego z powiatu radomyskiego, nie tak bardzo nawet obciążonego, którego już po mojem zesłaniu dla przykładu chyba rozstrzelano.

Nie poprzestając na gazetach, niezrównana opiekunka moja przysłała za pośrednictwem ujętego przez nią dozorcy, harmonie-flûte, który stał się prawdziwą rozkoszą dla mnie w więzieniu, w drodze i na wygnaniu, a nawet mimowolną reklamą, ale też był nieraz utrapieniem mojem, o czem później opowiem. Krótsze i węższe od fortepianowych klawisze wymagały wielkiej wprawy, do której też zczasem doszedłem ku własnemu i kolegów moich zadowoleniu. Przysłany mi instrument tak mało był wówczas rozpowszechniony, iż powszechną ciekawość obudzał; przychodzili też nieraz oficerowie dla posłuchania muzyki i obejrzenia

nieznanego narzędzia, a miałem dla nich na zawołanie popularne „Krasnyj sarafan", a dla wybredniejszych śliczne piosenki Ałabjewa i Warłamowa. Wobec tego, że jedną tylko rękę miałem do rozporządzenia, gdy druga musiała miech poruszać, melodje były jedynie odpowiednią dla tego instrumentu muzyką; nie wystarczała wszakże taka muzyka jednogłosowa do zaspokojenia moich nawyknień muzykalnych. Oznajomiony z palcowaniem organowem, mogłem wprawdzie swobodnie przelewać trójdźwięki, prowadzenie jednak harmonji kompletnej, tj. czterogłosowej, bez odrywania rąk było niepodobieństwem. Kiedy tak przemyśliwałem, w jaki sposób dałby się ten brak usunąć, stojąca w kąsie miotła brzozowa natchnęła mnie myślą wprost niezwykłą: zerwałem się z miejsca, oderwałem najrówniejszy pręcik z miotły, zmierzyłem go, odpowiednio do miary obciąłem i po chwili jeden koniec patyka w ustach trzymałem, gdy drugi spoczął na klawiszu w basie, jako fundamencie przy budowaniu akordów nieodzownym. Stwierdzone też zostało jeszcze raz przysłowie, że „potrzeba jest matką wynalazków". Radość moja i kochanych kolegów, gry mojej amatorów, była nie do opisania! Teraz, nie zadawalniając się melodjami, zabrałem się do układania na „jedną rękę plus pałeczkę" mniejszych i mniej skomplikowanych utworów muzycznych, które — dzięki dobrej pamięci i wspomnieniom Brukseli i Wilna — odtwarzały mi się w postaci preludjów religijnych Lemmensa i pieśni Moniuszki, o tempie zawsze powolnem, odpowiadającem charakterowi instrumentu, czyniąc z czasem repertuar mój — względnie do warunków — interesującym i niezwykle urozmaiconym: od „Arji Kościelnej" Stradelli do „Krasnego Sarafana"..

Warunki higjeniczne w „kopanjerach" były bardzo dla zdrowia więźniów szkodliwe: mieszkanie w jamie, wałami otoczonej, pozbawione powietrza i słońca, wilgotnem być musiało; dziedzińca zgoła nie było, odwiedzanie zaś o kilkanaście kroków zaledwie odległych miejsc ustępowych było jedynem naszem zetknięciem się ze świeżem (?) powietrzem. Po przebyciu w warunkach tych całego lata z wielką chęcią przenosiliśmy się na jesień do bastjonu okrągłego piętro-

wego, „basztą północną“ zwanego, a zamieszkałego już przez więźniów w liczbie przeszło tysiąca, śród których spodziewaliśmy się znaleść znajomych. Nowe to mieszkanie składało się z czterech oddziałów górnych i piątego dolnego, w którym się przytem znajdował odwach, kamera oficerska i więzienia celkowe na pobyt czasowy a obostrzony dla więźniów „zbuntowanych“. Każdy oddział górny składał się z kilku kamer łączących się, a mieszczących od dwustu do trzystu osób. Rachowano nas wieczorem przed zamknięciem na noc i rano przy zmianie warty.

Jedynem umeblowaniem każdej kamery były tapczany drewniane, łączące się ze sobą (t. z. prycze), pod któremi było miejsce na tłomoczki i przedmioty najrozmaitsze. W pierwszej kamerze przy drzwiach wchodowych, na noc zamykanych, umieszczono dwie kadzie drewniane: jedną z wodą do picia, a drugą na inny użytek, sąsiedztwo było niejednokrotnie — przy nocnej ciemności — przyczyną niepożądanych omyłek, ku oburzeniu albo uciesze otoczenia. Okienka od strony zewnętrznej były wysoko umieszczone i zakratowane, od dziedzińca zato okna były duże, mieszkanie zaś całe suche, a wyłącznie przeznaczone dla znajdujących się pod śledztwem, aż do ferowania wyroku w sądzie polowym, skąd przeprowadzanych więźniów w oddziale piątym na dole zamykano na pobyt czasowy aż do wyprowadzenia ich na Syberję, lub... przeniesienie do specjalnego więzienia celkowego, gdzie na śmierć przygotowywano. Obrząd wypuszczania z wydziału piątego odbywał się zwykle o północy: jeżeli wyprowadzano w drogę, rozchodziły się zwykle z dołu nazwiska odchodzących, a z góry niemilknące pożegnania; gdy zaś przenoszono pojedyńczego więźnia do celi fatalnej, czyniono to w wielkiej tajemnicy dla uniknienia tak dla władzy jak i dla samych więźniów bezowocnych ale nieuniknionych, niemal żywiołowych demonstracyj, które represje na ogół, a cięższe obostrzenie na jednostki zwykle sprowadzało. Sam wygląd zewnętrzny oddziału piątego odpowiadał przeznaczeniu swemu: kamery były oddzielne, w prycze zaopatrzone, kilkanaście, do dwudziestu osób mieszczące, przytykały zaś do korytarza oszklonego, tak

długiego, jak sam oddział, skąd jedynie światło dzienne dochodziło do kamer, które przeto były ciemne i wilgotne. Represjom, o których wspomniałem, podlegali więźniowie po każdej dokonanej lub chybionej ucieczce, oraz w razie gremjalnych protestów; zamykano więc nas wtedy w dzień, pozbawiając przechadzki po dziedzińcu i komunikacji pomiędzy sobą, posyłki z miasta i obiady od dozorców zawieszano, zmuszając nas do przestawania na strawie więziennej, i tak trwało tydzień lub dwa nawet, aż do udobruchania się władz więziennych.

W jednej z kamer tego dolnego oddziału rozpoczęto wprost tytaniczną, uwzględniając warunki więzienne, robotę: słynny podkop z wielkiem poświęceniem i kosztem zdrowia do skutku doprowadzony, który, niestety, jednemu tylko Antoniemu Jurjewiczowi życie ocalił, gdy kandydatów do ucieczki kilku było. Żmudna ta praca parę miesięcy trwała: pracowano kolejno w nocy w podziemiu, wynosząc w chusteczkach ziemię nazajutrz do ustępów. Panujący chłód w kamerze i zapach gazów zwracał parokrotnie uwagę codziennych kontrolerów, nie pobudzając ich jednak do odnalezienia przyczyny samego zjawiska. Wiedzieliśmy, że wyrok na Jurjewicza wkrótce ma być wydany i że kula go nie minie, a że robota cała na jego głównie intencję podjętą była, jemu też pierwszeństwo się należało. Po wydobyciu się Jurjewicza wszczęty alarm — z powodu wypadkowego odkrycia otworu w murze przez zbierającą trzaski gałganiarkę — zamiary dalsze unicestwił. Władze jednak były pewne, że odkrycie w porę zrobione ucieczkę uniemożliwiło, a że przy rachunku codziennym żołnierze przyzwyczajeni byli do widoku spiących obok czuwających, bałwan przeto w pozycji leżącej demonstrowany przez parę dni w więzieniu dał możność Jurjewiczowi załatwienia się z ucieczką. Antoni Jurjewicz, syn Hilarego i matki z Opoczyńskich, byłych właścicieli dóbr Rososza i Kożuchówki w pow. hajsyńskim, a wnuk majora wojsk polskich, mógł mieć lat dwadzieścia kilka, był studentem Uniwersytetu Kijowskiego, lubianym i szanowanym przez kolegów; był to człowiek zacny zarówno, jak inteligentny, a przytem zrównoważony

i stanowczy, przymioty zaś te wykazał w czasie tragedji sołowijowieckiej, z której cudem tylko wyszedł cało z kilkoma zaledwie kolegami. Po szczęśliwej ucieczce ocknął się na emigracji we Francji, gdzie w kilka lat potem umarł.

W nowem więzieniu zastaliśmy kolegów całkiem już zorganizowanych. I tak modlitwa codzienna i nabożeństwo świąteczne odbywało się stale w oddziale IV, t. zw. berdyczowskim, gdzie celebransem był aż do wyjścia swego z więzienia Bronisław Padlewski, stryjeczny brat rozstrzelonego Władysława.

Każdy oddział miał swego przedstawiciela wobec władzy więziennej, wedle terminu w więzieniach przyjętego „starostą" zwanego, odpowiedzialnego do pewnego stopnia przed władzą za spokój i porządek w poszczególnych oddziałach.

Poczta tajemna z miastem była doskonale urządzona, wymownym dowodem zaś tego były sprowadzane instrumenty i narzędzia do podziemnego kanału użyte. Zarządzającym pocztą był kolega Dzięciołowski, którego obowiązkiem było utrzymywanie stosunków z przemytnikami suto wynagradzanymi, albo platonicznymi, t. j. oficerami. Spotykanie zaś przychodzącego w pewnej porze do oddziału poczmistrza naszego było wprost owacyjne. Obiad więzienny składał się z zupy w rodzaju barszczu, którą w dużych naczyniach drewnianych wnoszono, z kawałkami mięsa wygotowanego, odpowiadającego ćwierci funta, i kromką chleba żołnierskiego. O czystości naczynia, jak i o smaku strawy świadczyć może ścierka, a innym razem zdechły szczur w moich oczach z kadzi wydobyty. W czasach represji ogólnej w więzieniu oraz gdy się kasa moja, pokutująca u dozorcy, wyczerpała, musiałem z konieczności zadawalniać się obiadem więziennym, praktykowałem zaś to z początku w ten sposób, że lewą ręką nos zatykałem, a w prawej trzymałem kubek, z którego płyn w siebie wlewałem; z czasem jednak oswoiłem się i już bez tych ceregieli piłem barszcz i chleb czarny jadłem.

Znaleźli się śród nas amatorowie sztuki kulinarnej, którzy z powyższych skromnych materjałów (chleba i mięsa),

przy dodaniu przemycanej słoniny i cebuli wytwarzali jakieś niby kotlety, posługując się improwizowaną patelnią, przyczem szerzył się wstrętny zapach przysmalonej cebuli. Praktyką tą codzienną dali się nam we znaki szczególnie bracia Antoni i Konstanty Zapolscy, ja zaś powziąłem od tej pory na całe życie wstręt do wszelkiej siekaniny.

Wrodzony popęd ludzi do przetwarzania na swój użytek dostarczonych przez naturę materjałów jest początkiem wszelkiego przemysłu; otóż w braku takich materjałów przemysł więzienny ograniczał się do wyrobów z chleba razowego rozmaitych drobiazgów, jak np. pierścionków, krzyżyków, ram, figurek do szachów itp., które w dużej ilości rozchodziły się wśród publiczności naszej, chętnej zawsze do niesienia pomocy potrzebującym. Życie umysłowe więźniów przejawiało się w odczytach lub przemówieniach publicznych dla uczczenia rocznic narodowych, głównie zaś w nauczaniu, do czego chętnych nie brakło śród młodszych z klasy oficjalistów i tych kozaczków — z ludu ukraińskiego, którzy rówieśnikom swoim a chlebodawcom na wojaczkę towarzyszyli. Na polu nauczania odznaczali się głównie idealiści najczystszej wody z pod Sołowijówki, nie doktrynerzy zgoła, ale szczerze lud nasz miłujący; z liczby dwudziestu jeden, sześciu znajdowało się w więzieniu, potroszę pokaleczonych, ale dla społeczeństwa ocalonych. Antoni Jurjewicz, Wincenty Wasilewski, Bolesław Peszyński, Wieńczysław Kurzański, Stefan Wyhowski i Antoni Kościuszko: charaktery ze szczerego złota wykute, apostołowie świadomie na męczeństwo idący. Uzbrojeni doskonale, mogli przecież utorować sobie drogę po trupach oblegających ich włościan, by się połączyć wedle zamiaru zgóry powziętego z kolegami z uniwersytetu, t. j. partją borodiańską, nie sprzeniewierzyli się jednak zasadzie ani oni, ani też wogóle cała młodzież nasza na Rusi, sztandar niepokalany z tej tragicznej imprezy unosząc. Będzie to im policzone przez przyszłe pokolenia. Tradycja nie zaginie!

O Jurjewiczu wyżej już wspominałem. Kościuszko karę odbywał w t. zw. ciężkich robotach w Usolju, gdzie się nauczył krawiectwa, które wśród kolegów praktykował;

z powodu miękkiego charakteru dał się opanować kobiecie niegodnej i utonął na wieki na Syberji. Lepszej względnie doli doznali Wasilewski i Kurzański, którzy z żonami, wprawdzie Sybiraczkami, do kraju wrócili, ale starali się, by dzieci swoje na Polaków wychować; pierwszy z nich jako medyk z piątego kursu pracował po powrocie do kraju na Podolu w Śledziach, majątku czcigodnej Marji z Darowskich Moraczyńskiej, która umiała go ocenić i ułatwiła wychowane dzieci jego. Peszyński i Wyhowski, także obaj usolanie, po odbyciu kary i powrocie do kraju: pierwszy przeszedł kurs medycyny, następnie ożenił się i nie przestawał — pomimo coraz trudniejszych warunków — wcielać swych ideałów w życie, pracując jako lekarz na Rusi; Wyhowskiego biografja jest też całkiem niezwykła, a nieraz mi wypadnie o nim w dalszem opowiadaniu wspominać. O siódmym, ocalonym, którego w parę lat potem sami koledzy się wyrzekli, mówić nie będę. Nazwiska zaś czternastu zamordowanych przez włościan w Sołowijówce są następujące: Józef Biesiadowski, Franciszek Bobowski, Józef Dorożyński, Izbicki, Jan Kosko, Krypski, Adolf Peretjatkowicz, Gotfryd Przedpełski, dwaj bracia Przedrzymirscy, Aleksy Strelczenko, Aleksy Wasilewski, Lucjan Wołoncewicz i Zieliński. Wszyscy w liczbie dwudziestu jeden, umarli i żywi, umieszczeni zostali na tablicy pamiątkowej w kościele P. Marji i Magdaleny we Lwowie.

Wspominając o życiu umysłowem, muszę nadmienić o szerzonej w więzieniu propagandzie socjalistycznej, znajdującej wśród drzemiącej wiecznie niechęci uboższych do bogatszych grunt zawsze podatny: apostołem samej doktryny był Antoni Strzelecki, Poznańczyk, człowiek całkiem uczciwy i najlepszej wiary, który potem po powrocie z wygnania wydawał w Warszawie kalendarzyk rolniczy i do innych prac literackich w tym zakresie należał, przeciwieństwem zaś roboty jego były podjęta jednocześnie w innem więzieniu, w Prozorówce, praca nad spolszczeniem słynnego z przeciwległego obozu ekonomisty francuskiego Bastiat'a przez Stanisława Roszkowskiego. Oprócz wymienionych wyżej uczestników wyprawy sołowijowieckiej, byli inni

więźniowie, duchem pokrewni; wymieniać wszystkich ich niepodobna, jeżeli jednak zacytowałem nazwiska najwybitniejszych wśród młodych, nie mogę przemilczeć o starszych do kategorji wybitnych należących. Oto są ich szanowne nazwiska (w porządku alfabetycznym): Roman Bniński, starożytnego rodu wielkopolskiego potomek, zamieszkały na Rusi, na placu boju, w chwili krytycznej po rozsypce, w więzieniu, na wygnaniu, wszędzie i zawsze zachowujący się „sans peur et sans reproche". Aleksander Czekanowski, syn profesora krzemienieckiego, uczony przyrodnik, długoletnią pracą w Irkuckiem Towarzystwie Geograficznem i odkryciami w dziedzinie geologji korzyść nauce a sławę imieniowi polskiemu zapewnił. Ignacy Fudakowski, ekonomista i praktyczny przemysłowiec, pewne zasługi w dziale cukrownictwa na Rusi położył; mając dobra ziemskie w Koronie i na Rusi, używany był jako pośrednik pomiędzy komitetem politycznym na Rusi i koronnym w najpoufniejszych sprawach w r. 1861—1862, z których wywiązywał się bez zarzutu. W więzieniu był pan Ignacy, jednostajnego zawsze humoru i pełen otuchy, najlepszym a przedewszystkiem najprzykładniejszym towarzyszem. Erazm Michałowski, krzemieńczanin, światły, a zacny, były kurator honorowy szkół kijowskich, a właściciel głośnej Sołowijówki, dręczony moralnie przez włościan w czasie katastrofy w majątku, którego nie opuszczał, najgodniej — pomimo wieku i niedomagań fizycznych — tak więzienie jak i wygnanie przebył. Bolesław Morgulec, ziemianin z pow. berdyczowskiego, charakter czysty i niezachwiany, zawsze spokojny, skromny i zrównoważony, przykładem był dla nas tak w więzieniu jak i na wygnaniu. Romuald Olszański, syn nauczyciela konnej jazdy w Krzemieńcu, przyjaciel studentów, którym pod Borodianką przewodził, jeden z najszlachetniejszych — rozstrzelany. Wieluż innych równie godnych a mniej widocznych pominąć muszę, nie ufając już pamięci swojej po latach pięćdziesięciu. O takich zaś, którzy w innych więzieniach siedzieli, wcale nie wspominam.

Przechodząc od spraw ogólnych do osobistych, ograniczę się do takich tylko, które na charakterystykę ludzi

i danej chwili mogą jakiekolwiek światło rzucić. Z dwóch epizodów więziennych, mojej osoby dotyczących, pierwszym były odwiedziny pułkownika Szawrowa, wówczas prezesa komisji politycznej wołyńskiej, w Kijowie rezydującej, a drugim — intryga niewieścia, mająca na celu uszczęśliwienie mnie małżeństwem. Włodzimierz Szawrow, rodem z czysto słowiańskich gubernij, podobno z nowogrodzkiej, konsystując z wojskiem w Humaniu, ożenił się z Polką, Wilhelminą Korczewską, a będąc zawołanym myśliwym odwiedzał w porze polowań krewnych żony, gdzie go też co roku spotykałem.

Młodzieniec ten bez zarzutu ogólną a więc i moją sympatję pozyskał, bliższych jednak stosunków pomiędzy nami nie było; zdziwiłem się też bardzo, gdy dyżurny oficer, o niczem nie uprzedzając, do swojej kamery mnie zawezwał, gdzie się z prezesem sądu polowego wołyńskiego spotkałem. Powitanie i zainteresowanie się losem moim było serdeczne i na zawsze dla mnie pamiętne; to też w dziesięć lat po tem po powrocie z wygnania odwiedzałem go w Kijowie jako dymisjonowanego jenerała, ostatni zaś raz w życiu widziałem go w domu kolegi jego wojskowego, Edwarda Ronikiera, we wsi Honoracie na Pobereżu. To ostatnie widzenie się moje z Szawrowem odbyło się w warunkach tak dziwnych, że o niem nadmienić tu muszę. Pomiędzy 1873—1876 rokiem, w nowo urządzonym przez Włodzimierza Padlewskiego hotelu „Liwadja“ w Odesie, mieszkało nas trzech b. wygnańców: Konstanty Mazaraki, Dymitr Teleżyński i ja, każdy zaś pracy swojej fachowej się oddawał.

Ronikiera poznałem u Teleżyńskiego, który, jako architekt, pałacyk mu w Honoracie stawiał. Ronikier odwiedzał skromnego nauczyciela muzyki, a ponieważ był spirytystą, mówiono, że upatrzył mnie jako odpowiednie dla swoich doświadczeń medjum. Zaproszony przezeń, a przez kolegów wciągnięty, znalazłem się, jak Piłat w Credo, w Honoracie na polowaniu, pierwsza zaś uczta dla przybyłych wydana przedstawiała się następująco: miejsce główne u stołu zajął gospodarz — po obu stronach przy nim naczelnik policji miejscowej (isprawnik) i były prezes sądu politycznego, Sza-

wrow, dalej — na szarych końcach — b. wygnańcy polityczni wyżej wymienieni z dodatkiem Juljana Głębockiego i innych, ilustracją zaś widowiska tego była galerja królów polskich, ściany sali jadalnej zdobiąca. Wieczór uprzyjemniał gościom Konrad Jurjewicz, zdolny ale zmarnowany pianista, trawestując na instrumencie, w sposób co prawda komiczny, kompozytorów muzycznych, bądź ich interpretatorów. Wstępny ten wieczór, jako przedsmak następnych, zakończony był oczywiście przy stole zielonym. Ponieważ ani dobór towarzystwa, ani ofiarowane przez gospodarza resursy smakowi memu nie dogadzały, nazajutrz rano pod pozorem zasłabnięcia gościnne progi Honoraty opuściłem, nie powąchawszy nawet prochu.

Były marszałek bałcki Ronikier był niewątpliwie człowiekiem dobrym, ale naprawdę nie wydawał się normalnym: mając żonę dobrą, starannie dzieci wychowującą, domu się nie trzymał, wkońcu w kilkanaście lat po podpisaniu przezeń „adresu podolskiego“ po raz drugi do wojska wstąpił i niewiadomo cui bono życie w wojnie tureckiej w r. 1878 postradał.

Na początku rozdziału tego wspomniałem już o stosunkach moich z Korjolanem Bilińskim, ziemianinem z powiatu skwirskiego. Potrzebując po wypadkach warszawskich w lutym 1861 r. porozumieć się z człowiekiem pokrewnych przekonań, zawitałem w marcu do Nowosielicy, gdy zaś mi tam oznajmiono, że gospodarz domu, Biliński, znajduje się najpewniej w sąsiedztwie, goniąc Bilińskiego późnym już wieczorem do nieznanego mi domu państwa X. przybyłem. Oświadczono mi tu na wstępie, że Biliński wraz z towarzystwem miejscowem znajduje się u sąsiadów na imieninach, skąd przed północą powróci, otrzymałem przytem od pozostałej w domu najstarszej córki gospodarza zaprosiny do salonu. Ciężkim niezmiernie był dla mnie ten długi wieczór zimowy, z zegarkiem w ręku spędzony, z nieznaną, a wcale nieinteresującą osobą w oczekiwaniu powrotu Bilińskiego. Jakoż wyzwolenie to nastąpiło, po długiej zaś z nim gawędzie a krótkim spoczynku dom państwa X. opuściłem, zostawiając przyjacielowi ciężar zdawkowego usprawiedliwienia mojego

pośpiechu. Zdawałoby się, że na tem powieść skończyć się powinna, tymczasem był to dopiero koniec rozdziału, albowiem we dwa lata potem, dowiedziawszy się o uwięzieniu mojem, a dobrawszy sobie do pomocy żonę znajdującego się ze mną w fortecy doktora Gałeckiego, rozpoczęto na serjo kampanję matrymonjalną. Otrzymywałem w więzieniu stale owoce i kwiaty bezimiennie, następnie bileciki pełne nieokreślonych wspomnień, opatrzonych pseudonimem „Zimowa noc". Bawiła z początku mnie i kolegów ta mistyfikacja, a może nawet trochę intrygowała, gdy jednak znajdujący się w jednej kamerze ze mną Korjolan Biliński objaśnił mnie, kto może być ową tajemniczą „Nocą zimową", a jednocześnie dr. Gałecki wręczył mi list, flanele podróżne i... pierścionek, scenę mu zrobiłem, żądając, ażeby przedmioty powyższe odesłał i od dalszych nagabywań mnie uwolnił. Nie skończyło się jednak na tem, epilogiem zaś było tajemnicze wręczenie mi, gdy byłem już w drodze, w Połtawie, przez jedną z żegnających nas w tem mieście rodaczek fotografji, którą w oczach nieproszonej pośredniczki na kawałki podarłem, dziękując losowi, że mnie od współżycia z osobą mało znaną i wcale nie czarującą uchronił. Szczęśliwszy byłem od innych, miałem bowiem bliskie na wygnaniu stosunki z dwoma Litwinami, młodymi i całkiem porządnymi ludźmi, a było takich więcej, którzy przez miękkość serca padli ofiarą egzaltacji patrjotycznej, czy też wprost popędu do hymenu zrozpaczonych starych panien, podwójne jarzmo dźwigając.

Zacząwszy od tak zwanego „spisku koronacyjnego" ferment w Królestwie Kongresowem utrzymywany był z jednej strony przez opozycję sejmową, a po 1831 r. przez emigrację, z drugiej zaś przez władze rosyjskie, dla usprawiedliwienia samowoli i utrzymania wyjątkowych prerogatyw służbowych: taki stan był istotną plagą dla narodu polskiego w dobie jego porozbiorowej. Więzienia nie opróżniały się, a sąd wojenny stawał się instytucją jakby normalną, do której oprócz wypadków pojedyńczych sporo materjału dostarczały lata: 1830/31, 1833/39, 1846/48. Nasłuchawszy się i naczytawszy dowoli o tej niedawnej martyrologji, a bę-

dąc czynnym w konspiracji politycznej, starałem się zachować i w innych wpoić potrzebę jak największej dyskrecji tak co do faktów jak szczególnie do osób. Myśl sama, że mógłbym przez słabość chwilową skompromitować towarzyszy, takim strachem mnie przejmowała, że jeszcze przed uwięzieniem nosiłem zamykający się medalik, trucizną wypełniony, który dopiero po przejściu Dniepru wypróżniłem. Tortur wprawdzie ani w komisji śledczej ani polowej w znaczeniu średniowiecznem nie używano w Kijowie, zważywszy jednak na zdenerwowanie, jakiemu więzień podlegał, i wprost upojenie świeżem powietrzem po przejściu z fortecy do sądu, warunki takie nie mogły wpływać dodatnio na przytomność umysłu, ani też na panowanie nad sobą, tak bardzo przy indagacji potrzebne, a czasem decydujące, tem bardziej, gdy się trafiło w sądzie na zręcznego szermierza. Takim niezrównanym artystą w fachu swoim był sędzia śledczy do spraw politycznych Zujewicz, który też był i moim spowiednikiem, Po takiej dwukrotnej w odstępach parumiesięcznych spowiedzi, w sądzie śledczym odbytej, wezwano mnie w czerwcu 1864 r., w czternaście miesięcy po uwięzieniu, do sądu polowego, gdzie wysłuchałem wyroku, skazującego mnie na ciężkie roboty bezterminowe. Skłoniłem się z powagą sądowi, wychodząc w zupełnym spokoju, który towarzyszył mi aż do powrotu do nawpół ciemnego oddziału V, dla skazanych przeznaczonego: tu dopiero nerwy moje rozigrały się na dobre; porwałem harmonieflûte i grałem aż do umęczenia, dając ujście wzburzonym uczuciom i myślom. Cała otchłań wątpliwości, do stopniowego unicestwienia prowadząca, odkryła przede mną oblicze swoje, jakby przedsmak śmierci. Uczucia te miotały duszą moją, gdym żegnał przybyłego do więzienia sędziwego ojca, a następnie odwiedzającego mnie w Kremieńczuku brata, Władysława.

Ferowany na mnie wyrok spoczywał na dwóch zarzutach: zdrady państwowej i kłamliwego zeznania. Gdy do względnego uspokojenia wróciłem i nad przeszłością się zastanowiłem, przyszedłem do przekonania, iż kłamstwa — w ścisłem tego słowa znaczeniu — nie popełniłem żadnego, gdyż udowodnionym faktom nie przeczyłem, nowych też nie

wymyślałem, a tylko „oświetlenie“ faktów było fałszywe: bijąca w oczy „celowość czynu“ tłumaczona była przeze mnie „zbiegiem okoliczności“, jeżeli więc nie popełniłem kłamstwa „zwyczajnego“, tłumaczenie moje było niemniej — wedle definicji biskupa Krasińskiego — „kłamstwem teologicznem“. Gdybym był wówczas świadomy wiekopomnych słów patrjoty wołyńskiego, księcia Romana Sanguszki „Poszedłem z przekonania“, możeby mnie lepszą myślą w tej ciężkiej próbie losu natchnęły!

Przy końcu lipca 1864 r., po piętnastu miesięcach więzienia, wyprowadzono mnie w drogę Odbywało się to zwykle o północy bez uprzedniego zawiadamiania. Los obdarzył mnie zacnymi i sympatycznymi towarzyszami wędrówki w osobach d-ra Jachimowicza z Berdyczowskiego i kolegi gimnazjalnego Zygmunta Rudnickiego z Wołynia. Pożegnałem kolegów słowami: „Do widzenia“, instrument muzyczny wyniosłem na plecach, troszcząc się już tylko o dalsze jego losy. Po przyjściu do komendantury kontrabandę moją z otwartością zameldowałem komendantowi, pułkownikowi Pakietonowi, który odpowiedział, że w partji naszej znajdują się towarzysze nie pozbawieni praw stanu, którym przysługuje prawo posiadania własności osobistej, radził przeto życzliwie, ażebym jednemu z takich oddał instrument pod opiekę, co też uczynić nie omieszkałem, unosząc wdzięczne wspomnienia dla drugiego z czasów pobytu w więzieniu szlachetnego Rosjanina. W komendanturze ostrzyżono nas, zmierzono i rozdano rzeczy skarbowe, wzamian za zostawione tam własne, w które przebrać się musieliśmy. Po tym zaś obrzędzie pogrzebowym, jakby dla kontrastu, asystowaliśmy w tym niezwykłem stroju za zezwoleniem komendanta, Rudnicki i ja, w charakterze drużbów na ślubie kolegi Jachimowicza z panną Anną Radlińską, który się w sąsiedniej kamerze odbył. Nowozaślubiona miała się dopiero w Kremieńczuku połączyć z mężem, z którym szczęśliwym wypadkiem dwaj drużbowie jego na jednej podwodzie z rzeczami się usadowili. I tak o świcie już posuwaliśmy się powoli długiem szeregiem ku Dnieprowi, w asystencji kilku odprowadzających nas rodaków, którzy wzrokiem i gestem żegnali

nas na zawsze; poznałem wśród nich czcigodnego Kacpra Maszkowskiego, który groził pieścią w powietrzu, i panią Walerję Rudnicką, niezrównaną w miłości i poświęceniu siostrę Zygmunta.

ROZDZIAŁ VI.

Pochód na Syberję, z Kijowa do Usolja (1864—1866)

Przebywając w Kijowie w okresie wczesnej młodości, przypatrywałem się często z altanki ogrodu publicznego Dnieprowi i bezbrzeżnym lasom Zadnieprza. Wrażenie, jakie tajemniczość i nieskończoność wzbudza w każdym niemal człowieku, potęgowało się — w danej chwili — tem, żeśmy warunki życia swojskie, wiadome, zamienić musieli na niewiadome a tajemnicze. Ta terra incognita, podwoje swe otwierająca, pełna uroku wśród innych okoliczności, stawała się — w warunkach naszych — jakby puszczą monotonną.

Pomimo to, że wyrok skasował wszelkie pomiędzy zesłańcami różnice klasowe wobec prawa, przez jakąś dziwną niekonsekwencję osoby, należące przed wyrokiem do stanu szlacheckiego, otrzymywały po piętnaście kopiejek dziennie na wyżywienie, gdy innym po dziesięć tylko dawano, przytem pierwsi mieli prawo do podwody, po jednej na dwóch, gdy drudzy przywileju tego byli pozbawieni; następnie pierwsi wolni byli od kajdan, które drugim na ręce wkładano. Ponieważ ogólna liczebność partji i stosunek byłej szlachty do nieszlachty wciąż się w czasie drogi zmieniał, unikając zapewne ewentualnych kłopotów rachunkowych — na powyższą niesprawiedliwość finansową nie reagowaliśmy, co, przyznać muszę, nie było poprawne ze strony uprzywilejowanych, zważywszy na koleżeństwo, które wszystkich nas we wspólnej doli porównało; drugi zato i trzeci punkt był przez całą partję jednogłośnie iście po koleżeńsku rozwiązany i praktykowany: tak korzystanie z podwód, jak i ciężar kaj-

dankowy na wszystkich zarówno rozłożyliśmy, oszukując w ten sposób organizujących codziennie pochód oficerów, którym nie chodziło o sprawdzenie aktualności osób, ile o stosunek liczebny pieszych, w kajdany okutych, do siedzących na podwodach. Kajdanki wkładano tylko na ręce, nie były one ciężkie, a byłyby nawet znośne, gdyby łączyły dwóch osobników, ale że paragraf nakazywał sprzęganie czwórek, przykrym był bardzo każdy początek, zanim się czwórka taka do jednego rytmu przystosowała, co wobec minimalnego procentu osób muzykalnych wśród podróżnych łatwe nie było. Formowanie się czwórek przed pochodem przypominało mimowoli stojącego ze swoją tancerką kawalera, tupiącego nogą lub głową kiwającego, by takt złapać i w taniec się puścić. Niedługo jednak trwała ta zabawa; zaledwie kilka takich przechadzek odbyłem, nakręcona w fortecy kierująca nami maszyna w miarę oddalenia się od centru wciąż się rozluźniała, tak, że po dwóch tygodniach, zanim doszliśmy do Kremieńczuka, zdjęto z nas kajdanki, pozwolono strój aresztancki na zwykły zamienić i — co było dla nas najważniejsze — zaniechano stałej na każdej stacji rewizji osobistej i rzeczy naszych, zostawiając wszakże na długo jeszcze sporadyczne praktykowanie rzemiosła tego wyjątkowym wśród dozorców amatorom lub pedantom. Przestrzeń, którąśmy dziennie przebywali, odpowiadała dystansowi pocztowemu, t. j. od 20 do 30 wiorst; w połowie drogi zatrzymywano nas parę godzin na popas, a po każdych dwóch dniach pochodu dawano całą t. zw. dniówkę na wypoczynek.

Pierwszym w pochodzie naszym etapem była najbliższa stacja pocztowa i etapowa za Kijowem, Aleksandrówka. Na parę wiorst przed przybyciem na miejsce zaczęły się pojawiać coraz liczniej dorożki miejskie, wiozące drogich krewnych lub przyjaciół w celu pożegnania i zaopatrzenia nas w pieniądze, wiktuały, oraz bieliznę i ubranie europejskie, którego nas w komendanturze pozbawiono. Nadzieję spotkania się z bliskiemi osobami zatruwał nam widok, na jaki ci się niepotrzebnie narażali z powodu zetknięcia z wyostrzoną w Kijowie strażą nas otaczającą. Zaklinaliśmy jadących,

by się do nas w czasie pochodu nie zbliżali — nie zawsze z dobrym skutkiem — aż nareszcie dotarliśmy do etapu, gdzie już pozwolono na całkiem swobodne z przybyłymi obcowanie. Oglądałem tedy i ja brata mego Władysława i zostałem zaopatrzony w pieniądze na drogę przez rodzinę, a w upominki przez przyjaciół. I tak, otrzymałem od p. Trzcińskiej — wizerunek Matki Boskiej, od siostry jej Gnatowskiej — książkę do nabożeństwa, od pani Łappiny — śpiewnik Moniuszki, od pani Marszyckiej — krzyżyk, grzebień gęsty i szczoteczkę z lusterkiem, nareszcie, nie pamiętam od kogo, łyżkę drewnianą z wydrążeniem na pieniądze, skrytkę zaś inną urządziłem w ramie obrazka świętego i w taśmie jedwabnej do zawieszania medalików. Z rzeczy przez brata mego przywiezionych, potrzeby moje do sił stosując, poprzestałem na koniecznych i tego nie żałowałem, albowiem pakunki, które w przeciągu szesnastomiesięcznej podróży etapowej musiałem sam z wozu i na etap dźwigać, około trzech pudów ważyły. Bagaż ten mój składał się z walizki z płótna żaglowego, na plecach na dwóch rzemieniach zawieszonej, z harmoniflutu, w pochwie skórzanej na lewem ramieniu spoczywającego, i z worka w ręku prawym, wypełnionego ubraniem skarbowem, samowarkiem i prowizją. Podwody zatrzymywały się o kilkadziesiąt kroków od niemiłego dla oka żółtozielonego budynku, częstokołem otoczonego, ale czasami i kilkaset kroków wypadało doń zmierzyć, szybkość zaś ruchu przy ogólnym pośpiechu decydująco wpływała na zajęcie lepszego lub gorszego miejsca na pryczach. Przed opuszczeniem etapu, po pierwszym noclegu w Aleksandrówce, polecono nam wyniesienie cebra zostawianego zwykle na noc pode drzwiami do wiadomego użytku; zważywszy, iż podobną funkcję w więzieniach kijowskich stróże zwykle spełniali, mimowoli zawahaliśmy się, jak w tym wypadku postąpić, gdy jednak naleganie nie ustawało, porozumiawszy się wzrokiem z Rudnickim, porwaliśmy odruchowo drąg, włożyliśmy go w uszy cebra i wstrętne naczynie na barkach naszych wynieśliśmy; przysłowie nasze: „Kiedyś grzyb, leź w kosz“ rozwiązało kwestję drażliwą, pobudzając do zorganizowania odpowiedniej kolejki tak do czynności

opisanej wyżej, jak i do innych, nie tak wstrętnych wprawdzie, o wiele jednak uciążliwszych, jak dyżur nocny w kamerach i szpitalach, czyszczenie kotłów i t. p. Po dwóch tygodniach drogi przybyliśmy do Kremieńczuga. Ulokowano nas nie na etapie, ale w zwykłym budynku rządowym, gdzieśmy się na podłodze pokotem na całą dniówkę rozłożyli. Przypłynęli też dla ostatniego już pożegnania krewni i przyjaciele z Kijowa, wśród których brat mój Władysław się znajdował. Ciężkie nad wszelki wyraz było pożegnanie z nim w zobopólnem przeświadczeniu, że się po raz ostatni w życiu widzimy.

W Kremieńczugu połączono nas z kryminalistami, którzy pochód zwykle otwierali, my zaś postępowaliśmy za nimi, mając na samym już końcu powozik kryty doktorowej Jachimowiczowej i furgon kryty doktorowej Gałeckiej, które dobrowolnie mężom swoim na Syberję towarzyszyły.

W czasie rozpraw w więzieniu byłem gorącym przeciwnikiem wciągania żon i rodzin do warunków zgoła nieznanych a zawsze przerażających, na jakie wędrówka na Syberję narażała. Pomijając niewygody, najważniejszem było, że jeżeli na nieuniknione w stosunkach z władzami przykrości my, mężczyzni, musieliśmy być z góry przygotowani, to widok najmniejszej zniewagi, uczynionej żonie czy siostrze, mógł z równowagi wyprowadzić najspokojniejszego i ściągnąć niepożądane dla danej rodziny następstwa, a były niestety fakty, które słuszność moim poglądom przyznały. Bądź co bądź stosunek z dobrą, miłą, inteligentną, a głównie wielkiego hartu osobą, jaką była pani Anna z Radlińskich Jachimowiczowa, był zawsze dla nas balsamem kojącym w ciężkich chwilach życia. Wiele też pełnych wdzięczności wspomnień dla obojga Jachimowiczów w sercu swojem na zawsze zachowałem.

Nocleg, jaki nam po opuszczeniu Kremieńczuga wypadł, połączył nas poraz pierwszy pod jednym dachem i w jednej kamerze z kryminalistami. Stało się to, czegośmy się najbardziej obawiali. Gdyśmy weszli do kamery, zastaliśmy jedną część jej zajętą przez owych towarzyszów, a drugą swobodną, w której też umieściliśmy się na pryczach.

Obrany przez nas gospodarz partji, starosta, wybrał przedewszystkiem najdogodniejszy kącik, gdzieśmy wspólnemi siłami miejsca dla dwóch małżeństw, podzielone kilimkami i prześcieradłami, na prędce urządzili, usuwając od pań naszych widok rzeczy niepożądanych; ochronienie zaś słuchu i powonienia od przykrych wrażeń w mocy naszej nie było. W takich to warunkach państwo Jachimowiczowie miesiąc swój miodowy rozpoczynali. Możliwe zabezpieczenie towarzyszek naszych zamężnych, a szczególnie panien, było troską naszą przez cały czas etapjady. Po urządzeniu takich improwizowanych kajut, zorganizowaliśmy straż nocną dla ochrony mienia naszego po dwóch jednocześnie ze zmianą o północy. Na ten pierwszy ogień los mnie wyznaczył z drugim kolegą. Intrygowały nas światełka, zjawiające się od czasu do czasu w rozmaitych punktach oddziału, przez kryminalistów zajmowanego, oraz pewne poruszenia, zbadaliśmy jednak, że przyczyną tego była znajdująca się wśród więźniów — jako aresztantka — kobieta. W oddziale zaś naszym spokój zupełny w nocy panował. Już to przyznać należy, że przez cały czas wspólnej z kryminalistami podróży żadnej przykrości od nich nie doświadczyliśmy; owszem, zachowywali się względem nas z pewnym respektem, nie narzucając się bynajmniej, a broniąc zawsze interesów naszych. W razie protestu ze strony naszej, złem obchodzeniem się wywołanego, gdy dozorca odwoływał się o pomoc do włościan miejscowych z okrzykiem „Polacy buntują się", w tych ciężkich przeprawach, które się od czasu do czasu powtarzały, jedną dolą z nami zespoleni towarzysze kryminalni zawsze naszą stronę trzymali. Były niewątpliwie wśród nich — i to w większości — ofiary niedomagań społecznych, przypominające „Nędzników" Wiktora Hugo, ale też znajdowali się tacy, których cynizm i przewrotność mogłyby obfity materjał dla Gaboriau dostarczyć. Nasłuchałem się o przygodach najrozmaitszych a zawsze nadzwyczajnych od tych kolegów, którzy przez ciekawość lub wprost dla opędzenia nudów stali się mimowolnymi spowiednikami tych z życia wykolejonych ludzi; byli zresztą wśród nas poważniej myślący, dla których żywe te niedoli ludzkiej okazy były bogatym dla studjów

psychologicznych materjałem. Wyznaję, że do żadnych z tych dwu kategoryj nie należałem, gdyż, chociaż od odpowiedzi na wyciągniętą ku mnie rękę takiego kryminalisty kolegi ze stereotypowem powitaniem „Zdrastwuj pan" nigdy się nie uchylałem (w ten sposób zwykle nas pozdrawiali na Syberji tak aresztanci, jak wogóle sfery niższe), praktyki ich więzienne i wogóle zachowanie się — pomimo pewnej dobroduszności — nacechowane było odpychającem prostactwem. Opisane wyżej warunki etapowe łagodzone były niejednokrotnie, gdy się trafiało na względniejszego dowodzącego partją oficera, albo z konieczności, gdy budynek etapowy był nieodpowiedni dla pomieszczenia całej partji; wówczas to pozwolono żonatym, a z czasem i nieżonatym, rozlokowywać się u włościan miejscowych, którzy do serwitutu tego byli obowiązani. O ile ponętne mogło być dla nas takie z pod rygoru więziennego uchylenie się, o tyle odstręczało nas od tej chwilowej swobody niechlujstwo i robactwo, jakie w przeznaczonych dla nas chatach zwykle znajdowaliśmy; trzeba było przytem baczyć i na to, ażeby, rozkładając się na przyległych do świętych obrazów ławach na noc, głowa znalazła się pod obrazem a nie nogi, nareszcie musieliśmy uważać, ażeby widok i zapach mięsa nie obrażał religijnych przesądów mieszkańców w dni postne. Ludność na całej Rusi Zadnieprzańskiej, podług kamertonu kijowskiego nastrojona, przychylną dla nas nie była, w miarę jednak oddalania się, gdyśmy rdzenną Rosję przebywali, doznawaliśmy względności, a czasem nawet współczucia wśród niższych warstw ludności. Co do konwojujących nas oficerów, byli to po większej części ludzie, z powodu przewinień służbowych lub pijaństwa na stanowisko etapowego dozorcy, jakby na zatracenie, skazywani. Oczywiście, że wśród tych wyrzutków trafiali się ludzie względni i wcale nieźli, większość ich jednak srogością, a wszyscy strasznem prostactwem się odznaczała. Nieraz koledzy używali mnie, a często nadużywali, jako Orfeusza dla poruszenia skamieniałych serc naszych dozorców, musiałem przeto popisywać się instrumentem moim przed nimi i żonami ich, a często i nieżonami; wśród tej drugiej kategorji kobiet natknąłem się parę razy

na rodaczki moje, importowane z Warszawy. W podobnych zaś okolicznościach miły dźwięk mowy ojczystej sprawiał na mnie wrażenie gramofonu!

Pochód nasz rozpoczynał się tak wcześnie, że nie zawsze można było znaleźć czas na herbatę, którą raczyliśmy się dopiero na popasie po przebyciu połowy drogi. Oprócz nektaru chińskiego miałem zwykle w worku słoninę i chleb, gdy zaś na popas przychodziłem, pędziłem na wieś, by zdobyć mleko dla spółki naszej gastronomicznej, gdy inny kolega nastawiał samowar: powyższe artykuły stanowiły główne, a czasem wyłączne pożywienie nasze; do jadła, które po przybyciu na popas czy na nocleg znajdowaliśmy w misach kupczących na dziedzińcu więziennym wieśniaczek, pociągu nie miałem, kuchnia zaś koleżeńska, którą urządzaliśmy, mogła funkcjonować dopiero na noclegach i w czasie dniówek. Jakkolwiek siedzieć mogłem na rzeczach moich na podwodzie, przeciwko takiemu — noga za nogą — poruszaniu się temperament mój się burzył, zacząłem więc stopniowo coraz większe przestrzenie pieszo odbywać, aż doszedłem do takiej wprawy, że cały kurs, od 25 do 30 wiorst liczący, bez wsiadania na podwodę piechotą z towarzyszami albo bez nich odbywałem. Sporządziłem też sobie strój do tego odpowiedni: skórzany na jesień, a futrzany na zimę; spodnie reniferowe stanowiły całość z pończochą z tejże skóry, jakby pochwę, w którą nogi wkładałem, kurtka zaś i czapka również z renów oraz berlacze pełściowe, walonkami zwane, kompletowały strój ten zarówno lekki, jak ciepły, dając mi możność kontynuowania w czasie zimy pieszej wędrówki z wielką dla zdrowia mego korzyścią.

W czasie zatrzymywania się naszego w Kremieńczugu znajdował się w liczbie żegnających, z Kijowa przybyłych, niejaki W., z którym się kolega Rudnicki zapoznał i o zorganizowanie ucieczki umówił, dając na ten cel wszystko prawie, co mu siostra w skrytkach [27]) przygotowała, bo 600 rubli, zapewniając mu resztę po fakcie spełnionym. Po otrzymaniu w drodze — za pośrednictwem stałego mieszkańca rodaka w Połtawie — informacji o czasie, w którym miał się od partji odłączyć dla spotkania czekającego nań z końmi pana

W., Rudnicki pod pozorem choroby pożegnał kolegów w Białogrodzie w gub. kurskiej, zatrzymując się w szpitalu do nadejścia następującej partji zgodnie ze wskazówką domniemanego wybawcy swego. Pozbawiony jednego z dwóch najbliższych kolegów, gdy drugiego znowu, Jachimowicza, żona mi odbierała, w tem względnem osamotnieniu przylgnąłem powoli do młodszego znacznie ode mnie kolegi, którego w więzieniu poznałem: był nim Stefan Wyhowski, uczestnik wyprawy sołowijowieckiej. Szorstki w obejściu, bezwzględny w przekonaniach, o materjale bogatym wprawdzie, ale całkiem surowym, pociągał ku sobie młodością, inteligencją i charakterem prawym a mocnym. Pomiędzy tem dzieckiem stepu ukraińskiego, a kolegą o lat 12 starszym, który dłuższy czas w zachodniej Europie przebywał, ostre zachodziły przeciwieństwa tak w poglądach jak i nawyknieniach, to też sprzeczaliśmy się tak długo, jak trwał pochód nasz, ale ponieważ nawzajem szanowaliśmy się, przeto przyjaźń, która się powoli z tego stosunku wywiązała, przetrwała i pochód i pobyt na Syberji, a następnie w kraju aż do śmierci młodszego z nas obu, Wyhowskiego, w r. 1905.

Posuwając się wciąż ku wschodowi, zatrzymywaliśmy się nieco dłużej w miastach gubernjalnych; po wejściu do miasta zgłodniałych i zmęczonych stawiano na ulicy przed domem gubernjalnym, a nieraz parę godzin nas tak trzymano, zanim się odbyło sprawdzenie tożsamości osób wedle spisu. Zapytywano nas następnie, czy nie mamy jakich zażaleń, zważywszy jednak iż pytanie to zadawane było w obecności władzy więziennej, łatwo można było się odpowiedzi przychylnej a co najwyżej milczącej spodziewać. Wkońcu oddawano listy i pieniądze z kraju, za pośrednictwem władzy przesyłane; zdarzało się przytem nieraz, że koperta o pięciu pieczęciach list tylko zawierała bez dodatku pieniężnego! W podobnych pojedyńczych wypadkach albo w zbiorowych, gdy już były bardzo jaskrawe, u pułkownika żandarmów szukaliśmy sprawiedliwości. Ci stróże prawa, pochodzenia przeważnie niemieckiego, formaliści bezwzględni i nieubłagani, byli jednak poprawni w stosunkach do zesłańców, a od zarzutu kradzieży zawsze wolni. Byli to biurokraci typowi

z klasycznej szkoły niemieckiej. Gdy skarga była legalna, można było spodziewać się od nich pomyślnego jej załatwienia, w razie nielegalności łatwiej już było poradzić sobie z Rosjanami drogą aż nadto znaną i utartą. Takie parodniowe zatrzymywanie się w mieście większem miało dla nas tę dobrą stronę, żeśmy się w lepszą prowizję na czas dłuższy zaopatrywali, zdarzało się przytem, że pośrednictwo znajdujących się na rozmaitych posadach rodaków naszych wyzyskiwane było w kraju dla przesyłania listów i pieniędzy.

Po trzech miesiącach takiej jednostajnej podróży, na kilka przejazdów zaledwie od upragnionego Kazania, musieliśmy w nędznem miasteczku Buińsku zatrzymać się z powodu drogi niemożliwej aż do czasu ustalenia się sanny.

Pobyt parotygodniowy w tej mieścinie upamiętnił mi się na całe życie. Etap, w którym na ten czas dłuższy, na nasze szczęście, wyłącznie politycznych umieszczono, tak był ciasny, żeśmy się zaledwie na pryczach i pod niemi rozlokować mogli. W parę dni po przybyciu zauważyłem plamki czerwone na ciele, gdy zaś po wytłumaczenie zjawiska tego udałem się do towarzyszących nam trzech lekarzy, Jachimowicz wobec niezdecydowanego charakteru plamek od określenia ich się powstrzymał, Przybyłecki posądził mnie o jakieś reminiscensje choroby, której nigdy nie podlegałem, Gałecki nareszcie orzekł, iż było t. zw. delikatnie „kozacka ospa", po ukraińsku krosta. Przerażony tą ostatnią diagnozą, wobec tego, że wszyscy trzej łaźnię mi zlecali, wysmarowałem się siarką i wypociłem się na najwyższym szczeblu łaźni należycie, gdy zaś obsypany pryszczami wróciłem, eskulapowie jednogłośnie orzekli, iż choroba była ospą wietrzną; wzięli się tedy do leczenia i przyprowadzili do stanu, który na odbywanie dalszej drogi pozwalał. Dobrzy koledzy posadzili mnie w zakrytym furgonie doktorostwa Gałeckich, na głowę kożuch narzucili i szczęśliwie do Kazania dowieźli. Nieskończenie wdzięczny byłem opiekunom moim, strachem bowiem przejmował każdego z nas szpital na etapach, tak z powodu niedostatecznych środków leczniczych, jak równie z powodu obawy o życie, gdy bowiem felczer zauważył albo podejrzewał pacjenta o posiadanie

pieniędzy, uśmiercał go bez skrupułów, co niestety aż nadto było stwierdzonem w ciągu etapjady naszej, ażebym fakty podobne miał na zapomnienie skazywać. Gdyśmy się o praktykach podobnych dowiedzieli, a konieczność zmuszała do zostawienia kolegi w szpitalu, dodawaliśmy mu zwykle zdrowego do pilnowania. Nadomiar utrapienia mego z powodu choroby, jakkolwiek byłem zaopatrzony w ochronne od robactwa koszule jedwabne, zostałem w tych najopłakańszych warunkach ciasnoty i zaduchu nawiedzony gorszą od choroby plagą „egipską", która pomimo odbywanego z pomocą gęstego grzebienia polowania nie opuszczała mnie przez czas dłuższy, aż do wykrycia siedliska, które wstrętne robactwo usłało sobie w taśmie jedwabnej, służącej do zawieszania medalika, a która była jednocześnie skrytką na pieniądze. Robactwo ustąpiło, zostawiając po sobie na zawsze ślad wygryziony na szyi. Do Kazania dojechałem pomyślnie z końcem listopada, z powodu osłabienia jednak po niedawno odbytej chorobie tem łatwiej w zimnych kamerach zaziębiłem się i dostałem gorączki tyfoidalnej. Leczył mnie jeden przyjaciel — Jachimowicz, pielęgnował drugi — Wyhowski, niepodobieństwem jednak było przetrzymywanie takiego chorego wśród zdrowych, oddano więc mnie do szpitala ogólnego, specjalnego bowiem dla politycznych zgoła nie było. Warunki sanitarne w szpitalu były znośniejsze, aniżeli w kamerach, lekarz więzienny z chęcią przelał ciężar swój na Jachimowicza, kuracja odbywała się prawidłowo, przykrym tylko, gdy do przytomności i świadomości wracałem, był sam widok otoczenia mego; spokój zresztą szpitalny jednym tylko wypadkiem był zakłócony, kłótnią a następnie bójką o spadek kilkorublowy, znaleziony pod poduszką zmarłego aresztanta. Innego rodzaju fakt z czasów pobytu mego w szpitalu zanotować muszę. W sąsiadującej z moją kamerze dogorywał suchotnik z kategorji politycznych, nazwiska nie pamiętam, skazany na „osiedlenie" do gubernji astrachańskiej, dokąd przez Kazań podążał. Felczer, który nas doglądał, świadomy wyroku i ewentualnej przyszłości mojej, zaproponował zmianę nazwisk obu swoich pacjentów, a więc zamiany wszystkich

odnośnych dokumentów mojej osoby i umierającego dotyczących, żądając za to tylko dwadzieścia pięć rubli! Praktyka miała nam dopiero wykazać, że straszne „ciężkie roboty" przy skupieniu w jednem miejscu o wiele były znośniejsze od osamotnienia na osiedleniu; inaczej jednak wyglądało to w teorji. Samo zastawienie tych dwóch pojęć: osiedlenia, zapewniającego swobodę ruchu, i dożywotnich ciężkich robót, praw wszelkich pozbawiających, mogło wobec sytuacji beznadziejnej do głębszego zastanowienia pobudzić, los jednak uchronił mnie od tej pokusy. Zrywanie z tymi, z którymi się zżyłem, zrywanie z rodziną z powodu zmiany nazwiska wydało się wprost przerażające; na kupowanie swobody za taką cenę nie odważyłem się.

W czasie pobytu mego w Kazaniu nadszedł z nową partją Rudnicki, ku radosnemu zdziwieniu naszemu, znękany niepowodzeniem, pozbawiony rzeczy i pieniędzy. Dlaczego pan W... nie stawił się podług umowy z końmi w miejscu umówionem, Rudnicki nie mógł się nigdy dowiedzieć, tłumaczenia też z użycia wręczonych mu pieniędzy nigdy się nie doczekał. Wigilję spędziliśmy razem w kamerze państwa Jachimowiczów, na przełamaniu opłatka poprzestając, a przykro nam bardzo było rozstawać się z tymi zacnymi i kulturalnymi ludźmi, którzy dłuższy czas w Kazaniu przebywali, opłacając się pisarzowi przed każdem w okresie dwutygodniowym odejściem partji. Kazań był punktem, ześrodkowującym Koroniarzy i Litwinów, odbywających skróconą drogę wagonami, z Rusinami, trzymającymi się tradycyjnej poczty apostolskiej. Zmieszaliśmy się wszyscy jako jednej myśli wyznawcy, ożywieni nową znajomością i opowiadaniami bez końca o wypadkach ubiegłych, w tych zaś odmiennych nieco warunkach zimową podróż dalej na wschód odbywaliśmy.

Lepszemu nastrojowi temu moralnemu lepsze, dzięki zwłaszcza zimie, zdrowie nam dopisywało. We znaki tylko dały się nam srodze etapy w gubernji wiackiej, tak ciasne, żeśmy musieli szyby wybijać dla oczyszczenia powietrza, warunki zaś te były względnie lepsze od niechlujnych i robactwem zapełnionych proponowanych nam mieszkań

u włościan, albo całkiem nie opalonych w celu wytępienia robactwa. albo przez dłuższy czas w takim stanie zostawianych.

Przestrzeń, którą dotąd przebywaliśmy, to „kraina, jak otwarta do pisania karta", równina aż do Karpat całkiem odkryta dla wiatru północnego i północno-wschodniego, których skutki, jako mieszkaniec Ukrainy, nieraz już dawniej odczuwałem. Dopiero w miarę zbliżania się do gór Uralskich grunt staje się falisty, wzgórza okrywają się lasem, stopniowanie zaś wysokości jest tak powolne, że przejście z Europy do Azji byłoby niedostrzegalne, gdyby o tem nie oznajmiał stojący w miejscu najwyższem obelisk. Ani mur Alpejski, przedstawiający się jadącemu do Włoch z Monachjum, ani łańcuch Tatrzański, przy zbliżaniu się do Zakopanego, nie może być z grzbietem Uralskim porównany; ten ostatni chyba z powodu łagodnych a okrągłych konturów podgórze Pirenejskie przypominać może. Napis na pomniku wspomnina o bytności na Syberji Aleksandra II-go w towarzystwie szwagra swego i przyjaciela, ks. Maksymiljana Leuchtenberskiego, syna Eugenjusza Beauharnais. Mur monumentu tego cały od góry do dołu upstrzony był napisami przechodzących tędy wygnańców wszelkiej treści: od upamiętnienia pobytu swego aż do informacyj dla następnych partyj znaczenia tak ogólnego, jak i osobistych: o zdrowiu, ostatecznym kresie podróży, o nazwiskach przechodzących itp.

O zachowaniu się względem nas ludu miejscowego na Rusi i w rdzennej Rosji powyżej wspominałem. Ładny typ Ukraińca o wyniosłej a pięknej postawie, o kształcie głowy częściej owalnym niż krągłym, typ ten — w miarę opuszczania Rusi — zastąpiony był przez inny: o dużej głowie, na szerokim a niskim karku osadzonej, o policzkach wypukłych, zdradzał zanadto innej rasy domieszkę. Źródło jednak domieszki tej, pierwowzór jej, przedstawił się nam w całej okazałości rasy czystej po przejściu Kazania, gdzie wśród pstrokaciny asymilujących się plemion fińskich: Wotiaków, Permiaków, Mordwy itd. dominujące miejsce ze względu na liczbę i stanowisko zajmują Tatarzy „kazańscy"; meczety ich i strzeliste minarety często tu się spotykają.

Z opuszczeniem Rusi znadnieprzańskiej widok rozrzuconych — niby w nieładzie poetyckim — w zieleni tonących białych chat ukraińskich już tylko do wspomnień zaliczyć należało. Pobudowane z drzewa, pod sznur wyciągnięte i nie zawsze ogrodem otoczone wioski rosyjskie ubogo wyglądały i wdzięku nie miały, nie podnosiły go cerkwie podług jednego szablonu zbudowane, białe z kopułką zieloną, a tem bardziej brudno-żółte, częstokołem okolone domy etapowe; jeżeli zaś znajdował się na wsi dom właściciela, najczęściej na różowo lub czerwono pomalowany, a zawsze o dachu zielonym, to i ten pozbawiony był ogrodu, a zastępował go lasek brzozowy. Zaniedbanie to tłumaczy się małym procentem właścicieli Rosjan, stale na wsi zamieszkałych, większość ich bowiem na urzędach w stolicach i na kresach stale przebywa. Po obu stronach Uralu, w okolicach kopalni i fabryk uwydatnia się znaczna zamożność w zabudowaniach, urządzeniu wewnętrznem i wogóle we wszystkiem, nie zmieniając zewnętrznej fizjognomji wiosek z domami zawsze po obu stronach gościńca, wśród których i piętrowe się znajdują, błyszczą zaś wszystkie wielką ilością okien, a zdobne są w rzeźbę dość pierwotną może, ale charakterystyczną. Miasta gubernjalne, przez które przechodziłem, przedstawiają najzwyczajniejszy szablon budynków urzędowych — białusieńkich o dachu zielonym, wedle których wzorują się mniejsze prywatne, oryginalnej architektury wcale nie zdradzające, rozwijając chyba z większym lub mniejszym talentem czy smakiem motywy byzantyńskie.

W maju 1865 roku stanęliśmy w Tiumeniu, mieście powiatowem gubernji tobolskiej, nad rzeką Tarą, wpadającą zkolei do Tobola, a razem z nią ostatecznie do Irtysza tuż pod Tobolskiem. Nie trudno mi było domyśleć się, iż byłem już w Tiumeniu przez kolegów reklamowany, na wiadomość bowiem o przybyciu spodziewanego „artysty“ dozorca więzienny najuprzejmiej prosił, ażebym instrument mój i grę zaprodukował przed żoną w jego mieszkaniu. Żądanie to musiało być spełnione, tem bardziej, iż było w formie zaprosin. Otrzymałem wzamian, jako honorarjum, pozwolenie na zamieszkanie zupełnie swobodne w mieście wraz z przyja-

cielem, który w podobnych wypadkach w przyszłości jako brat mój zawsze figurował, i Litwinem Adolfem Hundjusem, z którym zbliżyliśmy się w drodze; prosił przytem pan dozorca, ażebym odwiedziny moje w jego domu ponawiał. Nie mając po co śpieszyć się, używaliśmy swobody przez całych sześć tygodni, czytając z zajęciem Buckla w przekładzie rosyjskim, którego zdobyliśmy w Kazaniu, Hundjus zaś wielki znawca spraw kulinarnych, przyrządzał wspólne obiady, na które zapraszaliśmy gospodarza domu, rodaka naszego, wygnańca z roku 1831, przez niefortunne losy do Syberji na zawsze przykutego. Poznałem w Tiumeniu pp. Zaleskich z Kijowa, krewnych Wyhowskiego, udających się do Tobolska, gdzie znajdowała się już córka ich, Marja Genowefa, wraz z mężem, doktorem Władysławem Wyszyńskim. Pan Zaleski zgodził się uprzejmie na otrzymywanie pieniędzy od rodziny mojej celem ochronienia ich od praktykowanych dotąd na szeroką skalę kradzieży. Z czasem p. Zaleski otrzymał posadę sędziego w Berezowie. Córki obie Zaleskich do kraju wróciły, ale z matką tylko, oraz trojgiem dzieci Wyszyńskich, gdy ojciec ich umarł w Talicy, majątku Kozielły-Poklewskiego na Syberji. Byłem też w Tiumeniu na koncercie i — o dziwo! — Chopina słuchałem wykonanego wcale poprawnie przez zamieszkałego w Tobolsku, a koncertującego w Tiumeniu wygnańca, Franciszka Bylickiego. Nazajutrz Bylicki i ja znaleźliśmy się razem u jakiegoś naczelnika, gdzieśmy się obaj popisywali. Nie wiem, w jaki sposób został Bylicki wynagrodzony za ten wieczór, co do mnie, otrzymałem dla „brata“ i dla siebie bilety na przejazd na statku parowym zamiast przeznaczonego dla ogółu wygnańców na ten cel piętrowego statku, „barżą“ zwanego, który miał być przez pierwszy holowany. Żymał się mocno Wyhowski na to wyróżnienie wobec kolegów (a przyznaję, iż miał w tem pewną słuszność), zważywszy jednak, żeśmy w codziennych prawie wyścigach o lepsze miejsca na etapie czy w więzieniu udziału nigdy nie przyjmowali, a gdy się zdarzało umieścić pod pryczą, godziliśmy się bez szemrania i z tem, czem los nas w danym wypadku obdarzył, nie miałem powodu do odrzucania łaski

fortuny w postaci specjalnych biletów, tem bardziej, że się o takowe bynajmniej nie starałem. Dał się wkońcu udobruchać Wyhowski, i nie rozłączając się, przybyliśmy razem na statku parowym do Tobolska, gdzie oba statki miały się należycie publicznością wygnańczą wypełnić.

Wczesnym rankiem lipcowym wpłynęliśmy na wody Irtysza, a ponieważ statki musiały się tu kilka godzin zatrzymać, otrzymawszy odnośne pozwolenie — na słowo — sami bez straży odwiedzieliśmy doktorostwa Wyszyńskich i pokręciliśmy się trochę w głównej części miasta, zachwycając się pierwszą z Irtyszem znajomością. Gdyśmy na statek powrócili, zastaliśmy tam gotowe do podróży całe grono wygnańcze w liczbie kilkunastu obdarzonych, jak my, biletami specjalnemi; pośród nich znajdowały się trzy panie: Leopoldowa Wiśniewska z Owruckiego, Adamowa Majewska z Lublina i pani X; o ile widok dwóch pierwszych dodatnie sprawiał wrażenie, o tyle trzecia, chociaż bardzo piękna, raziła pospolitością w zachowaniu się. Nazwiska tej damy nie wymieniam przez wzgląd na rodzinę, którą — po powrocie do kraju — niegodnie opuściła. Adam Majewski osiedlił się po powrocie w rodzinnym Lublinie, gdzie ceniony był jako człowiek i adwokat. Owdowiałą żonę jego odwiedziłem w 1915 roku.

Całkiem wyjątkowo na statku, dla wygnańców przeznaczonym, znalazła się rodzina obca, z trojga osób złożona, która się zawczasu w kajucie umieściła. Był to p. Ryszard Maack, udający się z żoną i synkiem do Irkucka, dla objęcia stanowiska dyrektora oświaty publicznej na całą wschodnią Syberję. On blondyn, ona brunetka, oboje młodzi i piękni, przytem ludzie o kulturze europejskiej. Pomimo ciężkiego położenia, w jakiem znajdowały się nasze panie, towarzyszące mężom na wygnanie, o wymaganiach mody nie zapomniały i zjawiły się wszystkie trzy na statku w krynolinach. Nie wiedziały biedaczki, że moda dawna, wznowiona dla zamaskowania odmiennego stanu cesarzowej Eugenji, po dziesięciu latach panowania nad światem, w r. pańskim 1865 żywot swój zakończyła. Przykre musiało być zdziwienie tych pań na widok jadącej ze stolicy pani Maack w sukni

skromnej podróżnej i bez obręczy wydymających; przykrem i dla nas — lubo z odmiennych pobudek — był widok takiego kontrastu!

Na parę godzin przed odejściem statku przybył gospodarz miasta, gubernator Aleksander Despot-Zenowicz, skłonił się paniom naszym, porozmawiał dłużej nieco z pp. Maack oraz z kapitanem i statek opuścił. Urodzony na Białej Rusi, studja uniwersyteckie Zenowicz odbywał w Moskwie w połowie ubiegłego wieku; wykoleiły go z tej drogi naukowej — z czwartego kursu — nadzwyczajne okoliczności, w niczem zresztą mu nie ubliżające, w związku ze spiskiem politycznym, ochrzczonym nazwiskiem Pietruszewskiego, do którego Dostojewskij należał. Zenowicza mieszkanie z powodu obszerności swojej było miejscem schadzek spiskowców i to go skompromitowało. Wywieziony do Permy na wygnanie, dzięki staraniom krewnej swej Tuczkowowej został uwolniony, a następnie umieszczony jako urzędnik przy jenerał-gubernatorze Wschodniej Syberji Murawjewie-Amurskim, który, poznawszy charakter i zdolności Zenowicza, zrobił go naczelnikiem miasta Kiachty i w ten sposób otworzył mu drogę do karjery. Zenowicz usprawiedliwiał najzupełniej przydomek, nazwisko jego poprzedzający, i był w całem tego słowa znaczeniu *un despote éclairé*. Wzorowa administracja kraju i surowe przestrzeganie prawa pozyskały mu wziętość ogólną, ale, jak to zwykle bywa, obudziły też niechęć wśród przyzwyczajonych w całej Rosji do samowoli urzędników. Musiał tedy parę razy skutkiem denuncjacyj jeździć do stolicy dla wyjaśnień osobistych, za każdym razem jednak wracał ze zwiększonem pełnomocnictwem. Jakkolwiek pan Gubernator musiał na stanowisku swojem zachowywać w stosunku do wygnańców rodaków pewną rezerwę, odczuwaliśmy jednak pamięć jego i życzliwość. Zważywszy, iż Tobolsk był pierwszym punktem zbiorowym, skąd pędzono wygnańców w rozmaite strony, i że z tego powodu musieli dłuższy czas w więzieniu tobolskiem przebywać, Zenowicz pozwolił na urządzenie, wyłącznie dla politycznych, kuchni i szpitala, obsługiwanego przez naszych lekarzy; listy i pieniądze z kraju dochodziły do nas naj-

akuratniej, odchodzące czy odpływające partje na wschód zaprowiantowane były starannie; pracę dla pozostałych w Tobolsku wynajdywał, słowem był w położeniu naszem dobrodziejem opatrznościowym; przy strofowaniu i karaniu politycznych, nutą dominującą, którą zawsze akcentował, było wdrażanie do szanowania sztandaru narodowego. Przyzwyczajony do bezwzględności i tonu rozkazującego, metodę tę Zenowicz w stosunku do wygnańców uprawiał (odzywał się wprawdzie do nich zawsze po polsku, ale wszystkich „tykał“ [28]), musiał więc mieć niechętnych, jednak wszyscy go szanowali. Postawy wyniosłej, o prawdziwie męskiej piękności, zawiesistym czarnym wąsem ozdobionej, chodził po mieście zwykle w urzędowym wice-mundurze, t. j. we fraku ciemno-zielonego koloru z błyszczącymi guzikami, wielką gwiazdą ozdobionym z lewej strony, trzymając w prawej ręce laskę żelazną, której, jak mi opowiadano, niejednokrotnie *stande pede* jak Piotr Wielki używał. Umarł Zenowicz na Krymie na początku XX w. i tam pochowany został w Koroizie pod Ałupką.

Drugim, współczesnym Zenowiczowi Polakiem, którego pamięć w Zachodniej Syberji nie zaginie, był zabłąkany — z niewiadomych mi powodów na Syberji Białorusin, Alfons Kozieł-Poklewski. Przedsiębiorczy a zawsze uczciwy, był on pionierem na polu przemysłu i handlu, oraz pierwszy wprowadził żeglugę parową na rzekach Syberji Zachodniej. Olbrzymia fortuna, której się dorobił, źródło główne miała w gorzelniach, w które cały ten kraj zaopatrzył, a że przedtem wszystkie drobne gorzelnie wydzierżawił, w ręku swojem przeto produkcję okowity zmonopoliwał; nazywaliśmy z tego powodu Poklewskiego „ministrem oświaty“ Syberji Zachodniej, pomimo jednak przezwiska tego, nie wolno nam było zapominać, że przechodzącym partjom wygnańczym wiele świadczył, przytem ważniejsze posady w zakładach swoich rodakom oddawał.

Podróż z Tobolska do Berezowa Ewy Felińskiej, w roku 1839 odbyta, znana jest przeciętnemu czytelnikowi, nie obciążając więc pamiętników mych balastem zbytecznym, zdając zaś sprawę z wrażeń osobistych, powiem, iż nie da się

opisać wrażenie wielkości, jakiej się doznaje na widok zlewających się pod 63° szerokości geograficznej wód Irtysza i Obi, należących do największych rzek na kuli ziemskiej. Żałować tylko wypada, iż majestatowi widoku nie odpowiada obramowanie, z brzóz zawsze smętnych złożone i w tem miejscu mocno przetrzebione. Z powodu zatrzymania statku na godzin kilka dla nabrania opału, podpływali do nas Ostjacy, ofiarując przepyszną rybę, nelmą zwaną, wzamian za monetę srebrną, a chętniej za bieliznę. Pobudzeni chęcią zwiedzenia ich siedliska, popłynęliśmy z Wyhowskim do najbliższej u brzegu znajdującej się „jurty", tak bowiem nazywają szałas, całkowicie z materjału brzozowego urządzony, a skórami przykryty, który służy Ostjakom za mieszkanie. We wnętrzu szałasu, na ziemi skórą zwierzęcą przykrytej, zasiadła cała rodzina z kilku członków złożona, zajęta posilaniem się rybą surową; posiłek ten umieszczony był w naczyniu z kory brzozowej, do którego przykrycie z takiejże kory zdradzało — z powodu rysunku, symetrji i całego pomysłu — pewne acz bardzo pierwotne sztuki rudymenta. Jedno takie naczynie z kory brzozowej z nakrywą nabyliśmy za parę złotych: po wypełnieniu go śmietaną i bardzo długiem bełkotaniu otrzymaliśmy wcale dobre masło.

Jeżeli może być usprawiedliwione używanie w czasach najnowszych wyrazu „nadczłowiek" dla charakteryzowania wyjątkowo wyróżniającej się istoty ludzkiej, to sądzę, z jednakową słusznością mógłby być użyty wyraz „podczłowiek" w zastosowaniu naprz. do Ostjaków: nędzni fizycznie, słabo rozwinięci umysłowo, na wpół odziani, o włosach długich, których nigdy grzebień nie dotykał, o rękach wreszcie chudych i niepomiernie długich, robią oni wrażenie tworów pośrednich pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem.

Kilkunastodniowa podróż wolna była jakby przedłużeniem tego miłego wypoczynku, jakim nas obu, Wyhowskiego i mnie Tiumeń obdarzył. Oprócz Buckla znaleźliśmy jeszcze w Ameryce", poznajomiłem się przytem z pp. Maack, którym na statku przepiękne dzieło Tocqueville'a „O demokracji

w kajucie ich grywałem; stosunek z nimi zarysował się, jako pełen przyzwoitej z obu stron rezerwy, nie wyłączającej życzliwego z ich strony zainteresowania się dolą moją; rozstając się zaś, otrzymałem zaproszenie, bym ich w Irkucku odwiedził. Po przydługiej w górę po Obi podróży niewielka rzeka Tomka o wodzie koloru seledynowego przyciągnęła statek nasz do Tomska, skąd mieliśmy 1500 wiorst jeszcze do przebycia lądem. Miasto to, jak również następne Krasnojarsk, nowych wrażeń nam nie przysporzyło; doznaliśmy ich zaś, przepływając trzecią wielką rzekę syberyjską, Jenisiejem zwaną, oraz na widok zarysowanych wspaniałych grzbietów Sojańskich przy granicy chińskiej. Niespodzianką prawdziwą było dla nas, że zamiast jednego przebiegu o tempie powolnem odbywaliśmy codziennie, zacząwszy od Tomska, dwa razy tyle, czyli od 50 do 60 wiorst, i to dobrym kłusem, z początku kołami, a wkońcu saniami, które nas przy końcu listopada r. 1865 po szesnastu miesiącach podróży do stolicy Wschodniej Syberji dowiozły. Czy to miał być kres etapjady naszej? Mieliśmy się o tem dopiero dowiedzić w Irkucku który był punktem zbiorowym na Wschodnią Syberję, skąd na cztery wiatry wygnańców wyprawiono.

Po przybyciu do Irkucka przy końcu listopada i odbyciu, jak zwykle, pod gołem niebem formalności, znanych już czytelnikowi, umieszczono nas w budynku opróżnionym po Izbie Skarbowej w trzech dużych kamerach, gdzieśmy zastali kilkunastu księży w sutannach albo marynarkach, ogolonych i z wąsami; wszystkich ich wysłano z Irkucka w jedno miejsce, do Tunki, na granicy chińskiej położonej. Znajdował się wśród nich czcigodny ksiądz Syrwid, Litwin, dobrocią i skromnością jaśniejący, był też ksiądz Erazm Kluczewski, były prefekt z Niemirowa.

Irkuck stawał się miejscem stałego pobytu skazanych do gub. irkuckiej na osiedlenie, których w drodze łaski w mieście zostawiano. Do kategorji tej należał Jerzy Mogilnicki, światły ziemianin z Mińszczyzny, któremu dobra ziemskie tam skonfiskowano. (Po powrocie do kraju, pracując na roli, znacznego dorobił się majątku, który córce i wnukom w Lubelskiem zostawił. Umarł w 1915 r). Pozatem

był to punkt przejściowy. Partje przechodziły co dwa tygodnie, zmieniając ilościowo i jakościowo fizjognomję pozostałych, na kolej swoją oczekujących; ci ostatni, o ile byli na osiedlenie skazani, lokowali się po gminach na wsi, kandydatów zaś do ciężkich robót wysyłano do rozmaitych kopalni zabajkalskich. Z dwóch miejscowości, najbliżej od Irkucka położonych, pierwsza Usolje nad rzeką Angarą z warzelnią soli — gdzie familijnych umieszczano — była już po brzegi wypełniona, druga zaś, Aleksandrowsk, była wyłącznie dla słabowitych przeznaczona. Po zorjentowaniu się w nowem położeniu, wśród warunków, jakie w Irkucku znaleźliśmy, całą usilność naszą (Wyhowski i ja) mieliśmy wytężyć, by dostać się do Usolja, ażeby zaś celu tego dopiąć, należało przedewszystkiem nie spieszyć się; podwoje do tego eldorado mógł nam otworzyć tylko pan Maack, pozatem stosunków żadnych nie mieliśmy.

Opiekunami naszymi z urzędu byli: jenerał-gubernator Wschodniej Syberji Korsakow, gubernator cywilny irkucki, Szałasznikow, i pułkownik żandarmów, Duwing. Oprócz tej trójcy bezpośredni niejako stosunek mieliśmy z dwoma naczelnikami, z których pierwszym był major Kupenko, piastujący zwierzchnictwo wyłącznie nad politycznymi, drugim zaś podpułkownik Dumanskij, policmajster Irkucka. Pierwszy, który przez dodanie do nazwiska swego maloruskiego spółgłoski „w" na rosyjskie je zamienił, cenzurował korespondecję wygnańców, był zaś skrupulatnym na urzędzie, gdyż nie okradał nas z pieniędzy, ale też surowym się okazał w przestrzeganiu poprawnego zachowywania się swoich pupilów. Z powodu wyjścia zamąż za następcę tronu Aleksandra księżniczki duńskiej Dagmary posłano jej z kraju naszego, jako podarunek ślubny, wizerunek Matki Boskiej z prośbą o zaprotegowanie znajdującego się w Usolju wygnańca; czy koncept taki był przez tego ostatniego rzucony, czy też się w kraju narodził, dowiedzieć się nie mogłem, gdy jednak o fakcie tym Kędrzycki ironicznie w korespondencji swojej do kraju wyraził się, list został mu z kancelarji Kupenkowa zwrócony wraz z surowem upomnieniem. Z drugim codzienny łączył nas stosunek, pośredniczył zaś w nim

starosta nasz, który obowiązany był zrana o 9-tej zjawiać się ze sprawozdaniem i po dalsze pana policmajstra rozkazy; dziwnym zbiegiem i drugi z najbliższych opiekunów naszych, nazwisko polskie „Domański" na „Dumańskij" zamienił.

Na wieczorku, dla pp. Maack wydanym, na którym się wraz z nieodzownym instrumentem znajdowałem, gospodarz domu Dumańskij, odzywający się do nas zawsze w języku urzędowym, znalazłszy się sam na sam ze mną, najwcześniej przybyłym gościem, zwrócił się do mnie po polsku, wspominając matkę, dzieciństwo w Kamieńcu spędzone, oraz karjerę wojskową w Humaniu rozpoczętą. Co mogło przyczynić się do takiego wykolejenia, pozostało dla mnie na zawsze tajemnicą.

Syberja wówczas stała otworem dla wszelkiego rodzaju karjerowiczów, jak również dla niepoprawnych ze świata stołecznego a niedogodnych dla rodzin odnośnych penitentów; do takich „grubych ryb" za mojej bytności w Irkucku należeli: Laube, syn ministra poczt, Wałujew, brat ministra spraw wewnętrznych, i Milutin, brat ministra wojny. Opowiadano w mieście, iż zjawienie się pięknej pani Maack zrobiło wrażenie powszechne i że jenerał-gubernator jak i policmajster hołdy jej składali, nie lękał się jednak widocznie pan Dumanskij współzawodnictwa ze mną, gdyż wydał mi na piśmie pozwolenie na wychodzenie z więzienia do pp. Maack. Korzystałem szeroko z przywileju tego, by przytem proboszczstwo odwiedzać i osobiste interesy w mieście załatwiać. Ponieważ pan Maack prosił mnie o lekcje muzyki, instrument mój zostawiłem w jego mieszkaniu, do którego przez czas pobytu mego w Irkucku dwa razy na tydzień przychodziłem. Lekcje te, a właściwiej konferencje muzyczne, ograniczały się do wykładu elementarnych zasad harmonji jako nauki i do odegrania kilku numerów na harmoniflucie, co zabierało małą godzinę, po której zatrzymywano mnie na obiad albo na kawę. Trudno mi sądzić, o ile szanowny pan Maack z tej nauki mojej skorzystał; co do mnie, samo oddychanie w ich domu — we wnętrzu Syberji — atmosferą europejską, wielkiem mi było orzeźwieniem. Charakterystycznem było przytem, iż towarzyszył mi do domu pp. Maack żołnierz z bronią

w ręku i przez czas lekcji przedpokoju nie opuszczał, a ja byłem tak ubogi, że za te nudy zaledwie papierosem mogłem mu podziękować. Stosunki moje z rodziną Maacka tak się ułożyły, że nie odważyli się proponować mi honorarjum, na święta jednak Bożego Narodzenia przysłali mi obfitą prowizję cukru, herbaty i t. p. wiktuałów, pamięć zaś tę z wdzięcznością od nich przyjąłem. Trzech było wtedy w Irkucku karjerowiczów rodem z wyspy Oezel, których poznałem: Maack ożeniony z Niemką, Golterman dr. med., zaręczony z Rosjanką, i trzeci Schumacher, urzędnik — kandydat ewentualny do bogatej kupcówny. Nie ulega wątpliwości, iż zatrzymanie Wyhowskiego i mnie przez czas dłuższy w więzieniu irkuckiem w warunkach znośnych pp. Maack zawdzięczam, wiedzieli bowiem, tak oni, jak i policmajster, życzliwie przez nich dla mnie usposobiony, o mojem pragnieniu dostania się z „bratem" do Usolja, chociaż o dopomożenie do tego wyraźnie ich nie prosiłem. Korzystając ze względnej swobody ruchu, odwiedziłem Piotra Borowskiego, jednego z czterech umieszczonych w r. 1839 przez Bibikowa pod szubienicą, a następnie uwolnionych, którego *febris aurea* na resztę życia, niestety, do Syberji przykuła.

Najchętniej chodziłem do czcigodnego naszego proboszcza, księdza Szwermickiego, człowieka podniosłego umysłu i serca, skazanego za sprawę Pantalemona Potockiego w r. 1840 w Siedlcach powieszonego, a teraz byłego wygnańca politycznego, ułaskawionego i na probostwie irkuckiem osadzonego, mając zaś od niego pozwolenie grywania na znajdującem się w kościele doskonałem harmonjum Debaina, urządziłem tam dla szanownego gospodarza i dla pp. Maack *une audition musicale*, złożoną wyłącznie z religijnych utworów Lemmensa, które jakby relikwie na Syberję przywiozłem. Znajdował się przy proboszczu wikary, także z kategorji wygnańców ułaskawionych, ksiądz Tyburcy Pawłowski Podolanin, zesłany w 1839 r., poczciwy prostaczek, który ciężkie chwile samotności osładzał nie kończącą się nigdy robotą włók do łowienia ryb, a przytem zakrapiał je trunkiem, niestety; dokuczyły mu widocznie egzercycje moje organowe, otworzywszy bowiem pewnego razu drzwi z przy-

legającego do kościoła pokoju swego, zburczał mnie, co się zowie, za to, że gram wciąż jedno i to samo.

Irkuck jako miasto nie wyróżniało się niczem od spotykanych w Rosji miast gubernjalnych: cerkiew i rządowe budynki murowane, białe o dachach zielonych, domy prywatne w większości drewniane, ulice szerokie, miasto jakby w projekcie dopiero; jedyną ozdobą jego jest wspaniała rzeka Angara, z dwóch stron je oblewająca.

W miarę posuwania się na wschód produkty rolne i towary kolonjalne w cenie wciąż wzrastały, herbata jedynie o połowę tańszą była w stosunku do cen, w kraju naszym praktykowanych, ale to się stosuje do herbaty z liści i kwiatów, która była dla nas za kosztowną, używaliśmy przeto powszechnie korzonków tej rośliny, którym przy dodaniu krwi bydlęcej nadawano pod prasą kształt stały, przypominający z wyglądu znane tabliczki czekoladowe, znacznie tylko większe. Herbatę taką nazywano z rosyjska „kirpiczną" od wyrazu „kirpicz", po polsku cegła; tabliczka takiej herbaty dwufuntowa kosztowała 90 kop., gdy za funt dobrej półtora rubla płacono. Herbata w tabliczkach z dodaniem mleka i masła stanowiła rodzaj zupy używanej z chlebem przez pospólstwo na całej Syberji w porze obiadowej; pozatem powtarzano napój ten parę razy na dzień z cukrem, który nie był wkładany do szklanki, ale w ustach trzymany przez czas picia herbaty. Przy zbliżaniu się do granicy chińskiej znaleźliśmy w handlu cukier trzcinowy obcego pochodzenia koloru żółtawego bardzo słodki i twardy; zdawało się iż ta ostatnia właściwość cukru zapewni mu przez wzgląd na oszczędność powodzenie, stało się jednak inaczej, gdyż z powodu okrągłego kształtu kawałków z łatwością się połykał. W zamożnych domach kupieckich, gdzie herbaty używano na sposób europejski, napój ten przy dodaniu ciast i słodyczy obiad i kolację zastępował, a zdarzało mi się nieraz na pytanie przy wejściu do mieszkania: „Czy pani w domu?" otrzymywać odpowiedź: „Jest w domu przy trzeciej lub czwartej herbacie".

Po szesnastomiesięcznej podróży kasa moja w chwili przybycia do Irkucka 25 rubli zaledwie posiadała. Ponieważ

ani o czasie ani też o miejscu ustalenia pobytu mego nic wiedzieć nie mogłem, możność skomunikowania się z p. Zaleskim, do którego fundusze moje z kraju skierowałem, oddalała się, należało przeto bardzo się z groszem rachować. Pieniądze rządowe dawane na życie były całkiem niedostateczne, imał się więc każdy pracy, kto tylko jakikolwiek fach posiadał. Idąc z tym prądem, a mając swobodę wychodzenia na miasto, uruchomiłem pieniądze moje, zakładając w samem więzieniu sklepik z towarami koniecznemi dla użytku każdego, zaczynając od piór, igieł, i nici aż do cukru[29]); przytem dla odpędzenia nudów, na jakie narażało całodzienne siedzenie przy skrzynce, oraz jako próbę, zacząłem wyrabiać zwykłe koperty papierowe, zaopatrzone w gumę do zaklejania co było poniekąd nowością w Irkucku. Napsułem trochę papieru, ale doszedłem do tego, że koperty moje były kształtne i czyste, tak że mogłem zanieść je do zegarmistrza rodem ze Szwajcarji, który z całą uprzejmością przyjął ten komis, otaksowując towar mój w stosunku 45 kop. za setkę. Handel mój rozwijał się nieźle, tak że po obrachunku miesięcznym przyniósł mi netto całych pięć rubli, które przedstawiały wynagrodzenie za pracę i odsetek od kapitału obrotowego.

Nie siliłem się wcale na określenie składowych części dochodu tego, a rad byłem, że mogłem warunki życia polepszyć, trwało zaś to parę miesięcy, aż do utworzenia — ku wygodzie powszechnej — sklepu koleżeńskiego, wobec zaś tego monopolu handelek mój osobisty zwinąć musiałem. Gdy jedno źródło wyczerpało się, sprzedaż kopert moich poszła tak raźno, że pozwoliła mi zapomnieć o pogrzebanym handelku, a do nowego eksperymentu zachęcić, do nauki introligatorstwa, w czem dopomógł mi kolega, fachowiec z Warszawy. Napsułem sobie dużo krwi, a więcej jeszcze papieru, ale tę nową, nie tak trudną zresztą, umiejętność zdobyłem, pieniądze — owe pokutujące 25 rubli — w warsztat włożyłem, z nastaniem zaś wiosny w oczekiwaniu na wysłanie nas gdziekolwiek na pobyt stały miałem obstalunek z apteki na wielką księgę polinjowaną i porubrykowaną oraz kilkadziesiąt książeczek kontowych na sumę ogólną piętnastu rubli wypłacalnych po oddaniu roboty. Warsztat mój

uruchomiłem na drogę, nadając mu kształt skrzynki, której podstawą była prasa, deski stanowiły ścianki i wierzch, nóż zaś i materjały były w środku umieszczone. Nie obeszło się w trakcie nauki mojej bez wielkiej przykrości dla mnie i pobożnego Żmudzina, którego książkę do nabożeństwa oddaną do oprawy popsułem; ledwie mogłem zażegnać przygodę tę własną książkę oddając, nie żmudzką wprawdzie, ale zato w pięknej oprawie.

Wśród tych ciężkich a bezbarwnych warunków wlokło się życie nasze więzienne przez całą zimę 1865/66 roku w oczekiwaniu wiosny, która miała nas wyzwolić, tymczasem nastąpiła wstrząsająca katastrofa zabajkalska, która perjodyczny ruch ekspedycyjny za Bajkał wstrzymała i losem naszym niezależnie od pragnień i zamiarów pokierowała.

We wszystkich czasach i we wszelakich warunkach usiłowaniem zbiorowem czy pojedyńczem ludzi zamkniętych było wydostanie się z więzienia. tak było i tak będzie, dopóki tylko życie i swoboda nie przestaną mieć uroku dla ludzi. Prawdę tę stwierdzić mogłem w czasie podkopu kijowskiego, którego byłem biernym świadkiem, następnie zaś we wszystkich większych punktach zbiorowych na całym szlaku syberyjskim. W Kazaniu np., Tiumeniu, Tobolsku, Tomsku i Kańsku trafiałem zawsze na jakieś nieokreślone projekty, czasem zaś znajdowałem się wśród wyraźnych do ucieczki przygotowań, a chociaż nie zawsze mogłem być wtajemniczony, samą atmosferę tę odczuwałem. W miastach takich, jak Moskwa i Kazań, znajdowała się poza więzieniem jakby agentura, ad hoc zorganizowana z rodaków tam zamieszkałych oraz młodzieży uniwersyteckiej miejscowej. Opowiadania szczegółów o paru niezwykle śmiałych ucieczkach, z Moskwy jednego (nazwiska szczęśliwca, który stamtąd uciekł, nie pamiętam), a Pawła Landowskiego drugiego już z Syberji[31]) (o niepowodzeniach oczywiście nie mówiono) zapalały umysły młodych zrozumiałym podziwem dla odwagi, skłaniając niejako do naśladowaia. Dla tych, którzy czytali o zdobyczy Madagaskaru, albo o przygodach Rufina Piotrowskiego, a przynajmniej słyszeli cokolwiek o nich, aureola sławy była niemałą podnietą. Poczęta w drodze pro-

paganda ucieczki zbiorowej, podtrzymywana przez osobników, dłuższy czas zatrzymujących się w Kańsku dla szerzenia agitacji wśród stale przechodzących tędy partyj, zogniskowała się ostatecznie w więzieniu irkuckiem. Tu się znaleźli dwaj (z liczby czterech) główni apostołowie: Reyner, uczeń aptekarski z Warszawy, zapalony najlepszej wiary młodzieniec, i Celiński, niemłody o przeszłości zagadkowej (był i na emigracji we Francji i w Algierze, jako wojskowy) i ambicji wygórowanej. Obydwaj starali się jak najdłużej w Irkucku pozostać dla propagandy wśród przechodzących wciąż partyj do ciężkich robót w kraju Zabajkalskim, materjał zaś ten ruchomy, a właściwie ta część jego, która dała się opętać, składał się przeważnie z analfabetów.

Po wysłaniu kolejnem wymienionych dwóch agitatorów za Bajkał, znalazł się zastępca (nazwiska nie pamiętam), który robotę ich w dalszym ciągu prowadził, używając praktykowanego przed i w czasie powstania u nas (a zresztą nietylko u nas) wyzyskiwania naiwności ludzkiej przez okłamywanie, oraz podburzanie przeciwko tym nielicznym jednostkom z inteligencji, które starały się błądzących opamiętać, a wszystkich od katastrofy uchronić. Uwolnienie nas od agitacji tej szalonej stawało się koniecznością; jakoż pewnego poranku najniespodziewaniej agitatora wywieziono ku uspokojeniu mniejszości a oburzeniu większości więźniów.

Wspomniałem już wyżej, iż wybrany przez nas przedstawiciel, oficjalnie „starostą“ zwany, był w bezpośrednim stosunku z najbliższym zwierzchnikiem naszym, policmajstrem Dumanskim, oraz, że ten ostatni względny był dla nas. Czy myśl pozbycia się z więzienia niebezpiecznego agitatora była Dumanskiemu podsuniętą w zaufaniu przez starostę (był nim wtedy Henryk Bąkowski, mecenas z Warszawy, człowiek uczciwy i rozumny), pozostanie na zawsze tajemnicą: Bąkowskiego nikt o to wyraźnie nie pytał, nie prosiliśmy też go o interwencję tego rodzaju; wyznać jednak trzeba, iż jeżeli tego ciężkiego zadania się podjął, to miał za sobą upoważnienie moralne mniejszości inteligentnej i jakby ciche jej przyzwolenie. Szalona myśl zrobienia wybuchu

w Irkucku, przy rozniecceniu pożaru w mieście i wypuszczeniu z więzienia kryminalistów, by wraz z nimi podążyć ku Bajkałowi dla połączenia się z tamtemi partjami, chyba może rozgrzeszyć Bąkowskiego, jeżeli, uprzedzając wypadki, miał odwagę zdobyć się na krok tak odpowiedzialny. Wywiezienie z więzienia agitatora zostawiło ferment chaotyczny pośród spropagowanych oraz niechęć ku mniejszości inteligentnej, którą mieli w podejrzeniu. Rozgoryczenie we wzajemnych stosunkach kolegów dawało się wszystkim odczuwać, stan zaś taki trwał parę miesięcy aż do wybuchu powstania w lipcu 1866 r. nad Bajkałem. Genezę aktu tego szalonego przedstawiłem wyżej tak, jak ją pojmowałem; do opisania w szczegółach samej akcji brak mi materjałów pewnych, na ogólnikach przeto poprzestać muszę.

Oprócz dwóch wymienionych powyżej, Reynera i Celińskiego, znajdował się dłuższy czas nad Bajkałem Gustaw Szaramowicz, rodem z Polesia Kijowskiego, którego w więzieniu poznałem; najlepszy kolega, człowiek całkiem rozsądny i trzeźwy, nie skłonny do marzycielstwa ani też do awantur ryzykownych, jakim sposobem mógł zająć naczelne miejsce nawet wśród przywódców, tego sobie wytłumaczyć nigdy nie mogłem. Przy swoich przymiotach Szaramowicz zdradzał nadmierną zarozumiałość i próżność; nawet pośród ciasnych i cichych warunków więziennych zawsze i wszędzie starał się przewodniczyć czynnie, a conajmniej figurować. Czy mu czasem Beniowski, którego z pewnością czytał, nie zaprószył umysłu? A może ta namiętność do przodowania w czasie rozpraw zapędziła go powoli tak daleko, że już wycofać się nie mógł (ludzie zaś tego pokroju nie są skłonni przyznać się do popełnionej omyłki), wszystko to pozostanie zagadką nierozwiązaną. Był jeszcze wśród przywódców czwarty, Kotkowski, ale go bliżej nie znałem. Liczba powstańców nie przenosząca 400 poradziła sobie łatwo ze strażą, nie długi jednak był ich triumf, mianowicie tylko do nadejścia wojska, które nie sformowany ostatecznie oddział rozproszyło, a znaczną część jego uczestników uwięziło; byli zaś tacy, którzy — łudząc się wciąż — skierowali się ku granicy chińskiej, by po najstraszniejszych w puszczach przy-

godach znaleźć się tam, dokąd wszystkich powstańców popędzono, to jest w Irkucku, gdzie odbył się tejże jesieni sąd wojenny, który skazał czterech na rozstrzelanie, odsyłając pozostałych na miejsce pobytu i przedłużając im lata katorgi. Szaramowicz i Reyner z pewnością, a prawdopodobnie i inni także, z godnością się zachowywali tak w sądzie wojennym, jak w czasie prowadzenia ich na miejsce stracenia: przecież wrogowie nawet nasi przyznają, że Polacy umieją po rycersku umierać!

Zamykając bolesne o sprawie zabajkalskiej opowiadanie, nasuwa się pytanie, czy były i jakie mianowicie przyczyny usprawiedliwiające podobny akt rozpaczy? Porównując przedstawiony nam w pamiętnikach z czasów odnośnych warunki, wśród których przebywali poprzednicy nasi z lat 1831—1839 i następnych, z temi, jakie zastaliśmy na Syberji po roku 1863, przyznać należy, iż zmieniły się one na korzyść: ustała przedewszystkiem chłosta, której Piotr Wysocki i tylu innych podlegało, praca przymusowa była względniej praktykowana, a obchodzenie się z więźniami znośniejsze. Czasy się zmieniły! Zapatrując się z tego punktu oraz wziąwszy pod uwagę, że sama myśl powstania nie zrodziła się pośród tych warunków, jakie wygnańcy nad Bajkałem znaleźli, ale kolportowana wzdłuż całego szlaku Syberyjskiego dotarła nad Bajkał, jako projekt gotowy do wykonania, usprawiedliwienia doszukiwać się trzeba wyłącznie w przyczynach moralnych, które w rozmaitym stopniu wszystkich nas gnębiły, mianowicie tęsknota za przeszłością i beznadziejność wobec przyszłości. Konkluzję tę ze smutkiem zaopatrzyć należy uwagą, iż wyzyskanie ciemnoty przez ludzi nierozsądnych albo niesumiennych pewną rolę w sprawie zabajkalskiej odegrało.

Wiadomość o tem, że Polacy „zbuntowali się" w miejscowości mniej niż 100 wiorst od Irkucka odległej, przejęła miasto to strachem panicznym, odbiło się to zaś przedewszystkiem na znajdujących się w mieście wygnańcach: przeniesiono nas z pomieszczenia znośnego do wstrętnej „turmy", nałożono ciężkie kajdany na nogi i po trzech dniach rozpędzono prawdziwie na cztery wiatry, bez żadnych względ-

dów rozdzielając braci, albo ojca z synem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Wyhowski i ja znaleźliśmy się w upragnionem Usolju.

Najcięższe chwile, przeżyte w czasie powstania, więzienia i etapjady nie dadzą się porównać z uczuciem boleści i wstrętu wobec terroru większości kolegów z ruchem sympatyzujących nad mniejszością, ruchowi temu przeciwną. Stwierdzić mogłem na własnej skórze to, co z nauki historji wyniosłem, iż lepszy jest tyran jeden, najczęściej świadomy celu, a czasem rozumny, niż z dołu idący, a zawsze ślepy tyran zbiorowy!

ROZDZIAŁ VII.

Usolje, Irkuck, Wiatka — Powrót do kraju (1866—1876).

Miejscowość Usolje, znana z obfitego źródła soli a o 60 wiorst na zachód od Irkucka położona, składa się z właściwego miasteczka i kilku wysp, rzeką Angarą oblanych. Miasteczko typu rosyjskiego, o ulicach szerokich, domach przeważnie drewnianych, ozdoby roślinnej pozbawionych, i z cerkwią o kopule zielonej, szary na ogół wygląd miało; nie ożywiały go szablonowe o dachach zielonych mury, na skład soli służące, oraz takież mieszkanie dyrektora zakładu, który był jednocześnie komendantem wygnańców. Za tem ściśle symetrycznem miasteczkiem rozrzucone były całkiem swobodnie domki przywróconych do praw byłych skazańców i ich potomków (dokładny a bardziej szczegółowy opis Usolja znajdzie ciekawy czytelnik w pamiętnikach Rucińskiego, konarszczyka).

O klimacie syberyjskim tyle jest opisów przez ludzi fachowych dokonanych, że poprzestanę na krótkiej wzmiance, by zaznaczyć, że opisana przeze mnie miejscowość posiada wszelkie cechy klimatu kontynentalnego; a więc zimę długą i mroźną, ale bez wiatru, lato zaś krótkie i upalne; najcięższe dla europejczyka jest pozbawienie widoku roślin i zieleni w przeciągu ośmiu miesięcy. Do tego zaś, co o warunkach leczniczych klimatu tego pisano, dodać muszę, że osobniki mające wyraźną skłonność do suchot, odzyskiwały zdrowie we Wschodniej Syberji, o czem naocznie się przekonałem. Flora syberyjska, opisana i naukowo opracowana przez wygnańca doktora Józefa Łagowskiego, dobrego

i zacnego człowieka, przekazana została przezeń Uniwersytetowi Lwowskiemu w postaci obszernego zielnika (Łagowski zmarł w Irkucku w 1869 i tam pochowany). Najciekawsze okazy zwierząt wypchanych i owadów zaludniają gabinet zoologiczny przy Uniwersytecie Warszawskim, a niezależnie od tego uniwersytety rosyjskie nie były przy tem obdarzeniu przez dra Benedykta Dybowskiego zapomniane. Dowcipny przyrząd Wiktora Godlewskiego, praktycznego pomocnika naszego uczonego, umożliwiał wydobywanie z rozmaitych warstw Bajkału żyjących tam okazów, wśród których były całkiem nieznane zoologji gatunki z rodziny Gammaridae, które Dybowski klasyfikował i chrzcił na cześć uczonych naszych przyrodników pracujących, jak on, na Syberji — Łagowski, Czekanowski, Czerski — albo kolegów, którzy mu bezpośrednio pomagali — Godlewski, jako doskonały strzelec, i Feliks Zienkowicz, jako rysownik.

Usolje posiadało dwie kategorje mieszkańców: stałych, potomków byłych katorżników, oraz fali ruchomej skazańców politycznych i kryminalnych: jednym i drugim dawano na utrzymanie po trzy kopiejki dziennie i po dwa pudy żytniej mąki miesięcznie na osobę, gdy jednak kryminalnych po przybyciu puszczano swobodnie, nie troszcząc się o dach dla nich, politycznych umieszczano obowiązkowo w koszarach znajdujących się na wyspie i dopiero po odbyciu nowicjatu, w drodze łaski niejako, pozwalano przenosić się do żon, które odrazu w miasteczku się lokowały; następnie prawo to zyskiwali nieżonaci, o ile na wynajęcie mieszkania środki im pozwalały. Gdyby nie ta okoliczność, że wyspiarze musieli, idąc na miasto, wkładać na nogi kajdanki i być pod strażą żołnierza, od czego kryminalni byli wolni, wspomniane koszary na wyspie wyglądałyby raczej na schronisko, a nie na więzienie. Kajdanki używane były dla formalności, albowiem zgoła nie obciążały, te zaś, któremi mnie po przybyciu do Usolja kolega Bniński obdarzył, były wypukłe, przypominające z kształtu, a nie z rozmiaru, łańcuszki, które kiedyś przy zegarkach noszono.

Usolje było miejscem przeznaczonem wyłącznie dla wygnańców politycznych „familijnych", których liczba zbli-

żała się do półsetki, więcej niż drugie tyle stanowili nieżonaci, tak że ogólna liczba osób w czasie mojego pobytu dwieście z górą wynosiła. Towarzystwo nasze składało się przeważnie z ludzi inteligentnych, nie nadających się nietylko do przedsięwzięć ryzyskownych, ale nawet do warcholstwa, którego też objawy były rzadkie. Wobec powyższych warunków życie płynęło spokojnie, powiedziałbym apatycznie nawet, urozmaicone od czasu do czasu przybywaniem nowych towarzyszy, wizytą gubernatora, lub odwiedzinami proboszcza z Irkucka, ks. Szwermickiego.

Taki dobór towarzystwa domagał się od pierwszej chwili zorganizowania się, tem bardziej, że komendant wedle przyjętego zwyczaju chciał mieć do czynienia z jedną osobą, przez wszystkich umocowaną. Napływ wygnańców do Usolja rozpoczął się w 1864 r., po przybyciu przeto mojem we dwa lata później towarzystwo całe było już zorganizowane. Władza administracyjna spoczywała w ręku trzech kolegów: Aleksandra Oskierki, prezesa towarzystwa, z Litwy, Romana Bnińskiego z Rusi i Jakóba Gieysztora ze Żmudzi, władzę wykonawczą piastował Oskierka, wydział zaś finansowy stworzył i prowadził Henryk Wohl z Warszawy; wszyscy czterej obrani byli przez ogół za pośrednictwem stałych delegatów, tak do tej jak i wszelakich czynności stale przez stowarzyszonych wyznaczonych. Organizacja ta okazała się w prakytce bardzo dla nas pod każdym względem pożyteczną, szczególnie zaś w rozkładzie pracy w Zakładzie Solnym, ogół katorżników obowiązującej, jak również w udzielaniu pomocy pieniężnej i wogóle opieki potrzebującym kolegom i ich rodzinom.

Tradycje rodzinne, wychowanie, przymioty tak wrodzone jak nabyte, wszystko to uosabiał Oskierka, godny szerszej areny społecznej i narodowej, niż ta, którą mu los wyznaczył. Pod pozorem może trochę chłodnym biło gorące serce, a nie zdarzyło mi się w życiu spotkać osobistości tak harmonijnie zrównoważonej i skromnej; takim był zmarły w Wilnie w r. 1911 szanowany i kochany przez wszystkich Prezes naszego towarzystwa.

Dla scharakteryzowania Bnińskiego, oprócz wzmianki już zrobionej w rozdziale czwartym, muszę tu powtórzyć treść bardzo zresztą krótkiego wspomnienia mojego, wydrukowanego w numerze listopadowym „Dziennika Kijowskiego" z r. 1912: „Roman i Wacława z Sobańskich Bnińscy w czasie pobytu swego na Wschodzie zachowaniem się pełnem taktu i godności zjednali poszanowanie władz, wielką zaś dobrocią i uczynnością zaskarbili serca towarzyszy. Wśród ciężkiej atmosfery dom Romanostwa Bnińskich jaśniał jako przybytek tradycji narodowej zarówno jak kultury europejskiej".

Do całkiem odmiennego typu należał Gieysztor: inteligentny, ukształcony, patrjota gorący, o wymowie porywającej, chociaż nie zawsze przekonywującej, ale jednocześnie bezwzględny, namiętny i nadmiernie ambitny, przedstawiał materjał na trybuna i robił wrażenie lwa zamkniętego w klatce; w stosunkach osobistych był dobry i szlachetny, chociaż nierówny.

Charakter szlachetny, wiedza gruntowna, umysł krytyczny, pracowitość niezwykła, patrjotyzm szczery a trzeźwy charakteryzowały Wohla, Polaka wyznania mojżeszowego, którego pochodzenie zdradzały jeno cechy fizyczne i pewne nieszkodliwe zresztą nawyknienia.

Po wspomnieniu, należnem twórcom i stróżom organizacji naszej na wygnaniu, sprawiedliwość nakazuje złożyć przedewszystkiem hołd uwielbienia niewiastom polskim, na barkach których spoczywał prawie wyłącznie ciężar zatrudnień domowych i wychowania dzieci, a które przytem chciały i umiały być osłodą w życiu nietylko mężów ale bezdomnych, co się do ich gniazd tulili. Nie starczyłoby mi superlatywów, gdybym chciał cnoty ich opiewać. Jakkolwiek wyróżnianie którejkolwiek z wygnanek naszych byłoby zadaniem trudnem a zgoła nieuzasadnionem, wszelako pani Bnińskiej muszę kilka słów poświęcić, z powodu iż ją wyróżniła niezwykła sytuacja, w jakiej się ona jedynie znalazła. Pani Romanowa, tak ją zwykle po koleżeńsku nazywaliśmy, towarzyszyła z własnej woli mężowi na wygnanie, o czem władze kijowskie wiedzieć przecie musiały; tymczasem, gdy

ta dobrowolna wygnanka znajdowała się już w Usolju, wdrożono przeciwko niej śledztwo polityczne w Kijowie, skutkiem poszlak ujawnionych po jej wyjeździe. Następstwem tego było oddanie pani Romanowej pod areszt domowy w Usolju aż do ukończenia śledztwa, o wiele jednak straszniejszą była ewentualność wezwania jej do Kijowa dla t. zw. konfrontacji, co się nieraz praktykowało! I tak gdy mężczyźni uzyskali zwolnienie od kajdan i straży, koleżanka przez nas wszystkich szanowana ruszyć się z domu nie mogła bez anioła stróża, co jednakże było najmniej dotkliwem, zato możliwość powołania jej do Kijowa była wprost przerażająca. Wobec tego ciężkiego położenia pani Romanowa wykazała spokój niezachwiany i moc duszy godną niewiast naszych kresowych z minionych wieków.

We wszystkich społeczeństwach przypisują powszechnie „pięknej" połowie rodzaju ludzkiego zamiłowanie do ploteczek: owóż sport ten stał się w Usolju wyłącznym udziałem mężczyzn, a właściwie tej mniejszości wśród nich, co otrzymując środki z kraju, nie mieli potrzeby pracować, gustu zaś do tego nigdy nie zdradzali. Zato większość mężczyzn imała się wszelkiej pracy fachowej i niefachowej, ucząc się, próbując, robiąc eksperymenty: lekarze uprawiali specjalność swoją i filantropję, zdobywając wdzięczność kolegów, a uznanie ludności miejscowej; improwizowani pedagodzy Józef Kalinowski i Feliks Zienkowicz dzieci polskie uczyli, sami się w tym nowym dla nich fachu kształcąc; wypróbowany pedagog Mioduszewski wypiekał chlep w półfuntowych bułeczkach, co było nowością pożądaną; doktor Łagowski zielnik układał; Mikołaj Hartung, przyrodnik, zbierał i kolekcjonował owady; Józef Popowski tłumaczył „Szkice" Macaulaya; niemłody już Karol Siedrocki Podolanin[32]) tłumaczył „Geologję" Lyella; Juljan Kędrzycki, b. nauczyciel języka i literatury polskiej w gimnazjum kijowskiem, wypuszczał od czasu do czasu wiersze okolicznościowe orzeźwiające; Antoni Kościuszko, z pod Sołowijówki i Jan Kamiński z Grodzieńskiego uczyli się krawiectwa; Władysław Witwicki, były student kijowski, był kontynuatorem mojej firmy introligartorskiej; Wyhowski — po nieudanych pró-

bach murarstwa i garbarstwa — do fachu swego szewskiego powrócił, a siedząc z dratwą na stołku wyśpiewywał wciąż na jedną nutę ustępy z Mickiewicza i Krasińskiego; Wincenty Wasilewski, z pod Sołowijówki, niedoszły medyk, był aptekarzem i t. d., i t. d. Trudno mi naprawdę wyliczyć wszystkich tak fachowców jak i samouków, pracy oddanych; zresztą wybitniejsi z nich znaleźli już miejsce w opowiadaniu poprzedzającem, a będą jeszcze w następującem wspominani.

Muszę tu wspomnieć o jednym z najcenniejszych a zarazem najnieszczęśliwszych ludzi jakich w życiu spotkałem, o Mikołaju Giedroyciu. Ożeniony przed powstaniem nieodpowiednio, dźwigał ciężar ten małżeński, który stał się dotkliwszym, gdy jedynego synka na Syberji stracił. Na śledztwie w czasie indagacji tak go oplątano, że całkiem wypadkowo skompromitował spółuczestnika swego; gdy się o tem dowiedział, w takiej był rozpaczy, że w czasie dalszego śledztwa robione mu zarzuty świadomie powiększał, co go do ciężkich robót zaprowadziło. W drodze i na wygnaniu stronił od ludzi tak, że w czasie dwuletniego pobytu mego w Usolju nie widziałem go nawet, i dopiero w Wiatce brat jego stryjeczny ułatwił nam zbliżenie się, które najmilsze we mnie wspomnienie na zawsze zostawiło.

Znajdował się w Usolju Narcyz Jankowski z Ukrainy, dotknięty chorobą umysłową, a chociaż stan ten był przez specjalistów w Kijowie stwierdzony, do ciężkich robót go wysłano; opiekował się nim znany na Ukrainie brat jego, Leonard, a na wygnaniu koledzy; spokojny był zupełnie, nosił zaś zwykle długą linję, którą się wciąż od „złych duchów“ opędzał.

Od zajęć z dobrej woli praktykowanych przystępuję do obowiązkowych, z których najcięższe było wydobywanie soli z kotłów za pomocą oskardów przy bardzo wysokiej temperaturze. Ponieważ praca ta nie była osobista, ale obowiązywała ogół, towarzystwo nasze tak się urządziło, że zamożniejsi mogli się od pracy tej za opłatą dość wysokiej taksy zwalniać na korzyść potrzebujących zarobku kolegów, którym siły pozwalały za siebie i innych pracować. Prakty-

kowało się to parę lat do końca 1866 roku; zastąpiono ją następnie innem zajęciem doraźnem, jak kopanie ziemi pod warzywa i pielenie takowych, rąbanie żerdzi w lesie i grodzenie płotów, gromadzenie siana i t. p. „zajęcia", powtarzam, gdyż pracą czynności tych nazwać nie podobna, chociaż się odbywała pod dozorem podoficera. Gubernator miał zalecić komendantowi, ażeby wygnańcy „przelewali wodę z jednego naczynia w drugie, byleby cokolwiek robili", tak się też działo z korzyścią wielką dla nas, gdyż praca taka, względnie lekka, na wolnem powietrzu wyprowadzała nas ze stanu apatji, orzeźwiając fizycznie i moralnie. Duch czasu swoje zrobił, grzebiąc — oby na zawsze — tak zw. „katorgę" w tem zabarwieniu, jakie jej dawały opisy poprzedników naszych i jaka się w samej rzeczy praktykowała; zmianę zaś tę zasadniczą w imię prawdy — stwierdzić należy. Jako zabytek przemijającego systemu, zostały oddalone a samotne więzienia w Akatui za Bajkałem i w Jakucku, gdzie oderwany od świata wegetował Józefat Ohryzko o którym tylko dzięki dorocznym odwiedzinom księdza mogliśmy cokolwiek wiedzieć.

Pisząc wyżej o wydobywaniu soli do użycia gotowej, zacząłem od końca, śpieszno mi przeto cofnąć się do początku. Obfite w ropę solną źródło znajdowało się na wyspie, skąd pompowana ropa po przejściu przez tężnie w stanie względnie oczyszczonym przeprowadzana była przez rynny drewniane do warzelni, gdzie pod nakryciem z otworem u góry znajdowały się kotły, na kilku słupach murowanych spoczywające. Wspomniana czynność wydobywania soli z wierzchu — jako lżejsza względnie — obowiązywała politycznych, palenie zaś pod kotłem i oczyszczanie takowych po wyjęciu soli — jako cięższe — należało do kryminalistów, którzy, jak już wspomniałem, całkowitą robotę od roku 1867 sami już wykonywali.

Dyrektorem zakładu, a jednocześnie komendantem więźniów był major Turow, o postaci olbrzyma, Bismarcka przypominający, człowiek z czasów „mikołajowskich", a więc twardy i surowy, ale względem nas poprawny a głównie uczciwy; szykan nie robił a korespondencję i pieniądze naj-

skrupulatniej nam odawał. Zjawiał się do niego codziennie przedstawiciel nasz po korespondencję i po rozkazy, a tak się umiał względem zwierzchnika swego postawić, że przy pożegnaniu z Michałem Wielhorskim (następcą Oskierki na urzędzie starościńskim) przyznał się dobrodusznie Turow, iż Oskierka za nos go wodził. „Oskierka tak umiał nastrajać mnie do swoich zamiarów, że inicjatywa pochodziła pozornie ode mnie, faktycznym zaś twórcą rozporządzeń odnośnie do politycznych był pan starosta" brzmiały własne słowa Turowa.

Straż więzienna, tak zw. komenda, ze wspomnianym już podoficerem względną też dla nas była. Oprócz rzadkich wyjątków, od zachowania się naszego zależało obchodzenie się zwierzchników z nami, co wielokrotnie na sobie i innych stwierdzić — i to w chwilach najcięższych — mogłem. Owoż przyznać z chlubą należy, że zachowanie się ogółu wygnańców politycznych w Usolju godne było i wolne od zarzutów, zetknięcie się zaś z wyborowymi — śmiem powiedzieć — ludźmi z całej Polski tu zebranymi najdodatniejsze wspomnienia na zawsze zostawiło.

Od spraw ogólnych teraz przechodzę do osobistych. Po przedstawieniu się komendantowi niezwłocznie po przybyciu do Usolja umieszczono nas kilkunastu na wyspie w koszarach, gdzie zastaliśmy drugie tyle kolegów, którzy bądź nowicjat koszarowy odbywali, bądź dla braku środków nie mogli się dotąd z koszar na względną swobodę wydostać. Koszary były obszerne, liczba zaś nas ogólna nie przenosiła 40 osób, mogliśmy więc w pryczach porobić otwory oddzielające jeden barłog od drugiego, co było już wielką dogodnością; rzeczy złożone były pod pryczą a na dzień skrzynka moja z warsztatem, umieszczona na pryczy, zastępowała miejsce stołu, na którym mogłem obstalowaną księgę do apteki rubrykować i w napisy przyozdabiać, co zabierało mi dziennie około sześciu godzin pracy. Ponieważ ostatnie pieniądze jeszcze w Irkucku włożyłem w warsztat, przeto w chwili przybycia do Usolja wyglądałem jak „święty turecki" i musiałem poprzestawać na bardzo niedostatecznem utrzymaniu rządowem: dwóch pudach mąki żytniej na mie-

siąc i trzech kopiejkach dziennie. Owóż mąkę oddawaliśmy wybranemu przez kolegów kucharzowi, otrzymując wzamian krupnik z kawałkiem wygotowanego mięsa w dni powszednie, a pieczeń we czwartek i niedzielę, pieniądze zaś musiały starczyć na herbatę „kirpiczną", chleb razowy i cukier. Kucharzem naszym był kolega Edmund Downar-Zapolski ze Żmudzi rodem; do niego też podchodziliśmy z łyżką na pasku zawieszoną i miską w ręku po strawę, gdy zaś dostrzegliśmy zdaleka, że pieczeń była zdobna w garnitur buraczkowy, widok ten wszystkich rozweselał. W takich warunkach przetrwałem jakoś trzy miesiące bez uszczerbku dla zdrowia; dopiero lekcje muzyki, udzielane pani Komendantowej, przyjazd proboszcza z Irkucka i otrzymanie pieniędzy, które w Tobolsku u p. Zaleskiego były przechowywane, na dalszy bieg życia mego pomyślnie wpłynąć miały.

Nazajutrz po przybyciu do Usolja, gdy susząc wypraną w Angarze bieliznę, zabawiałem się książką na murawie, usłyszałem plusk wody i głośną rozmowę na łodzi tuż koło mnie posuwającej się: był to głos Komendanta, interlokutorem zaś jego był kolega nasz, Aleksy Roszkowski, Koroniarz, zarządzający wydziałem rolnym przy fabryce, za co 5 rubli pensji miesięcznej pobierał. Zerwałem się na równe nogi i pokłon zwierzchnikowi złożyłem, Roszkowski zaś nie omieszkał zapewne nadmienić o moich kwalifikacjach muzycznych, gdyż przy pierwszem spotkaniu się ze mną prosił pan Komendant, ażeby żona jego mogła moją muzykę usłyszeć. W parę dni potem otrzymałem na ćwiartce pocztowej ołówkiem zapisanej list treści następującej, „Staroście panu Iwańskiemu. Proszę zajść do mnie dziś wieczorem ze swoim instrumentem. Komendant Turow". Czy to były zaprosiny, czy też rozkaz? Chyba prędzej to ostatnie, albowiem zaniedbał pan Komendant uwolnić mnie w tym wypadku od straży i kajdan, które po przyjściu do niego dopiero w przedpokoju zdjąłem. Znalazłem się w obszernym gabinecie Komendanta wobec kilku oficjalistów fabrycznych, z którymi mnie nie zaznajomiono; wszyscyśmy popijali herbatę stojąc i słuchając przechadzającego się wzdłuż pokoju i głośno rozprawiającego gospodarza domu. Po zabawie tej

w gabinecie wprowadzony zostałem do salonu pani Komendantowej, która mnie wcale dobrą francuszczyzną powitała, nie przedstawiając wszakże zebranym paniom, prawdopodobnie żonom wspomianych oficjalistów, które tam zastałem. „Koncert" powiódł się i zostałem zaproszony na lekcje muzyki tak na harmoniflucie, jak i na fortepianie, (który miał być w tym celu sprowadzony) dwa razy w tygodniu w porze przedobiedniej. Po odbyciu tej ciężkiej próby mój anioł stróż odprowadzał mnie ze zwykłym ceremonjałem do koszar.

Pani Komendantowa, młoda i wcale przystojna, wychowywała się w Petersburgu w „Smolnym monasterze": tak się nazywał zakład wychowawczy, przez cesarzową Katarzynę przeznaczony dla dziewic „szlachetnie urodzonych" (błagorodnych). Stał się on prototypem instytutów panieńskich po całej Rosji rozsianych, posada zaś przełożonej zapewniała zwykle dożywotnią synekurę wdowom po jenerałach. Zakłady te nie są zgoła naukowe, nie uwzględniają też praktycznych zadań życia, kierunek ich był i jest przeważnie „światowy", o ile zaś, mieszkając długi czas w Kijowie, Odesie i Warszawie, o zakładach tych słyszałem, jest to szkoła „lekkich obyczajów". W Smolnym monasterze wychowywała się z woli cesarza Mikołaja jedynaczka po ks. Dominiku Radziwille, spadkobierczyni olbrzymiego na Litwie majątku, oddana później w zamężcie ks. Wittgensteinowi; opieka cesarza nad Radziwiłłówną doprowadziła do tego, co — w kilkadziesiąt lat potem ojczyznę jej spotkać miało: jedną i drugą („starszą siostrzycę słowiańską" jak niektórzy uczciwi Rosjanie Polskę nazywali) — na pastwę Niemcom oddano.

Lekcje muzyki p. Komendantowej zaczynały się od zagrania przeze mnie tych kawałków z repertuaru mego, które najwięcej do smaku uczennicy mojej przypadły; następnie po krótkich ćwiczeniach technicznych moja Komendantowa odegrywała popularne melodje, które dostarczałem jej, wcale nieźle, gdyż była pojętną, przytem na pensji uczyła się gry fortepianowej. O wiele kłopotliwsze od lekcji było, gdy mnie Komendant, spotkawszy wychodzące-

go, na obiad zatrzymywał, od czego wszelkim sposobem, chociaż niezawsze skutecznie, wykręcać się usiłowałem.

Lekcje muzyki, które po raz pierwszy w życiu udzielałem, nie były traktowane poważnie przez uczennicę moją; wychowanka „Smolnego monasteru" w zapadły kąt Syberji przeniesiona, nie wdrożona do zajęcia się dziećmi i domem, nudziła się i potrzebowała rozrywki. Wyjazd jej do miasta przerwał lekcje te ku wielkiej radości mojej, wezwany zaś w parę dni potem do Komendanta, otrzymałem całych dziesięć rubli jako honorarjum, nadto pozwolenie dla mnie i razem ze mną dla Wyhowskiego i Kościuszki, zamieszkania swobodnie w miasteczku; przytem podjął się najłaskawiej pan Komendant, omijając cenzurę irkucką, pośrednictwa w porozumieniu się z Tobolskiem celem sprowadzenia pieniędzy moich, taki był pomyślny dla mnie z tego stosunku muzykalnego epilog.

W tym pamiętnym dla mnie październiku 1866 r. odwiedził nas proboszcz z Irkucka i parę dni zabawił. Stosując się do życzenia Księdza, przygrywałem w urządzonej czasowo kaplicy na instrumencie moim, asystowali zaś mu ksiądz dziekan Stulgiński ze Żmudzi rodem i ksiądz, a może braciszek zakonny, Nowakowski, obaj zabłąkani do Usolja pod obcemi nazwiskami; ten ostatni znany był — po powrocie swoim — w Krakowie, jako słynący z cnót ksiądz Wacław, kapucyn. Przywiózł mi szanowny Proboszcz na rachunek obstalunku aptecznego 10 rubli, zabierając ze sobą przygotowaną już przeze mnie księgę.

Uzbrojony w 20 rubli, mając przytem robotę na warsztacie dodatkową dla aptek i nadzieję na Tobolsk, mogłem pomyśleć o wyniesieniu się z koszar, koledzy Kościuszko i Wyhowski, zdobywszy powoli klijentelę, mogli też udział przyjąć w wynajęciu wspólnego o trzech pokojach mieszkania za 10 rubli na miesiąc z wodą i opałem. Podział pracy, zgodnie pomiędzy nami przeprowadzony, obowiązywał Wyhowskiego do rąbania drzewa i opalania pieców, Kościuszkę do nastawiania samowaru i zmywania naczyń, na moją dolę zaś wypadło przynoszenie mleka, po które przed świtem zwykle na wieś wędrowałem. Na obiady chodziliśmy, jak

dotąd, do koszar, polepszenie przeto warunków życia było jedynie w oddzielnem mieszkaniu oraz w używaniu mleka do rannej i wieczornej herbaty cegiełkowej. W warunkach powyżej opisanych zimę przebyliśmy razem, na wiosnę jednak wymówiono nam mieszkanie, a nie mogąc znaleść innego dla trzech odpowiedniego, każdy z nas osobno zamieszkał. Kolega Rudnicki, o którym już nieraz wspominałem, odstąpił mi jeden z dwóch zajmowanych przezeń pokoi w domu wdowy po ks. Trubeckim (Cyganki czy Żydówki z pochodzenia) do ciężkich robót zesłanej za tyrańskie rzekomo obchodzenie się z usługą; prawdopodobniejszem jednak było przypuszczenie, iż rodzina zmarłego księcia sprawie jakiejś niepoprawnej tylko nadała charakter kryminalny dla względów rodowych i spadkowych. Rok przeszło w domu Księżnej aż do opuszczenia Usolja najzgodniej i najprzyjemniej z kolegą przemieszkałem.

Otrzymane pieniądze w ilości kilkuset rubli z Tobolska, wybranie przez kolegów na kasjera w zastępstwie Wohla, inne mieszkanie, wszystko razem wpłynęło na zmianę warunków w dalszym biegu życia mego. Warsztat mój introligatorski oddałem młodemu przyjacielowi, Witwickiemu, pieniądze złożyłem do spółki handlowej, umiejętnie przez kolegę Wiktora De-Cot prowadzonej, co mi kilka rubli dochodu na miesiąc zapewniało, pracę zaś od czasu do czasu rządową i drugą również obowiązkową koleżeńską uprzyjemniałem sobie całkiem nową znajomością z ekonomją polityczną do której, zasilany książkami i wskazówkami Wohla i Oskierki, zabrałem się, zaczynając od twórcy tej nowej nauki, Adama Smitha. Dzięki tym różnorodnym zajęciom, pośród pokrzepiających i orzeźwiających wpływów towarzystwa doborowego czas upływał, aż doczekałem się uwolnienia od „ciężkich robót" z zamianą kary tej na t. zw. „osiedlenie", spadło zaś to najniespodziewaniej dzięki staraniom ojca mego w stolicy. I tak przerażający wyrok pierwotny skazujący na „ciężkie roboty bezterminowe" los łaskawy zredukował do dwóch lat, które od lipca 1866 do lipca 1868 r. w Usolju odbyłem.

Skazanych na osiedlenie rozmieszczano zwykle na wsi, skąd dopiero z czasem można było — w drodze łaski — wydostać się do miasta. Przeniesienie mnie odrazu do Irkucka, omijając etapy pośrednie, zawdzięczam listowi niezrównanej towarzyszki pani Romanowej Bnińskiej do gubernatora irkuckiego, niemniej dobrej atestacji o mnie Komendanta.

Trafiło mi się w Irkucku mieszkanie tak obszerne, że mogłem w niem — w parę miesięcy potem — przybyłych na mocy ogólnego manifestu przyjaciół: Wyhowskiego, oraz dwóch Koroniarzy, Wohla i Nejmarka, ulokować, po wyjeździe zaś pierwszego przy końcu września na północ daleką, z dwoma pozostałymi najęliśmy skromne o trzech klatkach mieszkanie w mezoninie, gdzieśmy przeszło dwa lata pospolu najzgodniej, krzepiąc się nawzajem, przemieszkali.

Po urządzeniu się w mieście największą troską moją było zdobycie pracy, odpowiadającej kwalifikacjom moim, aby zaś znaleźć lekcje muzyki, trzeba było koniecznie umiejętność swoją zaprodukować, tymczasem od wyjazdu z Paryża w przeciągu przeszło siedmiu lat innemi sprawami zajęty gry fortepianowej zgoła nie uprawiałem i palce moje zesztywniały. Musiałem się zabrać poważnie do pracy, by technikę do porządku doprowadzić, w usiłowaniach zaś tych pomogli mi ludzie dobrzy: Proboszcz pozwolił korzystać codziennie ze znajdującego się w kościele harmonjum Debain'a, zamieszkała czasowo na letniej rezydencji kupcowa Eudoksja Biełogołowowa, dzięki zabiegom kolegi Antoniego Gnatowskiego, ojca prałata Jana, ofiarowała fortepian swój w mieście do mojego użytku, nadto nieznany mi dotąd kolega, doktór Pawłowski z Warszawy, fortepian swój do mego rozporządzenia oddał. Tymczasem brat mój przysłał z kraju bibljotekę moją muzyczną i klawiaturę głuchą, przyjaciel zaś i kolega brukselski, Karłowicz, zaopatrywał mnie stale przez cały czas wygnania w książki i nuty. Przy środkach tych pomocniczych wyzyskałem zrobioną mi ofertę, przyprowadzając sprawność techniczną do stanu dawnego, o czem miał zaświadczyć popis u kupcowej Biełogołowowej którego uniknąć nie mogłem, bo musiałem przecie dziękczynną wizytę jej złożyć.

Zaproszony na wieczór do pp. Biełogołowów zastałem tam pomiędzy innemi Annę Piotrównę Bykową, przełożoną instytutu panien, i siostrę jej, Barbarę Piotrównę, nauczycielkę muzyki w tym zakładzie. Z egzaminu tego, któremu niejako poddany byłem, wyszedłem zwycięsko dzięki Sonacie „Cis mol" Beethovena, którą z pamięci odegrałem. Sentymentalna panna Barbara podejrzewała mnie, że oddaję się improwizacji — zapewne o zmierzchu, a może przy księżycu, — i była bardzo zdumiona a może zgorszona, gdy jej wręcz oświadczyłem, iż do improwizacji usposobienia zgoła nie posiadam. Skończyło się jednak wszystko najlepiej, gdyż pani Biełogołowowa poprosiła mnie o lekcję. Była to pierwsza zdobycz moja, w miesiąc zaś później — kolega Zienkowicz oznajmił mi, że pan Wasiljew ze sfery kupieckiej, letni już mąż młodej i przystojnej żony, a szwagier znacznie ładniejszej od niej siostry jej, zanotował adres mój, dopytując się jednak bardzo o wiek mój i kwalifikacje moralne. Musiał zaspokajające atestacje otrzymać, gdyż u pp. Wasiljewów lekcje rozpocząłem pod surową kontrolą głowy rodziny, nie opuszczającego sąsiedniego pokoju przez czas lekcji; trwało to jednak niedługo, z czasem zaś nawiązał się z rodziną tą zacną stosunek najżyczliwszy, a rozstanie się z nimi łzami oblewałem. Dla charakterystyki ludzi tych oraz wzajemnych stosunków z Polakami, muszę dodać iż wszystkie prawie posady w domu tym zajęte były przez wygnańców naszych: i tak oprócz nauczyciela muzyki, lekarzem domowym był Władysław Sypniewski, nauczycielem dzieci — Feliks Zienkowicz, zarządzającym dworem — Klimontowicz, służącym Boczenas, Żmudzin, a stangretem Mazur — marszałkowicz z Białorusi Słuczanowski; kiedy tego ostatniego, gdy po mnie przyjechał, po koleżeńsku powitałem, prosił mnie, by mu życzliwości nie okazywać wobec p. Wasiljewa, gdyż mógłby miejsce stracić, gdyby się o jego przeszłości dowiedział; lęka się nawet, czyli nie wiedzą już czegoś o nim, gdyż pan Wasiljew, widząc go otwierającego okienice, odezwał się. „Czego pan się fatyguje". Do dalszej charakterystyki Anatola Jakowlewicza Wasiljewa muszę powtórzyć, jako unikat w swoim rodzaju, następującą opinię

jego: nosił się on z myślą likwidacji interesów swoich na Syberji i osiedlenia się na starość na wsi wśród lepszych warunków klimatycznych, ale „Wiem o tem — mówił — że Rosjanie mają wszelkie od rządu ułatwienia do nabywania majątków waszych, korzystać jednak z tego nie mogę, gdyż przypominałbym zanadto wilka z bajki, stanowisko zaś takie wobec otaczającego mnie waszego społeczeństwa byłoby upokarzające i spokój by mi zakłócało".

Po półrocznem pobyciu w Irkucku czas mój był już zupełnie w przeciągu dwóch lat lekcjami wypełniony: ponad trzy lekcje zrana, a czwartą po obiedzie więcej przyjmować nie mogłem, zostawiając dwie godziny wieczorne na własne ćwiczenia muzyczne u d-ra Pawłowskiego, dokąd bez względu na porę uczęszczałem, a przekonałem się, że ucząc innych, sam uczący największe korzyści odnosi. Doszedłem z czasem do tego przeświadczenia, że najważniejszem zadaniem nauczyciela jest rozbudzenie i rozwijanie samodzielności w uczniu tak, ażeby w zakresie talentu swego — większym lub mniejszym — mógł sam się kształcić i bez pomocy obcej obchodzić. Tej metody trzymając się, obowiązywałem ucznia do przygotowania kawałka muzyki, zacząwszy od ośmiu taktów najłatwiejszych, na każdą lekcję, następnie lekcja zakończona była grą na cztery ręce bez uprzedniego przygotowania albo duetów z harmoniflutem moim, także *prima vista* odegrywanych, nakoniec wykładałem praktycznie najelementarniejsze zasady harmonji jako nauki, by grający nietylko odczuwał muzykę, ale ją rozumiał. Tę metodę stale stosując, otrzymałem po dwóch latach pracy na zdolniejszych osobnikach dodatnie rezultaty. Być może, że praktykowanie podobnej metody było jednostronne, że niedostatecznie uwzględniałem technikę; wyznać muszę, iż postępowałem z całą świadomścią, nie chodziło mi bowiem o wytwarzanie w przyszłości wirtuozów, ale przedewszystkiem o obudzenie zamiłowania do sztuki i pewne ukształcenie muzyczne.

Ponieważ poczuwałem się do obowiązków składania odsetek *pro publico bono*, dwie lekcje niedzielne na ten cel przeznaczałem; jedną na rzecz szkółki parafjalnej polskiej,

bezinteresownie kierowanej przez kolegów Kalinowskiego i Mioduszewskiego, a drugą na rzecz uzdolnionego młodego Niemca. Wyznać muszę, iż pochlebiało mi bardzo, że Niemcy do mnie się garnęli: miałem trzy uczenice i dwóch uczniów tej narodowości. Zarówno jak z domem Wasiljewa łączył mnie bliski stosunek z rodziną Juryńskich z „dekabrystami" spowinowaconą: oboje byli kulturalni i skromni; mąż pracował w drukarni i litografji, żona — uczenica moja — zawzięcie muzykę uprawiała, oboje zaś stosunki głównie z Polakami podtrzymywali. Gdy los zapędził pp. Juryńskich do klimatu południowego, jeździłem niejednokrotnie na Krym, by obojga, a następnie owdowiałą uczenicę odwiedzić, gdy zaś po roku 1912 przyjemności tej musiałem sobie z powodu wieku odmówić, korespondencja trwa bez przerwy dotąd pomiędzy nami. Oprócz pięciu Niemców i trzech Polaków (doktorowa Czekotowska, Matylda Kwiatkowska, późniejsza Kossowska, i Józef Szlenkier), drugie tyle lekcyj miałem w miejscowych domach kupieckich, do sfery tej zaś należeli właściciele i administratorowie kopalni złota.

W sferze tej kupiecko-mieszczańskiej panowała dawna patrjarchalność z dodatniemi jej cechami, jak miłosierdzie, życzliwość dla sług i poddanych, gościnność dla wszystkich, ale były też pewne cechy prostackie, nieszkodliwe wprawdzie, rażące jednak europejczyka, jak naprz. używanie jednej i tej samej łyżeczki do konfitur przez wszystkich, albo wódki i papierosów podczas trwania obiadu. Do zupełnie już niewinnych należał zwyczaj składania powinszowań przy każdej niemal okazji, po odbyciu spowiedzi wielkanocnej, w rocznicę imienin i urodzin itp.: gdy raz przybyłem do staroświeckiego domu kupców Aksjonowów w rocznicę urodzin uczenicy i znalazłem się wśród licznego towarzystwa, podeszli wszyscy, by mi powinszować z powodu rocznicy urodzin uczenicy, jakgdybym był jej twórcą; w czasie obchodzenia tej pamiętnej uroczystości oglądałem — na własne oczy — młodego duchownego (popa) polkę tańczącego. Przy wyjeździe osoby bliskiej na czas dłuższy, po zwykłych pocałunkach, obecni, jakby na komendę, miejsca swoje na krzesłach zajmowali i dopiero po paru minutach takiej sjesty

podróżny w drogę wyruszał. Praktykował się nadto jeden zwyczaj pochodzenia wschodniego, a sięgający czasów pogańskich: spożywanie ryżu, ustawionego zwykle przy trumnie, następnie zaś poprzedzającego kondukt pogrzebowy, przed i w czasie pogrzebu obowiązujące krewnych i bliskich, oraz ostatni pocałunek na twarzy nieboszczyka przed zamknięciem wieka trumny. Cywilizacja przenikała tu bardzo leniwie, obok zdrowego ziarna zadużo było kąkolu, a nic w tem dziwnego, albowiem krzewicielami jej byli ludzie z tak zw. wielkiego świata, najczęściej wykolejeni, których rodzina wyprawiała ze stolicy, jako krewnych niedogodnych, otwierając im drogę do karjery na Dalekim Wschodzie przez bogaty ożenek albo zapewnioną synekurę. Innem źródłem cywilizacji — w znaczeniu ujemnem — był doroczny jarmark wschodnio-europejski w Niższym Nowogrodzie, obowiązujący każdego szanującego się kupca, skąd młodzież przywoziła fotografje Marjetek, Annetek i innych trzeciorzędnych artystek francuskich. Tak dodatnie strony dawnej patrjarchalności zacierały się powoli, ustępując miejsca importowanym wątpliwej wartości nabytkom.

W prowadzeniu handlu na wielką skalę były na Syberji praktyki nieznane w Europie. Poprzestając na niewielkiej zaliczce w gotówce, fabrykant albo kupiec hurtowny udzielał kupcom syberyjskim na dorocznym jarmarku w Nowogrodzie bardzo szerokiego kredytu, będąc zaś zgóry przygotowanym, iż nie będzie całkowicie zaspokojonym, wygórowaną ceną towar swój okładał. Przy takiej manipulacji wierzyciel, zadowolniwszy się zwykle po roku, chociażby częściowym zwrotem kapitału od rzekomo zbankrutowanego dłużnika, udzielał mu, albo powstającemu na ruinach świadomego bankruta wspólnikowi, lub wreszcie starszemu pracownikowi firmy dalszego kredytu. Zdarzało się nieraz słyszeć i to o kupcach zamożnych, że jeden dwa razy bankrutował, inny trzy razy itd., praktyki zaś podobne nietylko nie raziły, ale uważane były niejednokrotnie za pewną zręczność w prowadzeniu interesu: za wszystko płacili konsumenci! W stosunkach z Polakami kupiectwo zachowywało się nietylko poprawnie, ale nawet życzliwie, co się tłumaczyło

poniekąd wielkiem zapotrzebowaniem ludzi fachowych we wszelkich kierunkach. Najbardziej popłatną była medycyna. Lekarze nasi po świeżem ukończeniu nauk znaleźli się w Irkucku zupełnie bezbronni wobec skostniałych na urzędach synekuralnych eskulapów, gdyż ciążący nad nimi wyrok pozbawiał prawa leczenia. Społeczeństwo i nawet władza miejscowa, oceniając należycie przybyszów, wyjednała im zwrócenie praw naukowych własną pracą zdobytych, zanim jednak to nastąpiło, musieli kupować u kolegów miejscowych blankiety na recepty ze znanemi aptekom podpisami. Lekarze nasi, jako praktycy i jako ludzie, cieszyli się wielkiem wśród miejscowego społeczeństwa uznaniem. Każdy nieco zamożniejszy dom familijny miał takiego domowego lekarza, którego roczne honorarjum do 400 rubli wynosiło. Narówni z lekarzami wybitne miejsce zajmowali adwokaci: Michał Kossowski, wychowaniec Uniwersytetu Petersburskiego, i Herman Hein, były deputat z wyboru przy Sądzie Głównym w Kijowie, obaj porządni ludzie. Po medycynie i adwokaturze, oceniając wedle praktykowanej taksy, następowały lekcje tańców, francuszczyzny, muzyki i wkońcu przedmiotów naukowych. Względem tych nauczycieli wyszło „surowe“ rozporządzenie ministerjalne, pozbawiające ich prawa nauczania, które nam gremjalnie ad hoc zebranym sumiennie odczytano; wślad za tem jednak zwrócił się policmajster do mnie ze słowami „Wszakże to pana nie dotyczy, gdyż nie uczysz dzieci, a tylko dorosłych“, wskazując sam kolegom moim drogę do podobnych wybiegów. Odczytywanie owego „najsurowszego“ rozporządzenia ponawiano nam parę razy w ciągu roku z jednakowym zawsze skutkiem. Za lekcje tańców płacono 5 rubli za godzinę, za język francuski 3 ruble, za muzykę od 2-ch do 3-ch, za przedmioty naukowe znacznie słabiej.

Oprócz domów przyjacielskich Wasiljewów, Juryńskich i Maacków, z którymi stosunek odnowiłem, musiałem mój harmonieflute prezentować od czasu do czasu na salonach p. Laubego, dobrego muzyka, pośród „śmietanki“ tak z kupieckiego jak i urzędniczego świata, nie mogąc od tych zaprosin wykręcić się. W tym jedynym salonie, muzyce po-

święconym w Irkucku, sześć osób stale się popisywało: doktorowa Mackiewiczowa[33]), Władysław Bogusławski[34]), gospodarz domu[35]), wszyscy troje dobrzy pianiści, następnie trzech skrzypków: Poradziński, wygnaniec polityczny, bardzo dobry wirtuoz, i dwóch Rosjan miejscowych, Redrow i Laubry, z których pierwszy grał na altówce; jakkolwiek kompletu — bez wiolonczeli — być nie mogło, na brak ten nie zważając, wykonywano utwory symfoniczne na fortepianie na cztery ręce, skrzypkowie zaś odgrywając każdy swoją — z orkiestry wyjętą partję, wzmacniać mieli efekt fortepianu; przy takiem dublowaniu jednych głosów z pominięciem innych, utwór muzyczny nie mógł się w całej pełni przedstawić, ale robiono co można było, ku zadowoleniu tak grających jak i niewybrednych słuchaczów. Przerwę pomiędzy większemi utworami orkiestralnemi wypełniał mój instrument, dzięki zaś nowości, a może „pałeczce" w ustach, jako pewnemu curiosum byłem pobłażliwie słuchany i na następną niedzielę zawsze zapraszany. Prócz wymienionych wyżej pani Mackiewiczowej i Bogusławskiego, lekcje muzyki zatrudniały kolegów: Klimowicza z Nowogródka, Apolinarego Hoffmeistra z bardzo znanej rodziny w Brzeskiem[36]), i Napoleona Obuchowicza[37]).

Po wymienieniu już przeze mnie przyrodników, członków Towarzystwa Geograficznego[38]), lekarzy, adwokatów oraz nauczycieli, należy się wspomnienie również pracownikom na innych polach. I tak z liczby kilku aptekarzy wyróżniali się: Gorecki z Ukrainy i Wiktor Bogusławski; handlem zajmowali się: Szymon Tokarzewski z Lubelskiego, Józef Szlenkier z Warszawy i Kazimierz Laudyn z Litwy; fabrykę papierosów starannie prowadzili Antoni i Gustaw Gnatowscy; restaurację utrzymywał Wiktor De-Cot, stolarnię — Koperski; były przytem mniejsze handelki i rozmaite warsztaty rzemieślnicze, a wszystkim nieźle się powodziło, i zaufanie publiczności miejscowej zdobywali. Kopernicki Narcyz z Ukrainy przyjmował czynny udział w urządzeniu wystawy rolniczo-przemysłowej, na której Józef Wojsiatycz z Podlasia pasiekę w ulach ramowych eksponował, a Siedlecki przyrządzał przetwory z ulubionej na Syberji rybki.

omulem zwanej itd. Jeżeli pisarz rosyjski Maksymow, wspominając o wygnańcach polskich z lat poprzednich, stwierdził wpływ ich cywilizacyjny, to trzeba bez przesady przyznać, że wygnańcy z 1863 roku umieli tradycje te godnie podtrzymać.

Wkrótce po przyjeździe do Irkucka spotkała mnie niezwykle miła niespodzianka: zgłosił się do mnie kolega gimnazjalny Iwan Sokoł-Czemiłowski, Małorusin, z którym przed 15 laty rozstałem się w Kijowie, a który przyjechał tu po „złote runo", opuszczając na zawsze stanowisko pułkownika Sztabu Jeneralnego w stolicy. Wspomnienie stosunków naszych dziecinnych było żywe jeszcze, a spotkanie pomimo odmiennych warunków, przez los nam zgotowanych, było nader serdeczne; nie potrzebując osobiście niczego, życzliwą ofiarność jego dla kolegów, przedewszystkiem dla Wyhowskiego, wyzyskałem. Sokoł był pełnomocnikiem i osobą zaufania kupca irkuckiego Permykina, właściciela kopalni złota nad rzeką Olekmą, wpadającą do Leny o trzy tysiące przeszło wiorst na północ od Irkucka. Przy końcu września 1868 roku rozstałem się z przyjacielem Wyhowskim, który, potrzebując pracy, a będąc chciwym nauki i wrażeń, zaufał koledze memu, Sokołowi, przyjmując propozycję stanowiska bez ściślejszego określenia takowego. Z zapasem pieniędzy i produktów, niezbędnych na cały okres zimowy, wyruszyli obaj razem z Irkucka pocztą do Wiercholeńska nad Leną, następnie zwykłym statkiem z biegiem tej rzeki, a gdy się z lodem spotkali, pozostałą podróż konno odbywali, obciążając grzbiety końskie ludźmi i bagażem. Wyhowski wprawę miał we wszelkich zajęciach praktycznych i dużo pomysłowości, używany przez to przez swego zwierzchnika w czasie podróży do najrozmaitszych czynności, jakby dla wypróbowania osobnika, gdy zaś na miejsce przybyli, otrzymał posadę najniższą. Owóż Wyhowski, po przebyciu kilku rozmaitych funkcyj, przy końcu roku był już pomocnikiem zarządzającego kopalnią, a po dwóch latach pracy na tym stanowisku zarobił sobie na opędzenie kosztów powrotu do kraju i na dalsze — przerwane — kształcenie się naukowe.

Tak jak odporność organizmu fizycznego chroni od chorób, tak odporność charakteru zabezpiecza od pokus, na jakie jesteśmy w życiu narażeni; prawda ta bardziej się jeszcze uwidoczniała wśród anormalnego położenia, w jakiem wygnańcy się znajdowali: w sferach kupieckich i mieszczańskich na Syberji, przy niskim ich poziomie kulturalnym. Zamiłowanie do kart i trunków prowadzi często do roznamiętnienia i kończy się chorobą; do rozrywek tych męskich głównych, jeżeli nie jedynych, popychała z jednej strony gościnność sfer kupieckich, z drugiej zaś łatwość towarzyska ludzi cywilizowanych: owóż przyjaciel mój nie rozpił się, nie praktykował karciarstwa i nie ożenił się z Sybiraczką, chociaż się kochał i to pierwszą miłością: od tego wszystkiego ochronił go charakter, którego moc była tak wielką, że po tylu przejściach w życiu podążył do Gandawy, nauczył się tam po francusku, złożył w języku tym egzamin i z odznaczeniem politechnikę gandawską skończył. Sześć lat następnych praktykował Wyhowski w fabrykach Malcowa w gub. orłowskiej przy budowie wagonów ze szkodą dla siebie, zważywszy na wiek młody i nieodpowiednie dla europejczyka otoczenie, a śmiem powiedzieć, ze szkodą i dla społeczeństwa. Losu podobnego doznawali wciąż najlepsi i najwybitniejsi Polacy przez całe pół wieku po r. 1863, poszukując pracy śród obcych albo poprzestając na stanowiskach najniższych i najzupełniej nieodpowiednich: historyk Korzon i matematyk Kwietniewski pracowali jako urzędnicy w biurach drogi żelaznej, Kopernicki, wyrugowany z gimnazjum, utrzymywał się z trudem w progimnazjum, filologa Kryńskiego przerzucał dyrektor II gimnazjum warszawskiego z jednego przedmiotu na drugi, braki specjalistów wypełniając, itd. bez końca. Nie mogąc znaleść odpowiedniej dla swych uzdolnień pracy w kraju, marnował się Wyhowski w Odesie, gdzie zjadła go choroba.

Dzięki temu zaufaniu, jakie zdobył Wyhowski, kolega mój gimnazjalny, Sokoł, ofiarował również kilka innych posad kolegom politycznym, pomiędzy innemi Władysławowi Witwickiemu i Lambertowi Nejmarkowi, jako najbliższym moim po Wyhowskim. Pierwszy z nich z drogi tej dotąd

nie zszedł, pracując obecnie (1915) r.) od trzydziestu przeszło lat, jako dyrektor Akcyjnego Stowarzyszenia Uralskiego, w okolicy Czelabińska, zabezpieczył materjalnie w kraju matkę i rodzinę, ale niestety od wpływów otoczenia samego siebie ochronić nie mógł, sytuację dramatyczną na całe życie stwarzając; obecnie ojciec licznej rodziny, sam będąc zacnego i przejrzystego charakteru, dzieci swoje na uczciwych ludzi wychowuje, szkoda tylko, że ojczyzna ojca obcą będzie dla nich. Nejmark kilkanaście lat w rozmaitych kopalniach pracował, a po zdobyciu znacznego kapitału, otoczony liczną rodziną powrócił do kraju, gdzie poszukiwał majątku ziemskiego, by się osiedlić; owoż nabył dobra Koćmierzów pod Sandomierzem, perjodycznie przez Wisłę zalewane, i tym sposobem zrujnował pracę całego niemal życia, zostawiając w niedostatku rodzinę; ciosu tego przeżyć nie mógł najsympatyczniejszy chyba, a najzacniejszy ten człowiek.

Do zrobionej już w rozdziale tym charakterystyki drugiego mego z czasów irkuckich szlafkamrata, Wohla, dodać muszę, iż stale — po jego powrocie do kraju — łączył nas stosunek przyjazny. Bibljotekę swoją wyborową i cały kapitał, dziesięcioletnią pracą w Irkucku zdobyty, przeznaczał on dla społeczeństwa polskiego, do którego całą duszą przylgnął, los jednak inaczej w tym razie rozrządził; książki w porę wywiezione przez przyjaciół będą kiedyś zdobiły publiczną bibljotekę w Warszawie; 20.000 rubli posiadła Akademja Krakowska z obowiązkiem wypłacania odsetków „włościaninowi polskiemu albo Żydowi po polsku o Polsce piszącemu", lecz prawie drugie tyle dostało się krewnemu, z którym Wohl za życia swego stosunków wszelkich unikał. Nie jednemu Wohlowi zdarzało się, iż chcąc legat „zaokrąglić", odkładał wciąż zrobienie w porę rozporządzenia. Podobny brak przezorności popełnił również zmarły w Krakowie na wygnaniu biskup wileński, Krasiński, przeznaczone zaś przezeń dla Akademji Krakowskiej 100.000 rubli dostały się rodzinie, z którą Biskup za życia stosunków mieć nie chciał i nie miał. Wohl, lubo miał wielką skłonność do stworzenia życia rodzinnego, pozostał w stanie kawalerskim. Mógł on tylko Polkę pojąć za żonę, w takim jednak razie musiał-

by religję zmienić, nie zyskując w tym wypadku uznania wśród Polaków katolików, a tracąc ten dodatni wpływ, jakiego śród Polaków wyznania mojżeszowego zaznawał. Pogrzeb Wohla w roku 1909 w Warszawie zgromadził na cmentarzu żydowskim inteligencję obu narodowości, co dało powód przemawiającemu profesorowi Askenazemu powiedzieć, iż: „Patrząc na to zgromadzenie, nie wiadomo, czy Polacy chowają Żyda, czy też odwrotnie".

Oprócz wspólnych, każdy z nas trzech miał osobistych przyjaciół, przeto zebrania niedzielne u nas w mezoninie przy ulicy Trzeciej Sołdadeckiej w domu Bykowowej były dość liczne. Odwiedzali nas koledzy usolscy jak i zabajkalscy. Do najwybitniejszych z tych tych ostatnich tak pod względem inteligencji, jak i charakteru nieskazitelnego, należeli: Witold Giedroyć, Benedykt Dybowski i Karol Stankiewicz (z Litwy), Stanisław Kietliński z Korony i Marjan Dubiecki z Wołynia. Z Giedroyciem i żoną jego zaprzyjaźniłem się później w Wiatce, a przez nich z siostrą Giedroyciowej, Kotwiczową, i szanowną rodziną profesora Marjana Zdziechowskiego, z Kotwiczówną ożenionego, w Krakowie. Dybowskiego zna cała Polska, jako pierwszorzędnego przyrodnika i profesora na Uniwersytecie Lwowskim. Ze Stankiewiczem zbliżyła mnie podróż, wspólnie z Irkucka do Wiatki odbyta, pobyt w tem mieście, a następnie w Warszawie, gdzie, jak tylu innych uzdolnionych i naukowo ukształconych, marną posadę archiwisty w Banku Handlowym zajmował i tam w 1898 r umarł. Kietliński dźwigał ciężką taczkę adwokacką w Warszawie, załatwiając bezinteresownie sprawy wszystkich kolegów, Dubiecki żyje dotychczas, jako znany w kraju i ceniony historyk i publicysta.

W liczbie przybyłych z kopalni zabajkalskich znajdował się wyżej już przeze mnie wyróżniony kolega z gimnazjum i więzienia Bolesław Morgulec, dwaj powszechnie szanowani Koroniarze „recydywiści": Szymon Tokarzewski i Gerwazy Gzowski, Bolesław Bortkiewicz ze Żmudzi i Edward Czapski, były właściciel skonfiskowanych Kiejdan.

Ogłoszona w drugiej połowie roku 1870 amnestja, obejmująca pewne kategorje wygnańców, do których i ja nale-

żałem, pozwalała nam przenieść się z Syberji do Rosji europejskiej. Ofiarowano mi do wyboru gubernje permską i wiacką; zważywszy, że w gubernji wiackiej zamieszkali towarzysze: Giedroyciowie z żonami, Gieysztor, Bolesław Oskierka z rodziną, Obuchowicz, bracia Wielhorscy (Michał i Mieczysław), że brat mój Henryk od pół roku w powiatowym Orłowie przebywał, że również w samej Wiatce oddawna rezydował biskup Krasiński, sam dobór towarzystwa decydująco na wybór gub. wiackiej wpłynął. Jakoż 7 stycznia 1871 roku pożegnałem przyjaciół i kolegów, z żalem wielkim, ale i nadzieją spotkania się z nimi w kraju przy warsztacie narodowym. Pożegnanie z uczenicami było również serdeczne przy wymianie fotografij i upominków. Rodzina Wasiljewów wyprawiała mnie w drogę jakby krewnego: pan Anatol obdarzył mnie saniami wymateracowanemi wewnątrz, ze spuszczającym się z budy wojłokiem, łączącym się z takim samym fartuchem, pani Ludmiła zaś i panna Eliza zaopatrzyły mnie w obfitą prowizję w dużym worku podróżnym, na którym wyhaftowany „symboliczny“ psa wizerunek, składał wymowne świadectwo uczuć tych dobrych niewiast. Pożegnanie to nie było jednak ostatniem, po przejeździe bowiem z kolegą i towarzyszem podróży na stację pocztową najbliższą, zastaliśmy tam kilku przyjaciół, a z miejscowych pana Juryńskiego i najstarszego z uczniów moich, Hoffmana, żegnającego mnie w imieniu wszystkich. Pożegnanie to nie było wedle zwyczaju rosyjskiego oblane szampanem, ale odbyło się przy skromnej herbatce i serdecznej gawędce, a było już ostateczne.

Przestrzeń pomiędzy Irkuckiem a Wiatką, trzy tysiące kilkaset wiorst wynoszącą, przebywaliśmy w ten sposób, iż pierwszą noc spędzaliśmy w drodze, każda zaś druga noc na wypoczynek była przeznaczona, sama jazda więc zabrała nam dwadzieścia kilka dni czasu, a ponieważ na trzy dłuższe wypoczynki użyliśmy piętnaście dni, podróż przeto cała czterdzieści — mniej więcej — dni trwała, zakończona ostatecznie w Wiatce w drugiej połowie lutego 1871 roku. Co do wspomnianych wypoczynków, pierwszy z nich, dwudniowy, wypadł w mieście Krasnojarsku, gdzieśmy pomiędzy innymi

zastali kolegów Chmielewskiego z Litwy, syna prezydenta, i ojca lekarza bardzo znanego i szanowanego w Warszawie i Nałęczowie dr. Konrada Chmielewskiego; drugi wypoczynek, także dwudniowy, wypadł na stacji pocztowej — po całonocnej walce z zamiecią śnieżną — na stepie Barabińskich, znanym mi dotąd tylko z geografji, a który o włos tylko jeden nie stał się grobem moim; trzeci nareszcie jedenastodniowy wypoczynek mieliśmy w warunkach wygodnych i przyjemnych u przyjaciela mego, doktora Missuny, który dzięki staraniom krewnego swego Poklewskiego osiadł na stałe w Tiumeniu, sprowadzając tam z kraju ciotkę i dwie siostry.

Ofiarowane mi w Irkucku na drogę sanie okazały się praktyczne: zwyczajem podróżujących Sybiraków leżeliśmy na poduszkach, mając również poduszki z boku i w plecach. Używaliśmy stale trójki koni, czwartego zaś dodawano nam w czasie zamieci, doprzęgając go na przemian z lewej strony lub z prawej stosownie do potrzeby dla wyciągania z głębokich wybojów, które się na wielkich arterjach syberyjskich w czasie zimy tworzyły. Głęboki śnieg, jaki nas u wstępu do gubernji wiackiej powitał, był przyczyną, iż jazda trójką okazała się niemożliwą, ostatnie więc parę dni zaprzęgano konie wzdłuż pojedyńczo, co na Litwie nazywają „szydłem", miłe zaś wspomnienie zachowałem o odbytej w podobny sposób wycieczce z Wilna do pp. Balińskich z Bronisławem Zaleskim.

Klimat w gubernji wiackiej do niezdrowych zaliczają z powodu, iż — za wyłączeniem jedynie strony wschodniej od Uralu — otwartą jest na wszelkie zmiany wiatru czasem parę razy w ciągu jednego dnia. Główną część ludności miejscowej stanowią Słowianie, potomkowie wysiedleńców z Rzeczpospolitej Nowogrodzkiej, następnie idą plemiona mongolskie z Azji, a więc Wotiacy, Czeremysi, Mordwa itd.; ci ostatni, w lasach nie zawsze dostępnych zamieszkali, choć w statystyce figurują jako prawosławni, praktyki swoje pogańskie odbywają: wchłaniają ich — powoli wprawdzie, ale bez przerwy — zdobywcy Rosjanie, kwestja tylko, czy proces ten asymilacyjny wypada na korzyść rasy aryjskiej?

Rolnictwo, ograniczające się do uprawy żyta, owsa i jęczmienia, i przemysł drzewny, stanowią główne zajęcie mieszkańców; z warzyw — kapusta i kartofle przeważnie są uprawiane, sadów owocowych zgoła tu niema. Miasto Wiatka, jak wszystkie gubernjalne, ma ulice niebrukowane, trotuary, chciałem powiedzieć kławisze, drewniane, domy w mniejszości tylko murowane; ogród publiczny, z paru setek wysokich brzóz złożony, gniazdami kruków i wron ukoronowany, jest całkie ażurowy. Jedyną orzeźwiającą w czasie lata, do ruchu i życia pobudzającą, jest piękna rzeka, która gubernji nazwisko swoje dała. Kolega Stankiewicz zajechał do Giedroyciów, gdzie spodziewał się spotkać przybyłą z Litwy narzeczoną, pannę Wierzbowską, a ja zatrzymałem się w jedynym w mieście hotelu, przez szweda Posjeta utrzymywanym. Od gubernatora zależało zatrzymanie mnie w mieście gubernjalnem lub wysłanie do powiatu, owoż nietylko zgodził się na pierwsze, ale i bratu memu Henrykowi[12]) na przeniesienie się do Wiatki zezwolił; kto gubernatora tak życzliwie dla mnie usposobił, domyśleć się tylko mogłem, nic zgoła pewnego nie wiedząc.

Doczekałem się też po siedmioletniem niewidzeniu brata Władysława, który mi żałobną wieść o śmierci ojca, zaszłej przed dwoma miesiącami, przywiózł. Gdyby nie koniec taki, oglądałbym sędziwego ojca w Wiatce, dokąd na pierwszą wiadomość o moim powrocie do Europy wybierał się. Miejsce zgasłego ojca zastąpił brat mój Władysław, który przez cały czas więzienia i wygnania opiekował się — wspólnie z ojcem — tak osobą, jak i interesami memi. Orzeźwiającą dla nas była całotygodniowa bytność w Wiatce brata (i europejczyka) po tak długim na Wschodzie pobycie. Odjechał w połowie maja, futrem przez nas okryty, a w rok potem i drugi brat i towarzysz mój wiacki, Henryk, uzyskawszy po przebyciu obowiązkowych dwóch lat względną wolność, przez Ukrainę do Karlsruhe podążył.

O ile zmniejszenie kary i określenie czasu było — jako takie — wielką ulgą, warunki pobytu naszego w europejskiej Wiatce były bardziej krępujące od syberyjskich: korespondencja nasza podlegała cenzurze tak, jak w katordze, nie

wolno było wydalać się za rogatki miejskie bez pozwolenia, musieliśmy przytem meldować osobiście obecność swoją raz na tydzień w policji. Nowa amnestja w roku 1872 przywracała nam prawa, szlachcie przysługujące, swobodę naszą znacznie rozszerzając, pamiętnym zaś był tak dla wygnańców, jak i dla mieszkańców Wiatki ów dzień, w którym wymundurowany policmajster składał wizyty Giedroyciom i Wielhorskim, winszując im odzyskanych tytułów.

Nie zawiodłem się w wyborze gubernji wiackiej na mieszkanie, gdyż oprócz brata, znalazłem się w towarzystwie, przeważnie z usolskich i irkuckich kolegów złożonem, a w kilku domach familijnych zogniskowanem. Do kategorji tej należały rodziny Mikołaja i Witolda Giedroyciów, Karola Stankiewicza i Bolesława Oskierki; następnie był na wpół familijny dom Wacława Kotlewicza z Ukrainy, któremu towarzyszyły z dobrej woli niemłode już siostry, oraz dwie rodziny polskie nie należące do politycznych: Rodziewiczów z Litwy i Okraszewskich z Wołynia[43]). Znaczniejszą była liczba nieżonatych. Leopold Czapiński[44]) i Billing z Korony, Neiding i Pollak, Polacy mojżeszowego wyznania, oraz osławiony Oskar Awejde z Warszawy[45]), przedstawicielami Litwy, Żmudzi i Białejrusi byli: biskup Krasiński, kanonik Frąckiewicz[46]), ksiądz Lidejko, Michał Elwiro Andriolli[47]), bracia Wielhorscy[48]), Obuchowicz i Bortkiewicz[49]). Ruś Ukraińską wreszcie oprócz braci Iwańskich przedstawiali Maciej Jackiewicz, geometra, i Mikołaj Auderski obaj oficjaliści z Białocerkiewszczyzny.

Tak liczne w jednym punkcie zgromadzenie wygnańców sprzyjało rozwojowi życia towarzyskiego. I tak u Oskierków, gdzie były dwie panienki, tańczono od czasu do czasu, u Okraszewskich i Witoldostwa Giedroyciów, gdzie były znośne fortepiany, muzykę uprawialiśmy; i w moim apartamencie kawalerskim muzyka kwitła, przychodził bowiem do mnie Michał Wielhorski na lekcje przyjacielskie gry fortepianowej, a Obuchowicz na wspólne ćwiczenia harmonijne, któreśmy sobie nawzajem poprawiali, nadto, zważywszy, iż fortepianik mój kształtu stolika był lichy, grywalem u siebie w domu na harmonium, które stale pamię-

tający o mnie przyjaciel, Karłowicz, przysłał aż do Wiatki. Instrument ten przeniosłem zczasem do mieszkania sędziego miejscowego, dobrego muzyka, Alenicyna, gdzie grywaliśmy Bacha przy udziale dobrej pianistki a miłej bardzo i młodej damy ze sfery kupieckiej, pani Antoniny Prozorowej, z którą znowu w jej domu — trzeci koncert Beethovena na dwóch fortepianach wykonywaliśmy, nie chwaląc się, wcale poprawnie.

Do najmilszych z zebrań zaliczyć należy posiedzenia w bardzo ograniczonej liczbie osób u biskupa Krasińskiego, gdzie przygotowywały się wydane później w Krakowie „Synonimy", w tworzeniu których i my zaproszeni względny udział przyjmowaliśmy; mówił zwykle Biskup dany wyraz, pewne pojęcie określający, dobierał doń wyrazy pokrewne, tworząc w ten sposób cały ich szereg z zachowaniem w definicjach cieniowania od najsłabszego do najsilniejszego przy odwoływaniu się wciąż do powagi najlepszych pisarzy naszych z wieku XVI i XVIII, których Pasterz z pamięci recytował. Posiedzenia powyższe odbywały się w czasie postu adwentowego i wielkiego, pozatem urządziliśmy się tak, ażeby Biskup miał codzienną partję kart, którą namiętnie lubił. W zwykłym odwiecznym wiście Biskup zmiany porobił i nazwał grę tę, rzekomo swojego utworu, „Cayenną" przez aluzję do znanego miejsca deportacji w Guyanie francuskiej. Namiętność Biskupa do kart w zestawieniu z wielką powagą osoby wytwarzała momenty arcykomiczne, sama prze się jednak niewinną była, gdyż grywał „na pacierze", przytem pilnował, by zabawa północy nie przekraczała.

„Czy wie Pasterz[50]), że Witold 80 pacierzy przegrał?" odezwałem się kiedyś, na co mi odrzekł, uśmiechając się: „Daj Boże, by choć jeden odmówił". Gdy północ się zbliżała, a Biskupowi chciało się dłużej w karty zabawić, zwykł był robić zarzuty zegarkowi swojemu, odwołując się przytem do partnerów; następowała konfrontacja zegarków, wynik której nie mógł być wątpliwy dla Gospodarza, który wtedy odzywał się: „Jeżeli koniecznie chcecie, możemy jeden robr jeszcze zagrać". Grając kiedyś zemną w parze, zerwał się z krzesła gwałtownie i w postaci tragicznej krzyknął: „Ja

tę damę pikową trzymam jak relikwję, a pan w trefle wychodzisz"!

Do nastroju wesołego, jaki w czasie tych wieczorów u Biskupa panował, przyczyniała się niemało obecność księżnej Witoldowej Giedroyciowej; zjawiała się zwykle w dni świąteczne w sukni koloru biskupiego (fioletowej), Gospodarz domu ustępował jej pierwsze miejsce, wręczając — niby berło — kluczyk od cukiernicy i prosząc o przyjęcie roli gospodyni; odznaczeniem takiem rozpromieniona, pani Witoldowa, znając skłonność Biskupa do oszczędności, rozporządzała cukrem tak oględnie, że tak mąż jej jak i ja prosiliśmy ją zawsze o kawałek dodatkowy (czyniliśmy zaś to wtedy, gdy cukiernica była już zamknięta), który był nam oczywiście dawany wraz z wymownym wyrzutem. Srodze dokuczałem pani Witoldowej, że mężowi, pracującemu w charakterze ekonoma rolnego (po wyjeździe Wielhorskiego) na folwarku odległym, odmawiała w dnie postne mięsa, ale też za swoje odebrałem, będąc oskarżony przed Biskupem, że wraz z jej mężem Renana czytamy; fakt zaś był taki, że Witold traktował mnie tym autorem, a ja w przekładzie rosyjskim czytać go nie chciałem, odkładając to do spotkania się z oryginałem. Rozmowę naszą, w lot pochwyconą, zakomunikowała p. Witoldowa Biskupowi, który, gdy przyszedłem mu powinszować imienin, wypalił mi cały traktat o Renanie, chociaż do rozmowy tej powodu nie dałem, i tak się zapędził, że do zarzutów temu autorowi czynionych należał i ten, że był z pochodzenia Żydem co, o ile wiem, nie jest zgodne z prawdą. Gdym niezwłocznie po wyjściu od solenizanta znalazł się u Mikołajostwa Giedroyciów, gdzie i Witoldostwa zastałem, i gdy im o tem, co mnie u Biskupa spotkało, opowiedziałem, zauważył Witold, że i on przed paru dniami podobną admonicję od Pasterza otrzymał, wzrok zaś nas obu skierował się mimowoli ku pani Witoldowej, która wielkie zaniepokojenie zdradzała, wyrok sama na siebie wydając. Słysząc od kanonika Frąckiewicza, zajmującego w domu Biskupa apartament, iż zwykł był Mszę św. w kaplicy biskupiej o 7-ej rano odprawiać, pani Witoldowa bez względu na porę roku i temperaturę dzwonek tuż pod oknem Ka-

nonika codziennie o tej godzinie poruszała, a zdarzało się jej nieraz wyczekiwać na otwarcie furty, dokuczała więc Kanonikowi, że o 7-ej nie znajduje się przed ołtarzem, albo że w dni świąteczne polowaniem się zabawia. Ale i Kanonik dłużnym nie zostawał; „Pani mi przeszkadzasz w spełnianiu Ofiary świętej, zagarek swój nakręcając bez względu na ważność chwili, naprzykład w czasie podniesienia" — zarzucał jej, na co zaperzona Witoldowa odpowiadała, iż „zegarek swój musi koniecznie w jednej i tej samej porze nakręcać, bez względu na warunki, w jakich się znajduje" i t. d. bez końca... Przekomarzania zaś te nieustanne przy spotkaniu się tak ze mną jak i z Kanonikiem nie wpływały ujemnie na stosunki nasze, gdyż, pomimo śmieszności, wszystkim bigotkom właściwej, pani Witoldowa, co nie zawsze chodzi w parze z bigoterją, prawdziwą dobroć w sercu swem pielęgnowała i tem sobie ludzi zjednywała.

Na kilka miesięcy przed upływem terminu mego dwuletniego otrzymałem urlop na czteromiesięczny pobyt na Ukrainie. Wrażenia z czasu tego w łączności z temi, jakie odczuwałem po ostatecznym już w roku następnym powrocie do kraju w przeciągu lat przeszło czterdziestu, znajdą miejsce swoje, o ile mi siły na odtworzenie obrazu tego pozwolą. Na teraz powiem, że po powrocie z urlopu w styczniu zostawał już tylko niecały miesiąc na pobyt mój obowiązkowy w Wiatce, którą w połowie lutego 1873 roku opuszczałem, skierowując drogę na Dorpat dla podziękowania mieszkającemu tam bratu Konradowi za starania przezeń podjęte o ulżenie mi kary na wygnaniu, następnie dążąc na Litwę do przyjaciela mego Jana Karłowicza. Znalazłszy się tam, w atmosferze europejskiej, tydzień cały rozkosznie wypoczywałem, poznałem przytem panią Irenę Karłowiczową, osobę pełną powabu a przedewszystkiem nieskończenie dobrą, która przez długie następne lata darzyła mnie przyjaźnią i wreszcie skłoniła do nakreślenia pamiętników tych dla rodziny i przyjaciół.

Ze Święciańskiego wśród ciężkich warunków w wagonach klasy trzeciej, a jednak z radością, wlokłem się cztery

doby do Odesy, dokąd po 10 latach tułaczki pierwszych dni marca 1873 roku na stałe mieszkanie przybyłem.

Jeżeli czytająca publiczność otaczać zwykła sympatją fikcyjnych bohaterów powieści i romansów, o ileż na większe zainteresowanie zasługiwać powinni ludzie realni, którzy być może do bohaterstwa nie dorośli, przeszli jednak w życiu przez ciężką walkę i nie upadli! Powyższe względy skłoniły mnie do wydobycia z kryjówki wspomnień osobistych dla przekazania pokoleniom następnym drogich dla mnie sylwetek tych ludzi, którzy — bądź co bądź — ideały narodu swego w danej chwili przedstawiali.

W czasie chwilowego pobytu mego na Ukrainie za urlopem, jak również po ostatecznym z wygnania powrocie i stałem zamieszkaniu w Odesie, doznałem tak w mieście jak i na prowincji jak najżyczliwszego przyjęcia od pożegnanych przed dziesięciu laty rodaków.

Zamieszkała w Odesie polonja składała się: 1) z usługi domowej, rzemieślników i kupców przybyłych aż z Królestwa „po złote runo"; 2) z pracowników zawodowych, to jest księży, lekarzy, nauczycieli i t. p.; 3) z urzędników we wszystkich dekasterjach; było też kilku półpanków z Ukrainy, gdzie się zbierało towarzystwo mieszane. Pośród tej jednak atmosfery handlowo-kosmopolitycznej wyróżniały się dwa gniazda kulturalne a szczeropolskie, gdzie tak miejscowi jak i przybywający rodacy orzeźwieni i pokrzewieni zawsze znajdowali: były to domy familijne dwóch doktorów medycyny: Wacława Górskiego i Felicjana Jachimowicza.

Znalazłem w owym czasie w Odesie garstkę kolegów, którzy starali się o wynalezienie uczciwej pracy dla mnie, jakoż najpierwszą propozycję otrzymałem od Ryszarda Małachowskiego, ażebym został mentorem przy synu dorastającym, od Jana zaś Małachowskiego ażebym stanął na czele jego biura handlowego. Obu tych propozycyj przyjąć nie mogłem dla braku odpowiednich kwalifikacyj, o wiele zaś stosowniejszą dla mnie była praca, jako nauczyciela muzyki, do której po dwuletniej na tem polu praktyce tem śmielej mogłem przystąpić. Od początku roku 1873 miałem już kilka uczenic w domu pp. Wiktorostwa Iżyckich, Benedyktostwa

Kołyszków, Ludwikostwa Kownackich, Ksawerego Jasieńskiego, najcenniejsze jednak ze wszystkich było zajęcie moje z młodziutkim studentem uniwersytetu, Szczęsnym Karaszewiczem, którego serdecznie pokochałem, a teraz szanuję, jako jednego z najgodniejszych obywateli Podola.

Trzy lata trwała praca moja fachowa w Odesie, którą z powodu mającego nastąpić ożenienia w r. 1876 zakończyć musiałem.

PRZYPISY

Przypisy.

1) Do wyjątków takich należą: a) Dobra „skonfiskowane", na Podolu: Międzyborz Czartoryskiemu po 1831 r., Mińkowce Marchockiemu po 1839 r., na Pobereżu podolskiem Ładyżyn Sobańskim, w Bracławszczyźnie Granów Czartoryskiemu, Humańszczyzna Aleksandrowi Potockiemu w r. 1834, starostwo szawuliskie w powiecie humańskim Bierzyńskim po r. 1831, miasto Kaniów skonfiskowane bazyljanom, Luboml, scheda Ksawerego Branickiego na Polesiu Wołyńskiem (już po powstaniu) oraz pojedyńcze wioski, między innemi Kalinówka w pow. taraszczańskim Karolowi Sienkiewiczowi, Teleżyńce Piotrowi Kopczyńskiemu. b) Dobra „dobrowolnie" w różnych czasach sprzedane; do najznaczniejszych należy: Smilańszczyzna w pow. czehryńskim sprzedana pod naciskiem politycznym w Jassach w 1788 r. Potemkinowi, który — marząc o koronie polskiej dla siebie — potrzebował indygenatu, a więc przedewszystkiem własności ziemskiej; po jego śmierci przybysze ze rdzennej Rosji wypełnili — jako spadkobiercy — dwa powiaty czehryński i czerkaski; dobra tulczynieckie Mieczysława Potockiego; dobra duchowieństwa prawosławnego w okolicy Kijowa. O wielkich nabytkach przez Apanaże od potomków targowiczan nie wspominam, gdyż tranzakcje na dobra powyższe zostały dokonane dopiero w szóstym dziesiątku XIX w.

Kaniów. Przy sprzedaży dóbr Stanisława Poniatowskiego miasto Kaniów kupione zostało przez opata miejscowego klasztoru bazyljanów, *Fizykiewicza*, który nabytą własność testamentem przekazał miastu pod warunkiem utrzymania szkół z językiem wykładowym polskim, zastrzegając przytem, że w razie skasowania szkół i samego zakonu, zapis powyższy przechodzi na prawnych spadkobierców Fizykiewicza, potomków dwóch jego siostrzenic. Testament zatwierdzony został przez cesarza Aleksandra I, który, wysoko podnosząc chwalebność takiego zapisu, zapisodawcę obdarzył orderem. Gdy po roku 1831 tak szkoły jak i zakon zostały zniesione, spadkobiercy Fizykiewicza wszczęli proces o oddanie testamentem zastrzeżonego spadku. Sprawa oparła się o Sąd Główny w Kijowie, który praw spadkobierców nie uznał, przysądzając Kaniów rządowi. Wobec podobnej decyzji, zasiadający w Sądzie dwaj deputaci od ziemian, Gracjan Joteyko i Leonard Jankowski, wnieśli *votum seperatum*, Senat jednak wyrok Sądu Głównego zatwierdził. W skład sądu wchodzili: prezes Czernow, pierwszy mianowany przez Koronę na miejsce niezatwierdzonego przez jen. gub. Bibikowa Józefa Perro, ostatniego prezesa z wyboru, wice-

prezes Andrejewskij, jednocześnie urzędnik przy jen. gubernatorze, dwóch deputatów od ziemian i dwóch od miasta. Ciekawego czytelnika odsyłam po szczegóły do Archiwum Kijowskiej Izby Cywilnej (przed rokiem 1850). (Zmiana własności ziemskiej w gub. Kijowskiej — Kraków 1912 u Anczyca str. 135).

Luboml. Najstarszy z czterech wnuków hetmana Branickiego, tego samego imienia, Ksawery, znajdował się po roku 1831 w Warszawie; jakieś okoliczności tajemnicze, ale zgoła nie mające charakteru politycznego zmusiły go do przeniesienia się na Kaukaz na służbę wojskową, skąd zbiegł zagranicę — do Francji. Tymczasem pozostali w kraju trzej bracia, potrzebując przeprowadzić podział majątku, cztery schedy musieli utworzyć. Idąc za wskazówką, a może za pomysłem wtajemniczonego w tę sprawę szefa kancelarji jenerał-gubernatora kijowskiego Bibikowa, a wielkiego łapownika, Pisarewa, najgorszą z czterech sched Luboml na Polesiu Wołyńskiem, podlegającą, jako własność emigranta, konfiskacie, przeznaczyli świadomie dla Ksawerego, uzupełniając zaś schedę tę pieniężnie, wysyłali na rzecz brata z Odesy do Marsylji pszenicę. Pisarew miał otrzymać za tajemnicę sto tysięcy rubli, ogromną na te czasy sumę.

Tulczyn. W czasie zwiedzania przeze mnie Tulczyna w połowie wieku XIX, pod nieobecność właściciela majątku tego, Mieczysława Potockiego, miejscowy bibljotekarz i archiwista Franciszek Kowalski, krzemieńczanin a pierwszy u nas tłumacz Moliera, pokazywał mi ciekawe archiwum gospodarskie, z którego dowiedziałem się, że składane dworowi powinności od włościan nie przekraczały przed wcieleniem kraju tego do Rosji „jednego“ dnia na tydzień z każdego domu, że znaczna część włościan była już oczynszowaną i że wogóle stan materjalny ich był zadawalniający. Musiało się tak dziać w całym kraju, zważywszy, że zboża produkowano wyłącznie na potrzeby dziedzica, oficjalistów i usługi dworskiej, ale nie na eksport, lasy jako bezwartościowe eksploatacji nie podlegały, a przemysłu żadnego — oprócz domowego — zgoła nie było. Dopiero z rozwojem handlu zbożowego w drugiej ćwierci XIX w. przez Odesę, dotyczące włościan prawo „zwyczajowe“ stało się bezwzględnie obowiązującem i jako takie znalazło miejsce w prawodawstwie rosyjskiem. Prawo to zabraniało — między innemi — włościanom przenoszenia się z dobrej woli z jednego miejsca na drugie, ale pozwalało na przymusowe przesiedlenie w drodze kupna do odrębnej kategorji należących w gub. czernichowskiej i połtawskiej t. zw. ludzi dworskich, których publicznie eksponowano na rynku „kontraktowym“ w Kijowie. Pamiętam, że pomiędzy posiadaczem takich „dusz“ poczmistrzem tomaszowskim, Bogajewskim, obywatelem gub. Czernihowskiej, a moim ojcem długo trwały pertraktacje o sprzedaż przez pierwszego dwudziestu kilku dusz, które miały być we wsi Olszance osiedlone, do skutku jednak kupno nie doszło. Na Rusi Ukrainnej sprzedaż dusz bez ziemi praktykowała się w innej formie, nie rażąc nikogo wówczas, przez tak zwaną „ekscepcję“ ludzi fachowo uzdolnionych, przy sprzedaży majątku, lub przenoszenia się z je-

dnego do drugiego tego samego właściciela, za zgodą ekscepowanej jednostki, albo bez niej.

W celu ukrócenia samowoli szlachty w stosunku do włościan i ujednostajnienia w praktyce powinności tych ostatnich, wprowadzone zostały przez wielkorządcę Bibikowa t. zw. „inwentarze" w r. 1848, co było dla szlachty polskiej upokarzającem.

W czasie czynności tej utkwiła na całe życie w pamięci mojej krwawa scena, jaka miała miejsce w sąsiedniej wsi, Maryjce, gdzie się wypadkiem znalazłem. Włościanie tej wioski, spodziewając się korzyści większych, niż te, jakie im inwentarze zapewniały, burzyć się zaczęli; właściciel zaś majątku, Stanisław Iwański, sprowadził naczelnika policji, byłego wojskowego, Karwojna, Litwina niestety. Urzędy te przed rokiem 1830 były z wyborów, otoczone przeto były wówczas powszechnem zaufaniem. Otóż gdy po dobrym obiedzie biesiadnicy do kart zasiedli, na dziedzińcu operowano promotorów buntu. Dla uniknięcia wstrętnego widowiska w głąb ogrodu się schroniłem, a był to jedyny możliwy protest kilkunastoletniego młodzieńca. Dla kontrastu chociażby z powyższem zajściem, muszę przedstawić obrazek z tych czasów całkiem odmienny, charakteryzujący stosunek wielkich panów do szlachty. Władysław Branicki z Białejcerkwi, któremu jako marszałkowi ogłoszenie „Inwentarzy" poruczono, zjechał pewnego lipcowego poranku do Sorokotiahy„ przed dwór przez ojca mego zamieszkały, w negliżu, jaki się zwykle po wstaniu z łóżka używa, a była to kraciasta narzutka i takież spodnie, na które — po spożyciu śniadania — mundur obywatelski włożył i zgromadzonym przed dworem włościanom inwentarze ogłosił.

W kilkanaście lat potem spotkałem tego samego Władysława Branickiego na zebraniu sędziów pokoju, t. zw. pośredników mirowych, które pod przewodnictwem marszałka odbywało się co pewien czas w Piatyhorach, w gościnnym domu Piotra Lipkowskiego, jako w punkcie powiatowym centralnym. Zjeżdżało się tam zwykle liczne obywatelstwo dla omówienia — w pamiętnych latach 1861-62 — oprócz włościańskich, innych kwestyj szerszego znaczenia. Na zjazd ten przybyli bracia Aleksander i Władysław Braniccy; otóż ten ostatni zaraz po przybyciu, zdjął surdut i rozciągnął się jak długi na kanapie i w pozie tej dłuższy czas przeleżał. Zachowanie się takie nie było — tak w Sorokotiaże jak i w Piastyhorach — lekceważeniem rozmyślnem, gdyż tego nigdy względem nikogo nie okazywał, ale wynikało to z lenistwa i ociążałości niezwykłej tuszy osobnika. Do lekceważenia podobnego skorszym był Aleksander, który do każdego — bez względu na wiek i stanowisko — mawiał „ty", ale też nie obrażał się, jeżeli mu w podobny sposób odpowiadano, jak to niejednokrotnie — z wyraźną intencją — praktykował marszałek Szostakowski. Na wprowadzenie w r. 1848 inwentarzy wspomnianych, jak i następnie emancypacji włościan w r. 1861, odpowiedzią może być znany z historji fakt wystąpienia obywatelstwa z Litwy z projektem uwłaszczenia na sejmiku w roku 1818, który przez przybyłego ze stolicy feldjegra rozpędzony został. Nie wspominam o sporadycznych w tym

duchu objawach obywatelstwa na Rusi, poskramianych przez samego autora inwentarzy, Bibikowa. Usamowolnienie włościan w dawnych ziemiach polskich niedopuszczalne było — z punktu widzenia rządu — z jednoczesnem poddaństwem po drugiej stronie Dniepru i Dźwiny, tembardziej, że społeczeństwo rosyjskie nie było ani wówczas ani też później do takiej reformy ani chętnem, ani przygotowanem, co aż nadto — i to oficjalnie — stwierdzono w r. 1861, gdy Aleksander II, wprowadzając swoją pamiętną reformę, szukał dla niej oparcia u ziemian polskich na Litwie, i na nich się w manifeście powołał.

Mieczysław Potocki był synem Zofji, Greczynki, żony Szczęsnego Potockiego, kupionej u Witta, komendanta Kamieńca. Po rozwodzie z pierwszą żoną, Delfiną Komarówną, ożenił się Mieczysław ze słynną z piękności Emilją Świeykowską, a gdy się doczekał syna, żonę porzucił, sprawa ta jednak, popierana wdziękami żony, oparła się o stolicę, gdzie nie mogli zapomnieć Potockiemu odmowy proponowanego przez cesarza Mikołaja nabycia Tulczyna; przytem Potocki, znany jako skąpiec i chciwy wyzyskiwacz, zadzierał się z okolicznymi mieszkańcami i był w ciągłych z nimi procesach, nawet kryminalnych, jak mówiono. Samowola tego magnata nie zdradzała cech rycerskich, a była raczej świadectwem pochodzenia jego „po kądzieli". Wszystko się złożyło na to, że Potockiego — w drodze administracyjnej — zesłano do Saratowa, majątek zaś cały w opiekę oddano, zapewniając hojne alimenta pozostałym żonie i dziecku. Po rozmaitych nieudanych staraniach w celu wydostania się z wygnania, Potocki symulował śmierć, gdy jednak podstawionego nieboszczyka wieziono, ratującego się Potockiego przyłapano i napowrót do Saratowa odstawiono. Znękany gwałtem, na osobie swojej dokonywanym, Potocki oświadczył chęć przyjęcia „prawosławia" przybierając dla siebie imię Michała, a dla syna Mikołaja. Gdy i ten rozpaczliwy środek — pomimo chrztu — do celu nie doprowadził, zaproponował Potocki sprzedaż całego majątku ziemskiego do Apanaży, dzięki zaś temu otrzymał paszport emigracyjny dla siebie i syna Mikołaja, żyjącego dotąd (1914) a słynącego nawet w Paryżu z niezmiernych swych bogactw, pochodzących tak ze sprzedaży majątku w Rosji przez ojca, jak również ze spoczywających oddawna w bankach zagranicznych walorów.

2) Przy przeprowadzaniu reformy włościańskiej na sędziów pojednawczych, pośredników „mirowych", włożono obowiązek kontroli dokonanych przez włościan wyborów kandydatów na rekrutów. Gdy do tej niemilej czynności musiałem zkolei przystąpić w gminie kosiakowieckiej, uwagę moją zwrócił młodzieniec, wyróżniający się śród innych fizjonomja inteligentną, zachowaniem się, oraz strojem chociaż skromnym, ale chędogim i nieco odmiennym. Kandydat ten pochodził ze wsi Kuczkówki, do gminy kosiakowieckiej należącej, miejscowy zaś starosta objaśnił mnie, iż motywem do wyboru kandydata tego posłużył wzgląd, że nie trzymał się wioski swej, nie żył z gromadą, trudniąc się ciągłą włóczęgą, podatek jednak odeń należny przynosił najregularniej. Po rozmówieniu się następnie z samym kandydatem, dowiedziałem się, że wioskę, do któ-

rej był przypisany, porzucił dobrowolnie w poszukiwaniu lepszych zarobków w mniej zaludnionych gubernjach, gdzie znalazł się w pobliżu kolonij niemieckich i przylgnął do jednej z sekt protestanckich „Sztundą“ zwanych, a jakkolwiek tam zamieszkał, odwiedzał rodzinną wioskę corocznie dla złożenia podatku należnego, jak również zabezpieczenia środków do życia starej mieszkającej tam matce; następnie oświadczył mi, że nowa religja, którą przyjął, obowiązywała do pracy i trzeźwości, a że ani jedno, ani też drugie w rodzinnej wiosce nie praktykowało się, czuł się w niej obcym. Zainteresowany opowiadaniem tem, pełnem prawdy i prostoty, nie oponowałem wprawdzie przeciw jego kandydaturze, ale w komisji użyłem wszelkich środków, by mego sztundystę uwolnić, co też nastąpiło. Sowicie byłem za gorliwość swoją wynagrodzony, gdy po powrocie z wygnania po latach dziesięciu od byłego dzierżawcy Kosiakówki, a mego przyjaciela, Szyszkowskiego, dowiedziałem się, że protegowany mój, wyprawiony był z ogniska Sztundy jako misjonarz do gubernji kijowskiej, że dzięki wpływowi jego nietylko rodzinna, ale i okoliczne wsie przejęły się zasadami nauki propagowanej i że obecnie (r. 1873) pozyskał tylu wyznawców, iż są w stanie utrzymywać w wiosce osobny dom modlitwy oraz miejscowemu popowi opłacać się za spokojne praktykowanie nowej tej umoralniającej nauki. Dowiedziałem się przytem, iż protegowany mój był nietylko apostołem, ale został nawet męczennikiem, albowiem więziono go w Skwirze za propagandę. Co do dalszych losów samego apostoła, jak i propagowanej przezeń nauki tyle tylko dowiedziałem się, że sekta ta, srodze z początku prześladowana przez popów i policję, zostawiona jest obecnie w spokoju, i patrzą na nią przez palce.

3) Jeżeli cechą kolonizatorów we wszystkich krajach i czasach jest pewna bezwzględność, rodząca stale kolizje pomiędzy pracodawcami a robotnikami, to czynnikiem łagodzącym na Rusi podobne przeciwieństwa był melodyjny, przez wszystkich lubiany *język ruski*, praktykowany nawet przez drobną szlachtę w użyciu domowem. Dzieci szlecheckie rozpoczynały nieraz mowę w tym języku, ucząc się po polsku dopiero wraz z rozpoczęciem nauk szkolnych. Niewiasty nasze śpiewały z zamiłowaniem śliczne pieśni ukraińskie. W praktyce tej można było dopatrzeć się pewnych cech pospolitości (jeżeli nie prostactwa), gdyż język ruski nie mógł być podówczas narzędziem cywilizacji, był to jednak do pewnego stopnia cement, spajający różne stany jednego społeczeństwa. Nadmienić też wypada, że zbliżona do dworów ludność miejscowa z łatwością i bez przymusu uczyła się po polsku, a u duchowieństwa ruskiego używanie języka polskiego uważane było, przez kobiety zwłaszcza, za warunek dobrego tonu.

W czasie przeze mnie opisywanym, antagonizmu pomiędzy dwoma obrządkami łacińskim a ruskim, jak i pomiędzy językami polskim a ruskim, zgoła nie było, i współżycie dwóch latorości jednego szczepu słowiańskiego byłoby możliwe, gdyby reforma włościańska, zgodnie z pragnieniem społeczeństwa polskiego, wyrażonem w petycji do monarchy

w r. 1818, była przeprowadzoną, tak, jak to miało miejsce w pierwszych latach XIX w. w Poznańskiem. Zdaje mi się jednak, że i obecnie, tak jak dawniej, pomimo ciężkich doświadczeń z r. 1863 sympatja urodzonych i wychowywanych na Rusi Polaków mocno jest dla Rusinów wkorzenioną, przynajmniej piszący te słowa w wysokim stopniu uczucia tego doznaje.

Takie jednak stosunki patryjarchalne torowały drogę do *asymilacji mniejszości polskiej przez większość ruską* — procesowi zaś temu sprzyjały następujące okoliczności:

1. trudności odnalezienia zaginonych w czasie przejść krajowych dokumentów koniecznych dla zapisania danych rodzin w poczet *szlachty (dworjan)*,
2. koszty połączone z tą czynnością tak w gubernji jak i w *departamencie heroldji* w stolicy, gdzie się specjalni adwokaci tem zajmowali,
3. obojętność społeczeństwa, resp. marszałków (nie wszystkich jednak) wobec zapisywania nie mogącej się wylegitymować szlachty do nowokreowanego stanu tak zw. „*odnodworców*“,
4. nawyknienie ciemnej „szlachty czynszowej“ do załatwiania praktyk religijnych przez duchowieństwo miejscowe unickie, do którego nadal się *in extremis* odwoływało, po skasowaniu Unji, nieświadome następstwa, a nie będąc poinformowane w tym względzie ani przez szlachtę ziemiańską ani też przez duchowieństwo. Biedaków tych oczekiwał w przyszłości los stokroć gorszy od włościan pańszczyźnianych.

Po przebyciu wojen kozackich i szwedzkich i względnem uspokojeniu w Polsce, przerwany ruch kolonizacyjny ku Wschodowi rozpoczynał się na nowo. Posiadacze dużych obszarów chętnie oddawali ziemię osadnikom za czynsz w naturze opłacany, prawa wszakże pisanego regulującego stosunek wzajemny nie było, a tylko z czasem wytworzyło się prawo zwyczajowe, i tak trwało przez cały wiek XVIII, aż do przejścia ziem tych pod obce panowanie. Gdy w roku 1861 włościanie na Rusi otrzymali wolność z prawem wykupu ziemi, zamiary zaś społeczeństwa polskiego, by starać się u rządu o zastosowanie reformy tej względem szlachty czynszowej z powodu niewczesnego powstania spełzły na niczem, przedłużenie *status quo* w stosunkach ziemian do szlachty czynszowej stało się dla obu stron wielkim ciężarem, dając powody do ciągłych kolizyj, nieraz do gorszących procesów, oraz wmieszania się policji, a nawet siły zbrojnej. Nieszczęściom tym zapobiegł nareszcie ukaz rządowy, dopiero z końcem XIX wieku oddający szlachcie czynszowej uprawianą przez nich ziemię na wykup, za wynagrodzeniem właścicieli.

4) *Jednodworcy.* Zapisywanie po powstaniu 1830 r. szlachty na prawach czynszowych osiadłej, a nie posiadającej odnośnych dokumentów, do *ad hoc* utworzonej kategorji t. zw. jednodworców, poruszyło nietylko dotkniętych tem prawem „czynszowników“. I posesjonaci rozpoczęli zabiegi o zatwierdzenie ich szlachectwa, przyłączając do papierów swoich niezamożnych krewniaków, a nawet imienników. W stolicy i gubernjach utworzył się cały legjon improwizowanych adwokatów, na tem polu

specjalnie pracujących; często bezinteresowni marszałkowie bronili jak mogli, chociaż nie wszyscy, braci szlachty od nieuniknionego unicestwienia. Trzeba wiedzieć, że po zniesieniu na Rusi obowiązującego dotąd Statutu Litewskiego wprowadzone prawa rosyjskie zamykały przed nieszlachtą drogę do szkół wyższych, do urzędów, do wszelkiej pracy na polu publicznem; nadto nie chroniły jej od kary cielesnej.

5) Fakt poniżej przytoczony o wiele jaskrawiej ilustruje do jakiego stopnia doszło owo znieczulenie po roku 1830, o którem powyżej wspomniałem. W powiecie zwinogrodzkim (gub. kijowskiej) posiadał dobra Kobylaki zacny ze wszech miar i powszechnie szanowany Ignacy Krzeczkowski, ożeniony z Karoliną Piątkowską, podkomorzanką, nieustępującą w pobożności bratu swemu, wspomnianemu Marszałkowi. Otóż na chrzcinach *religijnych* dorastającej córki Ernestyny, po uprzednio w dzieciństwie dokonanym chrzcie z wody, na rodziców chrzestnych zaproszono: wujenkę Marszałkową z *jenerałem Rothem, obdarzonym przez rząd w r. 1831 za pogrom polaków pod Daszowem dobrami ziemskiemi w sąsiedztwie Krzeczkowskich.*

6) *Teofila Jurjewicza* nie łączyło nic — prócz nazwiska — ze Stanisławem Jurjewiczem z Białejrusi, osiadłym na Podolu po roku 1830. Komenderowany z pułku huzarów jako remontjer po kupno koni, znalazł się pan Stanisław w Berszadzie w domu Piotrowej Moszyńskiej, wdowy „słomianej“ z powodu uwięzienia w fortecy petersburskiej męża. Zbyt długie przebywanie w Berszadzie pięknego huzara musiało doprowadzić do zaślubienia przezeń niepocieszonej wdowy. Nowe to ognisko, nie przynosząc plusów — w znaczeniu społecznem — miejscowemu społeczeństwu, samo się już w trzeciem pokoleniu rozproszyło; a temu losowi uległ zdobyty przez remontjera znaczny majątek ziemski. Osierocony Piotr Moszyński ożenił się powtórnie — po powrocie z wygnania — z Wołynianką Malinowską, nie zaznał jednak szczęścia z powodu choroby umysłowej, której żona podlegała. Osiadł Moszyński w Krakowie, gdzie otoczony powszechnym szacunkiem życie dokonał, zostawiwszy kilkoro dzieci, z których żyjący Jerzy znany jest w kraju jako publicysta, a nieżyjący Emanuel w roku 1863 poległ wraz z kwiatem młodzieży akademickiej, którą Kurowski lekkomyślnie na zdobycie Miechowa poprowadził. Odwiedzałem w r. 1879 czcigodnego starca w Krakowie, skąd rzewne wspomnienia wynosiłem.

7) *Z Lubomirskim*, z którym u Hédouina po raz drugi kolegowałem, już się nigdy nie spotykałem, słyszałem tylko, iż był wykradziony przez pannę Oktawję Świeykowską, siostrę Mieczysławowej Potockiej, potem, odebrany z sideł awanturnicy, oddany był przez ojca, księcia Antoniego, do wojska na Kaukaz, następnie, że stęskniony za synem ojciec, dymisjonowany pułkownik rosyjski, wstąpił po raz drugi do wojska, ażeby dobrowolne to wygnanie z synem podzielić. Zczasem ojciec i syn powrócili do majątku swego Iwańki w pow. humańskim, nabytego od rodziny Czarkowskich, gdzie cała rodzina mieszkała. Księcia Antoniego niemłodego już, niepospolitej piękności mężczyznę, ubranego zawsze w szynel rosyjski,

nieraz w Humaniu spotykałem. Był on synem księcia Ksawerego, który sprzedając, zresztą pod naciskiem politycznym, w r. 1788 w Jassach dobra Smilańskie, perłę ukraińską, wielką krzywdę zamieszkałym na Ukrainie Polakom wyrządził, albowiem po śmierci Potemkina spadkobiercy jego, z rozmaitych stron rdzennej Rosji przybyli, rozsiedli się w dwóch powiatach naddnieprzańskich, czerkaskim i czehryńskim, zmieniając fizjognomję zewnętrzną tej części Ukrainy. Oprócz napływowych — Bobryńskich, Dawydowów, Orłowów, Borozdynów — i rozmaitych synów, część spadku po Potemkinie dostała się siostrzenicy jego Engelhardtównie, późniejszej hetmanowej Branickiej, a ostatecznie — jako posagowe Hetmanówny — przeszło do rodziny rosyjskiej Woronconów.

8) *Bałagułami* nazywano Żydów, co się trudnili przewożeniem podróżnych w brykach z budą, tak zw. krakowskich, albo na wózkach odkrytych, do czego wybrakowanych koni używali. Taką bryką odbywał ojciec mój w roku 1828 podróż do Warszawy, a ja w roku 1856 z Wilna do Rygi, o wygodzie zaś wehikułu tego świadczyć może to, iż towarzysz mój i ja mogliśmy przy zapalonej świecy głośno czytać. Ojciec mój i sąsiedzi używali bryk tych do dalszej drogi. Miejsce ich zastąpiły zczasem kształtne wyroby węgierskie z Nejtyczu, nejtyczankami u nas zwane.

9) *Do r. 1861 włościanie byli pozbawieni tego prawa*, o ile nie opłacali właścicielowi podatku *osobistego* (po rosyjsku obrok), w stosunku do uzdolnienia jednostki na swobodne prawo zarobkowania. Zdarzali się ludzie wybitni pracujący na różnych polach, którzy w każdej chwili mogli być rewokowani przez owych *właścicieli dusz*, podlegając przytem jako poddani karze cielesnej. Wywiązywały się stąd sytuacje dramatyczne, kończące się czasem tragicznie, służące niejednokrotnie za temat we współczesnej beletrystyce rosyjskiej.

10) *Równie szczęśliwym inspiratorem* innego starego kawalera umierającego w Krakowie przy końcu w. XIX., Żółtowskiego, był Edward Wojnarowicz, obywatel m. Krakowa, któremu kolonje letnie w Kochanowie dla biednych dzieci istnienie swe zawdzięczają.

11) *Świeykowskiego Leona* poznałem na zjazdach powiatowych w latach 1861 i 1862. Jako obywatel był najzupełniej poprawnym, zresztą niczem się nie odznaczył, chyba tem, że był — jak mówiono — doskonałym kucharzem amatorem, czego jednak sprawdzić nie mogłem.

12) Osobistość niezmiernie rzadka a ciekawa: pochodzenia angielskiego, *Gravay*, czy też francuskiego *Gravais*, były huzar w wojsku rosyjskiem, w czasach bałagulszczyzny w pułku, konsystującym w Berdyczowie, gdzie do spółki hulanki wyprawiali, a w końcu pułkownik żandarmów. Żona, córka pułkownika Wegelina, Niemka i protestantka, dzieci prawosławne, a więc dom całkiem kosmopolityczny. Przyczyny takiej metamorfozy w życiu tego karjerowicza nie były mi znane. Dość, że powszechnie był uważany za człowieka uczciwego, na stanowisku swojem nieszkodliwego, że stosunki towarzyskie utrzymywał z Polakami i chętnie mówił po polsku nie gorzej od Polaków odeskich, wreszcie, że tak pułkownik meloman, jak

i rodzina jego sympatyczną była dla mnie, przeto dom jego chętnie odwiedzałem.

13) *Uniwersytet Kijowski*, założony w r. 1834 i mieszczący się w kilku budynkach w części miasta, Peczerskiem zwanej, z powodu braku profesorów dla obsadzenia czterech fakultetów, oraz dla względów politycznych (konarszczyzna) prawidłową działalność rozpoczął dopiero w roku 1842 w gmachu, na ten cel przez architekta Barettiego wystawionym. Jeden z najdawniejszych studentów, Jankowski, mówił mi, że kiedy wstępował do Uniwersytetu w roku 1844, studentów było pięciuset, z których czterystu Polaków, a stu Małorusinów, stosunek ten jednakże procentowy wciąż się zmieniał, gdyż satrapa miejscowy, jenerał-gubernator Bibikow, mianowany celowo kuratorem okręgu naukowego śród młodzieży w roku 1846 i 1848 reszty dokonał, zmieniając do nieopisania stosunek procentowy młodzieży. Najpierwsi profesorowie byli krzemieńczanie. Ponieważ przeniesieni stamtąd profesorowie nie umieli po rosyjsku, język wykładowy na Uniwersytecie był do woli prelegenta zostawiony, a dopiero po kilku latach został przez język oficjalny wyrugowany. Przybyłych potem z Wilna dla obsadzenia katedr było trzech: Abłamowicz, Zienowicz i znakomity w nauce chemik, Fonberg. O dalszych losach uczelni tej sporo się znajduje w naszej publicystyce wiadomości.

14) Ponawiając w roku następnym oglądanie Dworca Zimowego, gdy mimowoli dłużej się zatrzymałem przy ogromnem płótnie Verneta, „Wzięcie Woli" przedstawiającem, towarzyszący mi malarz duński Schenk v. Holstein zauważył: *„Il a donné toute la noblesse aux physionomies polonaises"*. Rodzaj uprawiany przez Verneta przypadł do smaku cesarza Mikołaja, który ulubionego malarza dłuższy czas w stolicy zatrzymał, wożąc go ze sobą na wielkie manewry i hojnie prace jego obdarzając.

15) Czyżby to miało stwierdzać przysłowie „na złodzieju czapka gore"? Znani byli powszechnie półpankowie skwirscy, jako zacofańcy. Można się o nich dowiedzieć z przebiegu kwestji włościańskiej w pamiętnikach Bobrowskiego opisanego, jak również z zachowania się w roku 1863 wobec zmaltretowanych przez włościan powstańców (Pamiętniki Bobrowskiego II 468). Odmalował też ich Aleksander Weryha-Darowski w satyrze współczesnej „Lament skwirski", który przytaczam w aneksach. Wyszła ona w Brukseli w 1861 r. Józef Struszyński, delegat skwirskiego powiatu, miał to wyśpiewywać, przebrany za sokulskiego dziada.

Jest to naśladowanie sławnej w swoim czasie pieśni ruskiej, śpiewanej przez starowierców, w epoce reform Piotra Wielkiego:

„Narodiłsia złoj Antichrist,
Wo wseju zemliu on wsielilsia,
Na wieś mir woorużiłsia,
Stali jewo woliu tworiti,
Własy, borody stali briti,
Łatinskuju odieżdu nositi" itd.

16) *O rodzinie Komarów i Przezdzieckich.* Obok wielu rodzin szanownych znajdowały się jako kontrasty, a nawet pewną rolę w towarzystwie

odgrywały: sfrancuziały nawskroś dom Komarów i na pół francuski Przezdzieckich. O rodzie Komarów podaje Rolle (Opowiadania — serja VII), że, jakkolwiek do starej szlachty ruskiej należeli, posiadając w wieku XVI ziemię w Bracławszczyźnie, wybitnej w Rzeczypospolitej roli nigdy nie odgrywali. Z biegiem czasu rodzina ta na Litwę się przeniosła, a w części na Ruś Czerwoną. Protoplastą Komarów podolskich miał być Stanisław, jenerała Lubowidzkiego ulubieniec, towarzyszący temu ostatniemu do Petersburga, gdzie znalazł u dworu i w świecie powodzenie. Dzięki wpływom potężnego Zubowa zdjęto konfiskatę z dóbr po Czuryłach i Kossakowskich, do których Komar, jako współsukcesor, miał pewne prawa, ułatwiając mu nabycie znacznego majątku, którego nazwę z Czuryłowiec na Kurylowce przemieniono. Po powrocie z Petersburga Komar wniósł do domu swego zwyczaje odmienne, reszty zaś dokonał rozwielmożniony wówczas w zamożniejszych domach podolskich wpływ emigrantów francuskich. Z rodziny Komarów pochodziła słynna z urody i talentu Delfina, rozwiedziona żona Mieczysława Potockiego, znana z życia naszego Zygmunta Krasińskiego, jako jego Beatrice. Ta sama Delfina Potocka, dobrocią swoją i czarującym śpiewem osładzała przedśmiertne chwile Chopina. Po roku 1863 Aleksander Komar sprzedał w obce ręce polski swój majątek i z całą rodziną wyniósł się zagranicę.

Do poważnego a poważanego domu Przezdzieckich wniosła — wraz z cudzoziemszczyzną — lekkie obyczaje obca tak pochodzeniem jak i wychowaniem Lachmanówna, zaślubiając Karola Przezdzieckiego z Czarnego Ostrowia, o której jak i o siostrze jej Świeykowskiej w tekście pamiętników wspominam.

17) Po dokonanej rewolucji w roku 1830 i utworzeniu Królestwa, Belgowie przez dłuższy czas potrzebowali nauczycieli, wszelkiego rodzaju cudzoziemców, zanim swoich ludzi uzdolnili. Twórcami kawalerji w formującem się wojsku belgijskiem byli jenerał Skrzynecki i pułkownik Kruszewski, którzy przez lat kilkanaście na służbie pozostawali, następnie zaś emeryturę pobierali, o czem wiem dokładnie, gdyż odpowiednie nawet do podjęcia takowej zlecenie od Jenerała do Brukseli woziłem. Krój i kolory ułanów belgijskich wzorowane były na znanych mi z rysunku naszych polskich, o czem się naocznie przekonałem.

18) Być może, iż korygowanie starszych praktykuje się wszędzie, gdzie tylko jest młodzież, nigdzie nie przybiera takich rozmiarów, jak u nas, dzięki opłakanym warunkom politycznym. „Czemu się to dzieje — zapytywał syna mego dłuższy czas w kraju naszym bawiący uczony Anglik, Boswell, że u nas każdy młodzieniec po załatwieniu obowiązującej szkolnej nauki, myśli już tylko o rozrywkach sportowych, gdy u was nie doszedłszy jeszcze do uniwersytetu, uczeń do jakiegokolwiek stronnictwa politycznego czuje się niemal w obowiązku być zaliczonym. Takie przedwczesne politykowanie zużywa najlepsze siły młodzieńcze, zostawiając po sobie rozczarowanie i apatję, w przeciwieństwie do młodzieży angielskiej, która może być ustępuje polskiej pod względem ilości nabytych wiadomości, ale wnosi do życia czerstwość — fizyczną i moralną". Uwagę po-

wyższą bezstronnego obserwatora uwadze młodych rodaków moich przekazuję.

19) Wzięty do niewoli w bitwie pod Birżami, gdzie dowodził, *Sierakowski* został powieszony w Wilnie w roku 1863 mocą wyroku Murawiewa „wieszatiela", jenerała-gubernatora. Cechował go gorący patrjotyzm, jak i entuzjazm dla wszystkiego co dobre, a piękne. Sierakowski nie cieszył się uznaniem większości Polaków „petersburskich", odznaczających się zwykle trzeźwością oziębiającą, byli jednak ludzie — nawet wśród Rosjan, co niezwykłą tę osobistość oceniać musieli. Były protektor Sierakowskiego, minister wojny, Miliutin, na wiadomość o skazaniu Sierakowskiego na rozstrzelanie wyjednał u Aleksandra II rozkaz o zmianę kary powyższej. „Zamiana kary", termin znany powszechnie tak w sądach wojennych jak w prawodawstwie, oznaczał zamianę śmierci na ciężkie roboty. Inaczej chciał to rozumieć samowolny satrapa, przyśpieszając powieszenie Sierakowskiego.

20) Grono pupilów i przyjaciół utworzyło stypendjum imienia *Bobrowskiego* przy Uniwersytecie Kijowskim.

O ocenieniu przez społeczeństwo zasług *Horwatta* świadczy tablica pamiątkowa w kościele kijowskim. *Jankowskiego* uczciło społeczeństwo za życia, tworząc stypendjum jego imienia przy Uniwersytecie Kijowskim.

21) *Zjazdy urzędowe pośredników* i połączone z niemi konferencje komitetu (białego) odbywały się co czas pewien w Piatyhorach, jako środkowym punkcie powiatu, w gościnnym domu kolegi Piotra Lipkowskiego.

22) Trzecią część wioski Małej Berczianki posiadała jedyna wówczas w powiecie Rosjanka, panna *Towbicz*, właścicielka kilkuset morgów ziemi i około stu zamieszkałych włościan.

23) *Branicki Władysław ze Stawiszcz* jak i nauczyciel jego *Mioduszewski*, był całe życie idealistą. I tak: mordercę, który o mało życia go nie pozbawił, wszelkiemi siłami starał się od kary ochronić; ratując od utraty majątek współobywatela, pożyczył mu na warunkach najłagodniejszych 50 tysięcy rubli (dwaj inni szanowni obywatele z Pebereża po 25 tysięcy na tę pomoc dali), tymczasem ten ostatni, sprzedając w kilkanaście lat potem majątek zięciowi, długu tego „świętego", jak sam nazywał, nie spłacił, ani też na sprzedanym majątku nie zabezpieczył. Pomimo życzliwych przedstawień pełnomocnika swego Branicki machnął ręką, ubolewając z pewnością szczerze, nie nad stratą swoją, ile nad upadkiem obywatelstwa naszego. Na schyłku wieku XIX dokonane było sprzeniewierzenie miljona rubli z prywatnego biura Branickiego (w Kijowie) przez młodego pracownika tegoż biura, co kompromitowało samego szefa, człowieka całkiem uczciwego, który zawinił wszakże w wydarzeniu tem przez lekkomyślność i niedbalstwo. Poszkodowany Branicki nietylko zaniechał dochodzenia straty swojej, ale starał się powagą swoją ochronić winnych od wyroku opinji publicznej, w czem okazał się niepoprawnym idealistą.

Takim też był i nauczyciel (raczej inspirator w latach młodzieńczych) Branickiego, Mioduszewski. Osiadłszy po powrocie z wygnania, około roku 1880 w Płoskirowie, gdzie był agentem do spraw handlowych,

nigdy nie zaniedbując niwy społecznej, zetknął się z bogatym półpankiem z okolicy, dla którego kilka lat pracował — nie robiąc żadnej umowy — a tylko na sprawiedliwe ocenienie pracy swojej rachując ... aż w końcu, zmuszony okolicznościami, upomniał się — po kilku latach — o wynagrodzenie, które otrzymał w ilości wedle przekonania swego wyłożonej pracy nie odpowiadające, przejście zaś to podkopało zdrowie Mioduszewskiego w starości. Jak zwykle idealista pokonany został przez realistę.

24) *Nazwisko kozaczka tego Archip Beń.* W więzieniu i na śledztwie godnie się zachowywał — obecnie (1915) jako emeryt w rodzinnej Olszance we dworze przebywa.

25) *Taki widocznie był obyczaj szlachecki,* gdyż i ojciec mój, wyprawę swoją w r. 1831 pod Daszów w podobny sposób odbywał, z tą różnicą wszakże, iż nie powozu, ale użył do tej wyprawy brykę krakowską, wypełnioną prowizją dla powstańców.

26) Długi czas przebywał jako gumienny w dobrach Rososze, gdzie obecnie — jako emeryt — otoczony jest względami rodziny Lipkowskich, dla których pracował.

27) Monety złote były obszyte jako guziki, a w fałdach ubrania zaszyte były asygnaty; takie cztery papierki wartości stu rubli odkryłem już na Syberji ku radości właściciela przy oglądaniu garnituru łosiowego, który w ciężkiej chwili wysyłał Rudnicki na sprzedaż do Irkucka.

26) *Gdy w podobny sposób — jakkolwiek po polsku* — odezwał się do Gieysztora były prezes rządu powstańczego na Litwie, wyciągnął się jak żołnierz i terminem przez żołnierzy używanym, a po rosyjsku odparł: „Słucham Ekscelencjo!" (*Słuszajus, Wasze Prewoschoditielstwo),* zimną wodą oblewając interlokutora swego.

Inny przykład wyniosłego tonu urzędników rosyjskich, cytowali koledzy Litwini, co więzienie kowieńskie odsiadywali. Gdy ówczesny gubernator kowieński (po zacnym Polaku, Chomińskim, do Wołogdy na gubernatora zdegradowanym) Murawjew, syn „Wieszatiela", zwiedzając miejscowe więzienie, odezwał się do Edwarda Czapskiego: „A ty jak dawno tu jesteś"?, rzucił się nań więzień ze słowami: „To ty jesteś ty, a ja — graf świętego Imperjum Rzymskiego", na co otrzymał odpowiedź: „Ja i takich wieszać potrafię". *Si non e vero...* prawdopodobne jednak wydaje się, zgodne z niezmierną żywością pana Edwarda i gestykulacją w czasie rozmowy, głównie zaś dla tego, że epizod ten podniesiony został — zgodnie z moją relacją — w niewydanych dotąd pamiętnikach pani Anny z Czapskich Breziny, krewnej Edwarda.

29) W czasie niedługiej praktyki mej handlowej, zdarzyło się, iż pierwsza głowa cukru przyniesiona z miasta do sklepiku mego po obnażeniu jej ze zwykłej błękitnej bibuły i porąbaniu na drobne części wykazała — skutkiem niedokładnych wag więziennych oraz niedoświadczenia poczynającego kupca — duże „manco", dla pokrycia którego należałoby podnieść cenę pojedyńczych części towaru, licząc się przytem z tem, żeby nie zniechęcać klijentów. Nastąpiło tu starcie interesu osobistego kupca z pierwiastkiem etycznym, wynalezienie zaś miary w tym wypadku —

i innych podobnych — było sprawą zarówno trudną, jak drażliwą, wystawiając kupca na ciężką próbę. To pierwsze zetknięcie moje bezpośrednie z miarą, wagą i liczbą przeniosło mnie w przeszłość, przypominając względną wartość wygłaszanej przez szlachtę polską zasady, że „praktyka handlowa kazi szlachectwo", oczywiście (dodam od siebie), o ile obyczaj rycerski panował w społeczeństwie szlacheckiem. Hasło to przebrzmiałe zostało zastąpione u nowożytnych narodów przez inne, które wypowiedział — pomiędzy innymi — ekonomista francuski Bastiat: „że wszelki czyn rozumny — uczciwy plon wydaje", co w zastosowaniu do spraw ekonomicznych oznacza, że „interes dobrze zrozumiany kupca uczciwość w stosunki przemysłowo-handlowe sprowadza". Bez dwóch pierwiastków, jakiemi są etyka i rozum — najwyżsi czynności ludzkich regulatorowie — wrodzony człowiekowi instynkt zachowawczy, skierowuje go do egoizmu, który wyradza chciwość, granic nigdy nie mającą, a do wyzysku prowadzącą. Taką z krótkiej mojej praktyki handlowej naukę wyniosłem!

30) W czasie pobytu mego w Kazaniu sądzono kilku młodych rodaków moich, obwinionych o agitację w celu wznowienia nad Wołgą tradycyj rewolucyjnych z czasów Stienki Razina, apostoła socjalizmu za panowania Katarzyny II. Szalony ten pomysł miał na celu dywersję korzystną dla powstania polskiego.

31) *Landowski*, były naczelnik tak zwanych żandarmów warszawskich z r. 1863 uniknął śmierci dzięki protekcji żony cesarza Aleksandra II, przebywającej w Nizzy, którą matka Landowskiego tam zaskoczyła.

Hartung umarł po powrocie z wygnania w Warszawie ze szkodą dla nauki.

32) *Popowski* po powrocie z Syberji wstąpił do służby wojskowej w Austrji, był oficerem sztabu w Wiedniu, posłem na sejm i do parlamentu. Umarł w Krakowie.

Siedrocki otrzymał po powrocie do kraju posadę kasjera w kantorze zbożowym Mańkowskiego w Odesie, dzięki Tytusowi Orlikowskiemu i Janowi Darowskiemu.

33) *Drzewa Mackiewiczowa*, córka księgarza z Wilna, Zawadzkiego, bardzo niełądna i niemłoda, przybyła w zamiarze uszczęśliwienia najpotulniejszego z małżonków, cenionego jako lekarza i jako człowieka, Bronisława Mackiewicza, z którym ślub wzięła w Irkucku.

34) *Władysław Bogusławski*, wnuk Wojciecha Bogusławskiego, był później cenionym w Warszawie publicystą, krytykiem, estetykiem, a przedewszystkiem człowiekiem pewnych zasad.

35) *Laube*, karjerowicz, syn byłego ministra poczt w Rosji, ożeniony, z Komorowiczówną, córką poczmistrza Irkuckiego, a rodzoną synowicą Maurycego Komorowicza, znanego na Ukrainie jako marszałka pow. kaniowskiego. Druga córka poczmistrza K. była za doktorem Grzybowskim, urzędnikiem w Irkucku, a trzecia niezamężna. Znałem wszystkie trzy, a żadna z nich po polsku nie mówiła. W domu pp. Laubów znalazłem się na wyraźne zaprosiny, wizytą poprzedzone.

36 *Hofmeister*, wybitny obywatel z Brzeskiego, a dobrodziej osiadłych na ziemi swojej włościan, recydywista, gdyż pierwszy raz był zesłany w r. 1846. Takich recydywistów było kilku, a wszyscy z Korony: Gerwazy Gzowski, Michał Gruszecki, Szymon Tokarzewski, którego pamiętniki owdowiała żona wydała. Hoffmeister, entuzjasta czystej wody, muzykalnie i wszechstronnie ukształcony, skromny bardzo, szlachetny a niepraktyczny w życiu, po powrocie z wygnania osiadł w Krakowie.

37) *Obuchowicz* rodem „z Lipy" w Mińszczyźnie (miał wszystkie cechy moralne i umysłowe Hoffmeistra), tej samej, z której przodek jego, wojewoda smoleński, do Moskwy posłował w połowie w. XVII. Z powodu uwięzienia posła w Moskwie zachował się wierszyk: „Lepiej było panie Filipie siedzieć w Lipie".

38) *Czekanowski, Czersk, Dybowski, Hartung.*

39) *Tokarzewski* sprowadzał z Warszawy obuwie, rękawiczki i galanterję, które duży zbyt miały. Po powrocie ożenił się, umarł bezdzietny w Warszawie, zostawiając pamiętniki, które wdowa wydaje. *Laudyn* w tym samym kierunku kroczył. Po powrocie ożenił się i w Moskwie osiadł, gdzie umarł, wdowę i córkę zostawiając. *Szlenkier* pośredniczył z Warszawą w handlu futrami; ożeniony był na Syberji z angielką, umarł zaś w Warszawie.

40) *Koperski* pracował z towarzyszami nad artystycznie wykonanym ołtarzem do kościoła irkuckiego.

41) *Morgulec* po powrocie do kraju ożenił się i osiadł na wsi, gdzie w jednym miesiącu trzech synków pochował, co mu całe życie złamało. Umarł w majątku swym w powiecie berdyczowskim, otoczony powszechnym szacunkiem, zostawiając godną siebie ze wszech względów wdowę.

42) *Brat mój, Henryk*, uwięziony w r. 1863, skazany został do gub. jenisejskiej na „osiedlenie". Gubernja ta opiera się końcem północnym o morze Lodowate, południowym zaś do stepów średnioazjatyckich przylega, ostateczne kontrasty tak flory jak i fauny wykazując. Brat mój miał szansę zamieszkania w powiecie minusińskim, najbardziej południowym, gdzie pszenica dojrzewa i pszczoły, wprowadzone poraz pierwszy przez wygnańców polskich, hodują się; powiat ten wraz z południową częścią gub. tomskiej i tobolskiej uważane są za śpichlerz Syberji. Brat mój, rolnik z zamiłowania, prowadził tam w przeciągu pięciu lat gospodarstwo rolne całkiem prawidłowo, które po ogłoszeniu wspomnianej amnestji zlikwidował i do gub. wiackiej podążył, o całe pół roku mnie wyprzedzając; tyle przytem wykazał energji, że po ożenieniu się na Ukrainie z panną Jezierską, z żoną do Karlsruhe wyjechał, zapisując się tam, jako student na politechnikę; studjów tych jednak z powodu choroby żony po roku zaniechać musiał, a po długiej i bezskutecznej kuracji żony do kraju powrócił.

43) *Rodziewicz* był jedynym Polakiem z członków rady gubernjalnej; uchodził w oczach rządu za człowieka nienormalnego, podtrzymywał zaś — przez niewinne dziwactwa — opinję tę o nim świadomie, co go chroniło od wszelkich podejrzeń, pozwalając na zachowanie w domu charakteru

polskiego i wychowania dzieci w tym duchu. Inny członek tej instytucji rządowej, rodem z samego Wilna, a syn francuza, Plançon, — snać od Rodziewicza praktyczniejszy — dzieci swoje na Rosjan wychowywał. Ozdobą całkiem przypadkową tej rady gubernjalnej w Wiatce był — wcale nieprzypadkowo — zainstalowany na tem wygnaniu słynny satyryk rosyjski, Szczedryn.

Rodzina Okraszewskich składała się z ojca (sparaliżowanego), matki, 18-letniej córki Anny, oraz znacznie młodszych córki Marji i syna Adama; dom ten był jakby szkołą, do której cały dzień przychodziła dziatwa miejscowa po naukę tak przedmiotów jak języków. Jakie okoliczności zapędziły tę kulturalną rodzinę na dobrowolną aż do Wiatki tułaczkę, dowiedzieć się nie mogłem, ludzie zaś mówili, że to była afera, kupno na licytacji znacznych przestrzeni leśnych, do których pan Okraszewski dojechać nawet nie mógł nietylko z powodu kalectwa, ale dla braku jakichkolwiek komunikacji w tych miejscach, dotąd jeszcze dziewiczych. W roku 1874 cała rodzina — po stracie młodszej córki — przeniosła się z Wiatki do lepszego klimatu w Mikołajewie nad Bohem.

44) *Czapliński* z Siedleckiego po powrocie do kraju wydał w Warszawie „Zebranie przysłów łacińskich w mowie polskiej używanych".

45) *Awejde*, przez jakiś czas członek Rządu Narodowego, na rękach noszony przez stronnictwo powstańcze w Warszawie, skutkiem nie dającego się wytłumaczyć obłędu spisał — proprio moto — dzieje powstania organizacyj rewolucyjnych, wiele osób kompromitując, i takowe komisji śledczej złożył, otrzymując względnie łagodną karę, pobyt w Wiatce. Awejde stronił od rodaków, którzy też go nie szukali.

46) *Kanonik Frąckiewicz* — kapelan domowy biskupa w Wilnie — podzielał los czcigodnego swego przełożonego, a chociaż uczynił to z dobrej woli, podprowadzono go w Wiatce pod kategorję wygnańców politycznych i odpowiednio traktowano. Po powrocie do kraju został prałatem i szanowanym był przez całe Wilno. Po usunięciu biskupa Roopa, opinja wysuwała na „kandydata" Frąckiewicza, przeszłość jednak pozbawiła go infuły, na którą zasługiwał.

47) *Andriolli*, znany w kraju i ceniony ilustrator, blagier niezrównany, dzięki stosunkom z biskupem prawosławnym przyozdabiał cerkwie w malowidła, co mu znaczny dochód przynosiło. Czy — jako Włoch z pochodzenia — umiał duchem swoim ożywić skostniałą sztukę, tak zw. „suzdalską", cechującą sztukę cerkiewną dotychczasową w Rosji — tego nie wiem?

48) *Michał Wielhorski*, sympatyczny i najlepszy kolega, marymontczyk z przeszłości, pracował jako ekonom na roli (po rosyjsku „prikazczyk") w mająteczku kupca Krasowskiego, o kilka wiorst od Wiatki położonym, do którego codziennie pieszą wędrówkę odbywał, otrzymując za pracę swoją 15 rubli miesięcznie. Buchalterem u tegoż kupca był Karol Stankiewicz.

49) *Brotkiewicz*, dorpatczyk, zacnego charakteru i światłego umysłu, sympatyczny był jak większość dziwaków, dorównując pod tym względem Rodziewiczowi.

50) Tak zwykle Biskupa tytułowałem, uważając za niewłaściwe nazywanie „Ekscelencją", co mimowoli przypominało mi ośmieszoną z powodu niemożliwej francuszczyzny swojej we współczesnej satyrze „Bigos hultajski" Szczeniowskiego panią kuratorową Marszycką, która odzywała się do biskupa „Mon berger"!

51) *Do okazów ujemnych* zaliczyć muszę kolegę Zygmunta Krasickiego z Podola czy Wołynia, gdyż mówił o dobrach tu i tam jemu skonfiskowanych. Krasicki tytułował się hrabią, co nie przeszkodziło ponieść do nieznanego mu pana Maacka jakieś precjoza z propozycją nabycia ich. Dowiedziawszy się o tem bezpośrednio od pana Maacka, zrobiłem kwerendę o to, i cóż się pokazało: słyszał Krasicki, że Maack nabywał od Hartunga kolekcje owadów i dobrze za nie płacił; chcąc więc szczęścia próbować i precjoza swoje na handel wystawił. Nazywali go koledzy hrabią „ftorkiem", gdyż wyraz ten pisząc używał stale f jako pierwszej litery. Po powrocie z wygnania znalazł się na komorze celnej na Kaukazie na granicy perskiej, za usługi zaś rządowi perskiemu (nie mówił jakie) wspaniałą gwiazdę otrzymał, z którą się nam w Warszawie zaprezentował. Kołatał Krasicki przy każdej okazji u władzy o zwrot majątku, nie ominął więc warszawskiego jenerał-gubernatora Imeretyńskiego, któremu — dla poparcia sprawy swojej — ofiarował fotel, którego jakoby używał cesarz Mikołaj I w Pietniczanach, gdzie miał kwaterę swoją w czasie przeglądu wojsk pod Winnicą (sam mi to opowiadał). Przedstawiał się zwykle gubernatorom jako „hrabia Krasicki były katorżnik Jego Cesarskiej Mości", na biletach zaś wizytowych obok mitry książęcej u góry, widniał napis: „*Le comte Sigismond Krasicki, descendant des princes à Biber Biberstein*", imię zaś żony „Paulina" przetłumaczył nie wiem w jakim języku na „*Pheoulinę*"; obydwa bilety zachowałem jako *curiosa*. Znałem tego nazwiska na Ukrainie Józefa i Gracjana, właścicieli znanej powszechnie Chrystynówki; obaj ludzie skromni, nigdy się nie tytułowali i nie wynosili ponad sferę szlachecką, z której Józef sobie żonę dobrał z zacnego i dawno osiadłego na Rusi rodu Czarkowskich. Dwie siostry ich wyszły zamąż za dobrych miejscowych szlachciców, Bekierskiego i Rożniatowskiego. Syn Józefa, Herman, pojął za żonę córkę szanowanego lekarza Kwiatkowskiego z Humania.

ANEKSY

Aneksy.

I. Listy Stanisława Moniuszki do Augusta Iwańskiego.

1. *Notatka, dana przed wyjazdem do Petersburga.*

— *ks. Krasiński, w domu od 9—11.*

— *u Brandusa: komiczne opery Offenbacha i libretta do nich, szczególniej Tram bol — cazar, les deux aveugles i le violoneux. Wydanie in 8vo i libretta do nich.*

— *Gostinyj Dwor No 9 B-ci Borodinych: pieczątki z literą M.*

— *U Büttnera na Newskim Prospekcie: moje piosenki.*

— *Maurycy Rappaport, ulica Oficerska, dom Ritnera, Redakcja Teatralno-Muzykalnego Dziennika. Dalszy ciąg mojego egzemplarza tej gazety. Znajomość z Ant. Kątskim, Sierowem (w domu między 10 a 11-tą).*

— *Znajomość przez pana Cui z Balakirewem, fortepianistą z Nowogrodu, i z Szusterem, uczniem Frejera z Warszawy. Przez tego ostatniego znajomość z Henseltem i Prombergierem, którego proszę ode mnie najserdeczniej pozdrowić, jakoteż i Büttnera, wydawcę moich pieśni, u którego tenże p. Prombergier mieszka. Pan Szuster zaprowadzi pana do Dargomyżskiego, którego proszę traktować, jak rodzonego mego starszego brata. Dargomyżski zaprowadzi pana do Glinki i zapozna z Rostisławem (Tołstoj). Każyńskiego poznasz pan także ze pośrednictwem pana Cui. Wszystko to są kolory lub zmarszczki fizjonomji muzykalnej Petersburga.*

— *P. Cui — Galerna ulica, dom Demachtowiczowej, a bliższe wejście około Konnogwardiejskiej, po Nabiereżnej, w domu do 4—5-tej.*

2. *Wilno, 20. IV. 1857.*

Najzacniejszy Panie!

Nie zostawiłeś Pan swego adresu, a pisząc do mnie, przysyłając to pieniądze, to cyprysowe krzyżyki, nie raczyłeś wskazać, dokąd moje podziękowania mam przesłać. Aż nakoniec powrót pana Edwarda Römera z Petersburga rozwiązuje zagadkę, z czego natychmiast korzystam. Pozdrowiwszy pana serdecznie od siebie i od wszystkich znajomych, przystępuję do interesu: biedny mój Sikorski klepie poczciwą biedę, jak może.

Nadesłał mnie już cztery numera swego Muzycznego Ruchu. Pismo to, jeżeli, da Bóg, podtrzymać je można będzie, literalnie da „sójkę w bok" niechlujnej muzykalności naszej. Obyż raz poszły w otręby te nieoszacowane zuchwałą głupotą korespondencje i muzykalno-teatralne sprawozdania dzienników naszych!! Czy pan czytał naprzykład apostrofę pana Kraszewskiego („Gazeta Warszawska" No 67) do Sikorskiego? Przykład nikczemności podobnej, tem bardziej dla nas rażący, czem, Bogu dzięki, rzadziej kto się z pomiędzy nas na podobną zdobędzie. Upraszam pana, w imię poczciwych zasad, które nas zbliżają do siebie, zadaj sobie pracę i zapoznaj się pan z tą ponurą polemiką. Zanim się okoliczność nadarzy mej prośbie zadośćuczynić, krótki rys tej awantury ala Bułharyn tu napiszę: Sikorski w roku przeszłym w miesiącu październiku którymś dniu zdał sprawę o koncercie Antoniego Kątskiego w Warszawie, podnosząc do najwyższej godności tego mistrza, szczególnie rozwodząc się nad jego cudownem wykonaniem koncertu Mozarta. Artykuł, jak wszystkie artykuły Sikorskiego, napisany z godnością, z głęboką znajomością przedmiotu, rzewniejszy od innych jego pióra — jednem słowem: prawy i serdeczny. Mogłożby komu przyjść na myśl, że w sześć miesięcy potem pan Kraszewski, rozwścieklony na Sikorskiego za przyjacielską radę, jaką ten dał Kocipińskiemu, ażeby czas i pieniądze łożył raczej na wydawnictwo, które mu się tak pięknie w wykonaniu udaje, niżeli na ogłaszanie tak licznych autorskich prac swoich, słabowicie wzbogacających naszą muzykę, że pan Kraszewski rzuci się na Sikorskiego w Gazecie Warszawskiej (NB.: Sikorski pisał w Gazecie Codziennej) najniesprawiedliwiej, przekręcając znaczenie słów swej ofiary i przedstawiając Sikorskiego za muzycznego chłystka, który się szamoce na Mozarta!!! Sikorskiego dotknął ten cios brutalnego napadu w chwilę ogłoszenia Ruchu Muzycznego. Celem więc Kraszewskiego było widocznie podkopanie kredytu Sikorskiego na benefis pisma Rappaporto-Kątskiego. Miły obywatel ten wasz Kurator! ale mniejsza z tem! Sikorski odpowiedział w 70-ym numerze Gazety Warszawskiej z godnością. To jedyny ton, na który Kraszewski nie zdobędzie się w odpowiedzi.

Idzie Sikorskiemu bardzo o to, ażeby zjednać dla swego pisma korespondencję pana Wicherskiego. Racz pan dobrodziej ode mnie wprost błagać go, ażeby nie odmówił pomocy w tak zacnej sprawie. Sikorski pisał już dawno do p. Wicherskiego, lecz żadnej nie otrzymał odpowiedzi i domyśla się, że list nie doszedł. Ja czegoś gorszego domyślam się jako pessymista: może Wicherski dał się złowić na Kraszewskiego pisanie. Bądź co bądź, polegam na życzliwości pańskiej dla mnie i dla tej drogiej dążności, która zdaje się być jedynym celem pańskiego życia.

Przebacz mi pan łaskawie, że go utrudzam w ten sposób. Idzie tu o istotnie pełną interesu publikację, na którą się przecież jedynie u nas Sikorski zdobyć może. Serdeczne pozdrowienia!

Najżyczliwszy sługa S. Moniuszko.

3. *Wilno — 1857 Kwiecień 20 d.*

Czyby pan nie mógł mnie objaśnić, kto jest pan Romanowski, mieszkający w Ostrogu, wydawca pieśni kościelnych? Zgłosił się do mnie, a ja — jak w rogu!

Jeśliby pan nie chciał przyjąć na siebie zgłoszenia się do p. Wicherskiego, to proszę przynajmniej wskazać nam adres do niego.

Z pańskiej łaski Revue Musicale otrzymuję, mam dotąd z tego roku 7 numerów i Albumy. — Ruchu kilka egzemplarzy posyłam do dalszego rozszerzenia tego pisma.

4. *1857 r. m. Październik 7 d. Wilno.*

Najzacniejszy Panie!

Z prawdziwem utęsknieniem wyglądam jakiej wiadomości o panu. Nasze strony tak się trudno z Waszemi komunikują, że ani dopytać się ani napisać nie można, nie mając pewnego adresu, a ja tak mam głowę rozbitą zbliżającem się przedstawieniem Halki w Warszawie, żem zupełnie o Orgelbrandzie zapomniał. Dziękuję więc panu za miłą odezwę i za dostarczenie możności przesłania mu naszych pozdrowień. Wszyscyśmy w domu, Bogu dzięki, zdrowi. Staś mało na skrzypcach grać może, gdyż na ten rok z młodszym bratem poubierali się już w mundury szkolne! Z boleścią zgodziłem się na to, ale musiałem ulec potrzebie.

Usilnie staram się przenieść swój pobyt do Warszawy jedynie dla wychowania dzieci, szczególnie w języku polskim i w muzyce, bo u nas żal się Boże i koszt i pracę na to łożyć. Ale to panu tylko mówię pod sekretem. Żal mi Wilna! ale żal przeszłego. Obecne jest do niezniesienia! Römerowie zdaje się, że usuwają się zupełnie na wieś. Alfred na dwa lata wyjechał zagranicę z malarzem Zienkiewiczem. Rej wodzą ludzie, którychbym nie rad wpuszczał do przedpokoju! Pocieszamy się tylko pewnością, że ksiądz Krasiński będzie djecezjalnym biskupem wileńskim, ale do nas przyjedzie aż na wiosnę. W lasku Zakreckim, po którym pan chodził tyle razy, zbudowano dom zabaw, wiele drzew wycięto, założono restaurację, coniedzielne fajerwerki i tańcujące wieczorki dla wyższego towarzystwa, a w pobliżu o sto kroków: szynk, hojdawki, kręgle i tym podobne mniej wykwintne pod szałasami rozrywki dla pospólstwa. Wszystko to zrobiło się staraniem Wojennego Gubernatora, który wszelkich sił dokłada, aby nas rozbawić. Ale my niewdzięczni! a raczej natura nasza, ciągnąca do lasu, wszystkiemu staje na zawadzie. Nie chce się nam tańczyć po pniach kochanego lasku, i popularność wyższych, od której takeśmy odwykli, wcale nas dziś nie nęci.

Teatr nasz w jednostajnym stanie. Brukowe tylko skandale ożywiają nasze saloniki. Wiesz pan już może, że pan Kirkor rozstał się ze swoją żoną i że ta pani miała stanowczy zamiar wrócić na scenę. Wiele było stąd ciekawości w mieście. Ale nie przyszło do uciechy, gdyż występ w naszym teatrze dla przyzwoitości wzbroniony został. Istotnie żal, że prawdziwe talenta zawsze z jakiemiś przeszkodami walczyć muszą, a szko-

da jeszcze większa, że rozżalona Sowietnikowa ma zamiar udać się do Krakowa na stałe mieszkanie, uwożąc z sobą tyle nam niegdyś drogiego Wieszcza (Syrokomla). Kilka historyjek podobnego koloru krąży po mieście. Ale temu niema co się dziwić. Więc i kończę o naszem Wilnie.

Sprawiedliwie zarzuca pan Kremerowi niedokładność pojęcia muzyki. Jam to widział już w dawnych jego listach, tak jak w ogólności całą wartość tego estetyka można już było z nich sobie wyciągnąć. Więc tych nowych nie czytałem. Kremer mówi o sztukach pięknych tak, jak akuszerka o młodzieńczych uczuciach miłej Bogu serc pary. Tym panom estetykom zdaje się, że ich gadanie na cokolwiek bądź potrzebne. Pytam, dla kogo? Artysta sam jest prawodawcą nauki piękna. Nie — artysta woli raczej w samej sztuce szukać smaku i własne z siebie o niej snuć pojęcia, aniżeli narzucone przyjmować, Bóg wie za co, niewolniczo. Jak nasi przyjmują sztukę, dowiódł Libelt, cytując Kossowskiego, Kraszewski, unosząc się nad mazurkami Apolinarego Kątskiego, a Kremer, ile razy odezwie się o muzyce. Pewnieby i Grabowski jaką niedorzeczność powiedział... gdyby chciał. Żałujemy wszyscy Wicherskiego, a dziękujemy bardzo za nastręczenie nowych korespondentów, z których Sikorski nie omieszka natychmiast korzystać. Bawi mnie niezmiernie dąsanie się Kocipińskiego! Jakże niezręcznie musi swój handel prowadzić, gdy nawet nie umie pojąć mojej dobrej dla niego woli! Nie poznać się na moim liście, pisanym do niego, to znaczy pisanego nie rozumieć. Daj Boże, ażeby Kraszewski więcej ode mnie mógł robić dla naszej muzyki, ale ja (skromność na stronę) wątpię o tem; Sikorski już dawno pisał do Kocipińskiego i nawet zaczął od tego przed wyjściem pierwszego numeru swego pisma. Cui był w Wilnie na kilka tygodni. Talent jego bardzo ślicznie się rozwinął. Szkoda tylko, że obecnie jest w paroksyzmie admiracji Szumana. Ale to przejdzie. Pokazywał mnie kilka ustępów swej opery; więcej w nich wprawdzie czucia niż nauki. Ale i to do nabycia przez doświadczenie. Niewątpliwie można w nim rokować piękny i wkrótce dojrzały talent kompozytorski. Do Ruchu dał parę kawałków fortepianowych. Revue, ile mam, z podziękowaniem panu przez Orgelbranda zwracam i, polecając się nadal łaskawej pamięci pańskiej, kończę pisanie na wyjezdnem do Warszawy na przedstawienie Halki: westchnij pan za mną!

Wierny sługa S. Moniuszko.

Na końcu poprzedniej stronicy zaledwom się obejrzał, żem o Halce prawie nic nie powiedział. A że cieszę się zaufaniem w poczciwe pańskie tyle mi drogie współczucie, więc dokładniej chcę wszystko opowiedzieć.

Od czasu napisania tej opery minęło lat jedenaście. Nie mając najmniejszej nadziei doprowadzenia tej muzyki do wykonania, najmniejszych też starań o tom nie robił. Gdy pewnego pięknego poranku dochodzi mnie wiadomość postronna, potwierdzona tuż zaraz wzmianką w jednej i drugiej gazecie, że Dyrekcja Teatru Warszawskiego zamierza Halkę przedstawić. Wyobraź pan sobie moje zdziwienie miłe i niemiłe! Pierwsze, co mnie się zdało stosownem do zrobienia, było uproszenie Dyrekcji, ażeby

to przedstawienie, a raczej uczenie się Halki, wstrzymała do mego przyjazdu. Pobiegłem do Warszawy i, obejrzawszy całą rzecz zbliska, postanowiłem całą partyturę i libretto z Wolskim wspólnie przerobić, chcąc korzystać ze wzbogacenia środków opery i orkiestry warszawskiej przez jedenaście lat minionych i z własnego doświadczenia w pisaniu na orkiestrę. Za zgodzeniem się na to Dyrekcji wziąłem się do tej olbrzymiej roboty, którą w przeciągu dwóch miesięcy całą dokonałem. Partytura dawniejsza przeszła na nową zupełnie, a do niej przyrosły: Arje Halki, Jontka, Cześnika, balet: polonez, mazur i tańce góralskie. Wszystko to ma ożywić ponurą treść opery, a rozszerzyć ją na cztery akta. Co dalej będzie, trudno przewidzieć. Na teraz wiem tylko, że śpiewacy, chór i orkiestra bardzo są na mnie łaskawi, że Dyrekcja opiekuje się staranną mise en scene i że co chwila mam być wezwany do urządzenia prób ostatecznych.

Wielką mnie radość pan możesz sprawić, jeżeli zechcesz po otrzymaniu tego listu odpowiedzieć mnie a rzucić kilka słów czystej przyjaźni do Warszawy pod adresem Sikorskiego (ul. Aleksandrja No 2773). Na wielką cierpliwości próbę jestem przygotowany. Zasilić mnie zdoła tylko głos wzniosłego uczucia i zachęty, któremi tak hojnie i dzielnie umiesz, Panie Auguście, mnie zasilać. Więc jeszcze raz gorąco proszę: nie zostawić mnie bez pociechy wśród warszawskich wydmuchów! Oni tam jakoś inaczej żyją, nie po naszemu. Jak dadzą szklankę Tokaju, to i po serdecznem przyjęciu. Grzeszę, gdy tak mówię, bo wyjątkowo dobrych mam tam przyjaciół, do których pod chorągiew Sikorskiego wiele imion, przynoszących mnie chlubę, już się zapisało. Ale to nic. Pisz pan dla tego. Wszyscy moi serdecznie za pamięć dziękują. O Paryżu ani marzyć mogę! Szkółka nasza pracuje... na deptaku! Nauczycieli nie mamy.

5. *Najzacniejszy Panie*

Na samem wyjezdnem do Warszawy przesłałem panu Gazetę Muzyczną, nie doczekawszy się zapowiedzianego przez Orgelbranda wezwania. Piszę więc jak najkróciej. Mam tylko czas serdecznie pozdrowić pana i donieść mu, że Zawadzki nabył ode mnie wydanie mojej muzyki do poezyj Mickiewicza, składającej się z dwóch tomów nowego śpiewnika (VI-ty i VII-y).

Najżyczliwszy sługa S. Moniuszko.

Wilno 1857 Listopad 3 d.

II. Karty z albumu Augusta Iwańskiego.

„Nie jako pamiątkę imię me wnoszę,
O pamięć twą, Ziomku, dla siebie proszę.
Odesa 1. 9. 1852. J. Wieniawski".

„I świat i ludzie i boleść nie straszą,
Gdy na tarczę wpiszem naszą
Trzy wielkie słowa, co spokojem wieją:
Z wiarą, z miłością, z nadzieją.
Odesa d. 14 września 1852. J. J. Kraszewski"

„Piękną prowadzony myślą, przebiegasz strony rodowitej ziemi, unosząc z sobą wrażenia, a zostawiając po sobie miłą pamięć. Gdy, dopełniwszy wotów pielgrzymki, pątnik złoży swój kij pielgrzymi, a przy domowym kominku przypominać będzie ludzi, których poznał, miejsca, które zwiedzał, przygody, których doświadczył, niech mu się przesunie choć mglisty obraz Borejkowszczyzny i tego, co w niej mieszka, a który przechowa o Pątniku i Jego gościnie miłe wspomnienie.
D. 15 listop. 1856. Wł. Syrokomla".

„Jeżeli Cię, zacny Ziomku z pięknej Ukrainy, taż sama myśl i chęć szlachetna poznania szerszego świata i ludzi zaprowadzi kiedykolwiek w odległe i świetniejszem słońcem ogrzane strony Zachodu, nie chciej zacierać w swojej pamięci naszej ubogiej Litwy, gdzieś znalazł przyjaznych Tobie współbraci. Niechaj wietrzna symfonja, rozlegająca się śród lasów naszych, natchnie twój talent muzyczny, którym tak milę władasz, melodją wspomnienia o krainie pobratymczej, zwiedzanej przez Ciebie, Panie Auguście.
Jaszuny, 1856 roku 24 listopada — 6 grudnia Michał Baliński".

„Miło jest dla mnie zapisać imię w tej księdze obok tylu tu zamieszczonych znakomitości wszelkiego rodzaju, ale milej mi będzie, kiedy posłyszymy, że młody wędrownik, który zwiedził nasze okolice, odzywa się o ludziach tutejszych i ich ziemi ze sercem poczciwem i prawdę kochającem.
Wilno, d. 1 grudnia 1856. Aleksander Zdanowicz".

„Kto harmonję poczuł i ma w duszy swojej
Wdzięk jej, samo już jego wydaje oblicze.
Ona i serce bliźnich ku niemu nastroi,
I we własnem utrwali pokoju słodycze;
I przeciw burzom losu odwagę uzbroi,
I w sztuce da mu natchnień siły tajemnicze.
Drogi Panie Auguście! Mnie to przekonanie
Nadzieją szczęścia Twego osładza rozstanie.
1856, grud. 6. Wilno. A. E. Odyniec".

„Szczęść Boże w drodze i w domu.

24. 9. 1858. Karol Szajnocha".

„Narody nehasnou,
Dokud jazyk zije,
Maji bytnost jasnou:
Ale jako zmije
Cizota se vije,
Kde pron city hasnou
Duch i slava hnije.

v Praze 19 Rijna 1858. Vaceslav Hanka".

„Jeszcze naszych ziem obszary:
Leśną Litwę, Kraków stary
I srebrzyste Tatrów głowy,
I zielony step dnieprowy,
Łączy z sobą miłość bratnia...
Prawda... dziwnie los zażarty
Poprzewracał nasze karty...
Na promienne i jaskrawe
Rzucił rozdarte i krwawe
Lecz, jeszcze skryta... ostatnia!
Nim te śpiewów naszych tony,
Których słucha świat zdziwiony,
Które rodząc pociech tyle
Osładzają ciężkie chwile,
Podsyci kiedyś hymn nowy:
Spójmy ściślej serca, dłonie,
Niech duch Boży nas owionie,
Niech mądrość z cnotą bez skazy
Założą węgielne głazy
Do nieśmiertelnej budowy!

23 września 1858. Rychcicki".

„Przy rzewnem rozstaniu nie powiem Ci wiele
Ale z serca i jak żyć, aby zostać razem
Zawsze, choć z dala? Żyjmy w pamiątek kościele!
Jak nuty, jak litery związane wyrazem;
A w harmonji wieku znajdziemy się wszędzie
I gdy Wszechmocny zechce, może coś z nas będzie...
Góry, rzeki i morza w telegrafach za nic.
Tak przyjaźń zobopólna zostanie bez granic.

D. 3 sierpnia 1860. L. L. Sawaszkiewicz".

III. Aleksandra Weryha-Darowskiego utwory satyryczne.

A. Lament sKwirski.

Narodził się zły Antychryst!
Wszystką szlachtę przybrał w kupę,
Zabronił bić chłopa w d...,
Dał mu ogród i chałupę,
I — co zwierzem był od wieka,
Z chama stworzyć chce człowieka!
Narodził się zły Antychryst!
Szlachta swirska aż omdlewa,
Berdyczowska łzy wylewa,
Radomyska wielce gniewa,
A humańscy humaniści,
Pogłupieli z nienawiści.
Narodził się zły Antychryst!...
Dzisiaj górą plemię Chama,
Na oścież piekielna brama,
Natura wzdryga się sama...
Bez pana, bez ekonoma,
Toż Gomora i Sodoma!...
Narodził się zły Antychryst!...
Na dokoła strach i zamęt,
Słyszano jeno płacz i lament,
Szlachta pisze swój testament,
Co napisze — to przekreśli,
Tak jej zmiana nie po myśli.
Narodził się zły Antychryst!...
„Przetrwaliśmy wojny wrogie,
Przeżyliśmy mory srogie,
Przebyliśmy klęski mnogie,
Daremszczyzny nam odjęto,
Zakazano robić w święto!...
Narodził się zły Antychryst!...
Wionął na nas duch zachodni,
Chłopi mają być swobodni,
Naród przez lud się odmłodni,
A tem źródłem odmłodnienia
Szlachecka ma być kieszenia!...
Narodził się zły Antychryst!...
Sławni nasi poprzednicy,
Na sam odgłos obietnicy,
Związali się w Targowicy,
Woląc stracić swą ojczyznę,
Niż poddaństwo i pańszczyznę.

Narodził się zły Antychryst!...
Ukraino, kraju żyzny,
Co ty poczniesz bez pańszczyzny?
Jak ty zwykniesz do golizny?
Bez pańszczyzny i bez bata,
Toż to istny koniec świata"!...
Narodził się zły Antychryst!...
Słysz mnie — szlachto w Ukrainie!
Termin przechodzi, nie minie,
A ty będziesz pasać świnie!
Zginiesz w nędzy i sieroctwie!...
Pamiętaj o mem proroctwie!
Narodził się zły Antychryst!...

B. [Relacja o starej chińskiej kronice Czin - Czi - Na przez angielskiego misjonarza L. Very roku od stworzenia świata, wedle rachuby mandaryńskiej, 487593-go podana a na język nasz wiernie przetłumaczona przez A. W. D.

Sławny chiński kronikarz, Czin-Czi-Na-Po-Czy-Taj,
Co przed wieków tysięcem opisywał Kitaj,
Podaje — jako żywy i naoczny świadek —
Z dziejów owej krainy szczególny wypadek,
Który chcę tu powtórzyć — z bardzo słuszną trwogą,
Że go ludzie dziesiejsi wziąć za bajkę mogą,
Choć Czin-Czi-Na-Po-Czy-Taj, erudyt zawzięty,
Fakt każdy poważnemi stwierdził dokumenty.

Owóż, w patrjachalne dawne wieki one,
Dwaj pasterze dzierżyli rząd w Chińskiej krainie,
Całe państwo na poły mając podzielone:
Jeden pasał Barany, drugi pasał Świnie....
Rzecz prosta, że sąsiedzi nie mogli żyć w zgodzie,
Bo Świnia — jako wiecie — w cudzy ogród rada,
Zaś Baran, rozdrażniony, wnet rogami bodzie...
Więc między pasterzami była ciągła zwada,
Co trwało przez lat tysiąc, wedle kronikarza...
Pokąd Świniarz zdradziecko nie zgładził Owczarza
I — zbójca! krwią niewinnej ofiary zbluzgany,
Przemocą nie zagarnął władzy nad Barany.

Wypadek nie ciekawy... Toć i dzisiaj przecie —
Nie brak takich pasterzy na szerokim świecie,
I tego też spisywać nie byłoby warto,
Ale koniec nie na tem, dwa wrogie narody,
Gdyby szło tylko o to — co komu wydarto,

Nie mogły — w żaden sposób — przyjść z sobą do zgody,
I choć oba pod jednym samowładnym panem,
Świnia — świnią, a Baran zawsze był baranem:
Świnia z ryjem spuszczonym, zawalanym w kale,
Baran, ze łbem rogatym, grożącym zuchwale.

Więc Świniarz między Owce wysłał świnopasy,
Dawszy im moc i prawo: drzeć z Baranów pasy,
Byle przytrzeć im rogów, utrzymać w spokoju,
I choć trochę nałamać do błota i gnoju.
Świnopasy, gorliwie pełniąc wolę pana,
Rychło się postroili w baranie kożuchy,
Rychło mięsem baraniem utuczyli brzuchy,
Lecz Świnią nie zrobili żadnego Barana.
Zaś Świniarz, ile razy zwiedzał kraj zabrany,
Drżeć musiał, widząc groźnie nastawione rogi,
Więc — wreszcie — w strasznym gniewie, wydał wyrok srogi:
By ześwinić —lub całkiem wytępić Barany!
I kazał wielkim mędrcom świńskiego narodu,
Z dziejów dostarczyć na to prawnego dowodu,
Że przed wieki Barany były to też Świnie —
I że się zbaraniły dlatego jedynie,
Iż pod słabemi rządy — wiodąc żywot błogi,
Porosły miękkiem runem a twardemi rogi.
Mędrcy byli posłuszni, i stanęło na tem,
Że Świniarz, to jedyny pan nad całym światem,
Że świat cały — jak wielki, to dziedzictwo świnie,
A ktoby temu przeczył lub wątpił, niech zginie!

Dalej więc, na Barany wypadł Ukaz dziki,
Że: „Ci, co noszą rogi, są to buntowniki".
Zatem: „Kto łeb rogaty wytknie na świat boży,
Zaraz pod obuchem oprawcy położy,
Chyba że dobrowolnie stawi się w urzędzie
I sam o zbicie rogów kornie prosić będzie".
Za pierwszym — Ukaz drugi: „Kto ma wełnę owczą,
Temu już raz na zawsze wzbronione stanowczo,
Pasza w polu, w lesie i ze zdroju woda...
Chyba, że Świń dziesiątek zanim głosy poda,
Świadcząc, jako — pomimo swojej owczej skóry,
W gruncie serca jest świnią i świńskiej natury".

Za drugim — trzeci Ukaz: „Kto głosem baranim,
Odezwie się publicznie, choćby małe jagnię,
Świnopasy wnet skórę mają zedrzeć na nim,
A jeśli się do kwiku świńskiego nie nagnie,

I drugi raz zabeczy, to zlupić i mięso,
A za trzecim — niech kości oprawcy roztrzęsą".
Czwarty znów Ukaz głosił: „Choć się rogów zbędzie,
Choć mu się, zbywszy runa, boki oszczęcinią,
Nie zazna, jak smakują dębowe żołędzie,
Kto powie — że z pradziadów był Owcą, nie Świnią,
Ze świniami nie liźnie z jednego koryta,
I owczej paszy nigdzie nie zapyta".

Sądny dzień na Barany przyszedł nieszczęśliwe,
Gną się słupy szubienic, krew strugami pluszcze,
Świnopasy wciąż pędzą — te znów ledwie żywe,
Ze zbitemi rogami, z wełną ogoloną,
Lub odarte ze skóry, oniemiałe z bólu,
Próżno paszy szukają na ojczystem polu,
Po którem Świń niezmierne trzody rozpuszczono,
Co — wolne od hamulca — z ryjmi nieczystemi,
Zryły i pokalały każdą piędź ich ziemi,
Aż, ze zbytku rozkoszy i sytnego jadła,
Nakoniec je szczególna wścieklizna napadła,
Że każdej, na sam widok biednego Barana,
Ślepie krwią zachodziły, z pyska biegła piana,
Każda z nich — na bezbronną, znękaną owczarnię
Miotała się i kłami siekła ją bezkarnie
I deptała nogami, obrzucając kałem,
Oszczerstwa i obelgi zmyślając bezczelnie...
A to się nazywało w świńskiem stadzie całem:
Być bohaterem!.. vulgo: praw swych bronić dzielnie.

Wiele biednych Baranów w świat zmykało skrycie,
Ważąc się na najcięższe trudy i przygody,
By znaleźć odrobinę paszy i swobody...
Ale były i takie, co — ratując życie,
Zastraszone męczarnią nieochybnej śmierci,
Same jeżyły wełnę nakształt świńskiej sierści,
Same zbijały swoje i swych dzieci rogi,
I, kwicząc — jako świnie — wbrew owczej naturze,
Szły — z hańbiącą pokorą —w szpetnych chlewów progi,
Lub wlokły się ze Świńmi — w cuchnące kałuże..
Lecz to były wyjątki! Ogół, choć znękany,
Mimo wszelkie wysiłki dzikich świnopasów,
Przekonał świat, że świńmi nie będą Barany,
I wytrwał, i najszczęśliwszych doczekał się czasów!...
Lecz jak do tego przyszło?... Mało wiemy o tem,
Bo tu — w kronice chińskiej — następuje przerwa,
Po której już weselsza ożywia ją werwa...

I Czin-Czi-Na-Po-Czy-Taj takim kończy zwrotem:
„Dziś ród barani znowu pięknem runem słynie,
I śmiało bujne rogi nosi na swej głowie...
I przestały na wieki być strasznemi świnie,
Tylko ich dzikie świństwo weszło już w przysłowie...“

SKOROWIDZ NAZWISK

	Str.
Abramowicz Leopold	96
Alboni	111
Aleksionow	201
Alenicyn	216
Andriolli Michał	215, 237
Antoniewicz	116, 127
Antonelli kard.	47
Argutyński — Dołgoruków ks.	47
Askenazy Szymon	211
Auderski Mikołaj	215
Awejde Oskar	215, 237
Bagieński Ignacy	41
Baerensprung	121
Baliński Karol	111, 213
Baliński Michał	70, 71
Baraniecki Tomasz	69
Bartkiewicz Bolesław	210, 215
Barwiński	111
Bądarzewski Kalikst	24, 107
Bądarzewski Teodor	24
Bąkowski Henryk	184
Beaupré Piotr	27
Beker	48
Benisławski Teofil	98
Bentkowski Władysław	121
Bereśniewicz ks. bisk.	70
Berezowska Walerja	139
Berezowski Antoni	24
Berezowski Cyprjan	141
Betuliński	24
Berg jen.	78
Bibikow gen. gub.	4, 9, 23, 27, 57
Blelajew panny	35
Bielak	103
Bielowski August	86
Biełogołowow Eudoksja	201, 202
Biesiadowski Józef	150
Bieżyński	128
Biliński Korjolan	128, 130, 153, 154
Billing	215
Blumenfeld v. Michał	15, 14
Bnińska Romanowa	192, 193, 201
Bniński Roman	151, 190, 191, 192
Bobowski Franciszek	144, 150
Bobrowski Tadeusz	23, 67, 125, 126, 128, 131
Boczenas	202
Bogusławski Wiktor	207
Bogusławski Władysław	207
Bonoldi Achilles	71
Borowska	42
Borowski	27
Borowski Piotr	180
Borowski ks. bisk.	83
Braniccy	19
Branicka Aleksandrowa	16, 19, 132, 133
Branicki Alekrander	132, 138, 225
Branicki Ksawery	6, 35, 223, 224
Branicki Władysław	19
Branicki Władysław jun.	133 225, 233
Bratkiewicz	215, 237
Brzozowscy	43
Brzozowska	16, 19
Brzozowski Antoni	41
Brzozowski Juljusz	41
Brun Henryk	48
Brun Filip	48
Buhojski	43
Bujnicki ks.	8
Bykow Anna	202
Bykow Barbara	202
Bylicki Franciszek	172
Celiński	183, 185
Chigi ks.	80
Chlebowski Stanisław	61
Chmielewski	212
Chmielewski Konrad dr.	213
Chojeccy	25
Chojecki Bolesław	24
Chojecki Ewaryst	24
Chojecki Zygmunt	24
Chojnacki	43
Chomiński	80
Chrapowicki	104
Chryzko Józefat	195
Cieszkowscy Kajetanostwo	124
Cieszkowski August	121
Cui Cezary	72
Czapliński Leopold	215, 237

Str.

Czapska Edwardowa 15
Czapski Edward 210, 234
Czarkowski Antoni 19
Czarnecka 37
Czarnowski Józef 40
Czarnowski Włodzimierz 40, 49
Czartoryska Witoldowa ks. 88
Czartoryski Adam ks. 37, 112, 223
Czartoryski Witold ks. 88, 112
Czeczel Jakób 22
Czekanowski Aleksander . 22, 151, 190, 236
Czekotowska 204
Czempkowscy bracia 143
Czempkowski 17
Czerniłowskij-Sokoł 24, 25, 208, 209
Czerny Michał 43, 52
Czerski 190
Czerwiński Zygmunt 69

Dachowscy 25
Dargomyżskij 73
Darowska-Weryha Marcelina 55
Darowski-Weryha Aleksander . . 13, 231
de Cot Wiktor 134, 200, 207
Dembiński jen. 120
Dietl dr. 88
Dłużniewski 70
Dobrski 123
Domejko 80
Dolinskij 132, 139
Drohomireccy b-cia 68
Drohomirecki Makary 117, 127
Dubiecki Marjan 81, 211
Dumanskij 178, 184
Dupont 90, 102
Duwing 178
Dybowski Benedykt . . 10, 81, 190, 211, 236
Dzieduszycki Maurycy 86
Dzierżkowa z Piątkowskich Marja . . 14
Dzięciołowski 148
Dzwonkowski 119

Eljaszowski Seweryn 113
Erdeli Aleksander 43
Erdeli Michał 43
Erzepki 112
Faszcz Nikodem 24
Faszowicz Edward 117
Feliński Szczęsny ks. arcyb. . . 27, 29, 80
Fétis Franciszek Józef . . . 100, 101, 108
Filosofow 53
Fontana 110
Forsterus 78
Frąckiewicz ks. 215, 217, 218, 237
Fredro Aleksander 86
Freier 102
Fudakowscy 37

Str.

Fudakowski Herman 37, 39
Fudakowski Ignacy 124, 151

Gałecka d-rowa 162
Gałecki dr. 154, 157
Gałęzowski Józef 117
Gałęzowski Ksawery 117
Gałęzowski Seweryn 97, 113
Gąsiorowski 43
Giedroyć Mikołaj . . . 81, 194 212, 215 217
Giedroyć Witold 81, 211, 212, 213
Giedroyciowa Witoldowa . . 211, 217, 218
Gieysztor Jakób 191, 192, 212, 234
Głębocki Józef 18
Głębocki Juljan 153
Głębocki Karol 18
Gnatowska 161
Gnatowski Antoni 201, 207
Gnatowski Gustaw 143, 207
Gnatowski Henryk 131
Godineau 90, 101
Godlewski Wiktor 190, 101
Golterman dr. 180
Górecki 207
Górska z Gałęzowskich Wacławowa . . 50
Górski Seweryn 106
Górski Wacław dr. . . . 59, 103, 106, 219
Grabowski Ambroży 88
Grabowski Michał 56, 127
Gravais 53, 230
Grocholska z Zejdlerów 36
Grocholski Ludgard 36
Grocholski Władysław 36
Grodecki 40
Groza 81
Grudziński Stefan 24
Grzybowski 83
Gutry Aleksander 121
Gzowski Gerwazy 211

Hartung 81, 193, 235, 236
Hase 22
Hasford Bronisław 67
Hashagen 48
Hanka 89
Hausman 58
Hédouin 22
Hein Herman 206
Helcel Zygmunt Antoni 88
Heltman Wiktor 95
Henzelt 73
Hoffman 212
Hoffmeister Apolinary 207, 236
Hołowiński Ignacy arcyb. 45
Horwatt Aleksander 116, 233
Huberti 102
Hundius Adolf 172

Str.

Hurkowski Włodzimierz 123
Hurkowski Zygmunt 24

Ilkiewicz dr. 14
Isnard 44
Ivensohn 139
Iwanowska z Zalewskich 110
Iwanowski Nicet 137
Iwanowski Prymus 133
Iwańscy b-cia 40
Iwańska Marja (późniejsza Aleksandrowa Izbicka) 42, 55, 82
Iwańska z Piątkowskich Wiktorja (matka autora) 10, 11
Iwański Adam 1
Iwański Edward 57
Iwański Henryk . . 57, 60, 64, 81, 124 137 138, 212, 214, 236
Iwański Ignacy 2
Iwański Jan (ojciec autora) 2. 8, 10, 12, 51 55, 60, 85, 120, 124, 155, 214, 224, 230, 234
Iwański Konrad 218
Iwański Mikołaj 16
Iwański Piotr 1
Iwański Stanisław 2
Iwański Stanisław 16, 225
Iwański Władysław 82, 137, 138, 155, 161, 162 201, 214
Iwaszkiewicz Anzelm 35
Izbicki Aleksander 68, 82
Izbicki Eustachy 83
Izbicki Witalis 82
Iżyccy 41
Iżyccy Wiktorostwo 220

Jabłonowski Aleksander 57, 99, 115, 116, 119 130
Jachimowicz Felicjan dr. 156, 163, 166, 168 169, 219
Jachimowiczowa z Radlińskich Anna 156 162, 163, 169
Jackiewicz Maciej 215
Jaczewski Teodor 18, 82
Janiszewski 18
Janiszowscy 41
Jankowski Leonard . . . 194, 223, 231 233
Jankowski Narcyz 191
Jarochowski Kazimierz 121
Jasieńscy 16, 40
Jasieński 15
Jasieński Ksawery 87, 220
Jasieńscy Marceli 56, 57
Jastrzębski 15
Jastrzębski Feliks 8 9, 95
Jełowicka z Iwaszkiewiczów Antonina 36
Jełowiecka z Proskurów Józefa . . . 37
Jełowicki Aleksander ks. 37, 114

Str.

Jełowicki Feliks 37
Jełowicki Florjan 37
Jełowicki Ignacy 37
Jełowicki Stefan 36
Jełowicki Teodor 36, 128
Jerzmanowski jen. 120
Jezierski Michał 13
Joachim 108
Jodko Antoni 104, 105
Jordan Juljan 134
Joteyko Gracjan 15, 223
Joteyko Stanisław 15
Józefowicz 25
Jurgens Edward 120
Jurynscy 204, 206, 212
Jurjewicz Antoni 147, 148, 149
Jurjewicz Konrad 153
Jurjewicz Teodor 17, 229

Kaczkowscy Karolostwo 37
Kaczkowski Karol 43, 81
Kaczkowski Zygmunt 37
Kaczorowska Halina (późniejsza Karolowa Lewicka) 42
Kalinka ks. 113
Kalinkowska Teresa (późniejsza Fortunatowa Bilińska) 20, 51
Kalinowski Józef 81, 88, 193, 204
Kamiński Jan 193
Kandyba 24
Karaszewicz Szczęsny 220
Karłowicz Jan 99, 100, 108, 109, 201, 215, 218
Karłowiczowa Irena 218
Karwicki Józef 41
Kątkowski Michał 132, 133
Kątscy b-cia 44
Kątski Antoni 73
Kątski Apolinary 102, 123
Kędrzycki Juljan 82, 178, 193
Kiełczewski Tadeusz 105
Kiełczewski Zygmunt 105, 106
Kietliński Stanisław 211
Kirkor Adam 71
Kisielow 14
Klaczko Juljan 113
Kleczyński Jan 117
Klimontowicz 202
Klimowicz 207
Kluczewski Erazm ks. 177
Knoring 78
Kobecki Romuald 43
Kolęda ks. 43
Kołyszko Benedykt 29, 220
Kołyszko Karol 22
Kołyszkowie Władysławostwo 45
Komar 47, 232
Komarnickij 48

Str.
Konarski 35
Konarski Szymon 26, 27, 28, 111
Kopczyński Ignacy 55
Kopernicki Izydor 207, 236
Kopernicki Walery 25, 82, 136
Koperski 207
Korczewska Wilhelmina 152
Koreywo Wiktor 35
Korsakow 178
Korzeniowski Józef 16, 26
Korzon Tadeusz 209
Kosko Jan 150
Kossakowie Juljuszostwo 118
Kossakowski Stanisław 116
Kossowski Michał 206
Kościuszko Antoni . . . 149, 150, 193, 199
Kotłurzyński Zygmunt 25
Kotkowski 185
Kotkowski Stanisław 43
Kotlewicz 215
Kotowicz Jan 41, 137
Kotowicz Walery 16, 82
Kotowiczowa z Niepokojczyckich . . . 16
Kotowiczowie 41
Kotowiczówna Ewelina 42
Kotwiczowa 211
Kownaccy Ludwikostwo 220
Kowalski Franciszek 39, 224
Kozietł-Poklewski 172, 175, 213
Kracer 35
Krasicki Zygmunt 238
Krasiński Adam ks. bis. 80, 105, 210 212 215, 216, 217
Krasiński Hubert 29
Kraszewski Józef Ignacy 23, 44, 45, 81, 82 88, 92, 96, 123
Krechowiecki 41
Kremer Józef 88
Kruzer Karol 69, 106
Kryński Adam Antoni 209
Krypski 150
Krzeczkowski Antoni 24
Krzyżanowski Antoni 41
Kudaszewowie 43
Kulczycki Inocenty 84
Kunicki Władysław 139
Kupenko 178
Kurzyna Jan 117, 118, 120
Kurzański Wieńczysław 149, 150
Kuźmiński Władysław 41
Kwiatkowska 42
Kwiatkowska Matylda 204
Kwietniewski 206

Lablanche 111
Lachmanowa 45
Landowski Paweł 183, 235
Str.
Laskowski 114
Laube 179, 206, 235
Laubry 207
Laudyn Kazimierz 207
Ledóchowski Jan 113
Lelewel Joachim . 91, 92, 93, 94, 95, 96, 106 107, 170
Lemens 101
Lenkiewicz 4
Leparski 173
Lewandowski 24
Lewteropulo 41, 48
Libelt Karol 120, 121
Lidejko ks. 215
Limanowscy b-cia 117, 119
Limanowski Bolesław 107
Limanowski Józef 106, 107, 115
Limanowski Lucjan 107
Linowski 42, 48
Linowski Jarosław 42
Lipiński 70
Lipkowscy b-cia 40
Lipkowski Henryk 103, 104
Lipkowski Józef 50
Lipkowski Leon 81
Lipkowski Piotr 131, 138, 225, 233
Lipski ks. 80
Lisowski marszałek 103
Lisowski Wincenty dr. 103
Liszt Franciszek 21
Lubliner Ludwik 95
Lubomirski Ksawery 22, 229
Lubowidzka z Pruszyńskich Dorota . . 37
Lubowidzki Wacław 37

Łagowski Józef 189, 190, 193
Łapina 161
Łaźnińskie 42
Łepkowski Józef 88
Łętowski ks. bis. 88
Łoziński Adam 24
Łoziński Henryk 24
Łubieński Konstanty 80

Maack Ryszard . . 173, 176, 178, 179, 206
Maack Ryszardowa 173, 176, 178, 179, 180, 206
Mackiewicz bis. 39
Mackiewiczowa 207, 235
Mackiewicz 133
Manuk bej 34
Madeyski Leopold 18
Mahdenko 24
Majer Józef 88
Majewska 93
Majewska Adamowa 171
Majewski Adam 173
Majewski Karol 120, 123

Str.

Malewscy Franciszkostwo 80
Malinowski Michał 71
Małachowscy 49
Małachowska Dorota 38
Małachowska Julja 38
Małachowska Wiktorja 38
Małachowski Edward 38
Małachowski Jan 219
Małachowski Karol 39
Małachowski Meliton 40
Małachowski Ryszard 63. 64, 219
Mamajew 9
Mańkowski Emeryk 25
Marchocka Ścibor Emilja 39
Marchocka Ścibor z Roguckich Karolowa 40
Marchocka Ścibor z Trzcińskich Karolowa 40
Marchocka Ścibor Pulcherja . . . 39, 64
Marchocki Ścibor Ignacy . . . 38, 39, 223
Marchocki Ścibor Karol 39, 40, 53
Mario 111
Markiewicz 24
Marszycki Ksawery 23, 161
Martynow 25
Marynkiewicz Fed. 7
Maszkowski Kacper 18, 27, 29, 157
Mazaraki Konstanty 152
Mazurkiewicz Wincenty 113
Meleniewski 40
Merdo 67
Michał w-ki ks. 53
Michałowski Erazm 23, 82, 151
Michałowski Leon 139, 141
Michalska Emilja 28, 55
Michalski Fryderyk 27
Michalski Wilhelm 36
Miecznikow 49
Mierosławski Ludwik . 37, 95, 109, 114, 117
118, 120, 121, 124, 127
Migurski 43
Mikieszyn 61
Mikołaj w-ki ks. 53
Mikulski 41
Mikuszewski 43
Milowicz Włodzimierz 117
Milowiczowie 41
Milutin 179
Miłkowski Zygmunt 106
Miłoradowicz 24
Mioduszewski Antoni 133, 193, 204, 233, 234
Missuna Franciszek 133, 213
Missuna Otton 132
Młodecki Józef 134, 135
Mochliński Edward 132, 133
Moczulski 91
Modzelewski 128
Mogilnicka 37
Mogilnicki Jerzy 177

Str.

Monastyrski 40, 53
Moniuszko Stanisław 56, 65, 66, 67 71.72, 81, 123
Montrezor brygadjer 19
Montrezor Ksawery 19
Montrezor Władysław 19
Moraczewska Bibjanna 122
Moraczyńska Marja 199
Moraczyński 71
Morgulec Bolesław 24, 210, 236
Morgulec Stefan 24
Morgulec Teodor 24, 151
Morgulec Witalis 68
Moszczeńska Wanda 143
Moszyński Piotr 46, 229

Narwojsz 42
Nowakowski ks. 190
Neiding 215
Nejmark 201, 209, 210
Niedziński 114
Niegolewski Władysław 121, 122
Nikorowicz Adam 37
Nikorowicz Wiktor 37, 117, 118
Nikorowiczowa z Kątskich Emilja . . 37
Noailles de vice-hr. 47, 48
Norow 53
Nowiński 17
Nowiński Romuald 6

Obuchowicz Napoleon . . . 207, 212, 236
Odyniec 70, 115
Ogińska Gabrjelowa ks. 70
Okraszewscy 215, 237
Olszański Romuald 151
Opoczyńska Michalina 98
Oppermann 20
Oraczewski 18
Ordęga 113, 118
Ordężanka Marja 118
Orlikowski Tytus 69
Orłowski ks. 43
Orzechowscy b-cia 43
Orzechowski Tadeusz 37
Oskierka Aleksander . . . 81, 191, 200
Oskierka Bolesław 212, 215
Ossoliński ks. 19, 133
Oziembłowski 71

Pachman 43
Padlewski Bronisław 148
Padlewski Edward 40, 50
Padlewski Włodzimierz 152
Padlewski Zygmunt 117, 127
Pakietonow pułk. 156
Paszkowski Bolesław 24
Pawlikowski Jan Gwalbert 106
Pawłowski dr. 201, 203

Str.

Pawłowski Trybucy ks. 180
Pawłowskij 48
Piątkowska marszałkowa 13
Piątkowski Leonard 13
Piątkowski Henryk 14
Peretjatkowicz Adolf 150
Peszyński Bolesław 149, 150
Piatti 99
Pietrunkiewicz Ksawery 57
Pirogow dr. 23
Pisarew 25, 28, 29, 35, 224
Podhorodecka Anna 51
Podhorscy 38
Podhorski Michał 42
Podhorski Zygmunt 22, 85, 131
Pokrzywniccy 17
Pokrzywnicki Ksawery 22
Pollak 215
Popowski Józef 193, 257
Poraziński 205
Potoccy Mieczysławostwo 46
Potocka Włodzimierzowa 18, 33
Potocki Aleksander 11, 33, 36, 223
Potocki Antoni 24
Potocki Bolesław 20, 21, 33
Potocki Mieczysław 223, 226
Potocki Pantalemon 111
Prozorowa Antonina 216
Pruszczyński Stanisław 24
Przemyska 19
Przanowscy b-cia 124
Przeździecka Eliza 45, 46
Przeździecki 46
Przybylecki dr. 167
Przygodzki Antoni 24
Przygodzki Wincenty 24

Raciborowski Zygmunt jr. . 41, 69, 70, 79
Raciborowski Zygmunt sen. 69
Radziejowscy b-cia 106
Rodziejowski Henryk 106
Rakowska Salomea 18
Rakowski Jan 19
Rakowski Fortunat 18
Raymond 102
Razułowicz ks. 43
Rebinder 23
Redrow 207
Régnard 102
Rénard 10
Rénaud 43
Reyner 183, 185
Richard 42
Rivoli 123
Rodziankowie 43
Rodziewiczowie 215
Rohoziński Ignacy 17

Str.

Rohoziński Konstanty 14, 17
Ronikier Edward 152
Rosental 68
Roszkowski Aleksy . . . . . .
Roszkowski Stanisław 150
Rościszewski Bolesław 22
Rościszewski Karol 22
Rościszewski Walenty 57
Różniatowscy 17
Różniatowski Ludwik 128
Römer Alfred 70
Römer Edward 70, 71
Różycka szambelanowa 14
Różycki Edmund 18, 131
Różycki Florjan 14
Różycki Karol 18, 114, 119
Różycki Stanisław 17
Rupczyński 34
Rubinstein Antoni 99
Rudnicka Walerja 157
Rudnicki Michał 24
Rudnicki Zygmunt 24, 83, 156, 161, 165, 169
200, 234
Rudzki 144
Rulikowski Edward 119
Runeberg 77
Russanowska (późn. Bilińska) 46
Rylscy 40, 57
Rylski Tadeusz 56, 127

Safarzyk 89
Sawczyński 14
Sagatowski 24
Sarnecki Tadeusz 41
Sarnecki Zygmunt 107, 117
Sawaszkiewicz Lew 95
Sawicki Władysław 15
Sawicz 24
Schenk v. Holstein 72, 231
Schuhmacher 180
Serbinowicz Jarosław 60
Serbinowiczowa z Morgulców Klara . 60
Servais 44
Siedlecki 207
Siedrocki Karol 193, 235
Siemaszko ks. 8
Siemieński Lucjan 87
Sienkiewicz Karol 113, 223
Sierakowski Zygmunt 93, 116, 120, 122, 233
Sierow 73
Sikorski 123
Skibniewscy b-cia 41, 49
Skibowski ks. 8, 83
Skrzynecki jen. 88, 91, 232
Słuczewski 202
Sobańscy b-cia 41, 223
Sobańska Róża 41, 46, 50

Str.

Sobański Aleksander 50
Sobański Feliks 41, 47, 0
Sobański Gotard 36
Sobański Ludwik 36
Sobański Michał 50
Sokołowski Marjan 115, 117
Soroczyński 22
Sowińska z Korzeniowskich 41
Sowiński Jan 41
Sowiński Leonard 57
Spasowicz Daniel 67
Spasowicz Włodzimierz 67
Spasowiczowa Danielowa 67
Spasowiczówna Alicj 67
Stachiewicz 43
Stachurski 24
Stachurski Franciszek 41
Stadnicki Ignacy 41, 107
Stadnicki Tomasz 43
Stadnicki Wincenty 43
Stankiewicz Karol . . . 81, 211, 214, 215
Stankiewiczowa z Wier bowskich Karolowa 214
Stankiewiczówna 53
Starorypiński Mieczysław 41

Starorypiński Zygmunt 96
Starzyńscy Edwardostwo 68, 69
Starzyńska Kornelja 17
Straszyński Antoni 24
Straszyński Leonard 24, 60, 61, 72, 95, 96, 107
Steveniers 101
Strelczenko Aleksy 150
Strzelecki Antoni 150
Stulgiński ks. 199
Suchorzewscy 24
Symon arcyb. 116
Sypniewski Władysław dr. 202
Syrwid ks 177
Syroczyński Antoni 43
Syroczyński Leon 138, 139
Syrokomla 70, 71, 111
Szajnocha Karol 86
Szajnocha Karolowa 86
Szaramowicz Gustaw 185
Szaszkiewiczowa z Proskurów 25
Szawłow Włodzimierz pułk. 152
Szembek 46
Szembell Michał 40
Szemiotówny 42
Szlenkier Józef 204, 207
Szmitberg 51
Szostakowski Feliks 82, 127, 128, 129, 130, 138, 140
Szulhof 46
Szumowski Aleksander 82
Szwermicki ks. 180, 191 199, 201

Str.

Szymanowska Marja 15
Szyszkowski Romulus 133, 137, 227
Ścisławski Tadeusz 41
Świderska Wanda 45
Świderski Wilhelm 45
Świeykowska Laura 45, 46, 47
Świeykowski Artur 46
Świeykowski Leon 45 230

Taborowscy 41, 53
Taborowski 49
Tarnawiecki Jan 18, 19
Taubowa bar. z Zaleskich 19
Teleżyński Dymitr 152
Tessier 44
Tokarzewski 207, 210, 236
Tołstoj hr. 63
Totleben 15
Trentowski Bronisław 114, 115
Troskin jen. 23
Trubecka ks. 57, 200
Trzciński 161
Turkuł Maurycy 18
Turow maj. 195, 196, 197, 198, 199
Turow majorowa 198
Tyszkiewicz Edward 70
Tyszkiewicz Eustachy 71
Tyszkiewicz Henryk 23, 70
Tyszkiewicz Mikołaj 22, 79
Ujejska Kornelowa 86, 87
Ujejski Kornel 86, 87, 91

Viardot—Garcia 111
Vieuxtemps 44
Vinzentini 102

Wagner Ryszard 108
Wałujew 179
Wasilewski Aleksy 150
Wasilewski Wincenty 149, 150, 194
Wasiljew Anatol 202, 206, 212
Wasiutyński Marjan 128
Weker Adam 17
Weker Stefan 17
Wekerowa z Leparskich 17
Wernicki 35
Wicherski 41, 45, 53, 96
Wielhorski Michał . . . 196, 212, 215, 237
Wielhorski Mieczysław 212, 215
Wieniawscy b-cia 44, 45
Wieniawski Henryk 99, 108
Wilamowski dr. 87
Wilczyński 71
Wilczyński Bolesław 24
Wilczyński Tytus 24
Wildowie 87
Wiliński 144

Str.

Wiśniewska Leopoldowa 173
Wiszniewski Leopold 24
Witwicki Władysław . . . 139, 193, 209, 210
Wodzińska 41
Wodziński 41
Wohl Henryk . 191, 192, 200, 201, 210, 211
Wojsiatycz Józef 207
Wolff 45
Wołkońska ks. 17
Wołodkowicz Bolesław 38
Wołodkowicz Hipolit 37, 38
Wołodkowicz Konstanty 38, 50
Wołodkowicz Władysław 38
Wołodkowiczowa z Dudzińskich . . . 37
Wołłowicz 28, 111
Wołoncewicz Lucjan 150
Woroncowowa 53
Wróblewski Franciszek 138
Wrzeszcz Antoni 105
Wrzeszcz Teodor 105
Wysoczański 44
Wysocki Jan 118
Wyhowski Stefan 149, 150, 166, 168, 172, 173
176, 178, 180, 186, 193, 199, 201, 208, 209
Wyszyńscy 173
Wyszyński Władysław 172

Zabiela 24
Zakrzewski Gustaw 94, 97, 99, 109, 117, 119
123, 127
Zakrzewski Ignacy 123
Zakrzewski Jan 18
Zaleski 124, 172, 181
Zalescy 172
Zaleski Bohdan . . 110, 113, 117, 119, 127
Zaleska Bohdanowa z Rosengartów . 110

Str.

Zaleski Bolesław 41
Zaleski Bronisław 71, 213
Zaleski Jan 117
Zaleski Tadeusz 128
Zaleski Zygmunt 41
Zaliwski 111
Zapolski Antoni 149
Zapolski-Downar Edmund 197
Zapolski Konstanty 149
Zawadzki Michał 69
Zawisza 27
Zbyszewscy Hieronimostwo 38
Zbyszewska z Jełowickich 37
Zbyszewski Karol 37
Zbyszewski Konstanty 37
Zbyszewski Wiktor 37
Zdziechowska Czesława 15
Zdziechowski Czesław 19, 24
Zdziechowski Marjan 211
Zdziechowska Marjanowa 211
Zelman . . . . . .
Zenowicz-Despot Aleksander . . 174, 175
Zieliński 150
Zienkowicz Feliks 190, 193, 202
Zieńkiewicz 24
Złotnicki Antoni 36
Złotnicki Artur 24
Złotnicka z Jełowickich Stefanja . . . 36
Złotnicki Dymitr 23
Złotnicki Stanisław 24
Zujewicz 155

Żelechowski ks. 41
Żeligowski Antoni 110
Żurakowscy 17

BIBLIOTEKA

GDAŃSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY
A. Krawczyński
Gdańsk 6, Marchlewskiego 15

Biblioteka AP W
287831
/2